

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

POD POLSKĄ FLAGĄ
SAMOCHODEM NAOKOŁO ŚWIATA.
PODRÓŻ SKAUTA JERZEGO JELIŃSKIEGO

Z oryginału przepisał, opracował i opatrzył przypisami:

Mariusz Kwestorowski

Więcej informacji o podróży Jelińskiego, powieści Władysława Umińskiego i jej autorze:

www.podroz-jelinskiego.prv.pl

DO CZYTELNIKA!

Nie jestem turystą ani globtroterem¹, którego ambicja polega na tym, żeby postawić stopę na wszystkich lądach świata. Moim zadaniem było prowadzić jak najskuteczniejszą propagandę na rzecz naszej Ojczyzny, przedstawiając ją korzystnie w oczach cudzoziemców. Niestety bowiem istnieją narody, które o Polsce tak mało jeszcze wiedzą, że jest ona dla nich *terra incognita*. Opasając flagą polską kulę ziemską, zetknąłem się nie tylko z cudzoziemcami, lecz także z rodakami, rozrzuconymi po świecie jak gwiazdy na niebie. Gdzie ich nie spotykałem! Zarówno w Afryce, jak na środku oceanu, w miastach, jak na pustyni. Niosłem im słowo o Ojczyźnie, którego słuchali chciwie. Nie jest to zatem dzieło fantazji, lecz najrealniejsza rzeczywistość.

Przede wszystkim dziękuję Wielmożnemu Panu Władysławowi Umińskiemu za podjęcie trudu zgrupowania moich wrażeń i przygód z podróży samochodem naokoło świata i utrwalenia ich piórem w niniejszej książce, oraz za odtworzenie ze ścisłą prawdą moich wspomnień, które przed Nim z całą szczerością roztaczałem w długie zimowe wieczory, wspólnie spędzone na przyjacielskiej pogawędce. Nie mogąc wymienić w szczupłych ramach niniejszej książki wszystkich ludzi prywatnych i organizacji, od których doznałem tylu dowodów życzliwości, składam najserdeczniejsze podziękowania: Władzom Naczelnym Rzeczypospolitej Polskiej, naszym placówkom konsularnym za granicą i przedstawicielom prasy, Polonii Amerykańskiej oraz jej organizacjom sokolskim, Naczelniectwu Harcerstwa Polskiego i skautom całego świata.

Niechże ta książka będzie odpowiedzią na liczne pytania i listy, które otrzymuję od życzliwych mi ludzi i zanieś skautom całego świata pozdrowienie braterskie:

„CZUWAJ”

Warszawa, w marcu 1929 r.

¹ W pierwszym wydaniu: „globetrotterem”.

ROZDZIAŁ I.

W KTÓRYM ZAZNAJAMIAMY SIĘ Z BOHATERAMI PODRÓŻY.

Ostatniego dnia października 1928 roku znalazłem się na ulicach Warszawy, odbywając zwykłą poranną przechadzkę. Zauważyłem wielkie tłumy publiczności zgromadzające się w Alei Jerozolimskiej² i mimo woli byłem świadkiem uroczystego wjazdu Jerzego Jelińskiego, wracającego do Warszawy z rozgłośniej podróży naokoło świata samochodem. U samej rogatki ujrzałem szpaler z podoficerów szkoły tanków z komendantem na czele i z kierowców samochodowych. Niebawem ukazał się długi sznur samochodów.

„Niech żyje Jeliński!” – wołano z zapalem.

Przystanąłem. Na czele imponującego korowodu jechała maszyna Automobilklubu Polskiego, za nią okazały buick Jelińskiego. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że samochód powraca z dalekiej i uciążliwej drogi. Wśród najrozmaitszych skrzyń, w których mieściły się pamiątki i zdobycze z długiej wędrówki, siedział u koła sterowego młody, sympatyczny chłopiec, widocznie mocno przejęty i wzruszony dowodami uznania, jakie się nań sypały ze strony tłumów. Kłaniał się na lewo i prawo, z rumieńcem na opalonych policzkach. Tak, to był jego triumf! Dokonał czynu, jakiego nie zanotowały jeszcze kroniki polskiego sportu automobilowego; co więcej, dokonał go sam jeden, pozostawiony swym własnym siłom i środkom, gdyż losy oddzieliły go od towarzyszy, z którymi pierwotnie wyruszył w drogę. Miał więc z czego być dumnym.

Korowód licznych samochodów zatrzymał się przed redakcją „Przeglądu Sportowego”³, którego redaktor powitał Jelińskiego wielkim bukietem kwiatów w ręku, z napisem: „Chlubie sportu polskiego. Zwycięzcy wszystkich dróg świata”. Tłumy rozentuzjasmowanych zwolenników sportu odprowadzały samochód Jelińskiego aż do lokalu Automobilklubu Polskiego⁴. Wielki plac napełnił się szczelnie. Marynarze, dawniejsi koledzy Jelińskiego, siłą musieli sobie torować drogę do lokalu, chcąc powitać podróżnika. Operatorzy filmowi i fotografowie, naciskani zewsząd, z najwyższą trudnością dokonywali swoich zdjęć. Jakiś optymi- sta mógłby pomyśleć, że Polska liczy tak wielkie zastępy sportowców. Ale w rzeczywistości ludzi tych sprowadziła tutaj ciekawość. Od chwili wyjazdu wyprawy, cała prasa, nie tylko

² Obecna nazwa warszawskiej arterii – Aleje Jerozolimskie – została oficjalnie wprowadzona w 1916 roku, jednak przez starszych mieszkańców stolicy poprzednia nazwa (Aleja Jerozolimska) była używana jeszcze długo potem.

³ Redakcja „Przeglądu Sportowego” znajdowała się w kamienicy przy ul. Jasnej 30.

⁴ Siedziba Automobilklubu Polskiego w latach 1918-1929 mieściła się przy ul. Ossolińskich 6.

polska, ale i zagraniczna, mocno się nią interesowała. Wszędzie umieszczano sceny z podróży, choć, prawdę mówiąc, wątpiono na ogół, czy polscy skauci zdołają doprowadzić do końca swą imprezę. Toteż Warszawa była mile zdziwiona na wieść, że pan Jeliński wraca, że dokonał tego, co sobie zamierzył. Stąd ten entuzjazm, gdyż tłumowi zawsze i wszędzie imponuje energia i zuchwalstwo dokonanych czynów.

Z wielkim trudem dostałem się aż do samochodu, udekorowanego licznymi emblematami klubów automobilowych całego świata. Były tam odznaki nie tylko wszystkich prawie klubów europejskich, ale także marokańskich, amerykańskich, ba – nawet japońskich – które mianowały Jelińskiego swoim honorowym członkiem. Z tyłu powiewała dumnie flaga polska. Pomiedzy tymi emblematami brakowała jednak odznaki Automobilklubu Polskiego. Lecz ta rzucająca się w oczy luka wnet zostaje zapełniona. Jeliński, odprowadzony przez starszą harcerstwa polskiego, udaje się do lokalu klubu, gdzie nań oczekuje zarząd, a także przedstawiciele firm, sympatyzujących z podróżnikiem. Obsypują go cennymi podarkami. Na uczcie zjawia się tak długo oczekiwany emblemat klubowy. Ceremonię tę zebrany tłum przyjmuje okrzykami zadowolenia. Słowem: pan Jeliński święci wielki triumf, otrzymuje nagrodę dobrze zasłużoną.

Jego ładne auto, eskortowane przez liczne wozy, zatrzymuje się przy ulicy Mazowieckiej przed znaną firmą samochodową, która urządza na swej wystawie interesujący pokaz. Publiczność może tutaj oglądać nie tylko sam wóz, który odbył wielką podróż, ale także liczne pamiątki i trofea druha Jelińskiego. Na szczycie widnieje w polskim i angielskim języku napis: „Ekspedycja Skauta Polskiego, Jerzego Jelińskiego, naokoło świata”.

Pewnego dnia, idąc Mazowiecką, zauważyłem na szybie wystawowej napis: „Zbiory z podróży Skauta-automobilisty polskiego, Jelińskiego, i jego samochód”. Trzeba to obejrzeć, rzekłem do siebie, wchodząc. Przez dłuższą chwilę szukałem oczyma, w tłumie napęlniającym sklep, pana Jelińskiego. Stał otoczony przez kilkunastu przedstawicieli prasy i poważnych firm samochodowych oraz osób prywatnych, i znajdował się widocznie w wielkim kłopotcie, jak odpowiadać na grad stawianych mu pytań.

– Jakich przygód doznał pan w Indiach? – pyta jakiś student, widocznie amator egzotycznych polowań w dżungli.

– Ile kilometrów ogółem zrobił pan na tym samochodzie? – pyta znów młody sportowiec.

Druh Jeliński rzuca z uśmiechem pogodnym krótkie odpowiedzi. Trzyma w ręku książkę, oprawną w czarną skórę, ze srebrną lilią burbońską na okładce, godłem związku harcerstwa polskiego. Księga stanowi dlań widocznie najdroższą pamiątkę z odbytej podróży,

piastuje ją bowiem z wielkim namaszczeniem i co chwila pokazuje obecnym jakąś jej kartkę. Jest to zbiór autografów najwybitniejszych osobistości świata, z którymi stykał się podczas swego rajdu. Kogóż tu nie ma? Poczynając od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej profesora Mościckiego⁵, Marszałka Piłsudskiego⁶, kardynała Kakowskiego⁷, kardynała Hlonda⁸, który wyprawił podróżników w drogę pięknym błogosławieństwem, cały szereg świetnych nazwisk zdobi kartki tego zbioru: prezydent Masaryk⁹, prezydent Hainisch¹⁰, kanclerz austriacki Seipel¹¹, admirał Horthy¹², Benito Mussolini¹³, własnoręczne błogosławieństwo Ojca Świętego¹⁴, prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej Doumergue¹⁵, król belgijski Albert¹⁶, gubernator Afryki Północnej, Coolidge¹⁷ – prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, były prezes ministrów japońskich, baron książę Shimpei Goto¹⁸, burmistrze największych miast świata, generałowie, uczeni, rektorzy uniwersytetów.

Nie są to bynajmniej gołe, nic nie mówiące podpisy, lecz gorące słowa uznania, pochwały i życzenia dla naszych podróżników. Uderza zwłaszcza, że Jeliński odwiedził po drodze wszystkie niemal placówki dyplomatyczne i konsularne polskie. Do zbioru autografów,

⁵ Ignacy Mościcki (1867-1946) – wybitny naukowiec i wynalazca (w dziedzinie chemii), organizator pierwszych struktur w polskim przemyśle chemicznym; rektor Politechniki Lwowskiej (od 1925 r.), profesor Politechniki Warszawskiej (1925-1926); dzięki poparciu Józefa Piłsudskiego wybrany na prezydenta RP, funkcję tę pełnił w latach 1926-1939.

⁶ Józef Piłsudski (1867-1935) – polityk, działacz niepodległościowy, mąż stanu; Naczelnik Państwa (1918-1922), naczelnny wódz Armii Polskiej (od 1918), pierwszy marszałek Polski (od 1920), dwukrotny premier Polski (1926-1928 i 1930), współzałożyciel PPS.

⁷ Aleksander Kakowski (1862-1938) – polski biskup rzymskokatolicki, arcybiskup metropolita warszawski (1913-1938), prymas Królestwa Polskiego w (1925-1938), członek Rady Regencyjnej w latach 1917-1918.

⁸ August Hlond (1881-1948) – polski biskup rzymskokatolicki, biskup diecezjalny katowicki w 1926 r., arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański (1926-1946), arcybiskup metropolita gnieźnieński i warszawski (1946-1948), prymas Polski (1926-1948), kardynał prezbiter od 1927 r.

⁹ Tomáš Masaryk (1850-1937) – pierwszy prezydent Czechosłowacji w latach 1920-1935, nazywany „ojcem niepodległej Czechosłowacji”.

¹⁰ Michael Hainisch (1858-1940) – austriacki polityk, prawnik i pisarz; drugi prezydent Austrii (1920-1928).

¹¹ Ignaz Seipel (1876-1932) – teolog, ksiądz katolicki, działacz Austriackiej Partii Chrześcijańsko-Społecznej, kanclerz Austrii (1922-1924 oraz 1926-1929).

¹² Miklós Horthy de Nagybánya (1868-1957) – węgierski admirał, regent (osoba sprawująca władzę w imieniu monarchii) państwa w latach 1920-1944. Przez przeciwników politycznych nazywany był ironicznie „admiralem bez floty w kraju bez morza”.

¹³ Benito Mussolini (1883-1945) – włoski dyktator, twórca i przywódca ruchu faszystowskiego, premier Włoch w latach 1922-1943.

¹⁴ Pius XI, właściwie Achille Ratti (1857-1939) – arcybiskup Mediolanu (1921-1922), papież (1922-1939).

¹⁵ Gaston Doumergue (1863-1937) – polityk francuski, minister kolonii (1902-1905), minister oświaty (1906-1907), minister oświaty (1909-1910), premier i minister spraw zagranicznych (1913-1914, 1934-1937); prezydent Republiki Francuskiej w latach 1924-1931.

¹⁶ Albert I Koburg, właściwie Albert Leopold Klemens Maria Meinrad (1875-1934) – król Belgów w latach 1909-1934. Podczas I wojny król osobiście dowodził belgijską armią. Zginął podczas wspinaczki górskiej w belgijskiej części Ardenów.

¹⁷ John Calvin Coolidge Jr. (1872-1933) – polityk amerykański, 30. prezydent Stanów Zjednoczonych, gubernator stanu Massachusetts (1919-1921), wiceprezydent (1921-1923), prezydent z ramienia Partii Republikańskiej (1923-1929). Ciekawostką jest, że został zaprzysiężony przez własnego ojca, Johna Coolidge’a, notariusza publicznego.

¹⁸ Gotō Shimpei (1857-1927) – polityk japoński, siódmy burmistrz Tokio, minister spraw zagranicznych, prezydent japońskich skautów.

który jako wielka osobliwość stanie się własnością ogółu polskiego, pan Jeliński, jak się зда-
je, przywiązuje największą wartość. Uzupełnieniem niejako tego zbioru jest cały szereg foto-
grafii naszego podróżnika, stojącego przy fladze narodowej i dygnitarzy, którzy zaintereso-
wali się jego przedsięwzięciem i zaszczylili go swymi podpisami. W tym oświetleniu podróż
druha Jelińskiego przedstawia się jako wielka światowa propaganda na rzecz naszej Ojczy-
zny. Czyn ten podyktował mu szczery patriotyzm, którego dowody składał i przy innych oka-
zjach. „Opasałem flagą polską kulę ziemską”, powtarza druh Jeliński z dumą. Jest to jego ulu-
bione wyrażenie. Kładzie on nacisk, ażeby w opisie jego podróży było to silnie podkreślone.

W wielkim magazynie, obok samochodu noszącego świeże ślady podróży, stoi cały
szereg szafek i gablotek, mieszczących pamiątki i dary zebrane na całej kuli ziemskiej, a więc
kostiumy Arabów marokańskich, broń wschodnia, ciekawe okazy zoologiczne i mineralo-
giczne, różne wyroby ręczne tkane i skórzane, mnóstwa odznak otrzymanych od Polonii ame-
rykańskiej, kostiumy wodzów czerwonoskórych, z którymi pan Jeliński zawarł akt przyjaźni,
olstry¹⁹ i pasy cowboyów z Arizony, ciekawe obrazy stenograficzne z Wysp Hawajskich,
owoce egzotyczne, wyroby z drzewa, jedwabie japońskie, lalki, figurki, kostiumy narodowe z
Krainy Wschodzącego Słońca, chińskie rzeźby, wyobrażające różnych bożków, żółw olbrzy-
mi z Indii, rogi bawole i inne trofea myśliwskie, wyroby z szyldkretu²⁰ i kości słoniowej, po-
chodzące z wyspy Cejlon, modele łódek malajskich... Nic więc dziwnego, że samochód dru-
ha Jelińskiego był tak wyładowany. Przyglądałem się tym zbiorom ze szczerym zaintere-
sowaniem. W końcu, korzystając z krótkiej chwili, kiedy pan Jeliński wy dostał się z koła ob-
legających go przedstawicieli prasy, zbliżyłem się doń.

– Odbył pan ładną podróż – rzekłem.

Uklonił się ze skromnym uśmiechem.

– Nie jestem bynajmniej podróżnikiem, nie przedsięwziąłem nic takiego, co by mogło
stać w jednym rzędzie z czynami Stanleya²¹ lub Livingstone’a²². Jestem przede wszystkim
Polakiem. Jedynym moim pragnieniem było prowadzić, w miarę środków, propagandę na
rzecz mojej ojczyzny w szerokim świecie. Dlatego też postanowiłem sobie, bez względu na
trudności i przeszkody, nie tylko rozpocząć, ale i dokończyć mojej podróży, ażeby nie powie-

¹⁹ Olstro lub olstra (od niem. holster) – skórzany futerał na pistolet kawalerzysty przytroczony do przedniej czę-
ści siodła.

²⁰ Szyldkret – masa rogowa, którą otrzymuje się z pancerzy żółwi.

²¹ Sir Henry Morton Stanley (1841-1904) – walijski dziennikarz i korespondent, pisarz, badacz Afryki i poszu-
kiwacz przygód.

²² David Livingstone (1813-1873) – szkocki misjonarz protestancki, badacz Afryki. Ok. roku 1870 r. został
uznany za zaginionego – w wiosce w pobliżu jeziora Tanganika odnalazł go Henry Stanley, kierujący ekspedy-
cją poszukiwawczą (w momencie odnalezienia Livingstone’a, Stanley zwrócił się do niego słynnymi słowami:
Dr Livingstone, jak sądzę? – ang. *Dr Livingstone, I presume?*)

dziano, że Polacy nie posiadają dość wytrwałości. Niech mi pan wierzy, że dużo mnie to kosztowało, ażeby zadośćuczynić powyższemu warunkowi. Opuszczaliśmy kraj z niezmiernie małymi zasobami materialnymi, musieliśmy początkowo zdobywać sobie środki pracą dla naszego utrzymania. Nieraz wprost staliśmy wobec widma głodu, liczyliśmy z troską grosze w kalecie²³ i racje wyczerpującego się chleba. Otoczeni pozornym blichтром przez entuzjastów, słuchając opery w wielkiej stolicy, marzyliśmy o zjedzeniu gorącej stawy, której od szeregu dni nie mieliśmy w ustach, Ale te wszystkie przejścia, nieraz bardzo przykre i bolesnej, osładzała nam myśl, że ponosimy je dla naszej ojczyzny, która niestety, dla wielu, wielu mieszkańców kuli ziemskiej jest dotąd *terra incognita*.

– Sadząc z nagromadzonych tutaj zbiorów i pamiątek, pańska podróż zdołałaby zainteresować szerszy ogół, nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Czy pan ma zamiar ogłosić drukiem swoje przygody i spostrzeżenia? – zagadnąłem.

Pan Jeliński uczynił szeroki gest ramionami.

– Nie jestem literatem, lecz człowiekiem czynu. Wprawdzie w dziennikach polskich zagranicznych dawałem ułamki ze swoich wrażeń, ale zdają sobie jasno sprawę, że tu potrzeba by wytrawnego, literackiego pióra, ażeby zobrazować liczne wrażenia i przejścia, jakie się nastęrczały w tym długim rajdzie poprzez różne krainy szerokiego świata. Chętnie służyłbym panu jak najbardziej szczegółowym materiałem, w słowie żywym i w notatkach, jakie porobiłem, gdyby pan zechciał go spożytkować dla napisania obszerniejszej książki o mojej podróży. Zdaję sobie bowiem sprawę z tego, że ogłoszenie jej utrwaliłoby w pamięci ludzkiej tę moją propagandę na rzecz Polski w najdalszych zakątkach świata. Czy zgadza się pan podjąć ten trud? Mam zupełne zaufanie, że pan zrobiłby to najlepiej, znacznie lepiej aniżeli ja sam przy najlepszych nawet chęciach.

Chętnie zgodziłem na tę propozycję pana Jelińskiego. W parę dni po tym spotkaliśmy się w ustronnym jego mieszkaniu. Chciał pokazać mi swój bogaty zbiór przezroczy, sporządzonych z własnoręcznie porobionych w drodze fotografii.

– Zilustruję panu najprzód moją podróż, będzie pan widział na ekranie wszystko to niemal, co jest godnego uwagi, co ja sam miałem przed oczyma. To panu ułatwi zadanie.

Istotnie, przesunął się przede mną na ekranie cały egzotyczny świat, przemierzony przez samochód Jelińskiego. Skończywszy ten zajmujący przegląd, gawędziliśmy długo. Szło mi o to, żeby poznać dokładniej tego chłopca, który pomimo młodego wieku dokonał takiego czynu. Mówił mi o sobie ciekawe rzeczy. Ukazał mi się charakter stanowczy, postać sympatyczna.

²³ Kaleta – skórzany woreczek na pieniądze, noszony przy pasie lub na szyi.

tycznego młodzieńca, ożywionego gorącym patriotyzmem, który był złotą nicią wiążącą w jeden sznur pereł jego bezinteresowne czyny.

– Od czasu, kiedy przestałem być dzieckiem – mówił pan Jeliński – w pamięci mojej zapisał się ciemnymi zgłoskami pewien fakt, jaki się zdarzył podczas wielkiej wojny. Moja matka po śmierci ojca zamieszkiwała w niewielkiej posiadłości w Miłosnie. Prócz mnie było jeszcze kilkoro dorosłego rodzeństwa. Ja, jak zwykle najmłodszy, odgrywałem w rodzinie rolę beniaminka. Matka kochała mnie niezmiernie. Kiedy Niemcy zajęli w 1915 roku Warszawę, od której rok temu byli krwawo odparci, znajdowałem się na wsi, matka moja zaś w mieście sama. Rosjanie, cofając się, palili i pustoszyli kraj, chcąc poza sobą zostawić pustynię. Nagle w stronie Miłosny ukazała się wielka łuna pożarów. Biedna moja matka wyobrażała sobie, że to nasz majątek się pali, i że ja znajduję się w wielkim niebezpieczeństwie. Ten niepokój tak silnie wstrząsnął jej nerwami, że dostała ataku sercowego i zmuszona była położyć się do łóżka.

Tknięty złym przeczuciem postanowiłem natychmiast udać się do Warszawy pieszo, bo żadnej komunikacji wówczas nie było. Szedłem, spotykając walących potężnymi zastępami Niemców. Na Wiśle zastałem mosty wysadzone w powietrze. Przeprowadziłem się więc łódką i kiedy nareszcie, pokonawszy wielkie trudności, znalazłem się w domu, zastałem matkę bliską śmierci. Umarła w parę dni później, mając tę ulgę, że znajdowałem się przy niej, nikt bowiem spośród mojego rodzeństwa nie mógł zjawić się w porę. Matka, ziębnącymi już w agonii rękoma, dała mi mały krzyżyk z relikwiami, otrzymany kiedyś od ludzi, którym wyświadczyła pewne dobrodziejstwo. Według jej mniemania przynosił on posiadaczowi szczęście. Krzyżyk ten później zabrałem jako talizman ze sobą w podróż i kto wie, może dzięki temu zdołałem zdrowszy i cały powrócić do Ojczyzny.

Po śmierci matki uczęszczałem do gimnazjum w Warszawie i jako uczeń 6 klasy wraz z kilku kolegami wstąpiłem, przed wyjściem Niemców z Warszawy, jako ochotnik do milicji miejskiej, która miała za zadanie utrzymywać w Warszawie porządek. Była to historyczna chwila w życiu naszego narodu, który party żywiołowym instynktem państwowo twórczym brał się gorączkowo do organizacji sił zbrojnych. Wszystko, co tylko czuło i myślało patriotycznie, wstępowało do szeregów. Miałem wówczas lat szesnaście. Od dawna pod wpływem naszej bogatej literatury dla młodzieży marzyłem, żeby zostać marynarzem. Zaciągnąłem się więc do marynarki jako jeden z pierwszych ochotników. Wprawdzie nadzieja pływania po dalekich oceanach ziściła się tylko w małym stopniu, nie żałowałem jednak mojego kroku, gdyż i tam znalazłem sposobność przysłużenia się Ojczyźnie.

Będąc już matem, czyli podoficerem marynarki, zawiadywałem odcinkiem granicznym na Pomorzu. Na tej placówce zastała mnie wielka tragedia dziejowa, jaką musiała przeżyć nasza Ojczyzna w 1920 roku. Nagle gruchnęła aż w tym zakątku żałobna wieść, że barbarzyńskie hordy bolszewickie, przełamawszy rozpaczliwy opór naszych szczupłych zastępów, ciągną na Warszawę, niosąc czerwoną chorągiew rewolucji społecznej i znacząc swoją drogę rabunkiem i pożogą. To podziało na marynarzy jak ostroga na rasowego konia. Nasza bezczynność przymusowa w zapadłym kącie wydawać się nam poczęła zbrodnią przeciwko Ojczyźnie. Wszystko, co gorętsze, rwało się do czynu. W pierwszym rzędzie inteligentna młodzież. Pobiegły do głównej komendy marynarki w Pucku podania o przeniesienie na front bojowy. Byłem jednym z pierwszych. Ku wielkiej mojej radości podaniu memu uczyniono zadość. Z paruset ochotników batalionu morskiego uformowano kompanię „Mścicieli” i, łączywszy z ochotnikami zwerbowanymi do kadry modlińskiej, wysłano na front pod dowództwem kapitana Jacynicza.

Nie długo nasza kompania czekała na chrzest ogniowy. W kilka dni po sformowaniu oddziału wsadzono nas do wagonów, dano w pośpiechu karabiny maszynowe i wysłano na front bolszewicki. Wojska czerwone forsowały właśnie linię Narwi, od której cofały się pobite przez przewalające siły nasze pułki piechoty. Za Ostrołęką w biegu wyskakiwaliśmy z wagonów, zajmując miejsca w tyralierce²⁴, osłaniającej stację kolejową i miasto przed naporem nieprzyjaciela. Batalion nasz od razu znalazł się rżęsim ogniu artylerii polowej i karabinów maszynowych bolszewickich. Okopawszy się przez parę dni stawialiśmy skuteczną zaporę nacierającym bolszewikom, robiąc częste wypadki nocne. Pewnego poranku otrzymaliśmy rozkaz zajęcia pobliskiej wioski, obsadzonej przez nieprzyjaciela. Nasza kompanie zerwała się pierwsza z szaneczków prowizorycznych i z bagnietem ruszyła na odległe o paruset zaledwie kroków pozycje bolszewickie. W wigilię tego ataku, będąc na stacji, dowiedziałem się ze wzruszeniem, że mój brat starszy, który służył jako ochotnik w 201 pułku piechoty nazwanym „Dzieci Warszawy”, poległ śmiercią walecznych w bitwie wczoraj rozegranej, o dwa kilometry zaledwie od Ostrołęki. W chwili ataku znajdowałem się więc w niezmiernie przegnębionym tą bolesną stratą nastroju.

– Boże! – mówiłem do siebie – nie pozwól mi tutaj zginąć, niech otrzymam choćby ciężką ranę, ale niech mi będzie dane zawiadomić rodzeństwo, gdzie i jak zginął nasz biedny Czesław.

²⁴ Tyralierka – luźny szyk bojowy, w którym żołnierze idą w pewnej odległości od siebie.

Dyszałem żądzą pomśzczenia mego brata. Jeżeli już miałem paść, to przynajmniej niech drogo sprzedam swoje życie i położę choć kilku nieprzyjaciół. I tego mojego westchnienia Bóg raczył wysłuchać. Posyłaliśmy salwą za salwą w szeregi nieprzyjaciela. Wierzyłem, że moje kule z tak bliskiego dystansu muszą spełniać swoje zadanie. Pomściłem brata. Nagle rozległ się rozkaz: „Na bagnety! Biegiem marsz!”. Podniosłem się spoza zasłony i wraz z całą kompanią ruszyłem na wroga. Bolszewicy dopuścili nas na kilkadziesiąt kroków do siebie i zaczęli siec niemiłosiernie krzyżowym ogniem. Uczułem jakby uderzenie iskry elektrycznej. Karabin wypadł mi z dłoni, nachylałem się, lecz ręka moja prawa nie jest zdolna podnieść broni. Widzę z przerażeniem, że dolna część jej zwiesza się w rękawie. Dają mi tampon z waty, w którym wsiąka obficie płynąca krew, i wsadzają do auta ciężarowego, przepełnionego rannymi. Jedni, ciężko pokaleczeni, leżeli na podłodze. Inni, lżej ranni, stali ściśnięci, jak śledzie w beczce. Co kilkanaście kilometrów szofer zatrzymywał maszyny, wyciągał tych co zmarli w drodze i kładł ich przy rowie, ażeby pozostałym dać więcej swobodnego miejsca. Była to zaiste piekielna droga. Choć od tej chwili minęło lat kilka, to jednak owe straszne przejścia stoją dotąd z okrutną wyrazistością przed moimi oczyma. Moja ręka była w Pułtuskusie źle zestawiona, długotrwały brak opatrunku groził, jak to się często na wojnie zdarza, gangreną. Lekarze chcieli już dla ocalenia mi życia odjąć prawe ramię.

Wyznaję, że kiedy znalazłem się na stole operacyjnym, przerażenie mnie ogarnęło. Zostać kaleką na całe życie! To okropna perspektywa! Na szczęście moja siostra odszukała mnie w szpitalu i zaczęła błagać lekarzy, żeby mnie nie pozbawiano ręki. Wstawiennictwo jej odniosło skutek. Pozwolono mi zabrać do Warszawy. Leżąc długimi dniami na łożu boleści w szpitalu, dyszałem żądzą zemsty na bolszewikach, sprawcach nie tylko moich cierpień, ale zabójców tylu młodych kolegów. Obmyślałem różne sposoby zniszczenia armii barbarzyńców, którzy najechali Ojczyznę. W końcu jednak porzuciłem zamiary krwiożercze, gdyż doszedłem do przekonania, że mogę Polsce w inny sposób przynieść korzyść. Postanowiłem służyć jej propagandą na terenie międzynarodowym. To był najistotniejszy sens podróży, której projekt zaczął wówczas kiełkować w mojej głowie.

Skończyłem swój wywiad z panem Jelińskim. Wyznam, że jego proste opowiadanie i przenikający je duch patriotyczny mile pociągnęły mnie do tego chłopca. Prosiłem go, żeby się niebawem ze mną spotkał i opowiedział mi o narodzinach projektu swej interesującej podróży.

ROZDZIAŁ II.

JAK POWSTAŁ PROJEKT PODRÓŻY SAMOCHODEM NAOKOŁO ŚWIATA.

– Nareszcie odzyskałem zdrowie – opowiadał za następnym naszym widzeniem się druh Jeliński – gdyż wyjęto mi po dziewięciu miesiącach drugą kulę z łokcia. Tymczasem jednak Polska własnymi siłami, po krwawych zmaganiach się z dzikimi hordami bolszewickimi, odniosła, wbrew przypuszczeniom niektórych mocarstw europejskich, świetne zwycięstwo i osłoniła, po raz nie wiem który, zachód od zalewu wschodniego barbarzyństwa. Byłem dumny, że i moja kropla krwi wyciekła w obronie Ojczyzny. Opuściłem służbę wojskową. Po skończeniu szkoły morskiej na wydziale radiotelegraficznym, znajdowałem się czas jakiś na przeszkoleniu w Toruniu. Otrzymałem stopień bosmana jako nagrodę za swój udział w kampanii. Ostatecznie przeniesiono mnie do kierownictwa marynarki wojennej w Warszawie. Tutaj w swojej kampanii poznałem marynarza nazwiskiem Ł., który jak ja marzył o odbyciu jakiejś wielkiej podróży. W tym samym czasie wyczytałem w „Kurierze Warszawskim” pewne ogłoszenie, które zwróciło moją uwagę. Brzmiało ono jak następuje:

Wybieram się w podróż naokoło świata na rowerze. Poszukuję jako towarzyszy dzielnych sportowców. Zgłaszać się na ul. X pod nr X.

Pod tym ogłoszeniem znalazłem podpis – Eugeniusz Smosarski. Zgłosiłem się niezwłocznie pod wskazany adres. Ujrzałem u Smosarskiego rower, specjalnie przystosowany do dalekich podróży, co mnie bardzo zainteresowało, gdyż sam używałem tego rodzaju sportu. Przychodziliśmy do niego razem z Ł. i gwarzyliśmy o naszym wspólnym projekcie, który niebawem stał się głośnym. Pewnego dnia zjawił się u Smosarskiego pan Bruno Brettschneider, operator filmowy, i zaproponował nam swój udział w podróży, jako posiadacz aparatu kinowego. Był to człowiek bardzo miły w towarzystwie, ładnie grał na fortepianie, miał zawsze różowy humor, toteż bez wahania przyjęliśmy jego propozycję. Zaczęliśmy długimi wieczorami szczegółowo rozważać nasze projekty. Smosarski był ciągle za rowerem jako środkiem komunikacji. Ł. przedkładał motocykle. Co do mnie jednak i Brettschneidera, który miał do dźwigania duży bagaż, byliśmy odmiennego zdania. Według mnie jazda rowerami zanadto by nas zmęczyła i trwałaby za długo, a co najważniejsze, nie wszędzie istnieją szosy. Z tych względów obstawałem za samochodem i to tak urządzonym, żeby podróż nim odbywać się mogła możliwie najwygodniej. Ja jeden spośród naszej czwórki znałem się na konstrukcji i prowadzeniu auta. Dzięki tej okoliczności, że mój brat miał przedstawicielstwo motocyklów, znajdowałem nieraz okazję jeżdżenia na tego rodzaju wehikule i osiągnąłem nawet dość

znaczną wprawę. Teraz stanęła przed naszymi oczyma najważniejsza kwestia. Skąd wziąć pieniędzy na kupno takiego samochodu, jaki był dla nas potrzebny. Spomiędzy nas jeden tylko Smosarski rozporządzał pewnymi środkami materialnymi, które jednak nie przekraczały dwóch tysięcy złotych. Ł., jako marynarz, miał najmniej. Brettschneider wnosił jako udział w przedsięwzięciu swój aparat kinematograficzny i filmy, ale na aparacie jechać przecież nie można. Ja także nie byłem żadnym kapitalistą. Posiadałem zaledwie paręset złotych gotówki. Tymczasem samo podwozie fordowskie kosztować miało 3.600 zł, nie mówiąc już o karoserii. Trzeba było za wszelką ceną zgromadzić ten kapitałik.

Postawiłem więc wszystko na jedną kartę. Zacząłem wysprzedawać się hurtem. Poszedł między ludzi mój nowy smoking, palto jesienne i dwa garnitury prawie nowe, pierścionek, zegarek złoty, słowem wszystko, co miało jakąkolwiek bądź wartość, nie wyłączając większej części bielizny. Pozostałem w końcu w tym tylko, co jest najniezbędniejsze dla każdego szanującego się człowieka. Co do Ł., to rozstał się on z jedynym cennym przedmiotem, jaki posiadał – ze złotym pierścieniem. Poza tym miał tylko jeden garnitur na sobie. Dzięki tym dotkliwym ofiarom mogliśmy nareszcie zakupić podwozie i przystąpić do budowy naszego samochodu według szczegółowo obmyślnego planu. W tym wypadku przyszło nam ze skuteczną pomocą Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego, gdyż poręczyło za nas w fabryce karoserii. Musieliśmy ponieść jeszcze jedną ofiarę dla osiągnięcia wymarzonego celu. Smosarski miał dobrą posadę w banku, ja zaś pracowałem w kierownictwie Marynarki Wojennej. Ł. służył w wojsku. Otóż, choć z niepokojem o przyszłość, zrzekliśmy się tych stanowisk. Ł. dzięki mojemu wstawiennictwu otrzymał zwolnienie przed terminem z wojska. Zabraliśmy się więc z całą energią do przygotowań. Najprzód podzieliliśmy między sobą funkcje. Ja, skończywszy kursy inżyniera Prylińskiego, wziąłem dział kierownictwa samochodem i gospodarstwo wyprawy. Smosarski sekretariat i kasę, jako były bankowiec. Ł., najwyższy z pomiędzy nas i najokazalej się przedstawiający, objął reprezentację. Brettschneider zaś zgodził się filmować naszą podróż, za co obiecaliśmy mu pewien procent od honorariów za wyprodukowane obrazy, które według naszych nadziei miały nam przynieść pokaźne dochody po powrocie.

Budowę karoserii powierzyliśmy Centralnym Warsztatom Samochodowym. Pilnowałem tych robót z całą sumiennością. Co dzień zaglądałem do fabryki, gdzie mnie wszyscy majstrowie traktowali z wielką życzliwością. Otrzymałem od nich wiele cennych rad i wskazówek, z których naturalnie korzystałem skwapliwie. Niestety praca ta posuwała się naprzód żółwym krokiem. Dopiero po kilku miesiącach ujrzeliśmy na naszym podwoziu upragnioną karoserię. Przez ten czas Smosarski i Ł. pracowali także energicznie w swoim zakresie. Wy-

robiecie różnych dokumentów, jak paszporty, wizy itd. wymagało wielkiej zapobiegliwości. Kiedyśmy się wreszcie znaleźli w posiadaniu samochodu²⁵, zabraliśmy się do ekwipunku. Przede wszystkim pomyśleliśmy o jakimś jednostajnym ubraniu dla całej naszej czwórki. Najodpowiedniejszym wydało się nam umundurowanie skautowskie, które jest jednakowe na całym świecie. Krótkie spodnie granatowe, gołe kolana, frence²⁶ instruktorskie, pasy szerokie skórzane, kapelusze z dużymi rondami, koszulki khaki i wzorzyste krawaty łowickie. Na lewym ramieniu frence po angielsku kazaliśmy wyhaftować żółty napis: „Polish Scouts Round of the World”. Był to dla nas najlepszy paszport w obce kraje, gdyż już na całym świecie ta instytucja jest znaną i poważaną. Mieliśmy po temu pełne prawo, gdyż każdy z nas jako chłopiec znajdował się w drużynach harcerskich. Dzięki tej właśnie okoliczności otrzymaliśmy poparcie Naczelnictwa Harcerstwa Polskiego, które było dla nas bardzo cenne. Za obuwanie obrabiliśmy sobie sportowe pantofle z grubej żółtej skóry. Również ważną częścią ekwipunku w podróż naokoło świata było, rzecz naturalna, uzbrojenie. Dzięki naszym staraniom dostaliśmy z Ministerstwa Spraw Wojskowych²⁷ dwa karabiny polskiego wyrobu z częściami zapasowymi i kilkuset ładunkami. Prócz tego każdy z nas posiadał rewolwer nabyty z własnych środków i noże skautowskie. Ponieważ nasz samochód mógł na noc pomieścić tylko dwie osoby, więc dla pozostałych kolegów musieliśmy sprawić duży namiot skautowski, który później był rozbijany w najrozmaitszych stronach świata. Służył on nam jeszcze w Afryce, gdzie go podarowałem skautom francuskim po wycofaniu się moich towarzyszy.

Zabraliśmy ze sobą menażki, w których warzyliśmy strawę. Każdy zaś miał przy sobie łyżkę, widelec i nóż. W aucie znajdowało się osiem kieszeni przyszytych do wewnętrznego obicia. Każdy z nas otrzymał do dyspozycji dwie z nich. Z tyłu auta umieściliśmy bagażnik, gdzie przechowywaliśmy zapasową bieliznę i rozmaite narzędzia, które mogły się przydać w podróży. Nie zapomnieliśmy także o parlofonie²⁸, zaopatrzonym w zapas płyt polskich dla propagandy naszej twórczości muzycznej, a nawet zabraliśmy z sobą czterolampowe radio wyrobu polskiego z anteną przenośną. Rozpiąwszy ją, mogliśmy słuchać w podróży różnych stacji, przede wszystkim naszej kochanej Warszawy. W ten sposób mieliśmy ciągły łącznik z Ojczyzną aż do Afryki – wówczas bowiem nie istniała jeszcze silna, dająca się słyszeć aż na

²⁵ Zakupionym przez podróżników samochodem był Ford T, bardzo popularny model produkowany w latach 1908-1927. Samochód osiągał prędkość maksymalną ok. 68 km/h i jak na swoje czasy był dość ekonomiczny: zużycie paliwa wynosiło 10-15 l/100 km.

²⁶ Frence – kurtka wojskowa z czterema dużymi naszytymi kieszeniami. Nazwa pochodzi od nazwiska feldmarszałka brytyjskiego z czasów I wojny światowej, Johna D. Frencha.

²⁷ Ministerstwo Spraw Wojskowych – istniejący w latach 1918-1942 naczelny organ administracji państwowej, powołany do kierowania i administrowania siłami zbrojnymi II RP w czasie pokoju i przygotowania ich do działań na wypadek wojny.

²⁸ Parlofon – urządzenie do odtwarzania dźwięku z płyt, inaczej: patefon lub gramofon.

antypodach stacja katowicka. Było to dla nas wielkim pokrzepieniem duchowym w czasie oddalenia od Ojczyzny. Co zaś do naszego auta, to zabraliśmy ze sobą na błotnikach dwa zbiorniki benzyny, mogące pomieścić do 60 litrów paliwa. Prócz tego bańkę oliwy dziesięciolitrową. Bak nasz zrobiona dwa razy większy niż normalny fordowski. Z tym zapasem byliśmy w stanie przejechać 500 do 600 kilometrów po złych nawet drogach. Tak przedstawiało się mniej więcej nasze auto, którego wygląd przypominał nieco tank, czyli czołg. Roztropność nakazywała jednak przed wyruszeniem w podróż wypróbować nasz wehikuł. Doświadczony inżynier, pan Paszewski, rzekł do mnie pewnego razu:

– Nasze drogi polskie są, trzeba to powiedzieć bez ogródek, fatalne. Zróbcie więc przed wyruszeniem w podróż naokoło świata rajd dookoła Polski. Będzie to ostra próba nie tylko waszej wytrzymałości i praktyczności urządzeń, ale i samochodu. Jeżeli on wytrzyma na naszych drogach, to będziecie mogli śmiało jechać nim nawet po Afryce. Co się wam w drodze popsuje, to się da jeszcze tutaj naprawić, a zdobyte doświadczenie przyda wam się za granicą.

Koledzy moi przyjęli skwapliwie ten projekt, bardzo w gruncie rzeczy rozumny. Przemawiała za nim i ta okoliczność, że każdy dobry Polak powinien przede wszystkim poznać swój własny kraj, zanim wyruszy w świat szeroki. A my, niestety, jeszcze go dobrze nie zwiedziliśmy podówczas. Rajd objął Siedlce, Puszcę Białowieską, Jezioro Augustowskie, Mławę i Bydgoszcz. Do domu wróciliśmy przez Łęczycę.

ROZDZIAŁ III.

JAK SIĘ ROZPOCZEŁA PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA.

Przed wojną, kiedy paszporty zagraniczne w Europie były niezbędne w paru zaledwie krajach, można było podróżować bez wielkich formalności. Ale dziś! Wizy, wizy, wizy! Dość powiedzieć, że wyprawa musiała zdobyć ni mniej, ni więcej, jak 28 wiz, dających jej prawo przejazdu przez tyleż państw całego świata. Nie mówiąc już o bieganinie, kosztowałoby to ładną sumkę, gdyż liczbę 28 należy pomnożyć przez liczbę uczestników. Ale od tego wydatku, który by przekroczył środki ekspedycji, uwolniła ją uprzejmość naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które, pokładając w wyprawie zaufanie, wyjednało w poselstwach cudzoziemskich wizy bezpłatne. Zawdzięczała to wyprawa poparciu pana ministra Karola Bertoniiego²⁹. Jedynym wyjątkiem był tutaj przedstawiciel Austrii.

Jak już nadmieniałem, wyprawa miała na celu propagandę za granicą, dlatego to postanowiono przed wyjazdem uzyskać audiencję u najwybitniejszych osób i wyjednać ich przychylność dla zamierzonego przedsięwzięcia. Ufundowano zatem książkę pamiątkową, w której owe przodujące osobistości kładły swoje podpisy, wypisywały życzenia i błogosławieństwa dla wyprawy. Księga ta w ciągu dwuletniej z górą podróży wypełniła się mnóstwem nazwisk i, będąc nieraz w ręku wysoko postawionych osób, stała się nie tylko miłą pamiątką, ale także niezmiernie wartościowym zbiorem autografów, rodzajem glejtu³⁰ dla wyprawy. Poza tym starano się zdobyć zawsze fotografie wybitnych osobistości, z których spora ilość zdobi kartki tej książki. Na każdej z tych fotografii powiewa flaga polska. Prócz licznych wiz wyprawa zdobyła sobie listy polecające od rozmaitych organizacji społecznych, sportowych i pokrewnych organizacji całego świata. Największe usługi i poparcie wyświadczył wyprawie Związek Harcerstwa Polskiego i Sokolstwo³¹, zwłaszcza amerykańskie, Automobilklub Polski, Polski Komitet Olimpijski, Naczelny Kapelan Związku Harcerzy, Polskie Zjednoczenie Gospodarcze i szereg osób prywatnych, ustosunkowanych za granicą. Pomimo szczerej wdzięczności, jaką wyprawa żywi dla tych wszystkich osób i organizacji, brak miejsca nie

²⁹ Karol Bertoni (1876-1967) – polski polityk i dyplomata, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie; od 1919 r. dyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; w latach 1923-1924 kierownik MSZ.

³⁰ Glejt – dokument zezwalający na przejazd przez jakieś terytorium bądź zapewniający bezpieczeństwo osobiste; list bezpieczeństwa.

³¹ Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” – najstarsze polskie towarzystwo sportowe (gimnastyczne). Pierwsza organizacja sokola (tzw. gniazdo) została założona w 1867 r. we Lwowie. Ideą ruchu był rozwój świadomości narodowej, dbałość o sprawność fizyczną i popularyzacja sportu oraz wyrabianie tężyzny i sił moralnych. Za hasło przewodnie Sokółów obrano zawołanie: „W zdrowym ciele zdrowy duch”. Symbolem ruchu był sokół w locie.

pozwała wymienić ich szczegółowo. Wiele też uczyniła dla naszych podróżników prasa polska i urząd ruchu kołowego. Dzienniki, opisami swymi i ilustracjami, których im nie szczędzono, od razu spopularyzowały nie tylko samą wyprawę, ale, o co głównie chodziło, uświadomiły szeroki ogół o jej celach i zadaniach. Kiedy więc wyprawa samochodem naokoło świata wyjeżdżała z Polski, to już w całym kraju było o niej głośno. Ta właśnie okoliczność zaostrzała energię i wytrwałość podróżników, którzy musieli sobie przyrzec w duchu, że nie zawiodą pokładanego w nich zaufania rodaków.

– Naturalnie – mówił druż Jeliński – że pierwszą osobą, do jakiej zwróciliśmy się z prośbą o audiencję, był Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, profesor Ignacy Mościcki. Ze wzruszeniem przekraczaliśmy progi starego Zamku Warszawskiego. Pan Prezydent okazał duże zainteresowanie wyprawą, raczył zejść na dziedziniec zamkowy i z ciekawością oglądał nasz samochód wyrobu polskiego i jego urządzenia do podróży. On to położył pierwszy podpis w pamiątkowej księdze. Idąc na audiencję, mieliśmy coś w rodzaju tremy. Po raz pierwszy w życiu stawaliśmy przed tym, który był żywym wcieleniem odrodzonej Polski. Ale ten nastrój pierzchnął od razu pod wpływem jakiegoś ojcowskiego ciepła, jakim było nacechowane całe zachowanie się Pana Prezydenta. Na zakończenie poklepał nas, przyszłych podróżników, z dobrotliwym uśmiechem po ramionach, mówiąc: „No, chłopcy, wracajcie szczęśliwie”. Byliśmy mu za to niezmiernie wdzięczni. Powzięliśmy otuchę i zaczęliśmy od razu spoglądać poważnie na wzięte na siebie dobrowolnie zadanie.

Zaraz nazajutrz wyprawa udała się swoim autem do Sulejówka, ażeby przedstawić się Marszałkowi, który także przyjął ją nader uprzejmie. Oglądał wraz z Panią Marszałkową i córeczkami auto, przeznaczone do odległych podróży, dziwiąc się, że w tak małym pudełku nasi skauci chcą objechać świat. Spytał się swojej córeczki, Wandzi, czy by nie zechciała wziąć udziału w podróży. Ale ostrzegł ją, że byłaby już dorosła, kiedy by z niej powróciła, i nikt by jej nie poznał. W końcu odezwał się w te słowa: „Podejmujecie wielkie propagandowe dla Polski dzieło. Gdy opaszecie flagą polską kulę ziemską, zameldujcie się u mnie, lecz w przeciwnym razie nie pokazujcie mi się na oczy”. Była to druga, jeszcze dobitniej wyrażona zachęta, a zarazem ostrzeżenie na wypadek, gdyby wyprawa, z braku energii, cofnęła się z drogi przed osiągnięciem celu. Druż Jeliński mógł więc z podniesionym czołem po powrocie zameldować się u Marszałka, który wypisał w księdze pamiątkowej te słowa: „Szczęść Boże w podróży”.

Członkowie wyprawy po tych dwóch audiencjach postanowili na drogę uzyskać błogosławieństwo kardynała Kakowskiego, który chętnie ich u siebie przyjął w pałacu przy ulicy Miodowej. Ksiądz Kościoła objawił żywe zadowolenie, że wyprawa zaopatrzyła się w list

polecający od naczelnego kapelana Związku Harcerstwa Polskiego, Antoniego Bogdańskiego³², w polskim i łacińskim języku do wszystkich władz duchownych. W księdze pamiątkowej raczył skreślić następujące słowa: „Aleksander Karol Kakowski z błogosławieństwem arcypasterskim”. Następnie członkowie wyprawy składali wizyty panom marszałkom Sejmu i Senatu, rektorom uniwersytetu i politechniki, prezydentowi miasta, wyższym wojskowym i innym wybitnym ludziom. Wyjeżdżając, wyprawa miała już poparcie moralne swego społeczeństwa, o które jej bardzo chodziło, ze względu na propagandowy charakter przedsięwziętej podróży. Nadchodziła piętnastoletnia rocznica działalności skautingu w Polsce, a jak już nadmieniłem, dzień ten wyprawa obrała sobie jako termin wyjazdu. Było to wielkie święto sportowe, w którym wzięła udział cała Warszawa. Na kilka dni przed tym Związek Harcerstwa Polskiego porozysłał do związków sportowych, do prasy, do wybitniejszych osób zaproszenia na zawody jubileuszowe, na których było zaznaczone, że zaraz po igrzyskach nastąpi wyjazd i pożegnanie druhów, udających się samochodem w podróż naokoło świata. Niezależnie od tego członkowie wyprawy rozrzucali ze swego auta ulotki i kazali porozlepiać afisze, oznajmujące o dojściu do skutku zamierzonego wyjazdu.

Na boisku w parku Agricoli, dnia 30 maja, w zawodach brało udział kilka tysięcy druhów i druhen. Publiczności zaciekawionej zawodami, jak równie wyprawą samochodową, było jeszcze więcej. O godzinie 14 minut 30 samochód wjechał na boisko, z założoną po raz pierwszy z tyłu flagą polską, w pośrodku wielkiego czworoboku, złożonego z drużyn harcerskich, męskich i żeńskich. Przed trybunami przemówił do członków wyprawy w imieniu ZHP druh Sedlaczek, w imieniu zaś chorągwi warszawskiej zegnął ją komendant – druh Tomasz Piskorski. Z wielotysięcznych piersi harcerzy i publiczności popłynęła potężną falą przepiękna melodia Mazurka Dąbrowskiego. Członkowie wyprawy z bijącym od wzruszenia sercem zajęli miejsca w swym aucie i w kordonie kolarzy wyruszyli w drogę wśród gromkich oklasków publiczności. Kolarze opuszczają wyprawę już na Pradze, ale kilkanaście aut ze sportowcami towarzyszy jej do Wawra, auta zaś C.W.S.³³ aż do Siedlec. Zamiast jednak ruszyć wprost na zachód, wyprawa skierowała się na Lublin do Lwowa, stamtąd przez Kraków na Cieszyn, w zamiarze zwiedzenia po drodze Śląska Górnego.

Wieczorem podczas pięknej pogody dotarto do Lublina, którego mieszkańcy przyjmowali wyprawę z istic staropolską gościnnością. Rozbito namiot za miastem, w obszernym ogrodzie, i tutaj spędzono pierwszą noc na biwaku. Zaraz jednak przekonano się, że nadmier-

³² Antoni Bogdański (1891-1938) – ksiądz, harcmistrz, wykładowca w Seminarium Duchownym we Włocławku; nauczyciel Stefana Wyszyńskiego; pierwszy Naczelnny Kapelan ZHP.

³³ Skrót od: Centralne Warsztaty Samochodowe. Zakłady te działały w latach 1918-1928, następnie przekształciły się w „Państwową Wytwórnę Samochodów”.

ny rozgłos ma swoje strony ujemne. Znużeni podróżą członkowie wyprawy łaknęli spokoju i spoczynku. Tymczasem zaś dokoła rozbitego pod drzewami namiotu zgromadził się duży tłum ciekawych, śledzący każdy ruch podróżników. Nic nie pomogło ogrodzenie sznurem. Dzieciaki, nie zważając na ten kordon, zaglądały do namiotu, chodziły po piętach, słowem przekleństwo popularności od razu dało się odczuć z całym swym okrucieństwem. Podróżni potrzebowali dość długiego czasu na to, żeby się oswoić z natręctwem ciekawskich i w końcu doszli do takiego stanu, że nic sobie nie robili z tego, co ich pierwotnie wprawiało w wielkie zakłopotanie. Na cześć wyprawy harcerstwo lubelskie urządziło wieczornicę, na której do późna zabawiano się różnymi popisami. Wesoło więc zakończył się pierwszy dzień podróży naokoło świata.

ROZDZIAŁ IV.

OSTATNIE DNI MIĘDZY SWOIMI.

Próbny rajd nie dał członkom wyprawy całkowitego obrazu Odrodzonej Polski, dlatego też z Lublina skierowano się nie na zachód, ale na wschód, chcąc poznać Lwów i Małopolskę Wschodnią. Wyprawa miała przed sobą dostatek czasu, nie potrzebowała się nigdzie spieszyć. Chociaż oficjalny wyjazd w podróż naokoło świata nastąpił w piętnastą rocznicę rozpoczęcia działalności skautingu, tj. w maju, to jednak rajd naokoło Polski, poprawki samochodu, zwiedzanie Lublina i inne przystanki pochłonęły dobre parę miesięcy, tak iż kiedy wyprawa ruszyła z Lublina, sierpień miał się już ku końcowi. Niebawem miała się rozpocząć wielce interesująca wystawa handlu i przemysłu polskiego we Lwowie, zwana popularnie Targami Wschodnimi. Spodziewano się tam wielkiego napływu ludności z całego kraju. Okazję tę postanowiono wykorzystać dla dwóch celów: zapoznania ogółu z celami ekspedycji naokoło świata, a co ważniejsze, do zapoznania się gruntownego z rodzimym przemysłem, żeby móc następnie podnosić rozwój Polski w tym kierunku podczas pobytu za granicą.

Z Lublina ruszono tedy do Lwiewo Grodu, nie spiesząc się i zwiedzając po drodze osobiwości kraju, zamki stare, zakłady przemysłowe, wzorowe gospodarstwa rolne, słowem uczono się i bawiono zarazem. Robiono przeciętnie po kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Wszędzie, gdzie się znajdowały gniazda sokole albo drużyny harcerskie, zatrzymywano się cokolwiek dłużej. Druhowie czuli się w obowiązku nie tylko ugaszczać podróżnych, ale i służyć im za przewodników po okolicy, pokazując wszystko, co zasługiwało na baczniejszą uwagę. Teraz dopiero wyprawa zdołała należycie ocenić doniosłość i praktyczność organizacji sportowych, ogarniających cały kraj. Wszędzie natrafiano na dobre przyjęcie, na wszelkie ułatwienia, na towarzystwo ludzi interesujących się sportem i celami wyprawy. W takiej przychylnej atmosferze, która wytworzyła się dzięki upowszechnieniu i rozszerzeniu organizacji skautowskich na cały obszar Polski, podróż odbywała się gładko, składnie i przyjemnie.

Tak podróżując, wyprawa znalazła się we wrześniu na rozległych placach obok parku Kilińskiego³⁴, gdzie odbywały się Targi Wschodnie. Zarząd wyznaczył jej miejsce na rozbiście obozowiska. Mimo woli nasi harcerze stali się jedną z atrakcji wystawowych. Publiczność tłumnie oblegała samochód, namiot, podróżników, którzy odwzajemniając się za dobre przyjęcie i gościnę, produkowali się z radiem wyrobu krajowego i gramofonem, na którym wy-

³⁴ Park Stryjski we Lwowie (Park im. Jana Kilińskiego) – jeden z największych lwowskich parków, założony w 1877 r., znany m.in. z kamiennego pomnika Jana Kilińskiego.

grywano melodie polskie. Wystawa wywarła na podróżnikach wielkie wrażenie swoim bogactwem eksponatów i licznym napływem publiczności nawet z najdalszych okolic Polski. Odniesiono także i uboczną stąd korzyść, gdyż zdołano swoimi celami zainteresować dużą liczbę rodaków. Pewnego dnia zjawił się w obozie druh motocyklista, syn sławnego geografa Eugeniusza Romera³⁵. Naturalnie powitano go z radością. Dzięki synowi zdołano zapoznać się z ojcem. Szanowny profesor nader życzliwie potraktował wyprawę naokoło świata i udzielił jej szeregu cennych wskazówek i rad na przyszłość. Nakreślił w ogólnych zarysach marszrutę, której w dalszym ciągu dość skrupulatnie się trzymano i dzięki temu uniknięto wielu przykrości i niepowodzeń.

– Starajcie się, chłopcy, na zimę wędrować tam, gdzie ciepło – mówił profesor. – Ot, teraz przez południową Europę dostaniecie się do Afryki. Nie będziecie cierpieli na nadmiar gorąca, a kiedy nastanie wiosna na naszej półkuli posuwajcie się coraz bardziej na północ i starajcie się jeszcze podczas lata przejechać w poprzek Amerykę Północną.

Wprawdzie z tego ostatniego punktu rady zdołano skorzystać dopiero na rok przyszły, ale bądź co bądź profesor wyświadczył wyprawie niemałą przysługę. Kierowano się w ogólnych zarysach radami uczonego, szczegóły marszruty otrzymywano z automobilowych klubów; tam zaś, gdzie sportowe organizacje nie istniały, korzystano ze wskazówek konsułów polskich albo w ostateczności z rad miejscowej ludności, które nie były najgorsze. W przeddzień wyjazdu ze Lwowa do obozu w parku Kilińskiego przyszedł student z zaproszeniami dla naszych skautów na wieczornicę, urządzoną przez koło akademickie. Było to bardzo na rękę chłopcom.

– Trzeba dobrze wyprostować nogi, bo znów czeka nas długie siedzenie w aucie! - zawyrokował joga Smosarski.

Udano się więc gremialnie na wieczorek.. Była niezła muzyka, kanapki, herbata – ale za to panien w bród! Skauci tańczyli, póki im sił starczyło. Grali tam wśród ciekawych i rozradowanych akademickich wdzięczną rolę nieustraszonych bohaterów. Druch Jeliński zwrócił uwagę na pewną słuchaczką filozofii, pannę Iżę W., która wyróżniała się spośród koleżanek nie tylko urodą, lecz także dowcipem i inteligencją. Prosił ją kilkakrotnie do one stepa. W tym tańcu, jak wiemy, można swobodnie porozmawiać, toteż między dwójkiem młodych odbył się taki mniej więcej dialog:

– Zazdroszczę panu tej podróży. Jakże pragnęłabym wziąć udział w podobnym przedsięwzięciu.

³⁵ Eugeniusz Mikołaj Romer (1871-1954) – polski geograf, kartograf, twórca nowoczesnej kartografii polskiej. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (od 1911) i Uniwersytetu Jagiellońskiego (od 1946).

- Zapomina pani o trudach i niebezpieczeństwach nieodłącznych od takiej wyprawy.
- Oh, niczego się nie lękam! Jeżeli pan wątpi, to złożę dowody!
- Jakże?
- Oto, po prostu pojedę z wami razem!
- Doprawdy? Dla młodej panny jest to cośkolwiek za śmiały projekt!

Rozmowa się na tym nie urwała. Studentka na wpół żartem, na wpół serio podtrzymywała swoją propozycję. Projekty energicznej panny Izy rozbiły się jednak od razu. Brak miejsca w samochodzie był decydującą przeszkodą, gdyby nawet nie liczyć się z innymi, poważnymi względami. Studentka śmiała się szczerze ze swych zawiedzionych nadziei. Kiedy się już wieczornica miała ku końcowi, rzekła:

- Nie mogą z panami jechać, to trudno. Wiedz pan jednak, że postanowiłam odbyć dużą podróż, w ostateczności, sama jedna. Spotkamy się niebawem gdzieś na tamtej półkuli.
- W Ameryce? – zagadnął druh Jeliński, który nie traktował poważnie tej zapowiedzi.
- Kto wie, może i w Ameryce! – odparła panna ze znaczącym uśmiechem. Życzę panu powodzenia w tej podróży. Moja sympatia będzie panu towarzyszyła w dalekich krajach!

Podawała mu na pożegnanie dłoń, którą mocno uściśnęła. Słowa panny Izy zbudziły w nim jakieś echo serdeczne. Spoglądał za nią, póki jej wdzięczna postać, otulona w krótki płaszczyk jedwabny, nie zniknęła w cieniu jesiennego wieczoru.

- Mieć taką dzielną towarzyszkę podróży, co by to była za radość! – myślał sobie nasz skaut.

Niebawem jednak w natłoku wrażeń wspomnienie o przelotnej znajomości z panną Izą zacierać się poczęło w umyśle podróżnika – aby kiedyś odżyć niespodzianie. Po tygodniowym pobycie we Lwowie, gdzie nie omieszkało złożyć hołdu młodzieży poległej w obronie tego miasta, nasi skauci w wolnym tempie posuwali się na zachód, zdążając ku rubieżom Rzeczypospolitej. Jeżeli inteligentne sfery społeczeństwa zwracały się z sympatią i zrozumieniem celów do wyprawy, to, niestety, ze strony ludu napotymano, jeżeli nie na obojętność, to nawet na nieprzychylność. W żadnej wiosce nie powitano uroczyście harcerzy, za to nie szczędzono im przycinków, nieraz bardzo komicznych. Z entuzjazmem nasza czwórka powitała mury starej stolicy Jagiellonów. W Krakowie wiedzano już o wyprawie i magistrat chętnie się zgodził na to, żeby skauci rozbili obóz na plantach w pobliżu Wawelu. Nie trzeba chyba dodawać, że odwiedzały ich tłumy publiczności, miejscowe organizacje harcerskie dały zaś przewodnika po mieście. Podróżnicy mieli bezpłatne wejście do muzeów miejskich, z czego skwapliwie skorzystali, ażeby zapoznać się z bogatymi zbiorami i pamiątkami historycznymi. Największe wrażenie zrobił na nich Wawel, którego odnowienie odbywa się od

kilkunastu lat, tak iż niebawem dawna wspaniała siedziba królewska wróci do pierwotnego splendoru. Pewnego dnia, kiedy nasza drużyna wracała z Katedry, gdzie zwiedzała groby królewskie, w tramwaju zrobiono interesującą, jak się okazało, znajomość. Z ławki wstał dwunastoletni chłopiec w mundurku gimnazjalnym i powitał podróżnych hasłem harcerskim: „Czuwaj”, ustępując starszym wilkom miejsca. Przedstawił się jako wnuk zasłużonego profesora uniwersytetu i uczonego dokytora O. Bujwida³⁶. Oświadczył uprzejmie, że jego dziadek, który już słyszał o wyprawie, chętnie widziałby jej członków u siebie. Nie śmiano skorzystać z tego zaproszenia; kiedy jednak młody harcerz zjawił się w obozie na plantach, udano się we czwórkę do mieszkania szanownego profesora, który z całą uprzejmością pokazał swoje laboratorium bakteriologiczne.

Zaopatrzył on podróżników w cenną dla nich surowicę przeciwko ukąszeniu jadowitych wężów. Profesor, który dodatkowo zajmuje się propagandą języka esperanto, oświadczył gotowość udzielenia lekcji tegoż członkom wyprawy, ażeby mogli się porozumiewać ze zwolennikami międzynarodowego języka w czasie swej długiej podróży. Wprawdzie widok hodowli niebezpiecznych bakterii dżumy, cholery, tyfusu, wścieklizny i innych podobnych specjalów podzielał bardzo źle na apetyty członków wyprawy, to jednak, kiedy znaleziono się przy obficie zastawionym stole szanownego profesora, odzyskano go natychmiast. Na zakończenie tego serdecznego przyjęcia profesor ofiarował każdemu z podróżników podręcznik esperanta i kazał im przychodzić codziennie na lekcje. Ponieważ, jak wiadomo z doświadczenia, po każdym wykładzie podawano doskonały obiad, więc nic dziwnego, że postępy w tym międzynarodowym języku były zdumiewająco szybkie, tak iż szanowny profesor nie potrzebował żałować poświęconego na to czasu. W podróży noszono zawsze przy sobie słowniczek i nieraz, dzięki tym lekcjom, wybawiano się z kłopotu, kiedy trzeba było porozumieć się z jakimś cudzoziemcem. Za to dzięki Opatrzności żaden wąż nie ukąsił druha Jelińskiego, przejechał on tylko w Colorado jakiegoś grzechotnika, jak również nikt z członków wyprawy nie zapadł na tężec, przeciwko któremu wyprawa, dzięki profesorowi, miała ze sobą skuteczną surowicę. Ale jak powiada przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Z żalem wyprawa opuszczała gościnny Kraków. Zamierzono, przed opuszczeniem i pożegnaniem się z Polską, zwiedzić jeszcze tak szczęśliwie odzyskany Śląsk i jego olbrzymie zakłady przemysłowe, głównie zaś Chorzów, w którym, dzięki wiedzy obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Mościckiego, po opuszczeniu stanowisk przez niemieckich chemików,

³⁶ Odo Feliks Kazimierz Bujwid (1857-1942) – pierwszy polski bakteriolog, pionier higieny i profilaktyki lecznictwa. Jako jeden z pierwszych polskich naukowców zajmował się wytwarzaniem szczepionek leczniczych, m.in. przeciwko wściekliznie.

idzie nadal sprawnie użyteczna praca nad wiązaniem azotu z powietrza przy pomocy płomienia elektrycznego. Złożywszy wizytę naszym sławnym salinom³⁷ w Wieliczce, podróżni ruszyli na Katowice. Komendantka tamtejszej chorągwi żeńskiej i męskiej, panna Wanda Jordanówna, energiczna i ceniona działaczka śląska, serdecznie zaopiekowała się naszymi druhami. Nakreśliła szczegółowy plan, według którego zwiedzono Śląsk. Postarała się o auta dla członków wyprawy, ażeby ich ford mógł odpoczywać beczynn timer i sama jeździła z nimi do wszystkich godniejszych uwagi okolicach. Znając dokładnie kraj i jego bogactwa, dawała cenne objaśnienia młodym druhom. Zwiedzono najważniejsze kopalnie węgla, huty, sejm śląski, słowem przez kilka dni zapoznano się dość gruntownie z dziedziną piastowską, tak szczęśliwie przywróconą na łono dawnej swej macierzy. W końcu wyprawa znalazła się w Piekarach, gdzie w swoim czasie obecny prymas Polski, kardynał August Hlond, znajdował się na zaszczytnym stanowisku pierwszego biskupa śląskiego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności natrafiono akurat na pobyt kardynała w kościele piekarskim. Arcypasterz zęgnął się wówczas ze swoimi dawnymi owieczkami i odprawił uroczyste nabożeństwo, na które zjechali się ludzie z dalekich okolic. Kiedy komendantka zameldowała wyprawę, arcypasterz łaskawie ją przyjął, pytał o cel podróży i własnoręcznie wypisał w księdze pamiątkowej następujące ciepłe słowa: „Nieś, drogi harcerzu, honor imienia polskiego na krańce świata. Piekary, August Hlond – Prymas Polski”. Równie serdecznie wypisała się do albumu komendantka panna Wanda Jordanówna, której niniejszym wyprawa składa gorące podziękowanie za doznaną opiekę.

Z Katowic skierowano się na Cieszyn, przez którego środek przechodzi obecnie granica Polski i Czechosłowacji. W miasteczku tym, pełniącym obowiązki granicznej straży Rzeczypospolitej, doznano równie serdecznego przyjęcia. Na samym wyjeździe jeden z instruktorów harcerskich ofiarował wyprawie na pamiątkę pudełeczko metalowe z garścią ziemi polskiej. Pudełeczko to stało się później cenną relikwią w ręku druha Jelińskiego w Ameryce. Imigranci, którzy przed trzydziestoma laty opuścili Ojczyznę w pogoni za kawałkiem chleba, ze łzami w oczach dotykali tej świętości i prosili jak o największą łaskę, ażeby pozwolono im choć dotknąć tej okruszyny ziemi, przesiąkniętej krwią i potem rodaków. Pudełeczko towarzyszyło wyprawie przez cały ciąg podróży, budząc niewygasłe uczucia patriotyczne w sercach synów Polski, skazanych losami na przebywanie wśród obcych, gdzieś na krańcach świata. W końcu powróciło do owego praźródła, oblana łzami i nasiąknięte tęsknotą wygnanców.

³⁷ Salina – zakład przemysłowy produkujący sól kamienną.

Zbliżała się chwila przełomowa, przekroczenia granicy Polski. Auto stanęło na moście granicznym u słupa z barwami polskimi. Zgromadziła się tutaj liczna grupa Polaków cieszyńskich, którzy odprowadzali wyprawę do granicy, obsypując ją ciepłymi słowami życzeń i podarkami na drogę. Po drugiej stronie mostu, na samym wstępie na obcą ziemię, druhowie spotkali zastęp skautów cieszyńskich. Dyrektor tamtejszej szkoły polskiej na czele swych uczniów powitał podróżników patriotyczną przemową i zaprosił ich, ażeby przenocowali w gmachu gimnazjum. Wyprawa jednak ruszyła niezwłocznie dalej, gdyż stanowisko władz czeskich względem niej wydało się zagadkowym. Polska przechodziła niedawno poważne przesilenie polityczne i to wywoływało pewną nieufność w naszych sąsiadach. Fordzik, nie zatrzymując się, szparko sunął gładkimi szosami w kierunku Pragi Czeskiej.

ROZDZIAŁ V. PRZEZ CZECHOSŁOWACJĘ.

Wnet po opuszczeniu granic Rzeczypospolitej wyprawa dotykałnie, że się tak wyrażę, odczuwała brak rodzinnego gruntu pod nogami. „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej” – słusznie powiada przysłowie. Przyzwyczajeni do gościnnego i serdecznego przyjęcia, jakiego nie szczędzono jej w Polsce, wyprawa znalazła się od razu w obcej atmosferze, która owionęła ją lodowatym podmuchem. Jednakże przez jakiś czas jeszcze stykano się z rodakami, rozrzuconymi – niby wyspy po obcym morzu – na obszarach Moraw. W Orłowej znajduje się dość liczna kolonia polska, która zgotowała rodakom serdeczne przyjęcie. Koło Macierzy Szkolnej zaofiarowało podróżnym prawdziwie polską gościnność, która wielce się różni od gościnności czeskiej. Przenocowano ich w gimnazjum. Auto stało na dziedzińcu szkolnym. Po drugiej stronie ulicy pracowali murarze czescy koło budowy domu. Nie omieszkali oni powitać „braci Polaków” cegłą celnie rzuconą w auto, na którym powiewała flaga polska. Jako pamiątkę po tym powitaniu fordzik nosił szramę na swej karoserii. Zachowanie się władz względem wyprawy było bardzo podejrzliwe. Nie robiono wprawdzie żadnych szykan ani trudności, ale badano starannie dokumenty podróżne. Przy okazji przekonano się, że tak reklamowane i uchodzące w opinii świata za doskonałe szosy czeskie są, niestety, nie wiele co lepsze od polskich. Trzeba jednak przyznać Czechom, że umieją się dobrze i skutecznie reklamować, tak iż świat jest przekonany, że wszystko co czeskie zasługuje na podziw. Naród ten, w dobrze pojętym interesie własnym, nie żałuje grosza na ten cel. Brak propagandy polskiej zaś wszędzie daje się dotkliwie odczuwać.

Placówki polskie stawały się coraz rzadsze. Ostatnią, albo jedną z najbardziej ku zachodowi wysuniętą, jest nasza kolonia w Ostrawie Morawskiej. Tutaj po raz ostatni wyprawa odetchnęła ciepłą atmosferą ojczystą. Najprzód spytano podróżników czy nie są głodni, później dopiero, ugościwszy ich, zadawano im pytania, co słychać w kraju. Ale potem już się z tym wszystkim wypadło pożegnać na długo. Tylko w polskich placówkach konsularnych, które wyprawa nie omieszkala odwiedzać przy każdej sposobności, kosztowano jeszcze tej ojcowskiej i serdecznej opieki, nie tylko moralnej, ale i materialnej, w postaci wygodnego noclegu i dostatniego posiłku. Z żalem opuszczano Morawską Ostrawę, gdzie Koło Macierzy Szkolnej robiło wszystko, co tylko leżało w jego mocy, żeby natchnąć dobrą otuchą podróżników, niosących imię i honor harcerstwa polskiego w świat szeroki. Od tej miejscowości fordzik przemierzał już obce ziemie, w szybkim tempie zbliżając się do stolicy Czechosłowacji,

dumnie zwanej przez Czechów „Złata Praha”. Rodacy w Ostrawie poufnie ostrzegali przed drażliwością patriotyczną Czechów, którzy boleśnie odczuwają każde słowo cudzoziemca krytyczne w stosunku do ich Ojczyzny. Niestety jakże inaczej dzieje się u nas. Lada cudzoziemiec pozwala sobie nieraz krytykować wszystko co polskie, a nawet szydzić, a znajdują się Polacy, którzy zamiast oburzyć się na to jeszcze przytakują obcemu i przed nim wylewają swoje żale na nasze bolączki. A przecież nie ma kraju na świecie, w którym wszystko byłoby bez zarzutu. Powinniśmy się uczyć od Czechów tego poszanowania dla wszystkiego co swoje i ocenić ich drażliwość patriotyczną, której nam brakuje.

Nareszcie po kilku dniach podróży ujrano z dala wieże i pagórki Pragi. Po wspaniałym moście³⁸, ozdobionym licznymi posągami, wjechano do stolicy. Pierwszą czynnością było udanie się na pocztę, gdzie czekał cały plik listów z Polski. Lecz w miarę tego, jak się oddalano od Ojczyzny, korespondencja malała w zastraszający sposób, aż wreszcie rozpoczęły się smutne okresy, kiedy w ciągu całych miesięcy nie otrzymywano ani jednego listu z dalekiej Ojczyzny. Automobilklub czeski, do którego zgłoszono się, ażeby wyznaczył najdogodniejszą marszrutę po Czechosłowacji, potwierdził ilość przebytych kilometrów. Przyjął naszych sportowców wprawdzie uprzejmie, ale wahał się widocznie czy przyznać im międzynarodową odznakę klubową. Dopiero, kiedy wyprawę przyjął na specjalnej audiencji prezydent Masaryk i kiedy w miejscowej prasie zjawily się liczne artykuły i fotografie, dotyczące naszych podróżników i ich celów, pospieszono z wręczeniem emblematu klubowego, który druha Jeliński przyczepił zaraz na chłodnicy samochodu. W miarę tego, jak się posuwano dalej, ilość tych emblematów wzrastała, pokrywając coraz bardziej chłodnicę i maskę auta, co podnosiło niezmiernie autorytet wyprawy w nowo zwiedzanych krajach, i jednało jej wszelkie ułatwienia w podróży. Początek tego zrobili, należy podkreślić, Czesi, za co wyprawa była im niezmiernie wdzięczną.

Po przyjeździe zameldowano się w zarządzie skautingu czeskiego, który wyznaczył samochodowi miejsce postoju w swoich barakach u mostu, gdzie się mieściły lokale drużyn. Rozmaici komendanci zapraszali z całą uprzejmością naszych podróżników na powitalne przyjęcia. Powtarzało się to w ciągu kilku dni z rzędu. Skauci czescy bywali jak się okazało w Polsce i nie mogli się nachwalić gościnności doznanej w naszym kraju. Spodziewano się przeto sutego rewanzu. Nareszcie przyszła ta od dawna oczekiwana chwila, kiedy nasi chłopcy przekroczyli progi świetlicy skautowskiej czeskiej. Druhowie zapełnili stronicę książki pamiątkowej specjalnie przeznaczonej dla skautów braterskimi powitaniem i

³⁸ Mowa o 516-metrowym Moście Karola na Wełtawie, w okresie baroku ozdobionym trzydziestoma posągami świętych.

zyczeniami, przy czym prosili, ażeby dobrze zapamiętać ich nazwiska, gdyż wybierają się do Polski na zjazd skautowski. Śpiewano, wygłaszano przemówienia, słowem wytworzyła się dość przyjemna atmosfera. Niestety nie tylko duch, lecz i ciało, potrzebuje pokrzepienia. Nasi chłopcy, naśpiewawszy się do woli, mieli wilcze apetyty i oczekiwali z upragnieniem „uczty”, na którą byli uprzejmie zaproszeni. Jednakże okazało się, że cnota gościnności, która jeszcze kwitnie w Polsce, wygasa, niestety, na zachodzie Europy. Owe zapowiadane kilkakrotnie „przyjęcie” ograniczyło się do szklaneczki pochodowej herbaty, mizernej lurki, do której wspaniałomyślnie dołączono po pierniczku. Dodać należy dla wiadomości naszych rodaków, którzy wybierając się za granicę liczą zbyt wiele na gościnność, że te pierniczki były przyniesione przez najmłodszych skautów, którzy też najbardziej się entuzjazmowali podróżą naokoło świata.

Nasi chłopcy, którzy mieli bardziej zacofane pojęcia o gościnym przyjęciu, no i w dodatku niezaspokojone apetyty, zaproponowali czeskim druhom, żeby ci odwiedzili wzajemnie ich w obozowisku. Usłuchano chętnie tego wezwania i hurmem udano się na biwak. Przy melodiach polskich piosenek, odtwarzanych przez parlofon wyprawy, w mgnieniu oka znikły doszczętnie zapasy żywności zabrane na drogę. Polscy skauci pokazali jak pojmują gościnność. Zaśpiewano im kilka czeskich piosenek i na tym skończyło się to zapowiadane przyjęcie polskiej wyprawy przez drużyny czeskie. „Zastaw się a postaw się” – powiada nasze przysłowie. Po tym „zastawieniu się” nasi chłopcy przez cały tydzień musieli mocno ścisnąć paski. Nauczka ta jednak przydała się im na przyszłość. O ile nadal trzeba było „wystąpić”, to ujawniano przezornie tylko małą część posiadanych zapasów. O, gościnności polska, która kwitniesz na ojczystych łąkach, jak kwiatek wśród zimowej zawiei!

Najbardziej może ze wszystkich członków wyprawy odczuł to swoiste pojmowanie obowiązków gospodarzy druh Ł. Człowiek ten z chwilą opuszczenia granic Polski, zapewne pod wrażeniem dowodów uznania nieszczędzonych wyprawie, z każdym dniem rósł we własnych oczach. I, niestety, wzrost jego ambicji stał się wprost chorobliwym. Cierpiał na to, co w medycynie nazywa się „akromegalią”³⁹. Z początku na jego piersi zjawiał się krzyż harcerski, po tym obok niego zakwitła nieśmiało wstążeczka orderu walecznych. I w miarę tego jak oddalano się od Polski pierś tego człowieka pokrywała się coraz to liczniejszymi odznakami. Były tam ordery: za front bolszewicki; powstańca wielkopolskiego i górnośląskiego; na granicy Jugosławii, ku wielkiemu zdziwieniu tamtejszych wojskowych, druh Ł. był już udekorowany orderami francuskimi, węgierskimi i austriackimi. Jeden rząd

³⁹ Akromegalia – choroba spowodowana nadmiernym wydzielaniem hormonu wzrostu; powoduje m.in. rozrost tkanek miękkich i przerost kości. Autor ma na myśli raczej megalomanię.

odznak okazał się dla niego niewystarczającym, pod nim zaświeceł drugi. Szanowny kolega naśladował znać założyciela skautingu, generała Baden-Powella, którego fotografię, noszoną przy sobie, starał się w tych szczegółach jak najdokładniej skopiować. Daremnie koledzy zwracali mu uwagę na niestosowność takiego postępowania, nie licującego z pojęciami honoru harcerskiego. Druh Ł. w końcu sam zaczął wierzyć, że te liczne odznaczenia należą mu się bezspornie, a jeżeli ich jeszcze nie otrzymał, to jednak we własnym przekonaniu w zupełności na nie zasługiwał. Każdemu z ciekawych w odmienny sposób wyjaśniał zasługi, za jakie je otrzymywał; ale to nie przeszkadzało mu dumnie zadzierać głowy. Szykował się on na dyplomate, musiał więc zawczasu przyzwyczaić swoją pierś do dźwigania tak cennego ciężaru. Lecz przysłowie powiada, że „dopóty nosi dzban wodę, póki się ucho nie urwie”. Wobec marnych cywilów można było jako tako błagować. Ale gorzej, kiedy jaki zbyt ciekawy oficer albo dyplomata zainteresował się bliżej pochodzeniem odznak u młodego skauta, które również sam nosił. Druh Ł. nie lubił takich zapytań, starannie przeto unikał wszelkiej urzędowej styczności z panami oficerami, a zwłaszcza z *attachés*⁴⁰ wojskowymi przy obcych armiach. Koniec tej parady w cudzych piórkach musiał prędzej czy później nastąpić. Druh Ł., nieczuły na wyrzuty i protesty swoich towarzyszy podróży, wpadł koniec końców szkaradnie. Jeżeli towarzysze nie protestowali czynnie przeciwko temu nadużyciu, to głównie dlatego, że druha Ł. cieszył się najpokaźniejszym wśród nich wzrostem i na wiek swój imponującą siłę fizyczną. Zachowanie się druha Ł. było tego rodzaju, że wyprawa po spisaniu w poselstwie polskim protokołu musiała się z nim rozstać raz na zawsze.

Druh zaś Brettschneider, filmowy operator wyprawy, któremu zresztą nic nie można było jako człowiekowi zarzucić, udręczał towarzyszy w podróży na swój sposób. Przede wszystkim przepowiadał każdemu z nich, że dzięki niemu zostanie prędzej czy później jedną z najjaśniejszych gwiazd ekranu. Poza tym znajdował piękno tam, gdzie jego towarzysze nie widzieli nic godniejszego uwagi. Zatrzymywał auto co kilkanaście kilometrów. Kazał Jelińskiemu, który je prowadził, zawracać, zbaczać z drogi, słowem nieraz doprowadzał do czarnej rozpacz koleków. Razu pewnego, a było to podczas zimy, kazał im na mrozie poubierać się w lekkie kostiumy sportowe i filmował szczękających zębami, pocieszając ich, że zaimponują rodakom swymi wyczynami w sporcie zimowym. Wprawdzie kosztowało to jego towarzyszy niezliczoną ilość katarów i przeziębień, lecz ambicji pana Brettschneidera musiało stać się zadość. Cierpiał on na ostry „filmiritis”, a kolega zaś Jeliński, według jego zdania, chorował na równie ciężkie objawy „automobilitisu”, czego dawał dowody, nie

⁴⁰ Attaché – dyplomata oddelegowany na placówkę dyplomatyczną, działający w danej dziedzinie (np. attaché kulturalny, attaché wojskowy).

pozwalając nikomu tknąć swego „fordzielca”, a nawet krytykować jego sprawności.

Co do czwartego uczestnika wyprawy, druha Eugeniusza Smosarskiego, brata znanej gwiazdy filmowej⁴¹, uprawiał on z głębokiego przekonania i niezmiennie sumiennie „hatha jogę”⁴², czyli naukę filozofów indyjskich o utrzymaniu zdrowia fizycznego. W myśl tej nauki, którą był do głębi przejęty, rozpoczynał dzień od gruntownego mycia całej swej powłoki doczesnej w pierwszym lepszym strumieniu, a w braku tego w rowie przydrożnym. To gruntowne oczyszczanie ciała nie przeszkadzało mu w godzinę po tym wykąpać się w jakimś ładniejszym strumyku. Nieraz było wyprawie bardzo pilno dojechać do jakiegoś z góry wytkniętego celu, ale druh Smosarski, nie licząc się z czasem, dokonywał najskrupulatniej swych obrzędowych jogowych ablucji. Równie wielką systematyczność w spełnianiu przepisów hatha jogi zachowywał przy jedzeniu i piciu. Nigdy się nie spieszył, bo jogowie nakazują nie tylko wstrzemięźliwość, ale także powolne żucie. Nieraz wszyscy jego towarzysze już dawno zjedli swoje porcje, on zaś siedział z całą powagą nad swoją, czym robił wrażenie, że otrzymał znacznie więcej, budząc zazdrość towarzyszy, zresztą nieusprawiedliwioną. Czego w ciągu długiego posiedzenia nie zdążył skonsumować zgodnie z przepisami hatha jogi, to starannie chował po kieszeniach. Kiedy spał, każdy z jego kolegów w napadzie zbyt ostrego apetytu mógł liczyć na to, że znajdzie w jego kieszeni kilka skórek od chleba lub jakiś owoc suszony. Druh Smosarski, jako wyznawcy jogi, mięsa nie tykał wcale, ku wielkiemu zadowoleniu kolegów, którzy jego porcje brali na siebie. I rzecz znamienne! Podczas kiedy towarzysze druha Smosarskiego chudli wyraźnie w miarę tego jak czas upływał, to on sam wyglądał znakomicie i nabierał tuszy. Było to w jego przekonaniu najlepszym dowodem skuteczności przyjętego reżimu. Czystość fizyczna była najwybitniejszą cechą „jogi”, jak go nazwano. Na każdym dłuższym postoju zabierał się on do prania swojej bielizny. Niestety nie zawsze mógł się doczekać aż wyschnie gdzieś na krzaku albo na trawce, musiał więc mokrą zabierać do auta, które skutkiem tej metody, obok flag narodowych, było nieraz przyozdobione wywieszoną przez okno koszulą lub jaką inną, niezbyt dyskretną częścią garderoby. Druh Smosarski jadł powoli, a myślał nie prędeży. To, do czego jego towarzysze dochodzili w ciągu kilku minut, on przetrawiał w swoim mózgu przez kilka godzin, ale trzeba było przyznać, że zawsze umiał wszystko trafnie przewidzieć i gruntownie przemyśleć, dzięki czemu wyprawa unikała błędów i niespodzianek. Był on dla ekspedycji niezbędny, posiadał już pewne doświadczenie z dawniej odbytych podróży, znał

⁴¹ Jadwiga Smosarska (1898-1971) – polska aktorka. W latach 1919-1937 Wystąpiła w 24 filmach, zagrała też około 100 ról teatralnych. Od 1939 r. przebywała w USA.

⁴² Hatha-joga – jedna z najbardziej znanych na Zachodzie tradycji indyjskiej jogi, bazująca głównie na specjalnych pozycjach ciała (asana), sześciu procesach oczyszczających (krija) oraz na kontroli oddechu (pranajama).

kilka języków i służył za tłumacza w licznych wypadkach.

Zaraz po przybyciu do Pragi Czeskiej udano się do poselstwa polskiego z prośbą o wyjednanie audiencji u prezydenta, profesora Masaryka. Pan Brettschneider, przejęty do głębi ważnością funkcji, którą miał przy tym pełnić, urządził generalną próbę. Ustawiał kolegów niezliczoną ilość razy, kazał im przybierać różne pozy i dawał moc wskazówek jak się mają zachować podczas kiedy on puści w ruch swój aparat. Słowem dał się kolegom porządnie we znaki, co mu zresztą chętnie wybaczone dla ogólnego dobra. Przedstawiciel rządu polskiego, pan Karszo-Siedlewski, w wyznaczonym dniu siadł w swoje luksusowe auto, za nim pomknął na zamek hradczański skromny fordzik wyprawy z flagą polską i czeską. Uprzedzeni adiutanci wyszli na spotkanie gości. Zastano tam delegata skautingu czeskiego, w którego towarzystwie z panem Karszo-Siedlewskim na czele udano się na salony rezydencji prezydenta Masaryka. Raczył on położyć swój podpis w księdze pamiątkowej, obejrzawszy dokładnie autografy polskich dostojników. Po tym zaczął się popis kolegi Brettschneidera, który z zapalem filmował audiencję. Ten pierwszy jego występ na obcym gruncie powiódł się doskonale. Żegnając wyprawę, prezydent zwrócił się do delegata skautów czeskich ze słowami, w którym brzmiał pewien odcień wyrzutu: „A kiedy wy coś podobnego zrobicie?”. Wynik praktyczny tej audiencji okazał się bardzo cenny dla wyprawy, odtąd bowiem sam portret prezydenta Masaryka w otoczeniu członków wyprawy i jego podpis w księdze były jakby paszportem dyplomatycznym podczas podróży po Czechosłowacji i przy wjeździe do Austrii.

Burmistrz miasta Pragi, któremu wyprawa nasza się przedstawiła na ratuszu, przyjął ją uprzejmie, pokazał osobiście rynek, objaśniając jego najgodniejsze uwagi osobliwości, między innymi słynny zegar pod wieżą ratuszową. Zachęcał on gorąco naszych chłopców do zwiedzenia miasta, mówiąc, że sam kawał świata zjechał, a tak pięknego grodu nigdzie nie widział. Był to nowy dla nich dowód, jak dalece Czesi przywiązują wagę do tego, żeby świat interesował się wszystkim, co u nich zasługuje na wyróżnienie. Słowem propaganda polityczna na każdym kroku! Idąc za jego radą, Brettschneider, sekundowany przez reporterów, porobił kilkanaście zdjęć, na których nasi chłopcy figurowali obok różnych pamiątek, jak np. pomnik Husa czy muzeum, które, mówiąc nawiasem, posiada bardzo ciekawe zbiory mineralogiczne itd. Zdjęcia te ukazały się nazajutrz w dziennikach wraz z artykułami o podróżnikach skautach. Wyprawa osiągnęła zatem swój główny cel, którym była propaganda polityczna na rzecz Polski. Prezydent miasta dał członkom wyprawy albumy miasta z własnym podpisem oraz lożę w Teatrze Narodowym, który stanowi chlubą Czechów, jest on bowiem postawiony za fundusze zebrane z groszowych składek całego narodu

czeskiego jeszcze za czasów budzenia się ruchu narodowego z uśpienia. Trafiono na znaną dobrze z Warszawy „Sprzedaną Narzeczoną” Smetany. Stolica czeska jest istotnie miastem bardzo ładnie położonym i pełnym ciekawych zabytków architektonicznych. Wyprawa bawiła tam kilkanaście dni, po czym, opuściwszy stolicę, obozowała jeszcze w kilku miejscowościach, badając życie skautów i sokołów tamtejszych. W każdym niemal miasteczku istnieje piękny gmach gniazda sokołów, którego front zwrócony jest ku najbliższej granicy państwa. Na samym szczycie stoi wykonana w kamieniu postać dorodnego, zdrowego chłopca sokoła z oszczepem lub dyskiem w rękę. Na zapytanie, dlaczego budynek i stojący sokół są zwrócenie właśnie w tę, a nie w inną stronę, pewien Czech wyjaśnił członkom wyprawy: „Tu w tym kierunku leży granica austriacka. Ćwicząc młodzież, zawsze przypominamy jej, że silne i sprawne mięśnie mogą skutecznie odeprzeć wroga ojczyzny”. Wyprawa jednak widziała takie same postacie, skierowane frontem do granicy polskiej i niemieckiej.

Trzeba przyznać, że sokolstwo czeskie pod względem liczebności członków w stosunku do ludności kraju i organizacji oraz stopnia wyćwiczenia stoi na najwyższym bodaj poziomie w całym świecie. Gmachy gniazd sokolskich są solidne, duże, pięknie zbudowane i wyposażone sownie w sprzęt gimnastyczny. Posiadają także doskonałych instruktorów. Między miastami odbywa się na tym tle konkurencja. Zloty sokolskie są bardzo silnie obsyłane i stały się do pewnego stopnia świętami narodowymi. Skauting nie cieszy się w Czechach taką popularnością jak sokolstwo. Te dwie organizacje sportowe nie uzupełniają się wzajemnie, jakby tu nakazywała logika, ale idą rozbieżnie. Między skautami, zarówno jak i w gniazdach sokolskich, napotkać można bardzo młodych chłopców. Ogólnie mówiąc, skauting tutaj jak i wszędzie nosi charakter międzynarodowy, gdzie przewodnimi ideami są powszechne braterstwo; sokolstwo zaś daje przytułek narodowo uświadomionym i patriotycznie czującym się jednostkom, nosi zatem charakter polityczny.

ROZDZIAŁ VI.

PRZEZ AUSTRIĘ NA WĘGRY. NIEBEZPIECZNA PRZEPRAWA.

Niebawem fordzik stanął na granicy nowego państwa austriackiego, mocno obciążonego skutkiem udziału w wojnie światowej. Chłopcy, słuchając mowy niemieckiej, przypomnieli sobie smutne czasy okupacji i czuli się bardzo nieswojo w nowym otoczeniu, zwłaszcza, że urzędnicy celni i żandarmi na widok barw polskich, obok których zresztą zawieszono i flagę austriacką, zachowywali się z wielce chłodną rezerwą. Zaczęto skrupulatnie badać zawartość auta, nawet sięgano do kieszeni samochodowych, przetrząsając osobiste bagaże członków wyprawy. Widząc tak nieprzychylnie zachowanie się Austriaków, dyplomatyczny zawsze Smosarski wyciągnął papiery osobiste, nie omieszkawszy wetknąć między nie świeżo zrobioną fotografię na tle zamku w Pradze z prezydentem Masarykiem. Fotografia ta, a może jeszcze bardziej podpis samego Masaryka w księdze pamiątkowej, od razu zmieniły nastrój władz austriackich z wrogiego na wielce przyjazny. Zaniechano przetrząsania bagaży i przeglądania dokumentów osobistych. Przepuszczono auto bez trudności, za co chłopcy byli bardzo wdzięczni swojemu jodze. Jak Austria dzisiejsza jest mała dowodzi fakt, że dobrze się rozpędziwszy, drużyna Jelińskiego w ciągu kilku godzin wpadł jak bomba do Wiednia, kierując się prosto przed gmach poselstwa polskiego.

Chłopcy czuli się znowu jak na własnym gruncie, ujrawszy na gmachu orła białego. Ale kiedy przekroczyli progi konsulatu, który mieści się w tym samym gmachu, oblano ich zaraz na wstępie kubłem zimnej wody. Urzędniczy konsulat, pomimo iż były zawczasu przez poselstwo czeskie i przez prasę polską w Wiedniu poinformowane o przyjeździe wyprawy, odzywały się do podróżników wyłącznie w języku niemieckim. Było między nimi dużo typów wschodnich. Zrobiło to na naszych chłopcach bardzo ujemne wrażenie. Dopiero wieczorem pojawili się urzędnicy konsulatu, bardzo sympatyczni ludzie, oznajmiając, że pan poseł Bader⁴³ zaprasza ich na następny dzień do poselstwa. Pierwszą noc spędzono w domu „Imki”⁴⁴ wiedeńskiej, auto zaś ulokowano w garażu poselstwa. Tego samego jeszcze dnia zjawił się redaktor „Dzisiejszej Polski”, pan Michał Orlicz, który w imieniu prasy polskiej w Wiedniu powitał wyprawę. Miły ten człowiek doskonale włada językiem niemieckim, pisuje

⁴³ Karol Bader (1887-1957) – polski dyplomata, ambasador Polski w Czechosłowacji (1923-1924), Austrii (1924-?), Iranie i Afganistanie (1942-1945).

⁴⁴ YMCA (ang. Young Men's Christian Association – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) – organizacja międzynarodowa (działa w 130 krajach), propagująca oparty na wartościach chrześcijańskich harmonijny rozwój człowieka (ciała, umysłu i ducha).

artykuły w sprawach polskich do pism miejscowych i cieszy się nie tylko wielką popularnością w kołach polskich, ale jest wysoko ceniony przez nasze poselstwo. Pan Bader nazywa go jednym z głównych trzech filarów polskości w Wiedniu. On to wprowadził wyprawę do redakcji dzienników poczytnych w stolicy i zapoznał ją z drugim filarem polskości, najślawniejszym podówczas artystą filmowym, Polakiem Igo Symem⁴⁵, którego gra podbiła sobie serca wszystkich wiedeńczyków. Dzięki panu Orliczowi dzienniki niemieckie zaczęły dużo pisać o wyprawie i zainteresowały nią ogół. I tutaj więc propaganda na rzecz Polski poszła szybkim krokiem naprzód. Pan poseł Bader przyjął w poselstwie członków wyprawy, wraz z licznie zaproszonymi gośćmi, podwieczorkiem, co im dało sposobność zapoznania się z liczną jeszcze w Wiedniu kolonią polską. Powaga i zasoby najliczniejszego stowarzyszenia, noszącego nazwę „Strzecha”, nie odpowiada, niestety, stanowisku mocarstwowemu Polski. „Strzecha” nie ma własnego domu i tuła się po obcych lokalach. Nie masz tutaj tej solidarności narodowej, jaka cechuje Polaków amerykańskich. Redaktor Orlicz zapoznał członków ze wspomnianym artystą filmowym, Igo Symem, który także brał udział w podwieczorku u posła Badera. Jest to człowiek nadzwyczajny. Dość, żeby się okazał w jakim towarzystwie, a od razu podbił sobie sympatią wszystkich obecnych swoim przemyślnym zachowaniem się, ujmującą powierzchownością oraz inteligencją. Jest on w całym znaczenia gwiazdą ekranową pierwszej wielkości; dyrektorowie studiów kinowych wyrrywają go sobie i płacą bajeczne honoraria za jego występy. W owym czasie siedł we wszystkich kinach wiedeńskich obraz „Prater Mici”, w którym Igo Sym grał główną rolę. Zainteresowawszy się wyprawą, wziął ją na parę dni pod swoją opieką i zaprowadził do „Ogrodu Rozrywek” na Praterze, gdzie pospołu z naszymi chłopcami oddał się zabawie. Wszędzie poznawano go i wiedeńczycy, którzy się w nim wprost kochali, na każdym kroku robili mu szumne owacje. W końcu udał się z nimi do wytwórni filmowej, gdzie na jego prośbę zademonstrowano wspomniany obraz. Był on w nim rzeczywiście niezrównany. Jego obecność w Wiedniu niemało się przyczynia do propagandy polskości, tak iż pan poseł Bader słusznie nazywa go drugim swym filarem. Trzecim filarem był nasz tenor Kiepusza⁴⁶, który jednak niechętnie obcuje z rodakami i bardzo wysoko ocenia swój udział w koncertach na rzecz kolonii polskiej.

⁴⁵ Igo Sym, właśc. Julian Sym (1898-1941) – polski aktor (w latach 1925-1939 zagrał w 14 filmach polskich i niemieckich), kolaborant. Za współpracę z III Rzeszą Wojskowy Sąd Specjalny ZWZ wydał na niego wyrok śmierci. Zamach przeprowadzono 7 marca 1941 roku. W odwecie za śmierć Igo Symy Niemcy wzięli 118 zakładników, spośród których 21 osób rozstrzelano w Palmirach.

⁴⁶ Jan Wiktor Kiepusza (1902-1966) – polski śpiewak i aktor, cieszący się w okresie międzywojennym wielką międzynarodową sławą. Występował na scenach czołowych teatrów świata i w najślawniejszych salach koncertowych, m.in. w mediolańskiej La Scali, nowojorskiej Metropolitan Opera, na Broadwayu.

Wiedeń powojenny jest podobny do wielkiej głowy, osadzonej na małym kadłubie. Trudno zrozumieć, jak paromilionowe miasto może się utrzymać na tak okrojonym kraju, jakim jest obecnie Austria. Jednakże pracownicy wiedeńczycy dają sobie jakoś radę dzięki kilku swoim specjalistom, w których trudno z nimi konkurować: głównie przemysłowi metalowemu, skórzanemu i licznym bankom. Lecz znać też wszędzie biedę. Istnieje nawet, choć nie w tym stopniu, co np. w Warszawie, nędza mieszkaniowa. Ceny na artykuły żywnościowe są bardzo wysokie. Zwiedzono Wiedeń, który robi na obcych przyjemne wrażenie pięknem, szerokością swoich ulic, wesołym i bardzo uprzejmym zachowaniem się mieszkańców. Jakże kiepsko wyglądają przy wiedeńczykach nasi warszawiacy pod tymi względami. W Wiedniu konduktor pytającego się o jakąś ulicą cudzoziemca poinformuje z całą usłużnością, zatrzyma specjalnie dlań tramwaj, żeby mu pokazać kierunek. Należałoby naszych konduktorów tramwajowych posłać na naukę grzeczności do Wiednia, na czym nasza publiczność wiele by skorzystała.

Opuszczono stolicę Austrii w towarzystwie panów Orlicza i Igo Syma, którzy na swym pięknym aucie odprowadzili skautów poza miasto. W wiedeńskim automobilklubie otrzymano wskazówki co do marszruty na Budapeszt. Wnet się okazało, że informacje te były niedostateczne albo nawet zgoła fałszywe. Dotarłszy do granicy węgierskiej, chłopcy dowiedzieli się, że na drodze, którą im wskazano, władze celne nie przepuszczają samochodów do Węgier. Austriacy z widoczną złą wolą wskazali wyprawie jakąś poprzeczną, polną drogę, zapewniając, że można nią dojechać do szosy, prowadzącej na znacznie szerszą komorę graniczną. Biegła ona samą niemal granicą austriacko-węgierską. Ufając tym wskazówkom, zawrócono auto, naoliwiono je dokładnie i puszczono się śmiało we wskazanym kierunku. Za ledwie jednak ujechano kilka kilometrów, gdy ujrzano rozciągające się w pomroce nocnej obszerne mokradło. Sprawdzono troskliwie mapę automobilklubu. Droga bezsprzecznie istniała. Napotkany na małym wózku, zaprzężonym w tłuste i silne konie, kmiotek zapewnił, że można tędy od biedy przejechać. Niebawem okazało się, że wymagania fordów są o wiele wyższe niż wiejskiej furki. Zapuszczono się jednak w zagadkowe mokradła. Było to, jak się niebawem okazało, bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Póki dawano cały gaz, fordzielec, chwielejąc się i stękając, posuwał się z wielkim trudem naprzód po nierównym i błotnistym terenie. Niebawem atoli⁴⁷ napotkano rów napełniony grząskim błotem. Rozpędzony samochód przeskoczył go przednimi kołami, lecz tylne ugrzęzły głęboko. Chłopcy po nocy, podczas przy-
mrozku, musieli opuścić wehikuł, powynosić wszystkie bagaże, ażeby mu ulżyć, a druh Jeliń-

⁴⁷ Atoli – przestarzałe: spójnik wyrażający kontrast, przeciwieństwo (jednak, mimo to).

ski, brodząc po kolana w błocie, używał wszelkich sposobów, żeby wydostać się z tej pułapki. Założono sznury na koła, ale i to nie pomogło. Trzeba było podwajać drągami auto. Po niewymownych wysiłkach, narażając się na oberwanie wału albo na uszkodzenia dyferencjału, w parę godzin zaledwie zdołano wybrnąć z przeklętego rowu. Przemoknięci, zmarznięci chłopcy weszli do auta, gdzie odbyli walną naradę. Była już głęboka noc. Głód dokuczać zaczynał wszystkim niemiłosiernie, o spaniu w mokrej odzieży trudno było myśleć. Postanowiono, siedząc w aucie, doczekać dnia. Ale w ciszy nocnej doleciało ich uszu szczekanie psa, dowód, że gdzieś w pobliżu znajdowały się siedziby ludzkie. Uchwalono udać się we trzech dla nabycia czegoś ciepłego do zjedzenia i zaciągnięcia informacji, jak daleko do drogi bitej. Wyprawa ta zupełnie się nie powiodła. Chłopi, którzy w tych stronach przeważnie trudnią się przemysłnictwem, przyjęli naszych skautów bardzo kiepsko; nic się od nich nie udało uzyskać. Nie pozostawało nic innego jak rejterować, nie chcąc narazić się na jaką grubą nieprzyjemność. Zdołano jednak dowiedzieć się od jakiejś dziewczyny, że do traktu jest tylko kilka kilometrów. Była to nie lada pociecha w trudnej sytuacji.

Nie mogąc i tak spać w mokrym obuwiu i odzieży, postanowiono wysłać przodem dwóch wywiadowców dla zbadania możliwości przejazdu. Na czele szedł Smosarski i Brettschneider, za nimi jako łącznik kroczył Ł., zaś druh Jeliński na dany gwizdkiem sygnał podjeżdżał kawałek naprzód aż do łącznika. W ten sposób posuwano się jakiś czas naprzód. Nie trwało to długo. Wszyscy trzej wywiadowcy zatrzymali się wobec nowej przeszkody. Droga ginęła w głębokiej kałuży, która daleko rozciągała się po lewej stronie, z prawej zaś przymykała do stromego wzgórza. Przekonano się, że głębokość wody dosięga metra. Pagórka nie dało się w żaden sposób przebyć autem, nie pozostawało więc nic innego, jak zapuścić się w kałużę, z której jednak auto zapewne by nie wyjechało. Wyciągnąwszy łopaty, zabrano się więc do pracy. Należało z ziemi, obciętej od stoku wzgórka, zrobić niewielką ławę dla jednego choćby koła. Auto niezawodnie by się przewróciło, gdyby nie znalazło jakiegoś oparcia dla lewych kół. Zaczęto się więc rozglądać dokoła i w mroku porannym z radością dostrzeżono w pobliżu wielki stóg siana. Tym cennym materiałem, obficie zapuszczonym w kałużę i przysypanym ziemią, udało się podnieść na tyle poziom dna bajora, że samochód, choć mocno pochylony, posuwał się naprzód. Ma się rozumieć, że znowu trzeba było cały bagaż przenieść o kilkaset metrów naprzód, brodząc poza kolana w zimnej wodzie i w grząskim błocie. Ale świadomość, że o dwa kilometry dalej zaczyna się już poszukiwana szosa, dodawała wszystkim energii. Właściciel siana nie był zapewne zbyt wdzięczny za rozebranie i utopienie w kałuży dużego stogu, ale na wojnie jak na wojnie! Towarzysze Jelińskiego, przeprawiwszy się pieszo, oczekiwali z biciem serca co nastąpi. Kiedy wreszcie rozpędzony samochód pełnym

gazem, na łeb na szyję przeleciał przez zaimprovizowaną w wodzie groblę, odetchnięto całą piersią. Kiedy się rozwidniło, wszyscy mogli sobie zdać sprawę, w jak wielkim niebezpieczeństwie znajdował się biedny fordzik. Dość było kilka cali w bok, a tak pięknie rozpoczęta podróż skończyłaby się niechlubnie w bajorach na granicy węgierskiej. O brzasku dnia, nie życząc sobie spotkać się z właścicielem siana, wyprawa dotarła do upragnionej szosy. Czując pod kołami twardy grunt, odzyskano dobry humor. Niebawem znaleziono się na posterunku granicznym, gdzie wyrażono zdziwienie, że wyprawa obrała tak fatalną drogę. Okazało się, że żadne auto nie dokonało podobnego cudu. Istotnie fordzik wyglądał jak jedna wielka bryła błota.

Na posterunku węgierskim pozwolono naszym skautom osuszyć się i posilić gorącą strawą, której wszyscy byli niezmiernie spragnieni. Okazało się, że ten fatalny rajd nocny przez trzęsawiska pożarł z baku tyle benzyny, że starczyłoby jej na paręset kilometrów drogi po dobrej szosie. Posuwano się szybko w kierunku Budapesztu, wzdłuż wspaniałego, szerokiego Dunaju wśród winnic, malowniczą, gęsto zadudnioną, urodzajną równiną węgierską. Przed samym Budapesztem znowu w nocy natrafiono na stromy kawałek szosy, w dodatku pokrytej śniegiem i bardzo śliskiej. Trzeba było wysiadać. Każdy wolał iść pieszo niż jechać autem, które ślizgało się i łatwo mogło się stoczyć po pochyłości. Była to wielka próba dla druha Jelińskiego, na którego spadła cała odpowiedzialność za prowadzenie auta w tak ciężkich warunkach. Ta praktyka miało się przydać w przyszłości. Kierowca z zaciśniętymi wargami pełnił swój obowiązek. Wszak gdzieś w Afryce albo w Azji mogło być jeszcze gorzej. Wjechano do stolicy węgierskiej nocą podczas fatalnej pogody. Śnieg padał wielkimi płatami, było przenikliwie zimno. O tej porze niepodobna było niepokoić poselstwo polskie, zresztą nikogo by tam nie zastano, zatrzymano się więc na placu publicznym. Niebawem zbliżyło się do auta dwóch policjantów, którzy dowiedziawszy się, z kim mają do czynienia, zaproponowali członkom wyprawy gościnność na posterunku. Nie było to, jak ktoś niedomyślny mógłby przypuścić, aresztowanie ludzi bezdomnych. Po prostu posterunkowi chcieli wybawić z kłopotu naszych skautów. Zaprowadzili ich do pokoju dyżurnych, tam pozwolili przenocować. Ma się rozumieć, że podróżni nie odrzucili tej okazji, która nęciła przespaniem się w ciepłej izbie na względnie wygodnych łózkach. Poczęstowano obecnych tam dyżurnych policjantów swymi zapasami. Węgrzy, chcąc się wywzajemnić, podali gorący gulasz, na który zdrożeni⁴⁸ i zziębnięci skauci rzucili się chciwie. Srodze jednak przypłacili tę pierwszą znajomość z kuchnią węgierską. Panuje tam zwyczaj niemiłosiernie pieprzyć potrawy, zwłaszcza gulasz, który,

⁴⁸ Zdrożony – zmęczony drogą, podróżą.

tak jak u nas bigos, jest daniem narodowym. Do wszystkich niemal potraw dodają papryki. Nieprzyszyczałonego pali to niemilosierdzie. A nasi skauci nie pijąc wina, którym ich częstowano, musieli gasić ogień wewnętrzny niezliczoną ilością szklanek zwyczajnej wody. Do wszystkiego jednak można przywyknąć. Pod koniec pobytu na Węgrzech Brettschneider jadł już czerwony pieprz turecki w occie jakby nigdy nic.

Do Budapesztu dojechano akurat na same święta Bożego Narodzenia. Poseł polski, pan Michałowski, wyjechał. Poruczono naszych harcerzy opiece sekretarza poselstwa. Za składkowe pieniądze wyprawiono sobie bardzo skromną ucztę wigilijną. Uroczystość ta minęła smutno i dość samotnie, gdyż prócz jednej z urzędniczek polskich w poselstwie i jej matki, która ofiarowała chłopcom gościnność, nikt nie brał udziału w wieczerzy wigilijnej. Same święta spędzono na oglądaniu stolicy węgierskiej, która jest bardzo piękna. Niemal przyczynia się do tego jej malownicze położenie nad szerokim Dunajem, który nie tak, jak Wisła w Warszawie, płynie wśród wspaniałych bulwarów, przy których stoją najpiękniejsze gmachy stołeczne, imponujący parlament i wspaniały Pałac Sprawiedliwości. Inną osobliwość stanowi Wyspa Św. Małgorzaty w pośrodku rzeki, w samym mieście. Znajdują się tam liczne kawiarnie, restauracje, zakłady rozrywkowe. Ale najgodniejszymi uwagi są źródła gorące i komfortowe przy nich zakłady kąpielowe, gdzie ze skromną opłatą można użyć naturalnej, ciepłej wanny.

Zaraz po świętach wyprawa była przyjęta przez regenta – admirała Horthy'ego, na zamku królewskim, zbudowanym na wzniesieniu, które panuje nad Dunajem. Za przewrotu bolszewickiego pod wodzą Cohna, który jest znany pod nazwiskiem Bela Kun⁴⁹, zamek doznał okropnego zniszczenia, które dopiero w parę lat po tym zdołano naprawić. Stary portier opowiadał, że cała zastawa dworska srebrna na paręset osób ocalała w tym rabunku dzięki temu, że była doskonale ukryta. Admirał Horthy zrobił na naszych chłopcach bardzo dodatnie wrażenie. Czuć było instynktownie, że ten wilk morski ma nieugiętą wolę, której nikt się oprzeć nie zdoła. Mówił powoli, wyraźnie, badając do głębi wzrokiem młodych cudzoziemców. Po audencji wyraził chęć zobaczenia samochodu, na którym chłopcy wybrali się w tak daleką podróż. Druh Jeliński, widząc, że Brettschneider szykuje się do filmowania tej sceny, usiłował zainteresować czymś specjalnie admirała. Wpadł więc na pomysł, żeby mu pokazać karabin wciskowy wyrobu polskiego. Admirał obejrzał go z wielkim zainteresowaniem, wyrażając zdziwienie, że Polska posiada już broń własnego wyrobu, a w dodatku tak precyzyjnie

⁴⁹ Béla Kun, właściwie. Béla Kohn (1886-1939) – węgierski działacz komunistyczny; w 1919 r. przywódca Węgierskiej Republiki Rad; premier Krymu (1919-1920); w 1938 aresztowany przez władze ZSRR, rok później rozstrzelany.

wykończoną. Radził wyprawie, żeby jak najprędzej starała się dostać w cieplejsze kraje, ostrzegając, że zima na Węgrzech jest dość surowa i może stanowić przeszkodę w dalszej podróży. Znać lekkie kostiumy naszych skautów, którzy nosili krótkie spodenki, obnażające kolana, skłoniły wielkorządcę do tej wskazówki.

Wizyty u skautów węgierskich, którzy tam noszą nazwą „czerkiesów”, zajęły naszym chłopcom dni następne. Przekonano się przy tej sposobności, że są oni daleko lepiej zorganizowani aniżeli „pfadfinderzy”, czyli skauci austriaccy. Mają ładniejsze lokale, prezentują się znacznie pokaźniej i lepiej pojmują zadania swojej organizacji. Nie omieszkano także przedstawić się w automobilklubie węgierskim, do którego należy przeważnie tamtejsza arystokracja. Spostrzeżono, że skromny fordzik wyprawy, na którym jednak zrobiono tyle już drogi, niezbyt imponuje węgierskim automobilistom. Traktowano go z tego powodu z chłodną rezerwą, niemniej przeto przyznano wyprawie odznakę klubową i zaopatrzono ją w listy polecające do automobilklubu w Jugosławii. Wizyta ta nie była zatem daremna. Dokuczliwe zimno, zła pogoda, nieznajomość języka, którego nasi chłopcy nie rozumieli ani słowa i inne względy nakazywały wyprawie jak najspieszniejsze opuszczenie Węgier. Po kilku dniach pobytu w stolicy ruszono znów w drogę, kierując się ku Jugosławii.

ROZDZIAŁ VII.

WRAŻENIA W JUGOSŁAWII. ZISZCZONA PRZEPOWIEDNIA.

ROMANTYCZNY WIECZÓR NA GRANICY WŁOSKIEJ.

Jak tylko przekroczono obecną granicą Jugosławii, natychmiast zmieniły się radykalnie wygląd i fizjognomia kraju. Zamiast sunąć po dobrze utrzymywanych drogach węgierskich, fordzik zaczął pływać raczej, niż jechać, po bajorach. Dość powiedzieć, że na tzw. „traktach” często koła grzęzły po same osie w gęstym błocie. Druh Jeliński musiał umocować z przodu auta na dwóch drążkach worek, ażeby uchronić chłodnicę od obicia tryskającego na nią błota, które zalepiało na grubość paru palców maskę, nie dopuszczając powietrza do wnętrza. Skutkiem tego wentylacja odbywała się nieprawidłowo i silnik zagrzewał się. Nie było to estetyczne urządzenie, ale niezbędne w tych warunkach. Kultura materialna kraju spadła od razu o kilkanaście stopni. Ludność odziano ubogo, nieraz okryta tylko brudnymi płachtami, bosa, wszędzie brudno i niezmiennie pierwotnie. Wioski, chociaż dobrze zaludnione, składają się z nędznych domostw. Wszędzie obfitość cyganów, żebraków i różnych niepewnych elementów. Wieśniacy wyglądają bardzo nędznie; mają jakąś dziką fizjonomię, rzadko bowiem strzygą się i golą; słowem na każdym kroku widać ogromną różnicę w porównaniu choćby z polskimi stosunkami. Pomimo tego dzikiego wyglądu ludność jest uprzejma dla obcych i gotowa do usług, choć każe sobie za wszystko płacić.

Belgrad, stolica dawnej Serbii, a obecnie całej Jugosławii, leży nad Dunajem, ale po prawym jego brzegu. Ponieważ mostu na rzece nie było, więc musiano powierzyć auto wielkiemu promowi, a raczej tratwie, na której przepławiono się do miasta. Stolica zawiodła oczekiwania naszych podróżników. Ujrzano przed sobą miasto wprawdzie rozległe, ale bardzo lichozabudowane. Ani śladu tych pięknych pałaców i kamienic, jakie widywano w Warszawie, nie mówiąc już o Wiedniu lub Budapeszcie. Ulice kiepsko brukowane. Jadąc z szybkością chociażby 15 km na godzinę można na pryncypalnych⁵⁰ ulicach stolicy pogubić koła i połamać resory. Król Aleksander był w stolicy nieobecny, na audiencję nie można było zatem liczyć. Poseł Rzeczypospolitej Polskiej w Belgradzie, pan Okęcki⁵¹, przyjął wyprawę z pewną rezerwą. Dziwnym zbiegiem okoliczności w dwa lata po tym druh Jeliński, podróżując już bez towarzystwa dawnych kolegów, dotarł przez Wyspy Hawajskie do Tokio, stolicy Japonii,

⁵⁰ Pryncypalny – główny.

⁵¹ Zdzisław Narcyz Okęcki (1874-1940) – polski dyplomata, ambasador Polski w Jugosławii (1921-1928) oraz w Japonii (1928-1933).

i tam znów spotkał się z panem Okęckim, przeniesionym z Belgradu do krainy wschodzącego słońca. Wtedy pan Okęcki, któremu zapewne zaimponował czyn naszego podróżnika, okazał się dlań znacznie uprzejmiejszy.

Na baczną uwagę zasługują skauci jugosłowiańscy, którzy się we wszystkim wzorują na naszych. Sprowadzają nasze podręczniki, przyjęli naszą organizację itd. Cieszą się wielką popularnością w swojej ojczyźnie i licznie się szybko rozwijają. Cechuje ich, w przeciwieństwie do Czechów, gościnność prawdziwie słowiańska, otwartość i uprzejmość. Pokazano naszym chłopcom miasto i radzono zwiedzić bardzo interesującą dzielnicę cygańską. Specjalnie wydelegowany na przewodnika druh zjawił się na postoju, pozapinał starannie agrafkami kieszenie gości (ostrożność wśród cyganów niezbędna) i, racząc ich po drodze rozmaitymi miejscowymi smakołykami, zaprowadził między obozowiska cygańskie. Było ich kilkadziesiąt. Koczowali tam wszyscy pod gołym niebem obok swoich furgonów. Widząc gości, starali się ich zabawić na wszelkie sposoby. Dawali improwizowane przedstawienia kuglarskie i cyrkowe. Cyganki obstały młodych skautów, proponując im wróżenie z ręki. Druh Jeliński, uległszy namowom pewnej starej kobiety, wyciągnął ku niej lewą dłoń. Starucha przepowiedziała mu, że czeka go wielka podróż, z której wróci cało i zdrowo. Dziwnym zbiegiem okoliczności przed wyjazdem z Warszawy druhowi Jelińskiemu pewna obdarzona sutą jałmużną cyganka, kiedy nikt jeszcze nie myślał o wyprawie samochodem naokoło świata, wywróżyła to samo, co jej rodaczka w Belgradzie i cała ta przepowiednia warszawska ziściła się prawie w całej swej rozciągłości.

Nazajutrz po wycieczce do cyganów nasi chłopcy ujrzeli na swojej masce wspaniałą, srebrną odznakę automobilklubu belgradzkiego. Była ona daleko ładniejsza od wszystkich przed tym i po tym otrzymanych, co jest w jaskrawej sprzeczności z jakością dróg w Jugosławii i co za tym idzie z rozwojem automobilizmu w tym kraju. Zetknięto się także z rodakami, którzy w Belgradzie tworzą wprawdzie niezbyt liczną, ale trzymającą się bardzo solidarnie organizację. W stolicy nie zamierzano się dłużej zatrzymywać, gdyż nie przedstawiała ona nic godniejszego uwagi. Wyprawie pilno było do Włoch, skąd zamierzano przeprawić się do Afryki. Wyruszywszy z Belgradu, kierowano się na zachód, przecinając krainy należące przed wojną światową do posiadłości austriackich. Fizjonomia tych krajów różni się wielce od właściwej Serbii. Zaborcy, podobnie jak u nas Prusacy, pozostawili po sobie dużo kulturalnych urządzeń w postaci gmachów w czystych miastach, dróg bitych i żelaznych.

Mknąc równinami dawnej Sławonii⁵², wyprawa zgubiła drogę, gdyż nie trzymała dokładnej marszruty w Belgradzie. W pewnej rozległej wiosce zatrzymano fordzika i wysłane Brettschneidera i Ł. dla zaciągnięcia języka do najbliższej chaty. Pozostali chłopcy marzli przez parę godzin, oczekując na towarzyszy i na prowianty, które polecili im zakupić na obiad. Od czasu do czasu trąbiono jak tylko można było najgłośniej, ale nic nie pomagało; wysłańcy nie wracali. Z początku przypuszczano, że koledzy posilają się na miejscu, ale kiedy godziny zaczęły mijać, niepokój zanurtnął w sercach pozostałych skautów. Smosarski, który znalazłszy się w Jugosławii namiętnie zajał różne pestki, sprzedawane tam na targach i miał ich zawsze, jak prawowity jarosz, pełne kieszenie, został w końcu wytrącony ze swego filozoficznego spokoju.

– Kto wie, co ich tam mogło spotkać. Jesteśmy w kraju nie tak znowu pewnym.

Druh Jeliński na razie odrzucał pesymistyczne przypuszczenia, lecz kiedy minęła jedna i druga godzina na daremnym oczekiwaniu, uchwalono odszukać nieobecnych. Dla wszelkiej ostrożności pochowano do kieszeni nabite rewolwery i skradano się, jak przystało na skautów, do chaty, dając baczenie na wszystko. Usłyszano głośnie okrzyki, które na razie mocno zaniepokoiły jogę. Chciał się on już uzbroić w karabin i rozpocząć ostrzeliwanie podejrzanej chaty, gdy wtem drzwi jej rozwarły się i stanął na progu Brettschneider. Okazało się wprzód, że tonął on nie we własnej krwi, jak się obawiano, ale w potokach czerwonego wina, którym uraczono go nazbyt może obficie. Poza nim z tłumu podochoconych włościan wyrzuciła się sylwetka druha Ł., który też miał, jak się to mówi, w czubie. Niestety jednak wracał z pustymi rękami. Natrafiono na chłopskie wesele i to było prawdziwą przyczyną długiej nieobecności wywiadowców. Gościnni gospodarze nie tylko dali żądane wskazówki co do drogi, ale nakarmili gości do syta. Nic jednak nie pozwolili nabyć za gotówkę. Joga i druh Jeliński musieli zadowolić się opowiadaniem o sutym przyjęciu, kląć lekkomyślność towarzyszy. Znalezione w kieszeniach druha Smosarskiego pestki od dyni musiały zastąpić obiad.

Nazajutrz fordzik wjechał do kroackiego Zagrzebia, bardzo kulturalnego, czystego i ładnie zabudowanego miasta, które pozostawia daleko poza sobą stolicę obecnej Jugosławii. Jest to główny rynek handlowy i pieniężny całej Jugosławii. Skorzystano z gościnności konsulatu polskiego, gdzie otrzymano kwaterę i garaż dla auta. Stołowano się zaś w pewnej restauracji, prowadzonej przez byłego generała rosyjskiego, obecnie emigranta. W Jugosławii jest obecnie kilkanaście tysięcy Rosjan, korzystających z przytułku politycznego, którzy dla zdobycia sobie środków utrzymania oddają się różnym zawodom, przeważnie jednak prowa-

⁵² Sławonia – historyczna kraina we wschodniej Chorwacji, położona w międzyrzeczu Sawy i Drawy.

dzą jadłodajnie w miejscowościach bardziej uczęszczanych przez turystów. Nie brak też byłych wojskowych, pełniących funkcje szoferów; słowem emigranci rosyjscy, oczekując aż minie reżim bolszewicki w ich ojczyźnie, radzą sobie jak mogą.

Otrzymał ostrzeżenie, że góry włoskie są bardzo strome i drogi w nich trudne, zaopatrzone się w nowe taśmy do hamulców, prócz tego zabrano komplet zapasowy. Oczyszczono też gruntownie fordzika, któremu dały się we znaki błotniste drogi Jugosławii. Do pięknej krainy włoskiej wkraczano przez do niedawna austriacki Triest. Jadąc góorskimi drogami, opuszczano się na niziny. Pogoda zmieniła się szybko na lepsze. Jeszcze o kilkadziesiąt kilometrów od Triestu było zimno, ale tam w nizinach świeciło gorące słońce i niebo stawało się coraz bardziej niebieskie. Wieczorem, na samej granicy włoskiej, uszu podróżnych dobiegły słodkie dźwięki gitary i melodyjny głos jakiegoś Włocha, opiewającego piękno swojej ojczyzny. Zatrzymano się, słuchając tego niespodziewanego koncertu, rozlegającego się w ciszy wieczoru, wśród romantycznego górskiego pustkowia. Granica leży tutaj na niskiej przełęczy górskiej, wijąc się kapryśnie między wyniosłościami. Z jednej strony stoi maleńki domek; jest tam posterunek jugosłowiański. O kilkadziesiąt kroków dalej, w takim samym domku, samotnie rzuconym u stop skał stromych, urzęduje posterunek graniczny włoski. Podróżni słyszeli wiele o nieugiętości i samowoli faszystów; lękali się więc zetknięcia z nimi, tym bardziej, że byli zbyt dobrze uzbrojeni. Z pewną obawą zbliżano się więc do granicy. Wreszcie ujrzano straż włoską, przybraną w granatowe napoleońskie kapelusze i białe szarfy na pierśsiach. Zamiast mundurów strażnicy mają coś podobnego do fraczka z długimi połami. Kostium ten wydał się naszym skautom nieco dziwnym. Usiłowali oni okazać się jak najuprzejmiejnymi względem przedstawicieli władz faszystowskich. Strażnicy, wyszedłszy ze swojego posterunku, oglądali uważnie auto, sprawdzali paszporty, świecąc w oczy latarkami podróżnym dla stwierdzenia ich podobieństwa z fotografiami na dokumentach. Lecz nie taki straszny diabeł jak go malują. Załatwiwszy formalności paszportowe, bez żadnych trudności ruszono natychmiast dalej, ażeby jak najprędzej wydostać się z mrocznych, dzikich gór pogranicznych. Jednakże okazało się, że nocna jazda po krętych, stromych i niebezpiecznych drogach górskich nie należała do przyjemności. Lękając się jakiej przygody, zatrzymano się przed samym Triestem w pewnej małej oberży, utrzymywanej przez Jugosłowianina.

Dowiedziawszy się, że podróżni są katolikami, potraktowano ich przyjaźnie. Rozgoszczono się w izbie. Gospodyni uraczyła naszych chłopców narodową potrawą włoską, to jest makaronem, ale zamiast masła okraszonym oliwą nienajlepszego gatunku. Było to jedzenie niezbyt pojętne dla polskiego podniebienia, ale rzucono się na nie chciwie. Kiedy, skończywszy posiłek, podróżni siedzieli przy butelce wina włoskiego, do oberży wtargnęło kilku bersa-

lierów⁵³, o mocno zawadiackich fizjognomiach. Zachowywali się oni bardzo wyzywająco, wyraźnie szukając zaczepki z naszymi chłopcami. Ci jednak, przestrzeżeni przez gospodynię, żeby wobec faszystowsko nastrojonych wojaków unikać wszelkich nieporozumień, zwłaszcza nie nazywać Mussoliniego po nazwisku, bez dodatku tytułu *duce*, co razi niemile jego zwolenników, trzymali się na uboczu. Zaprowadzono ich do maleńkich izdebek, gdzie mieli przemocować. Wszyscy rzucili się na łóżka jak kłody i w mgnieniu oka pozasypiali. Jeden tylko druh Jeliński, zaniepokojony „kichaniem” motoru podczas ostatniego kawałka drogi, poszedł zbadać, co się stało fordzikowi. Była to, jak się okazało, niezbędna wizyta. Rurka, doprowadzająca z baku benzynę do motoru, nadłamała się i mnóstwo benzyny wykapowało ze zbiornika na ziemię, tak iż nad ranem wyprawa na pewno znalazłaby się bez paliwa. Groził też pożar w razie najmniejszej nieostrożności. Druh Jeliński zamiast więc używać zasłużonego wywczasu musiał przez kilka godzin pracować nad złutowaniem uszkodzonej rurki. Już o świcie auto było gotowe do dalszej drogi.

Tego samego dnia wjechano do Triestu, przebywszy kawał kapryśnej drogi górskiej i zatrzymano się wprost przed konsulem polskim. Zaraz na wstępie do krainy włoskiej natrafiono na niezmiernie przyjacielskie przyjęcie. Konsulem polskim w tym mieście jest pan W. Kwiatkowski, człowiek niepospolitej dobroci, cieszący się wielką popularnością, a nawet miłością nie tylko swych rodaków, ale i samych Włochów. Przyjął on z otwartymi rękami skautów, zdając sobie dokładnie sprawę z ich zadania. Uczynił wszystko, co tylko mógł, żeby wieść o ekspedycji rozległa się jak najszerszym echem w mieście i w całym kraju. Zapoznał ich z najwybitniejszymi osobistościami miasta, wydelegował sekretarza konsulatu na przewodnika. W jego oświeconym towarzystwie chłopcy zwiedzili uniwersytet, godniejsze gmachy i port, który do niedawna jeszcze należał do Austrii. Triest obecnie jest nie tylko narodowo, ale i politycznie miastem włoskim.

⁵³ Bersalierzy (wł. Bersaglieri) – formacja włoskiej lekkiej piechoty zmechanizowanej utworzona w 1836 r.

ROZDZIAŁ VIII.

TRIEST. TAJEMNICZA DRUŻYNA. W PODZIEMIACH KLASZTORU. W RZYMIE. AUDIENCJE U OJCA ŚWIĘTEGO I U MUSSOLINIEGO.

W Trieście chłopcy nasi po raz pierwszy ujrzeli błękitne tonie Adriatyku, w których przegląda się jak w zwierciadle malownicze miasto. Radzono im, żeby kiedy podczas jaśni księżycowej poznali piękno tego krajobrazu. Usłuchawszy tej wskazówki, skauci przechadzali się wzdłuż wielkiego kamiennego mola, o które ze słodkim szmerem rozbijały się fale morskie. Zauważono tam dziwną grupę: jakiś zakonnik prowadził drużynę złożoną z kilku młodych chłopców. Nasi podróżni spostrzegli niebawem, że są przedmiotem bacznej obserwacji z ich strony. Włosi złożyli im skautowskie powitanie. Tę samą grupę spotkano nazajutrz w starej dzielnicy miasta, wśród krętych uliczek, w pobliżu małego klasztoru. Wkrótce jeden z chłopców zbliżył się do podróżników i łamaną francuszczyzną zapytał, czy są oni skautami katolickimi. Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź, zaczęli się bardzo serdecznie witać. Włosi wiedzieli już z gazet o przybyciu naszych skautów do Triestu i pragnęli zaprosić ich do siebie. Podróżni chętnie się zgodzili. Chłopiec ruszył naprzód, wskazując drogę gościom. Zamiast jednak zaprowadzić ich do jakiegoś lokalu drużynowego, błądził przez dłuższy czas po wąskich zaułkach, w końcu zatrzymał się u wrót małego cmentarza. Tutaj skauci zawahali się; wszystko to bowiem, nawet sam chłopiec, wydało im się na razie bardzo podejrzane. Słyszeli, że we Włoszech można być zwabionym w jakąś pułapkę i obrabowanym. W dodatku zmrok zapadał. W końcu jednak zdecydowano się iść za małym Włochem, na którego twarzy malowało się żywe zadowolenie i pewne pomieszanie. Przyspieszając kroku, zatrzymał się wreszcie u ciasnego wejścia do krypty kościelnej, gdzie nagle zniknął bez śladu. Już chciano się cofnąć, gdy wtem ukazał się ten sam zakonnik, którego widziano wczoraj w towarzystwie chłopców na molo portowym. Wprowadził on przybyszów do podziemi klasztornych, gdzie zwykle chowano zmarłych zakonników. Ciała bez trumien leżały zasuszone rzędami pod murami krypty, wzdłuż której biegł korytarz. Było w nim dwoje drzwi, prowadzących do dwóch małych izdebek. W jednej z nich mieszkał sam padre – drużynowy skautów katolickich, w drugim zaś mieścił się lokal drużyny.

Posadzono gości na dębowych ławach i rozpoczęła się interesująca pogawędka. Okazało się bowiem, że padre mówi dobrze po niemiecku, którym to językiem władało paru z naszych druhów. Padre w wielkiej tajemnicy zwierzył się gościom z kłopotów, jakie ma skauting katolicki we Włoszech. Najliczniejsza organizacja młodzieży tamtejszej nosi nazwę „Ba-

lila”. Prócz niej istnieją nieliczne drużyny skautowskie, które zmuszone są iść z nią ręką w rękę. Balila nosi charakter bardziej militarystyczny i polityczny aniżeli sportowy. Znajduje ona pod opieką duce Mussoliniego. Posiada instruktorów spośród oficerów armii czynnej i jest wychowywana w duchu faszystowskim. Za umundurowanie służą tam krótkie spodenki, czarne koszule i czapeczki z czarnymi pomponikami. Z szeregów Balili rekrutują się młodzi faszyci. Nie wszyscy jednak rodzice chcą oddawać swoich synów do Balili. Założono więc organizację skautów katolickich, znajdującą się pod protektoratem Ojca Świętego. Prócz tego istnieje niewielka organizacja skautów międzynarodowych, która jednak pozostaje w cieniu, nie chcąc rywalizować z Balilą. Skauci katoliccy ulegają silnemu naciskowi, mającemu za cel wcielenie ich do Balili. Muszą więc pracować w ukryciu, ażeby nie narażać się wszechmocnej organizacji faszystowskiej. Podczas pogawędki do podziemi wciskali się coraz to nowi skauci, którzy, jak się niebawem wyjaśniło, byli rozesłani po całym mieście przez padrę drużynowego dla odszukania polskich skautów. Zakonnik informował się z wielkim zainteresowaniem o ruchu skautowskim w Polsce, o której dużo wiedział. Celem jego było zbliżenie organizacji skautów włoskich katolickich do naszych skautów. Młodzi Włosi z oczyma wlepionymi w gości słuchali objaśnień drużynowego, który im tłumaczył ważniejsze urywki rozmowy z Polakami. Cieszyli się oni, że nie przyjacieli, która bierze swój początek nad Wisłą, osnuje całą kulę ziemską, nie pomijając ich ojczyzny. Wypito czerwonym winem (bo tamtejsi skauci nie uważają go za napój alkoholowy) braterstwo z młodymi Włochami i wymieniono liczne fotografie. Na pożegnacie padre prosił, żeby nasi skauci odwiedzili w Rzymie skautów katolickich, po czym kazał dwóm chłopcom odprowadzić gości do ich kwatery. Owa wizyta w tak romantycznych warunkach zrobiła na podróżnikach silne wrażenie i utkwiała im na długo w pamięci.

Pan konsul generalny Kwiatkowski dał wyprawie cenne wskazówki, dotyczące zwiedzania Włoch. Wykreślił taką marszrutę, żeby mogła odwiedzić wszystkie placówki polskie. Radził gorąco przede wszystkim obejrzeć perłę Adriatyku, słynną Wenecję, miasto cudowne, nie mające sobie równego na całym świecie. Ruszono więc przez nizinę, rozciągającą się u północnych wybrzeży Adriatyku, i porzniętą licznymi kanałami. Niebawem przejechano słynną rzekę Piave⁵⁴, nad którą Włosi podczas wielkiej wojny odnieśli decydujące zwycięstwo nad Austriakami, i zatrzymano się o kilka kilometrów od laguny, gdyż do samego miasta nie można dojechać autem. Pozostawiono je w garażu, po czym zajęto miejsca w pociągu, który przez wspaniałą, długą groblę dociera do Wenecji. Podróżnemu zdaje się, że pociąg płynie po

⁵⁴ Piawa – rzeka w północno-wschodnich Włoszech o długości 220 km. 15 czerwca 1918 r. Austriacy rozpoczęli bitwę nad Piawą, zakończoną ich klęską 10 dni później.

morzu, gdyż grobla jest bardzo wąska. Była godzina wczesna. Duże miasto spało jeszcze z wyjątkiem biedaków, spieszących do pracy. Wlekli się oni chodnikami wzdłuż kanałów, przecinających we wszystkich kierunkach Wenecję, zatrzymywali się po drodze przed nędznymi kramikami, gdzie przekupki sprzedawały różne miejscowe przysmaki, jak np. pieczone kasztany, gotowaną dynię, *frutti di mare*, czyli drobne żyjątka morskie ugotowane w zupie. Robotnik kupował za kilka groszy tego nędznego posiłku, zapijał go z manierki paroma łykami wina czerwonego i szedł dalej, zadowolony, że czymś zapchał pusty żołądek. Pierwsze wrażenie, jakie odnieśli nasi chłopcy w tym sławnym z piękności mieście, nie było zbyt dodatnie. Nic dziwnego. Wchodzono wcześniej i, że się tak wyrażę, kuchennymi schodami. Z okna pałaców marmurowych służba wprost do kanałów wysypywała śmiecie. Brudna bielizna albo też świeżo wyprana suszyła się na sznurach, rozwieszonych w poprzek wąskich uliczek, tworząc bardzo oryginalną, choć mało estetyczną dekorację domów. Szczury w poszukiwaniu żeru spacerowały licznie po chodnikach, nie lękając się zbytnio kotów, których też nie brakowało. W kanalikach, opłukujących stopy wysokich kamienic, woda zielonawa od pleśni zionęła niezbyt przyjemnymi woniami.

Błądzono na chybił trafił cichymi chodnikami, wzdłuż kanałów, nie pytając nikogo o drogę. Cisza głęboka wszędzie, miejscami tylko gondolierzy chrapliwym od niewyspania głosem zapraszali przechodnia do zajęcia miejsca w łodzi: "Gondola, signore, gondola!". Nasi chłopcy, chcąc użyć tej oryginalnej jazdy, odmówili sobie rannego śniadania i za lira przejechali kawałek drogi. Wysiedli na wybrzeżu Wielkiego Kanału⁵⁵, który, niby szeroka ulica, ciągnął swą szmaragdową wstęgę wzdłuż długiego rzędu wspaniałych pałaców. Niegdyś należały one do patrycjuszów⁵⁶ weneckich; dziś, przeważnie zaniedbane, służą za mieszkania prywatne lub za kantory biur handlowych. Mała ich liczba zachowała pierwotną świetność. Minąwszy wspaniały kościół marmurowy della Salute⁵⁷, postawiony jak większość gmachów weneckich na palach dębowych głęboko wbitych w dno morskie, zwrócono na lewo i niebawem dostano się do najpiękniejszej części miasta. Przed oczyma naszych skautów w całym swym majestacie widniał w płomieniach wschodzącego słońca sławny Pałac Dożów⁵⁸, obszerny plac Świętego Marka z podcieniami, wzdłuż których pełno bogatych sklepów, gdzie sprzedają produkty przemysłu weneckiego: szkła przepiękne, rzeźby

⁵⁵ Kanał Grande (Wielki Kanał) – blisko 4-kilometrowa cieśnina w kształcie odwróconej litery „S”, przepływająca przez środek Wenecji i dzieląca ją na dwie części; szerokość od 30 do 60 m, głębokość do 6 m.

⁵⁶ Patrycjusze – uprzywilejowana, wyższa warstwa społeczna, która pojawiła się w okresie republiki w starożytnym Rzymie.

⁵⁷ Santa Maria della Salute – wenecka bazylika mniejsza mieszcząca się nad Kanałem Grande; wzniesiona na planie ośmioboku, zwieńczona charakterystyczną kopułą; budowana w latach 1631-1681.

⁵⁸ Pałac Dożów – siedziba władców i rządu Wenecji; w XV w. pałac został przebudowany w stylu gotyckim.

marmurowe, wykonane przez niepoślednich artystów i mnóstwo innych rzeczy, przyciągających wzrok turysty i wypróżniających mu kieszenie.

Podróżni, nie mając dużo czasu, musieli w ciągu jednego dnia zwiedzić cudne miasto. Spieszyli się do Mediolanu, gdzie mieli obiecany wstęp do sławnego teatru la Scala⁵⁹. Przede wszystkim kazano się wyciągnąć na wieżę, która po zawaleniu się starej jest odbudowywana. Z jej galerii rozciąga się niezapomniany widok na laguny, na wyspy, na całe miasto, które wydaje się stąd jednym zbiorowiskiem czerwonych dachów. Przebiegano szybko obszerne i liczne sale Pałacu Dożów, odmówiono poranne pacierze w mrocznych nawach bazyliki, po czym znużeni skauci siedli na brzegu morskim, przypatrując się statkom, wchodzącym i wychodzącym z portu. Te wszystkie piękne widoki, cała słodycz pobytu w „Jedynym” mieście zamieniła się jednak na kielich goryczy z powodu niewłaściwego zachowania się druha Ł., który ciągle brylował swoimi orderami. Przy łada okazji opowiadał o strasznych przygodach, jakie spotkały wyprawę, blagując niemiłosiernie. Jego zaś towarzysze zapytani, czy istotnie tak się rzecz miała, musieli z wielkim wstydem zaprzeczać druhowi Ł. Z tego źródła płynęły ciągle niesnaski, które zatruwały przyjemną skądinąd podróż i wносиły rozdzwiek między członków wyprawy. Ł. umiał także siać niezgodę między kolegami, podszczuwając w skrytości jednego przeciw drugiemu szeregiem kłamstw i intryg. Czekano więc niecierpliwie na jaką okazję, która by położyła kres tym występom druha Ł., nie licującym z mundurem skauta. Wieczorem nasi chłopcy, znużeni zwiedzaniem miasta, znów siedli do wagonu, ażeby wrócić do opuszczonego na cały dzień fordzika. Była to krótka wprawdzie, ale jedyna podróż koleją w ciągu całego rajdu naokoło świata druha Jelińskiego, który poza autem posługiwał się tylko okrętem w przeprawach przez oceany. Przespawszy się, chłopcy rankiem wyruszyli w kierunku Mediolanu, gdzie uprzedzony zawczasu przez generalnego konsula pana Kwiatkowskiego tamtejszy konsul polski, pan Marski, oczekiwał na wyprawę w swoim mieszkaniu prywatnym. Kazał naszym podróżnikom przede wszystkim umyć się, po tym najęść przy wspólnym stole, wreszcie wyspać, a wręczając im po wieczery korespondencję i przekazy pieniężne, rzekł:

– No, teraz dobranoc, chłopcy, a jutro, jeśli będziecie grzeczni, to was zaprowadzę do najślawniejszej opery na świecie.

Nazajutrz auto zrobiło wielką sensację w mieście; gromadzono się koło niego tłumnie, ażeby obejrzeć polskich skautów, którzy już przejechali przez tyle krajów. Dało to okazję do popisów druhowi Ł., a jego kolegom nowy powód do zwykłych zmartwień. Wzięto się więc

⁵⁹ La Scala (wł. Teatro alla Scala) – scena operowa w Mediolanie, jedna z najślawniejszych na świecie. Budynek opery otwarto w 1778 r.; sala główna mieści 3600 widzów.

na sposób – nigdy nie pozostawiono druha Ł. samego, lecz zawsze dodawano mu opiekuna, który miarkował jego zapędy i prostował jego nieprawdopodobne opowieści.

Największe wrażenie zrobiła na naszych podróżnikach precudna marmurowa katedra⁶⁰, zbudowana w stylu gotyckim. Jest to istne arcydzieło sztuki architektonicznej. Setki smukłych wieżyczek i posągów świętych tworzą jakby subtelną koronkę, wśród której tkwi potężny kadłub świątyni. Dzięki panu konsulowi Marskiemu nasi chłopcy zetknęli się z małą, ale niezmiernie sympatyczną kolonią młodych artystów polskich, którzy tu się zjechali dla odbywania studiów przy operze i pobierania lekcji śpiewu od tamtejszych mistrzów. W ich przyjemnym towarzystwie zjedzono obiad w pierwszorzędnej restauracji na placu katedralnym, podziwiając z okien piękno sławnego kościoła. W operze dawano *Carmen*, której wysłuchano z namaszczeniem. Nie omieszkanono nazajutrz zwiedzić słynnego cmentarza mediolańskiego, przepełnionego artystycznie wykonanymi z kanaryjskiego marmuru nagrobkami. Jest to jakby wielkie muzeum rzeźby. Jeden tylko cmentarz w Genui może rywalizować co do piękności z campo santo⁶¹ mediolańskim. Nie będąc turystami, lecz podróżnikami, nasi skauci mogli poświęcić nie więcej nad jeden dzień na oglądanie starego Mediolanu. Musieli oni przemierzyć w swym aucie cały półwysep Apeniński z północy na południe, obierając sobie z dwóch dróg zachodnią, ciągnącą się wybrzeżami morza Śródziemnego, podczas gdy wschodnia biegnie nad Adriatykiem.

Wyjechawszy w południe, tego samego dnia jeszcze nasi skauci dotarli do Turynu, gdzie pragnęli przede wszystkim zwiedzić słynną fabrykę samochodów Fiat, które w całym świecie cieszą się dobrą opinią. Pokazawszy naszym chłopcom wewnętrzne urządzenia zaprowadzono ich na tor próbny, bardzo oryginalny, gdyż zamiast na ziemi jest on zbudowany na dachach zabudowań fabrycznych. W ten sposób zaoszczędzono kosztownego placu. Za materiał posłużyło tu żelazo i cement. Tor jest tak obszerny, że kilka aut może się na nim wyminąć z łatwością. Próbuje się tu maszyny wypuszczone z fabryki. Za rządów duce Mussoliniego przemysł włoski i rolnictwo rozwijają się w nader szybkim tempie i kraj dochodzi do dużego dobrobytu. Wszyscy prawie mają pracę i nastał okres pokoju społecznego.

Dalsza marszruta prowadziła przez Genuę, Florencję na Rzym, stamtąd przez Neapol na sam kraniec apenińskiego buta do Sycylii. Naszym podróżnym pilno było, wobec zimy, dostać się do cieplejszych okolic. Teraz już zakosztowali słońca i nie narzekali na chłód. Co

⁶⁰ Katedra Narodzin św. Marii w Mediolanie – jedna z najbardziej znanych i największych budowli sakralnych na świecie (157 x 93 m); budowę kościoła rozpoczęto w 1386 r.; neogotycki styl fasadzie nadała przebudowa w 1858 r.

⁶¹ Campo Santo – włoski rodzaj cmentarza spotykany do XIX wieku, w którym grobowce usytuowane są w otwartych krągkach.

dzień zrzucano jakąś zbyt gorącą część odzieży. Genua leży już właściwie na Rivierze włoskiej. Jest to miasto portowe, amfiteatralnie zbudowane na wzgórzach panujących nad zatoką. Odczuwa się tu już południe. Smukłe cyprysy strzelają w górę przy drogach i w ogrodach pospołu z piniami, przypominającymi nasze sosny, i szarymi, niepozornymi oliwkami. Kwiaty, głębokie ultramarynowe niebo, krajobraz całkiem odmienny od północnego. Na zachód od Genui ciągnie się już tak opiewana z piękności i łagodnego klimatu Riviera, aż po Marsylię. Cały dzień nasi skauci snuli się wąskimi, krętymi uliczkami tego istic wschodniego miasta, poświęcili parę godzin na obejrzenie sławnego campo santo, dokąd się jedzie wspaniałą nadmorską drogą. Przenocowawszy na biwaku, puścili się szosą na południe poprzez góry do Florencji.

Drogi automobilowe we Włoszech należą do najbardziej niebezpiecznych w całym ucywilizowanym świecie. Rzadko można spotkać automobilistę, który by bez wypadku przejechał cały ten kraj i Sycylię, pełno tam bowiem przepaści, nad którymi w licznych wirażach, przy trudnych do wzięcia spadzistościach wiję się kapryśnie szosa, tworząc liczne serpentyny. Jest to doskonała szkoła dla każdego sportowca. Druh Jeliński sam o sobie powiada, że tam dopiero nauczył się pokonywać największe trudności, z jakimi walczyć musi każdy automobilista, chcący wyrzeć na szerszy świat. Amerykańscy sportowcy, widząc odznaki włoskie na aucie, traktowali już bardzo poważnie jego właściciela, uważając go za doświadczonego kolegę i chętnie zasięgali u niego rady w trudniejszych wypadkach.

Poświęciwszy nieco drogiego czasu na obejrzenie najbogatszych w arcydzieła sztuki muzeów florenckich, szybko zbliżano się do dawnej stolicy świata. Dzięki protekcji poselstwa polskiego wyprawa znalazła gościnę w polskim Hospicjum, starożytnej fundacji, która pamięta jeszcze czasy niepodległej Polski. Polacy, zagnani do Wiecznego Miasta, znajdują tutaj za niską opłatą mieszkanie i utrzymanie. Siostra Maria, przełożona Hospicjum Św. Stanisława, zaopiekowała się naszymi chłopcami jakby rodzona matka. Sprawiało jej wielką przyjemność, jeżeli któryś ze skautów był obecny wraz z nią na codziennym rannym nabożeństwie i klęczał obok niej. Ustanowiono więc w tym celu kolejne dyżury.

Poseł polski, pan Roman Knoll⁶², chcąc uprzyjemnić pobyt skautom, urządził dla nich w swej prywatnej rezydencji tańczącą herbatkę, na którą zaprosił wybitniejsze osobistości z kolonii polskiej i przedstawicieli towarzystwa rzymskiego. Przybyło wiele przystojnych rzymianek, z którymi nasi chłopcy zawzięcie tańczyli. Między innymi druh Jeliński poznał tutaj

⁶² Roman Knoll (1888-1946) – polski polityk i dyplomata, uczestnik walk w wojnie polsko-bolszewickiej; ambasador RP w Moskwie (1921-1923), Ankarze (1924-1926), Rzymie (1926-1928) oraz Berlinie (1928-1931); w 1926 r. mianowany wiceministrem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

znanego i utalentowanego malarza, pana Mazurowskiego⁶³, który specjalnie polubił jego towarzystwo i prowadził go do godnych widzenia miejsc, a że znał Rzym lepiej od niejednego miejscowego Włocha, więc był nieocenionym przewodnikiem dla druha Jelińskiego. Dzięki temu wyjątkowemu przewodnikowi poznał on Forum Romanum, katakumby, Bazylikę św. Piotra, Palatyn, Koloseum⁶⁴ i inne osobliwości starożytnego miasta. Pan Mazurowski ze zdziwieniem dowiedział się, że wyprawa przejechała bez wypadku niebezpieczne drogi górskie. Dla upamiętnienia tego czynu namalował dla pana Jelińskiego piękną akwarelę, wyobrażającą auto nad okropną przepaścią, a obok archanioła, czuwającego z rozpostartymi skrzydłami nad podróżnymi. Reprodukcję tego obrazu znajdzie czytelnik na okładce niniejszej książki.

Wyprawa niecierpliwie oczekiwała na wyrobioną jej przez poselstwo audyencję w Watykanie u Ojca Świętego. Upłynęło jednak kilka dni, zanim to marzenie każdego dobrego katolika wcieliło się w rzeczywistość. Przez ten czas stołowano się w Hospicjum we trzech jednak, gdyż druha Ł., dowiedziawszy się, że przyjechał tam i zatrzymał się na dłużej kapitan sztabu generalnego z Warszawy, pan Klotz, stracił nagle apetyt i nie zjawiał się przy stole. Przychodził jednak późnym wieczorem i jadał sam. Pewnego razu, wróciwszy, jak sądził, już dobrze po wieczery, ku wielkiemu swemu zdziwieniu zastał całe towarzystwo. Kapitan Klotz, spotkawszy druha parokrotnie na mieście, zainteresowany był mocno tą osobistością, która pomimo młodego wieku posiada tak liczne i wysokie odznaczenia wojskowe. Chciał się z nią koniecznie zapoznać. Skoro więc druha Ł. ukazał się na sali jadalnej, kapitan Klotz i wszyscy obecni zwrócili nań uwagę. Kapitan Klotz prosił druha Ł., żeby ten siadł obok niego i zaczął go głośno rozpytywać, kiedy i za co otrzymał order, zdobiące jego piersi. Biedny druha Ł. z początku udawał, że nie słyszy, ale uparty kapitan powtarzał niedyskretnie pytania, domagając się jasnych odpowiedzi. Niestety druha Ł. nie potrafił ich udzielić nielitościwemu kapitanowi. Przez ten czas jego koledzy siedzieli jak na rozżarzonych węglach. Po wieczery kapitan oddalił się na stronę z druham Ł. i kategorycznie zażądał odeń zdjęcia przywłaszczonych sobie orderów. O incydencie tym dowiedziało się poselstwo, które zażądało od naszych skautów wyjaśnień. Kiedy sprawę przedstawiono we właściwym świetle, w konsulacie sporządzono protokół, dzięki któremu wyprawa uwolniła się od niepożądanego towarzystwa druha Ł., chorego na megalomanię.

⁶³ Wiktor Mazurowski (1859-1944) – polski malarz batalista, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej.

⁶⁴ Forum Romanum – najstarszy plac miejski w Rzymie; Bazylika św. Piotra na Watykanie – drugi co do wielkości kościół na świecie, budowany w latach 1506-1626; Palatyn – jedno z siedmiu wzgórz Rzymu, na którym według legendy wilczyca karmić miała Remusa i Romulusa, późniejszych założycieli miasta; Koloseum – rzymski amfiteatr o eliptycznym kształcie (188 x 156 m, 48,5 m wysokości), wzniesiony w I w. n. e.

Nareszcie zakomunikowano wyprawie, że może przedstawić się Ojcu Świętemu. Prowadzono ją, prócz ewangelika Brettschneidera, do Watykanu, gdzie w jednej z komnat przylegających do sali przyjęć ogólnych oczekiwał na nich adiutant gwardii papieskiej. Nibawem ukazał się sam Pius XI, poprzedzany licznym orszakiem. Dowiedziawszy się, kim są nasi chłopcy, z uśmiechem życzył im szczęśliwej podróży, obdarzył fotografią z własnoręcznym podpisem i błogosławieństwem. Cała audyencja odbyła się bardzo ceremonialnie. Nasi skauci przyklękli na jedno kolano, kiedy do nich przemawiał Ojciec Święty, który przy pożegnaniu dał im do pocałowania pierścień na swym ręku. Musiał się on spieszyć, gdyż w sąsiednich salach oczekiwały inne specjalne audyencje, w których brało nieraz udział kilkadziesiąt osób. Nasi skauci byli olśnieni powagą i majestatem tego posłuchania. Byli też dumni z tego, że otrzymali portrety Ojca Świętego, jest to bowiem zaszczyt, którego nie każdy dostępuje.

Tegoż dnia wyprawa otrzymała także audyencję u il duce Mussoliniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Przed oblicze tego wyjątkowego człowieka, który dziś na czele swej partii sprawuje faktycznie władzę we Włoszech, wprowadził naszych podróżników radca poselstwa polskiego, pan Guenther. Na przeciwległym końcu wielkiej sali, w samym rogu, stało nieduże biurko wodza narodu. Nauczono ich, żeby w odpowiedzi na powitanie wodza złożyli ukłon starorzymski przez podniesienie ręki w górę. Kiedy nasi skauci zbliżyli się, il duce Mussolini powstał od biurka, przy którym pracował, i po przedstawieniu sobie wyprawy zaczął zadawać jej pytania: co widzieli w Rzymie, jaką drogą wjechali, dokąd zamierzają się stąd udać itd. Pan Brettschneider, nauczwszy się kilku zdań po włosku, nie omieszkał się nimi popisać przed wodzem, który poklepał go łaskawie po ramieniu i spojrzał mu w oczy. Nastąpiło zdjęcie pamiątkowej grupy przez nadwornego fotografa, przy czym il duce stał na przedzie przed nisko umieszczonym obiektywem. Raczył on wpisać się do pamiątkowej księgi wyprawy. Nazajutrz ukazała się w dziennikach reprodukcja tego zdjęcia z licznymi i bardzo pochlebnymi dla wyprawy artykułami, dzięki którym nasi chłopcy od razu stali się popularnymi w całych Włoszech. Przez kilka dni mówiono o Polsce, z czego najbardziej może się cieszyli. Audyencje odniosły między innymi i ten pożądaný skutek, że automobilklub włoski udzielił wyprawie swej odznaki, którą umieszczono wraz z dawniej otrzymanymi na masce samochodu, a także dokładnych map na niebezpieczne drogi południowych Włoch i Sycylii, które później oddały wielkie usługi.

Na samym wyjeździe z Rzymu druh Jeliński „na wszelki przypadek” zajrzał na pocztę w nadziei, że otrzyma z Warszawy gazety i jakże się zdziwił, gdy wręczono mu list w różowej pachnącej kopercie, na której widział stempel miasta Lwowa. Kiedy ją rozdarł, ze

środka wyleciał mały, sztywny bilecik, na którym równym pismem jakaś kobieca ręka skreśliła następujące słowa:

*Przedsiębiorczemu druhowi, który ma nieść wysoko sztandar harcerstwa
polskiego poprzez szeroki świat i rozgłaszać w dalekich krainach chwałę
imienia polskiego, śle słowa zachęty i wytrwania.*

Iza W.

Krótki ten liścik, dowód pamięci z dalekiego Lwowa, podziałał jak balsam na duszę naszego podróżnika. Od ręki napisał pocztówkę do panny Izy z prośbą o taki sam liścik od czasu do czasu. Miało to być skuteczne lekarstwo na straszną chorobę, która chwyta w swoje szpony prędzej czy później każdego Polaka na obrzyźnię, której na imię Nostalgia – tęsknota za Ojczyzną.

ROZDZIAŁ IX.

PRZEZ NEAPOL DO SYCYLII. ROZBIEGANY SAMOCHÓD.

Od wyjazdu z Rzymu piękna harmonia zapanowała między członkami wyprawy. Cieszą się, że nieporozumienia koleżeńskie z druhem Ł. raz na zawsze się skończyły i że dobra opinia naszych skautów, dzięki interwencji poselstwa, nie będzie w dalszym ciągu podróży narażana na szwank. Innymi oczami pozostali chłopcy patrzyli na świat. Niebo wydawało się im głębszym i bardziej szafirowym, zieleń soczystszą, góry piękniejszymi, słowem wewnętrzny nastrój kładł piętno wesela i zadowolenia na całe otoczenie. Z tego nauka, że w podróz, jak na wojnę, trzeba się wybierać w zharmonizowanej i dokładnie poznanej kompanii. Inaczej przedsięwzięcie tego rodzaju bywa wystawione na ciężką próbę. Z pomiędzy rozmaitych ekspedycji, które wyruszały z Polski lub z innych krajów, zgoła żadna nie dotarła do wytkniętego celu. Ten los spotkał cyklistów, z którymi zetknięto się w Rzymie, piechurów, byłych wojskowych, motocyklistów, nie mówiąc już o różnych cudzoziemcach. Jedna tylko wyprawa druha Jelińskiego wypełniła całkowicie postawione sobie zadanie opasania flagą polską kuli ziemskiej i w niczym nie naraziła dobrej opinii narodu swego wśród cudzoziemców. I to należy grubo podkreślić.

Wyruszywszy w doskonałych humorach z Rzymu, posuwano się wzdłuż wybrzeża morskiego malowniczą szosą. Najbliższą stacją był Neapol, odległy o jakieś 150 kilometrów od Wiecznego Miasta. Pierwotnie zamierzano wsiąść w tym porcie na okręt i przepłynąć do Afryki, ale zażądano za to tak wysokiej sumy, że przekraczała ona znacznie środki wyprawy. Postanowiono tedy jak najskuteczniej wykorzystać auto, to znaczy dotrzeć do Cieśniny Mesyńskiej wzdłuż półwyspu, przepłynąć się przez nią do Mesyny, przejechać całą wyspę Sycylię i na krańcowym jej porcie dopiero załadować auto na okręt. Rada ta, jak się okazało w następstwie, była podwójnie dobra, raz dlatego, że zaoszczędzono znacznych kosztów, po drugie, że poznano niezmiernie ciekawe kraje.

Neapol, położony nad podobno najpiękniejszą na świecie zatoką, jest miastem noszącym charakter południowy. Wąskie kręte uliczki, na których w dzień pracują pod gołym niebem rzemieślnicy, krzykliwość i żywy temperament jego mieszkańców przemawiają do turysty nie znanym mu dotąd czarem. Wezuwiusz, z którego niby olbrzymie drzewo wznosi się w górę na parę kilometrów ciemny pióropuszy dymu, dodaje uroku temu wspaniałemu krajobrazowi. Od północy przylądek Posillipo, usiany wspaniałymi willami, zamyka widnokrąg. Od południa lśnią w słońcu niezliczone miasteczka i wioski rozłożone nad brzegami zatoki,

między nimi odkopane po katastrofie Herkulanum i Pompeje⁶⁵. Szeroki kamienny bulwar, wzmocniony nagromadzonymi wzdłuż niego tamami z narzuconych bezładnie jeden na drugim głązów i zieleniejący palmami wzdłuż niego park jest wielce uczęszczanym przez neapolitańczyków miejscem, gdzie w każde popołudnie odbywa się corso⁶⁶. Miasto jest zbudowane amfiteatralnie na wzgórzach., obejmujących ramionami błękitną zatokę, zamkniętą od zachodu sylwetką sławnej Caprery⁶⁷, gdzie znajduje się podziwiana przez wszystkich turystów Grota Lazurowa. Żaden opis nie zdoła dać wyobrażenia o czystości, kolorycie i głębi wód morskich, oświeconych od dołu jakby wielkim oknem, znajdującym się pod poziomem morza. Gra światła na ścianach pieczary tworzy czarodziejski koncert barw, wśród których przeważa najczystszy odcień szlachetnego szafiru. Z trudnością, z powodu wielkiej fali, zdołano wsiąść ze statku do łódek. Jeszcze większym niebezpieczeństwem był połączony wjazd do groty przez niskie wejście, zalewane co chwila przez nadbiegające bałwany. Przewodnicy musieli korzystać z krótkiej przerwy między jednym a drugim, żeby szybko prześliznąć się przez otwór. Chwila opóźnienia, a wąła łódeczka byłaby zgnieciona o sklepienie korytarza wraz z siedzącymi w niej turystami. Pobyt w czarodziejskiej grocie, która nie ma sobie nic równego na całym świecie, okupia jednak sownie ten strach. Inną osobliwością Neapolu jest akwarium morskie, zbudowane w parku Wiktorii nad samym brzegiem zatoki. Można tam przypatrzeć się do woli przebogatej florze i faunie Zatoki Neapolitańskiej, śledzić życie różnych ciekawych stworów poprzez olbrzymie szyby, poza którymi sztucznie odtworzono dno morskie ze wszelkimi szczegółami.

Ale kto ma przed sobą podróż naokoło świata, ten nie może nawet dla Neapolu poświęcić zbyt wiele czasu. Wyprawa po paru dniach puściła się wzdłuż wybrzeży zatoki i tutaj, w pobliżu Wezuwiusza, wśród ostrej woni oparów siarkowych, które rozchodzą się daleko wokół wulkanu, fordzik po raz pierwszy doznał uszkodzenia. Na popsutej i wąskiej drodze chciano wyminąć wielką, dwukołową arbę⁶⁸, zaprzęzoną w muły. Niezgrabny woźnica zawadził o tylny lewy błotnik i omal go nie oberwał. Było to pierwsze okaleczenie fordzielca, który szczęśliwie przebył dotąd kilkanaście tysięcy kilometrów. Winowajca, nie ścigany zresztą, podciął muły i uciekł, pozostawiając wielce strapionego tą przygodą druha Jelińskiego.

Droga wzdłuż zatoki, na „podbiciu” wielkiego buta apenińskiego, jest pełna malowni-

⁶⁵ Herkulanum i Pompeje – miasta we włoskim regionie Kampania, zniszczone przez erupcję Wezuwiusza 24 sierpnia w 79 r. n. e.

⁶⁶ Corso – reprezentacyjna szeroka aleja. Tu prawdopodobnie w znaczeniu: spacer.

⁶⁷ Błąd. Chodzi o wyspę Capri. Caprera jest wyspą u wybrzeży Sardynii.

⁶⁸ Arba (tur. araba) – ciężki dwukołowy (rzadziej czterokołowy) wózek, wykorzystywany w krajach południowych do transportu płodów rolnych.

czych zakątków. Po paru dniach przyjemnej podróży przeprawiono się na wielkim promie parowym przez Cieśninę Mesyńską i znaleziono się na obszernej Sycylii, uwieńczonej innym wielkim wulkanem, Etną, której śniegiem przyprószony wierzchołek, podobny do obłoku, majaczył w północnej stronie widnokładu. Mesyna, kilkanaście lat temu nawiedzona okropnym trzęsieniem ziemi⁶⁹, jest już odbudowana. Posiada ona wielki i piękny bulwar nadmorski. Stąd do Palermo prowadzi ostro pod górę pełna wirażów i niebezpiecznych miejsc szosa. Obok niej znajduje się największy we Włoszech tor wyścigowy dla samochodów, gdzie co-rocennie odbywają się konkursy międzynarodowe. Przejechano po nim dla ciekawości kilka kilometrów, ale opuszczono go bez żalu, gdyż różne podejrzanym odgłosy w silniku ostrzegały, że należy jechać ostrożnie i nie nazbyt szybko. Najlepiej spośród wszystkich uczestników podróży czuł się na Sycylii nasz joga Smosarski. Z lubością spoglądał na obszerne gaje pomarańczowe, pełne dojrzewających owoców, sławnych na całą Europę ze swej wielkości, słodyczy i aromatu. Kupiono kilkanaście sztuk od pewnej przystojnej Włoszki i zaczęto je obierać na sposób warszawski, co wywołało śmiech przekupki. Wzięła ona wielki owoc, zrobiła w nim dziurę kawałkiem drzewa, ugnoiła w rękę, wyssała sok, a resztę rzuciła na ziemię. Pomarańcze we Włoszech, zwłaszcza na Sycylii, są niezmiernie tanie, toteż nikt sobie z nich nic nie robi. Odtąd nasi chłopcy postępowali według otrzymanej wskazówki. Joga Smosarski zjadał się tymi smaczными owocami, mając czas jakiś w pogardzie inne środki żywnościowe. Wszędzie widziano jak wieśniacy zrywali z drzew dojrziałe owoce, kładli w kosze i nosili do szop, gdzie pakowano je w skrzynki i wysyłano na wszystkie strony świata.

Druh Jeliński z niepokojem śledził mapy, na których było mnóstwo pętlic wirażowych. Ciężka przeprawa czekała fordzika. Zbliżał się wieczór, a na tamtejszych drogach po zachodzie słońca nie spotkasz już ani jednego auta. Jazda nocna jest bowiem ustawą zabroniona dla uniknięcia i tak zbyt częstych wypadków, które się nieraz smutnie kończą. Druh Jeliński wyraził swoje obawy towarzyszom, zalecając im zatrzymanie się gdzie na noc, ale nie chcieli oni o niczym słyszeć.

– Tyle drogi już przejechałeś – mówili – wierzymy ci, że dasz sobie i tutaj radę. Nic a nic się nie boimy.

Wobec tego druh Jeliński, aczkolwiek niechętnie, ruszył dalej. Umówiono się uprzednio, że w razie niebezpieczeństwa siedzący wewnątrz Smosarski i Brettschneider powyskakują przez drzwi lub okno. Zaczęto spuszczać się po bardzo stromym odcinku szosy, obfitującym w wiraże. Po prawej ręce była góra wysoka na kilkaset metrów, po lewej bezdenna prze-

⁶⁹ Mowa o trzęsieniu ziemi z 1908 roku, w którym w samej Mesynie zginęło 83 tysiące ludzi – 55% mieszkańców. Miasto przez kilka następnych lat było opuszczone. Jego odbudowa trwała do 1920 roku.

paść, tak iż patrząc w nią doznawało się bardzo przykrego uczucia. Lada nieostrożność w kierowaniu autem, a stoczyłoby się ono po ostrych skałach gdzieś o paręset metrów w dół. Niewesoła perspektywa! Druh Jeliński przyzwał więc na pomoc całą swą zimną krew i zdobyte doświadczenie. Jechał z początku jak mógł najwolniej, ale czuł, że mimo hamowania to nożnym to ręcznym hamulcem, mimo zgaszonego motoru i włączonego drugiego biegu, fordzik rozpędzał się coraz bardziej. Niebawem szosa i zbocza góry zamieniły się jakby w szarą smugę. Pęd powietrza urósł do siły potężnego wichru. Auto, niby rozbiegany, oszalały rumak, pędziło na oślep po stromej pochyłości, na domiar złego pełną wirażów. Kompresja pod tłokami zgaszonego silnika także nie wiele skutkowała. Sytuacja stawała się tragiczna. Druh Jeliński, zdając sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, oblewał się zimnym potem. Czuł najwyraźniej jak z przerażenia włosy stają mu dęba na głowie. Śmierć zajrzała mu wprost w oczy. Wiraż! Zahamował rozpaczliwie, lecz spod palących się taśm hamulcowych zaczął wydobywać się gryzący dym. Był to oczywisty dowód, że hamulce przestały funkcjonować. Ford, nie wstrzymywany już niczym, leciał na złamanie karku. Wszelkie spotkanie z innym jakimś wozem w tych okolicznościach oznaczało śmierć niechybną. Druh Jeliński, nie wiedząc już jak się ratować skręcał nieco w bok i podjeżdżał pod górę z prawej strony szosy. Udało mu się kilkakrotnie w ten sposób powstrzymać bieg wariacki auta, ale nie na długo. Za chwilę ford znów z zawrotną szybkością toczył się po okropnej pochyłości. W jednym z takich momentów zwolnienia biegu druh Jeliński krzyknął na towarzyszy: „wyskakujcie”. Pokazało się, że nie czekali oni na to wezwanie, ale odważnie wyskoczyli już przedtem. Szczęściem padli na trawiaste zbocze góry i wyszli z tej ciężkiej przygody bez znacniejszego szwanku. Skończyło się na obdarciu skóry z kolan. Jeliński widząc, że nic nie poradzi, zdał się na los, doszedł bowiem do przekonania, że podjeżdżając w pędzie pod górę mógł być łatwo od niej odrzucony w przepaść i zginąć bez ratunku. Taka piekielna jazda, wyczerpująca do dna siłę nerwową, trwała jeszcze przez kilka minut. Na szczęście pochyłość kończyła się. Ford zwalniał sam z siebie szalony bieg. Teraz dopiero druh Jeliński poddał się rozstrojonym nerwom. Zaczął trząść się jak w febrze i chociaż auto stanęło i hamulce dymiły się nie był w stanie wprost ruszyć się z miejsca. Kiedy w jakąś godzinę później towarzysze nadeszli, kulejąc, zastali go w niezmienionej pozycji, na pół nieprzytomnego od doznanych wrażeń.

Zepchnięto maszynę na bok do niewielkiego rowu i rozłożono się biwakiem. Towarzysze, wdzięczni za tak cudowne ocalenie druhowi Jelińskiemu, otoczyli go czułą opieką. Zrobili mu jak najwygodniejsze posłanie i czuwali przy nim jak rodzice przy chorym dziecku. Smosarski, który sam był sportowcem, mówił z zachwytem:

– Brawo Jurku! Brałeś wiraże, że aż miło było patrzeć! Chociaż kolana mnie piekielnie bolały po wyskoczeniu, to jednak z satysfakcją patrzyłem, jak sobie dajesz radę, chociaż chwilami, przyznaję to, wpadałem w zwątpienie, a nawet w rozpacz: zabije się, jak Boga Kocham! Myślałem sobie. Licho weźmie całą ekspedycję i będzie trzeba piechotką wracać do Polski. Idąc szosą, lada chwila spodziewałem się, że znajdę fordzielca roztrzaskanego w drzazgi. Ja i Brettschneider spoglądaliśmy w przepaść, szukając tam na dnie w potoku ciebie i twojego zwariowanego auta! No, ale jakoś przy Boskiej pomocy wykręciłeś się z tego potrzasku! Niech ich nie znam, tych Włochów, którzy takie szosy budują. Ani to poręczy ani żadnych ostrzegawczych sygnałów! Jeżeli tak dalej będzie, to wolę iść na spadzistościach spacerkiem, niż tak karku nadstawiać.

Podniósł nos w górę, odetchnął głęboko, jak przykazuje hatha joga, dodając:

– Życie jest zaiste piękne! Szkoda by je było stracić tak marnie.

Po ciężko przespanej nocy w namiocie joga nakarmił druha Jelińskiego, czym tylko mógł. Ponieważ jednak środki materialne wyprawy wyczerpały się, więc uczta ta, będąca nagrodą za szczęśliwe ocalenie, składała się z paru pomarańcz, kawałka cukru i chleba. Za napój posłużyła woda z potoku. Wyprawa miała nadzieję, że w Palermo wsiądzie na statek i przeprawi się do tak niecierpliwie oczekiwanej Afryki, lecz kiedy przybyto do tego malowniczego portu sycylijskiego i udano się na zwiady, to się okazało, że przejazd okrętem kosztowałby więcej aniżeli wynosił żelazny fundusz wyprawy.

Na poczcie, gdzie spodziewano się zastać obfitą korespondencję i pieniądze, znaleziono zaledwie parę odkrytek⁷⁰ z życzeniami wesołych świąt wielkanocnych. Od rodziny i przyjaciół nie było nic! To wprawiło naszych skautów w kiepski humor. Zapuścić się do Afryki bez zasiłku pieniężnego było bardzo ryzykownie. Nie cofnięto się atoli przed tym niebezpiecznym krokiem. Nie mogąc opłacić przejazdu z Palermo do Czarnej Łądy, postanowione jechać aż do krańcowego portu sycylijskiego Trapani, skąd najbliżej do brzegów afrykańskich.

W miarę tego, jak posuwano się na południe, upały, mimo wczesnej wiosny, dawały się coraz bardziej we znaki. Jadąc wolno, stopniowo oswajano się z cieplejszym klimatem. Gorący wiatr wiejący od Afryki przynosił już jakby woń tej tajemniczej części świata. Kraj przedstawiał się niezbyt ponętnie. Nędzne wioski, rozrzucone po stokach gór spalonych słońcem i przeważnie nagich albo okrytych szarą zielenią drzew oliwnych nie mogły nęcić oka. Ludność prostacka, nieokrzesa, spoglądała podejrzliwie na auto mknące po pustkowiach nie

⁷⁰ Odkrytka – dawna nazwa pocztówki.

uczęszczanych przez turystów. W pewnej karczmie przydrożnej, gdzie się zatrzymano dla nabycia artykułów żywnościowych, zastano kilkunastu chłopów o ponurych, spalonych słońcem fizjonomiach. Ludzie ci, dowiedziawszy się, że mają do czynienia z Polakami, zaczęli sobie pozwalać na różne pseudodowcipne żarciki⁷¹. Kilkunastu z nich poufale zaczęło klepać po ramieniu naszych skautów. Brettschneider, który nie lubi, żeby mu w kaszę dmuchano, podszedł do jednego z chłopów i odwzajemnił mu się potężnym klapnięciem w ramię. Ale nie doszło jakoś do nieprzyjacielskich kroków. Wszczęła się pogawędka, prowadzona na pół po włosku, na pół po francusku. Nasi skauci mówili tym ciemnym ludziom o swej Ojczyźnie. Ze swej strony Włosi chwalili swoją. Skończyło się na tym, że chłop, ujrawszy fotografię wyprawy z duce Mussolinim, którą nie omieszkano im pokazać, nabrali respektu dla naszych podróżników. Pożegnano się dość serdecznie, wznosząc okrzyk na cześć Mussoliniego i Polski.

Nareszcie ukazało się Trapani. Jest to zapadła dziura portowa, dokąd większe okręty bardzo rzadko zawijają. Zaczęły się usilne poszukiwania statku, który by zgodził się za umiarkowaną opłatą przewieźć auto i podróżników przez morze. Dla nadania sobie większej powagi ułożono się, że Smosarski będzie udawał bogatego i znanego w świecie podróżnika. Brettschneider był jakoby nadwornym operatorem, mającym uwiecznić na filmie jego sławne czyny. Druh Jeliński zaś grał rolę prywatnego szofera, zajeżdżając przy głośnym trąbieniu przed kantory linii okrętowych. Robiono przy tym taki rejwach i hałas, że mógłby on nawet poruszyć nieboszczyków w grobie. Ta hałaśliwa reklama odniosła pożądany skutek. Zdołano wbić w głowę jednemu z dyrektorów większej agencji, że leży w jego interesie zrobić wyprawę jak największe ustępstwo na złość konkurentom. Obiecano mu, że będzie ze wszystkimi swymi urzędnikami sfilmowany podczas załadowywania auta na statek i że te filmy obiegną po tym całą Europę, a nawet Amerykę. Kiedy nadeszła wreszcie stanowcza chwila i wciągano żurawiem auto na pokład okrętu, który odbywał kursy pomiędzy Tunisem a Triestem, Brettschneider z wielką powagą grupował swoich pacjentów, ustawiając ich na wszelkie sposoby. Robiło to wrażenie, że przygotowuje się wielkie atelier kinematograficzne. Dyrektorowie, urzędnicy kompanii, marynarze, tragarze, nawet łobuziaki portowe, wszystko wzięło udział w tym zaimprovizowanym przedstawieniu. Dyrektorzy, bardzo przejęci swoją rolą, robili niezmiernie komiczne miny, starając się trzymać na przedzie grupy. Udawali filantropów, zapominając jakby, że kazali sobie za przeprawą sporo grosza zapłacić. Bruno sfilmował kawałek tej komicznej sceny, ale zabrakło mu taśmy. Nie tracił jednak dobrej miny, tylko w dalszym

⁷¹ Po włosku „polachi” znaczy „buciki”.

ciągu kręcił korbą. Powtórzył całą tę komedią parą razy, ku wielkiemu zadowoleniu licznie zgromadzonych trapanistów. Niestety joga Smosarski nie potrafił do samego końca utrzymać powagi sytuacji. Zapomniałszy znać, że miał uchodzić za bogatego turystę, w ostatniej chwili, kiedy już podnoszono kotwicę, zjawił się na pokładzie, dźwigając nie zawinięty nawet w papier olbrzymi bochen czarnego chleba, którym wyprawa miała się żywić podczas przejazdu morskiego. Fakt ten obniżył niezmiernie prestiż jego dyrektorskiej mości, naczelnika ekspedycji. Odtąd marynarze i agenci kłaniali się z daleka mniejszą uniżonością, ale nie dbano już o to z chwilą, kiedy fordzik znalazł się na pokładzie statku, a bilety opłacone w kieszeni.

Okręt był przepełniony podróżnymi. Nie pozostało ani jednego miejsca w kajutach. Nasi skauci musieli obiecać, że zamieszkają podczas podróży morskiej we wnętrzu auta. Nawet na pomoście nocowali mniej zamożni pasażerowie. Nie brakowało też różnych czworonogów. Kiedy statek opuścił port i znalazł się na pełnym morzu, zerwał się mocny wiatr i zaczęło niemiłosiernie kołysać. Skauci, najadłszy się na noc chleba i jakichś rybek, zaczęli tracić humor. Co chwila któryś znikał pod pokładem i wracał stamtąd chwiejnym krokiem żółty jak cytryna. Na pytanie, czy go nie wzięło, zapewniał atoli, że morskiej chorobie nie podlega. Tak po kolei każdy odegrał swoją komedię. Nikt oficjalnie nie chorował, ale co się tam działo „prywatnie” pod pokładem, o tym lepiej nie wspominać.

Rankiem, po marnie spędzonej nocy, nasi skauci ujrzeli na widnokręgu ciemną linię, która niebawem zamieniła się w wyraźnie zarysowany brzeg afrykański. Niebawem parowiec zarzucił kotwicę w Tunisie, stolicy kraju tejże nazwy, znajdującego się pod protektorem francuskim. Podróż po Czarnym Łądzie miała się niebawem rozpocząć.

ROZDZIAŁ X.

PRZEZ TUNIS DO ORANU. KŁOPOTY CELNE. WSZĘDZIE POLACY.

Statek zatrzymał się u bulwaru portowego przed komorą celną, gdzie czekały wyprawę niespodziewane przykrości. Władze celne zażądały od naszych podróżnych dość wysokiego cła za wprowadzone z zagranicy auto. Ma się rozumieć, że nie mogło o tym być mowy, żeby nasi podróżni, których kaleta mocno wychudła, zapłacili pokaźną sumkę. Okazano więc tryptyk otrzymany od automobilklubu warszawskiego. Na zasadzie tego dokumentu turyści nie płacą cła, przejeżdżając przez obce kraje, pod warunkiem, że nie sprzedadzą swojego samochodu. Ale w Tunisie nikt nie widział tryptyku i nie znał jego użytku. Podróżni niemało się napocili zanim zdołali wybrnąć z tej afery, która groziła im wystawieniem auta na licytację publiczną. Dopiero miejscowy automobilklub zdołał wytłumaczyć władzom, że dokument obowiązuje nawet w Tunisie.

W Warszawie jeszcze otrzymano adres pewnego Polaka, do którego natychmiast udano się po radę i opieką. Miasto Tunis nosi charakter wybitnie wschodni: małe, niskie domostwa, białe o płaskich dachach, o maleńkich okienkach od strony ulicy. Ludność różnobarwna, przeważnie składająca się z Arabów, Murzynów i Mulałów, krzykliwa, nędźnie odziana w białe lub jaskrawo pofarbowane burnusy⁷², bosa i brudna. Wszystko to nie zrobiło na przybyłych dodatniego wrażenia. Przy tym upał, pomimo zimy, dawał się już dobrze we znaki. Dzień był gorący, a noc tak chłodna, że nawet pod wełnianą kołdrą szczykało się zębami. Takie różnice temperatur dla nieprzywykłego do nich Europejczyka są bardzo przykre i trzeba dość długiego czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Dzielnica arabska, sąsiadująca już z pustynnym wnętrzem kraju, jest zamieszkała przeważnie przez najuboższą ludność tubylczą. Francuzi zbudowali jednak w pobliżu portu nową dzielnicę europejską, wyposażoną we wszystkie nowożytnie zdobycze cywilizacji, a więc: porządne hotele, tramwaje i oświetlenie elektryczne oraz dobre bruki. Są to jakby dwa zupełnie do siebie niepodobne miasta, reprezentujące dwie kultury: wschodnią i zachodnią.

Podróżni wsiedli z zadowoleniem do swego aucika i pojechali, kierując się wskazówkami policjantów, do pana Ostrowskiego, który zamieszkuje od dawna Tunis i chociaż przyjął obywatelstwo francuskie to jednak mówi doskonale po polsku i jest zapalonym patriotą. Do niego spiesono po radę i pomoc jako do jedyne go rodaka w tej krainie. Trzeba bowiem za-

⁷² Burnus – długie, wełniane okrycie z kapturem i bez rękawów noszone przez Arabów.

znaczyć, że w Afryce Północnej nie było wtedy ani jednego konsula polskiego. Dopiero w ostatnich czasach z powodu zamierzonej kolonizacji polskiej w Algierze zostali mianowani przedstawiciele rządu polskiego. Pan Ostrowski posiada na krańcu dzielnicy europejskiej niewielki sklep z zegarami i zegarkami kieszonkowymi. Sprzedaje ich atoli niewiele, bo głównie utrzymuje się z reperacji. Cieszy się on wielką popularnością w mieście – nie tylko między Europejczykami, ale i Arabami, zna bowiem wyśmienicie język arabski. Kiedy aucik wyprawy zajechał z flagą polską wywieszoną z tyłu, pan Ostrowski ucieszył się niezmiernie z przybycia rodaków. Nad sklepem ukazała się jego własna flaga, którą od chwili odzyskania niepodległości przez Polskę stale wywieszał w każde święto narodowe. Człowiek ten oddał wyprawie nieocenione przysługi, informując o miejscowych stosunkach. Sam wiele podróżował w głąbi kraju z karawanami i znał doskonale obyczaje Arabów. Ostrzegał, żeby nigdy nie nocować w ich sąsiedztwie, gdyż są to, z pewnymi nielicznymi wyjątkami, zawodowi rabusie. Póki obcy znajduje się w ich namiocie, póty jest gościem gospodarza i Allacha. Z chwilą jednak, kiedy opuszcza go staje się obcym, którego obrabować, a nawet zabić jako „niewiernego psa” każdy Arab poczytuje sobie za obowiązek, o ile naturalnie posterunki francuskie nie znajdują się w pobliżu. Rada ta wyszła naszym podróżnym na dobre podczas ich podróży po Afryce Północnej.

Pan Ostrowski udzielił wyprawie różnych potrzebnych wskazówek i adresów. Udano się przede wszystkim do miejscowego automobilklubu, który już okazał pomoc w zajęciu z władzami celnymi, po mapy niezbędne dla dalszej podróży. Zarząd klubu prosił druha Jelińskiego, ażeby ten przyjął odznaką klubową. Oświadczono naszym podróżnym, że o ich obecności w kraju będą powiadomione kluby w Algierze i Maroku⁷³, ażeby w razie jakiej przygody mogły pospieszyć z pomocą. Drugą ważną czynnością było zaopatrzenie się w znaczny zapas paliwa do silnika i smaru. Druh Jeliński był w posiadaniu listu polecającego od warszawskiej dyirekcji Vacuum Oil Company do przedstawicieli tejże firmy na całym świecie. Podobne listy miano i od firm Standard Nobel. Dzięki tym dokumentom nasi podróżni otrzymywali po niższej cenie lub zgoła za darmo materiał pędny, którego nabycie przy ich skromnych funduszach byłoby często zgoła niemożliwe. Rewanżując się za tę przysługę, druh Jeliński oświadczał przy każdej sposobności, że całą podróż odbywa materiałem pędnym wymienionych firm i że dzięki temu wyborowi zdołał pomyślnie odbyć i skończyć swój rajd naokoło świata, co zresztą było zgodne z prawdą. Ta obfitość materiałów pędnych stała się deską ocalenia dla wyprawy.

⁷³ W pierwszym wydaniu formy: Alger, Marokko.

Pewnego dnia, jadąc ulicami Tunisu, spostrzeżono jakiegoś dorodnego, dobrze zbudowanego Araba w malowniczym kostiumie narodowym, który na widok forda zaczął jak wariat wymachiwać rękami i w podskokach wpadł na środek jezdni, dając znaki podróżnym, żeby ci się zatrzymali. Od razu tłum Arabów otoczył maszynę. Na razie chłopcy nasi nie wiedzieli, co myśleć o tym dziwnym zachowaniu się Araba. Może zwariował, może popełniono jakiś nietakt albo, co gorsza, przestępstwo? Arab jednak, skoro ford zbliżył się doń, krzyknął z zapalem po polsku: „Niech żyje Polska!”. Ten niespodziewany okrzyk w rodzimym języku wywarł na podróżnikach głębokie wrażenie. Wyskoczono z auta i zaczęto ścisnąć Araba. Okazało się, że człowiek ten tak niespodziewanie napotkany tutaj poznał barwy polskie i chciał wywzajemnić się za dobre przyjęcie, jakiego niedawno zaznał w Polsce, dokąd go wysłano z Konstantynopola w delegacji, która imieniem Kemala Paszy⁷⁴ doręczyła Marszałkowi Piłsudskiemu srebrną szablę od narodu tureckiego na znak wiecznej przyjaźni. Znał on tylko ten jeden frazes, ale można było porozumieć się z nim po francusku, chociaż z biedą. Wyniósł on przyjemne wspomnienia z Polski i był dla niej bardzo przyjaźnie usposobiony. Poproszono go, żeby się wpisał do pamiątkowej księgi, co też zaraz uczynił, po czym objaśnił zebranemu tłumowi Arabów, kim są napotkani przez niego podróżni i po co tu przyjechali. I tutaj więc robiono propagandę na rzecz Polski.

Podróżni zapytali Araba, gdzie by można zakosztować narodowych przysmaków tureckich. Zaprowadził on ich w ciasną uliczkę, gdzie unosił się w powietrzu zapach tłuszczów i potraw. Zatrzymano się przed nędznym sklepikiem. Brudny Arab siedział z podwiniętymi nogami na dywaniku przed pierwotną bardzo kuchnią. Składała się ona z pewnego naczynia, którego lepiej nie nazywać po imieniu, z żarzącym się węglem. Nad nim, na żelaznym ruszcie, skwierczały jakieś długie poskręcane przedmioty. Arab wskazał na nie, uśmiechając się z zadowoleniem. Był to, jak się okazało, jeden z przysmaków miejscowych – świeże flaki baranie, które smażyły się w swoim własnym tłuszczu. Należało zrobić dobrą minę i skosztować specjału, który Arab kładł każdemu brudnymi palcami na jeszcze brudniejsze talerzyki. Jeżeli jakaś kropla smacznego tłuszczu groziła skapnięciem na ziemię, przewidujący gospodarz podcierał kiszeczkę palcem i oblizywał go z apetytem. Kiedy z przykrością, żeby nie obrazić Araba, połknięto przysmak, okazało się, że to dopiero wstęp do uczty. Na drugie podano kwaśne mleko. Gospodarz naprzód sam skosztował płynu, robiąc kilka dobrych łyków, po tym

⁷⁴ Mustafa Kemal Atatürk (1881-1938) – turecki polityk, generał, współtwórca i pierwszy prezydent Republiki Turcji (w latach 1923-1938).

dopiero zaczął rozlewać go na niemiłosiernie brudne krużki⁷⁵ gliniane. Obiad ten zakończył się garstką daktyli, wyjętych z woreczka. Przy pożegnaniu „restaurator” przedstawił na piśmie dość słony rachunek. Kolega Brettschneider obliczył jednak wszystko na nowo i skończyło się na tym, że zapłacono trzecią część żądanej sumki. W ogóle Arabowie stawiają zawsze wysokie ceny, licząc z góry na to, że nabywca będzie się z nimi zajadle targował. Cudzoziemiec powinien o tym pamiętać, odwiedzając sklepy na bazarze.

W Północnej Afryce istnieje jedna tylko dostępna dla samochodów szosa, ciągnąca się nad morzem przez Konstantynę i Oran do Algieru. Jest ona dziełem żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Tą właśnie drogą wyprawa, opuściwszy Tunis, skierowała się do Konstantyny. Jest to miasto bardzo godne uwagi i malowniczo położone po obu stronach głębokiego, skalistego wąwozu. Na jego dnie płynie rzeka, która nie wysycha nawet podczas upałów letnich. Nad tym wąwozem, zwanym Rhumel, o niezmiernie stromych skalistych zboczach, rzucono najwyższy podobno na całym świecie most kamienny, którego główny łuk ma 175 metrów długości. Most jest przynajmniej na kilometr długi i słusznie szczycą się nim francuscy inżynierowie, którzy go zbudowali. Na szczytach skalistych ścian Rhumelu są pobudowane domy, jakby gniazda ptasie, co nadaje miastu niezmiernie oryginalną fizjognomię. Konstantyna nosi charakter na wpół wschodni, na wpół europejski. Oko turysty uderza niezwykle duża ilość bocianów, które gnieźdzą się w ruinach albo na dachach domów, wieńczących skały wąwozu. Są one bardzo oswojone i wespół z sępami utrzymują jaki taki porządek na ulicach i ciasnych podwórkach. Ludność jest tu mieszana. Europejczycy mieszkają w ładniejszych dzielnicach, Arabowie zaś i Kabyle⁷⁶ gnieźdzą się przeważnie na skrajach i w pobliżu wąwozu. Wjechawszy do Konstantyny, nasi skauci przede wszystkim udali się na targ, gdyż wobec nadchodzących świąt wielkanocnych, które zamierzano spędzić gdzieś w drodze do Algieru, należało pomyśleć o porobieniu pewnych zapasów żywności. Niestety, kiedy obliczano kasę ogólną, okazały się w niej przeraźliwe pustki. Złożono radę, ale nikt nie umiał zdobyć się na jakiś koncept; głód zaczął zaglądać w oczy naszym podróżnikom. Humory bardzo się popsuły: siedziano koło auta, łamiąc sobie głowy, skąd wziąć środków na dalszą podróż. Nikt bowiem nie chciał nawet przypuścić, że całe przedsięwzięcie może rozbić się o brak marnej gotówki. Wprawdzie w Afryce można żyć byle czym. Arab zadawała się garstką daktyli na obiad albo kolbą kukurydzy i paroma owocami. Trudno jednak żądać od Europejczyków, żeby tak rap-

⁷⁵ Krużka – dawna jednostka objętości stosowana w Rosji, odpowiadała objętości 1,23 litra. Tu w znaczeniu: spodek.

⁷⁶ Kabylowie – naród berberyjski, zamieszkujący północno-wschodnią Algierię i przygraniczne obszary Tunezji; Kabylowie posługują się językiem kabylski, rzadziej arabski; wyznają islam sunnicki.

townie przyzwyczaili do postu swoje zbałamucone żołądki. Nawet joga Smosarski, który przepadał za owocami, musiał mieć od czasu do czasu kawał chleba.

Jeden tylko druh Jeliński nie tracił nadziei. Pozostawił swoich towarzyszy, pogrążonych w smutnych rozmyślaniach na temat „święconego”, sam zaś pojechał do składu Mobil Oil dla odnowienia zapasów oliwy. Miał on, jak wiadomo, kredyt nieograniczony na materiały pędne dzięki wspaniałomyślności firmy, z którą był w porozumieniu. Nie zastanawiając się głębiej, kazał sobie dać o dwie blaszanki oleju więcej niż zwykle. W jego myśli zaczął kiełkować zbawczy projekt, mogący ocalić wyprawę od śmierci głodowej. Przecież wszędzie, gdzie jeżdżą autami, olej mineralny, a zwłaszcza tak znanej i cenionej firmy jak Vacuum Oil Company ma wartość gotówki. Dlaczegożby więc... Druh Jeliński nieśmiało spróbował u pierwszego lepszego piekarza dokonać wymiennego handlu. Ku wielkiemu jego zadowoleniu Arab chętnie za bankę Mobil Oilu dał parę bochenków chleba i, jak się zdawało, był bardzo zadowolony z dokonanego interesu. Podjął się sprzedać i drugą bankę na rzecz wyprawy. Załatwiono to bez trudności. Druh Jeliński uczuł się nagle panem sytuacji. Na targu kupił owoców, cukru, kaszy i kartofli. Nie zapomniał także o znaczkach pocztowych, ażeby każdy z uczestników wyprawy mógł napisać do domu list z życzeniami dla swoich bliskich. Ukrywszy starannie w aucie zdobyte tak pomysłowo produkty, wrócił do towarzyszy. Na razie jednak nie wtajemniczył ich w swoje czynności. Właśnie joga głęboko się zastanawiał nad tym, czyby nie sprzedać lub nie zastawić złotego sygnetu, który jeszcze miał na palcu. Brettschneider zaś, który posiadał żelazny fundusz osobisty na drogę powrotną w razie jakiego niepowodzenia, za nic na świecie nie chciał się zgodzić, żeby go naruszyć. Położono się więc spać na głodno.

Nazajutrz rano wyjechano, zmierzając ku zachodowi, i zatrzymano się wkrótce w pewnym uroczym zakątku. Tutaj, nad słodko szemrzącym zimną wodą strumykiem, wśród gaju kwitnących oleandrów, które roztaczały daleko wokół silny aromat, zamierzono rozłożyć obóz i spędzić święta. Za całe święcone spodziewano się mieć tylko twarde suchary rozmoczone w wodzie strumienia. Smosarski, jak nakazywała hatha joga, poszedł wymyć swą doczesną powłokę w kryształowych wodach potoku. Brettschneider zaczął prać bieliznę, żeby godnie wystąpić w święta. Podczas ich nieobecności druh Jeliński wydobył z bagażnika ukryte zapasy i podzielił je na trzy porcje. Można sobie wyobrazić jak wielkie oczy zrobili jego towarzysze, kiedy, wróciwszy do obozu, spostrzegli te skarby. Wśród głośnych pochwał dla pomysłowego kolegi rozpalono suty ogień i zaczęto obierać jak najcieniej kartofelki. „Polską cieniutką kartoflanekę zajadaliśmy po afrykańsku”, powiada Jeliński, „bo zamiast okraszyć musieliśmy zadowolić się solą”. Na drugie danie tej uczyty świątecznej była kasza na gęsto obficie

posypane cukrem, na deser zaś każdy dostał garść świeżych daktyli, które w Afryce są daleko smaczniejsze niż w Polsce, i po dwie zielone, słodkie jak miód figi. Zamiast wina lub piwa stał przy improwizowanym stole cały kubek czystej jak kryształ i zimnej wody. „Zaręczam”, kończy swe wspomnienie druh Jeliński, „że to wszystko lepiej nam smakowało niż wam wszystkie babki, placki, mazurki i mięsiwa, którymi w ów dzień Wielkiej Nocy objadaliście się tam, w Warszawie, o parę tysięcy kilometrów od nas. W dodatku mieliśmy dużo słońca, kwiatów, zieleni, ładne widoki, co nam zastąpiło niedostatki naszego „święconego afrykańskiego”. Czuliśmy tylko żal do was, że tak tłumnie i tak serdecznie nas żegnaliście, a tak prędko o nas zapomnieliście... Gdybyśmy byli otrzymali choć parę listów z Ojczyzny, byliśmy wówczas zupełnie szczęśliwi”.

Bruno Brettschneider, który już kończył swoją karierę dla braku taśmy, ostatni kawałek zużył na sfilmowanie uczty wielkanocnej pod obcym i gorącym niebem afrykańskim. Czuł on, że choć z żalem, lecz będzie musiał rozstać się z towarzyszami, gdyż środki materialne wyprawy nie pozwalały jejłożyć dość znacznych kosztów na drogie taśmy kinematograficzne. Posiadał on pewien skromny fundusik na czarną godziną odłożony, który mógł mu od biedy starczyć na drogę powrotną. Roztropność nakazywała nie naruszać go i tak też pan Brettschneider uczynił. Nie uronił ani centa nawet wobec widma głodu, które stanęło na drodze naszym skautom.

ROZDZIAŁ XI.
W ALGIERII. BU SAADA.
NIEBEZPIECZNA PRZEPRAWA PRZEZ PUSTYNIĘ DO BISKRY.

Drogą samochodową, prowadzącą w sąsiedztwie morza z Konstantyny na zachód, w ciągu paru dni wyprawa dotarła bez przeszkód do stolicy kraju, który jeszcze sto lat temu znajdował się pod władzą despotycznych sułtanów i był gniazdem niebezpiecznych piratów. W ciągu jednego wieku Francuzi zdołali nie tylko podbić Algierię, ale także zrobili niezmiernie dużo dla podniesienia tej żyznej z natury ziemi, która obecnie jest perłą kolonii francuskich. Zaprowadzono tam racjonalne rolnictwo i wywiercono liczne studnie artezyjskie⁷⁷, które dostarczają dużo wody dla nawadniania plantacji i stają się centrami nowych oaz. Wielkie kapitały włożone w studnie bardzo się opłaciły. Rząd francuski nie ustaje w tych zabiegach, dzięki którym ludność podnosi się liczebnie i materialnie. Sama stolica, miasto Algier, posiada wspaniały port i jest zbudowana amfiteatralnie na stokach pagórków, otaczających półkolem przystań.

Dzielnica europejska zupełnie przypomina miasta kulturalne. Jest tu dużo gmachów rządowych, teatrów, świątyń chrześcijańskich i muzułmańskich oraz skwerów, tonących w zieleni palm, które w tutejszym klimacie wspaniale rozwijają się i dostarczają dostatek cienia. Dzielnica arabska, jak we wszystkich miastach północnej Afryki, jest zabudowana niskimi domkami o płaskich dachach i nie grzeszy zbytkiem czystości ani komfortu. Nasi skauci dowiedzieli się, że w mieście istnieje rodzaj klubu polskiego. W nadziei, że spotkają się tam z rodakami zajęli przed położoną na krańcach miasta. wille, ale doznali zawodu. Prócz bowiem prezesa, pana Z. Godziszewskiego, i paru członków, nikogo więcej nie mogli tam poznać. Okazuje się, że kolonia polska w Algierze jest bardzo szczupła. Ofiarowano naszym podróżnikom za niewielką zapłatą garaż dla auta, gdzie także i oni sami mogli w razie potrzeby zamieszkać. Nie było to ani wygodne, ani ładne, ale zawsze zapewniało dach nad głową, gdyż obozowanie pod gołym niebem wobec znanej skłonności Arabów do złodziejstwa nie należało do bezpiecznych przedsięwzięć. W dodatku zaoszczędzało to i tak już bardzo skąpych zasobów. Otwarcie mówiąc, kaleta wyprawy była pusta. Trzeba było pomyśleć o jakim sposobie zarobkowania. Po długich namysłach Joga Smosarski wpadł na projekt, żeby urzą-

⁷⁷ Studnia artezyjska – studnia, która powstaje przez wwiercenie się w głęboko położone warstwy wodonośne, w których woda znajduje się pod dużym ciśnieniem hydrostatycznym, dzięki czemu wypływa na powierzchnię samoczynnie.

dzień odczyt o podróży samochodem naokoło świata dla miejscowej publiczności w jednym z kin. Prezes domu polskiego przełożył rękopis dostarczony przez druha Smosarskiego na poprawny język francuski, a kolega Brettschneider podjął się wyświeślać porobione przez siebie przezrocza. Na poczet spodziewanych dochodów zaraz po zjawieniu się afiszów zdołano uzyskać w pewnym sklepie kredyt na artykuły żywnościowe i wszyscy byli najlepszej myśli. Biegano od rana do nocy, ażeby całość wypadła jak najlepiej.

Niestety te piękne nadzieje rzeczywistość obaliła jednym podmuchem niepomysłnego wiatru. Okazało się, że na zajmujący bezsprzecznie odczyt przybyło dużo młodych skautów za ulgowymi biletami. Prawdziwej, zamożniejszej publiczności zjawiało się kilkanaście zaledwie osób. Gorąco odstręczało wszystkich od tego rodzaju przyjemności. Kiedy po odczycie kolega Brettschneider obliczył kasę, okazał się dość znaczny deficyt zamiast spodziewanego dochodu. Włożone pieniądze i praca przepadły. Pocieszano się tylko myślą, że bądź co bądź zrobiono pewną propagandę na rzecz Polski. Ale to nie poprawiło materialnej sytuacji wyprawy. Druh Jeliński poczuł, że on jeden może uczynić coś realnego dla kolegów jako kierowca samochodu wyprawy, znający dobrze swoje rzemiosło. Wnet się okazało, że pomysł to bardzo szczęśliwy. W parę dni po niefortunnym odczycie poznano się w domu polskim z wybitną osobistością, profesorem Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, panem Jerzym Czekalskim. Profesor, jako geolog, otrzymał stypendium na badania pustyni Sahary i przyjechał do Algieru w zamiarze odwiedzenia szeregu miejscowości, które go specjalnie interesowały. Chciał on dotrzeć do Biskry, Bu Saady i innych oaz położonych wśród pustyni o kilkaset kilometrów od Algieru. Zapowiedział przy tym, że niebawem przyjedzie z Warszawy mecenas Poznańska, osoba zamożna, która również wybiera się w tamte strony w charakterze turystki. Otworzyła się więc niespodziewana perspektywa jakiegoś zarobku. Druh Jeliński podjął się zawieźć profesora i jego znajomą przez pustynię do Bu Saady. Nie było to łatwe ani bezpieczne przedsięwzięcie, droga bowiem prowadzi poprzez skaliste góry Atlasu Saharyjskiego i następnie przechodzi w zupełne bezdroża, które zwykle przebywa się na wielbłądach karawanowo.

Koledzy druha Jelińskiego mieli z początku czekać na jego powrót, ale pan Brettschneider, znużony i zniechęcony ciągłymi brakami, a nawet niedostatkiem, jaki wyprawa cierpiała w Afryce, wycofał się z przedsięwzięcia, które mu się wydało nierentownym. Zabrał więc swój aparat i dokonane zdjęcia w zamiarze spieniężenia ich w Europie. Po tym, spodziewanym zresztą, rozstaniu druha Jeliński pozostał tylko w towarzystwie jogi Smosarskiego, który nie tracił ducha i był gotów na największe nawet ofiary, aby tylko doprowadzić do końca podróży.

Pani mecenasowa Poznańska wysiadła z parowca w towarzystwie istotki, którą druh Jeliński wziął za rozłobuzowanego chłopca, była bowiem ubrana w majteczki, sportowy kapelusik i wywijiała energicznie trzymaną w ręku szpicrutą. Jakież było zdziwienie druha Jelińskiego, kiedy nazajutrz, przybywszy do hotelu zamieszkałego przez profesora Czekalskiego dla ułożenia marszruty na oazy, przekonał się, że ten hałaśliwy chłopiec zamienił się w poważną, dziesięcioletnią dziewczynkę, o której przyjaźń wszyscy obecni usilnie zabiegali. Hanka Poznańska była nad wiek rozwiniętą umysłowo panienką, z którą można było poważnie o wielu rzeczach pomówić. Obdarzona bardzo bujnym temperamentem wносиła życie i humor wszędzie, gdzie się znalazła. Ona to, jak się okazało, poznawszy druha Jelińskiego, zapragnęła w jego towarzystwie zaznać silnych wrażeń w podróży przez pustynię. Namawiała więc gorąco matkę, ażeby ta zgodziła się na dość awanturniczą wyprawę. A matka nie potrafiła oprzeć się naleganiom swej ukochanej jedynaczki i, lubo⁷⁸ ze strachem, przystąpiła więc do przygotowań.

Druh Jeliński, otrzymawszy pokaźną zaliczkę, zabrał się do reperowania opon i do robienia zapasów paliwa na drogę. Część z tych pieniędzy poszła na dług zaciągnięty w sklepie przed nieszczęśliwym odczytem, resztę zaś zachował joga na swoje potrzeby podczas nieobecności towarzysza. Mając o niego głowę spokojną, druh Jeliński z zapalem szykował się do podróży, nie zdając sobie dokładnie sprawy z niebezpieczeństw, jakie mogły go spotkać w pustyni. Jego przygodni pasażerowie ze swej strony robili zapasy tak obfite jak gdyby wybierano się do środka Czarного Lądu, gdzieś nad jezioro Tanganikę. Samochód był wyładowany blaszankami z wodą słodką do picia i puszkami konserw. Profesor, który myślał tylko o naukowej stronie ekspedycji, zabrał różne przybory do poszukiwań geologicznych, a więc młotki, oskardy, worki na minerały i tym podobne przedmioty. Przygotowania te trwały dni parę. Wreszcie pewnego pięknego poranka, o samym świcie, gdyż w Algierii można podróżować najwyżej do 10-tej rano z powodu nadmiernego upału, wyruszono w podróż do oaz.

Początek tej wycieczki był bardzo przykry, zwłaszcza dla nieoswojonej z drogami afrykańskimi pani Poznańskiej. Auto musiało wspinać się mozolnie po bardzo pierwotnej szosie, zbudowanej poprzez łańcuch Atlasu Saharyjskiego. Co chwila jechano tu nad głębokimi przepaściami. Podróżni zamykali oczy, ażeby nie dostać zawrotu głowy lub ataku nerwowego. Profesor, posiadający z natury dość zimną krew, był mocno nieswój i zaczął w końcu cierpieć na chorobę górską. Na wzniesieniu paru tysięcy metrów⁷⁹ nad poziom morza dostał silnego krwotoku z nosa. Pani Poznańska żaliła się na przejściową głuchotę i ból głowy.

⁷⁸ Lubo – przestarzałe: choć, chociaż.

⁷⁹ Wartość przesadzona, wzniesienia na trasie z Algieru do Bu Saady nie przekraczają 1500 m.n.p.m.

Jedna tylko Hanka nic sobie nie robiła z przepaści i z rozrzedzonego powietrza, chrupiąc zabrane w drogę karmelki. Kiedy druh Jeliński minął szczęśliwie jaki niebezpieczny odcinek nad przepaściami, obdarzyła go w nagrodę cukierkiem, który sama wkładała mu do ust. W krytycznych momentach chwytła drobnymi rączkami za kierowniczkę, sądząc, iż jej interwencja dużo pomagała. Druh Jeliński musiał tolerować tego nieproszonego pomocnika, który w gruncie rzeczy tamował jego swobodę ruchów.

Profesor Czekalski z barometrem w ręku i mapą na kolanach śledził trasę przebieganą przez samochód, dając towarzyszom cenne objaśnienia. Przeprawa przez łańcuch górski trwała w ciągłym napięciu nerwów przez cały dzień. Wieczorem dopiero dojechano do przełęczy, z której już droga zaczynała opuszczać się w dół. Niedaleko za nią, w miasteczku francuskim, zatrzymano się na nocleg. Wszyscy byli tą podróżą bardzo wyczerpani nie tyle fizycznie, ile nerwowo. Zamiast więc podnieść się na nogi o 4-tej rano, jak to zamierzano, wyruszono w dalszą podróż dopiero przed samą 10-tą, kiedy zaczyna się największy upał. Ma się rozumieć, że pod ostrymi, przenikającymi nawet przez odzież strzałami wypuszczanymi przez Apollina nie zdołano długo wytrzymać. Zrobiono niebawem przystanek w cieniu jakiejś skały. Nawet fordzik nie mógł znosić takiej temperatury – powietrze rozgrzane do 40 niemal stopni źle chłodziło silnik, który skutkiem tego ciągle się zagrzewał. Rozbito namiot skautowski pod skałą i przez parę godzin rzucono się, obyczajem miejscowym, w objęcia Morfeusza.

Z przełęczy droga górską prowadzi skrętami coraz bardziej w dół. Jest ona dość dobrze utrzymana, ale ruch samochodowy na niej dotąd bardzo słaby, dlatego też dwaj automobiliści, jadący naprzeciw siebie, zatrzymują się zawsze i pytają jeden drugiego czy mu czego nie brak. W razie potrzeby dzielą się paliwem, a nawet częściami zapasowymi lub też, stosownie do okoliczności, dają czynną pomoc w reperacjach. Francuzi w tych wypadkach postępują z wielką kurtuazją, cudzoziemiec czuje się więc w przyjaznej atmosferze i to dodaje mu odwagi i pewność siebie. Na szczęście druh Jeliński, zawsze przewidujący, nie znalazł się ani razu w ciągu całej swej podróży w trudnym położeniu na skutek jakiegoś zaniedbania, miał za to parę okazji do oddania przysługi kolegom sportowym. Pod wieczór zdołano dotrzeć do pierwszej oazy, która leży poza łańcuchem górskim niedawno przebytych już wśród pustyni. Po tamtej stronie jeszcze tu i ówdzie można widzieć trochę zieloności i gdzieś tam jakieś źródło tryska spod skały. Po wewnętrznej atoli stronie pasma postać rzeczy od razu się zmienia – całą wilgoć od morza pozostawiamy za sobą, przed nami zaś rozciąga się olbrzymia, nierówna, pokryta piaszczystymi pagórkami bezwodna pustynia, która ciągnie się na setki mil geograficznych ku południowi aż do rzeki Niger i jeziora Czad. Całe to morze piaszczyste byłoby zupełnie nie do przebycia, gdyby nie rozrzucone po nim wyspy zieleni, czyli

oazy. Gdzieś w zagłębieniu gruntu albo na stoku wzgórz tryska spod ziemi ożywcze źródło czystej wody. Dookoła niego rosną palmy, cokolwiek innych drzew i trawa. Ludzie bardzo pracowicie pobudowanymi kanałami starają się sprowadzić wodę na swoje polka. I tak powstaje rodzaj wsi. Każda oaza staje się jakby stacją dla karawan, które na wielbłądach przebywają pustynię. Tutaj można wypocząć w cieniu palm, uzupełnić zapas wody, napoić domadery, zakupić nieco daktyli, ryżu lub kukurydzy. Na większych i obszerniejszych oazach powstają nawet spore miasta. Większość mieszkańców to Arabowie, rzadziej Kabyle, którzy zajmują się ogrodnictwem i rolnictwem, w przeciwieństwie do Arabów, urodzonych koczowników, żyjących z hodowli koni i baranów, a przy okazji z rozbójnictwa.

Nasi podróżni po raz pierwszy w życiu mieli ujrzeć taką oazę, nic więc dziwnego, że ciekawie rozglądali się dookoła. Bu Saada leży w otoczeniu dość wysokich wzgórz, z których wypływa strumień, poruszający nawet młyn wodny Ferrero. Dostatek wody pozwala na hodowlę drzew daktylowych, figowych, niektórych roślin zbożowych i jarzyn. Słynne są w Algierze i bardzo tanie melony i arbuzy; wszędzie ich pełno. Właściciel plantacji kilkudziesięciu daktylowców uważany jest za zamożnego człowieka. Pozwala on ubogim Kabulom sadzić u stop palm jarzyny; wie bowiem, że ogrodnik musi je dobrze nawadniać, a palma, jeżeli ma rodzić obficie, to musi pióropusz z liści kapać w słońcu, a stopy w wodzie.

Zakurzeni, znużeni upałem, nasi podróżni zatrzymali się w niewielkim arabskim hoteliku. Druh Jeliński jednak, musząc pilnować samochodu, a poza tym pragnąc uniknąć niepotrzebnego wydatku, ulokował się pod szopą. Nie mógł jednak z powodu gorąca zaraz usnąć. Noc księżycowa i zapadający chłód nęcił do przechadzki po oazie. Wszyscy czworo, nie wyłączając małej Hanki, po kolacji wyszli na świeże powietrze, kierując się w stronę pustyni. Pomiędzy szeregami daktylowców płynęły ujęte w bambusowe rynienki małe kanaliki, przeznaczone do zraszania drzew. Nad nimi siedziało w kucki kilkunastu Arabów, którzy widocznie spóźniwszy się z modlitwą i ablucjami dopełniali teraz dopiero tej ceremonii, przy czym, korzystając z dostatku wody, nie omijali żadnej części swojego ciała. Nie był to widok zbyt budujący dla zwykłego chrześcijanina. Idąc dalej, nasi podróżni zauważyli, że pod drzewami na gołej ziemi czy też na brudnych szmatach leżą prawie nagie dzieci. Widząc zbliżających się cudzoziemców, zrywały się i goniąc za nimi krzykliwie domagały się jałmużny. Pani Poznńska i Hania zaczęły rozpytywać się u nieodstępnie towarzyszącego podróżnym nieproszonego zresztą przewodnika czyje są te dzieciaki. Okazało się, że są to podrzutki, pozostawione tutaj przez karawany. W ogóle między Arabami panuje wielka bieda. Często się zdarza, że rodzice nie są w stanie wyżywić zbyt licznej rodziny. Na oazie, gdzie bądź co bądź nie można umrzeć z głodu, pozostawiają więc swoje potomstwo na łasce litościwych ludzi. Nikt

się nimi właściwie nie zajmuje. Mali nędzarze muszą więc żyć z drobnych usług okazywanych turystom, z żebraniń, a w ostateczności dopuszczają się i kradzieży. Takich nieszczęśliwych, opuszczonych dzieci na każdej oazie znajduje się nieraz po kilkaset. W ogóle Arabowie starają się jak mogą wyciągać gotówkę z kieszeni cudzoziemców. Jeden z nich chciał panu Czekalskiemu sprzedać żywego, oswojonego lisa pustynnego. Inny zaofiarował Hance śliczną, małą gazelę. Kiedy druh Jeliński zauważył, że nie wie, co z nią począć w drodze, Arab oświadczył gotowość zabicia zwierzątka na poczekaniu i sprzedania tylko jej skórki i różków. Ale Haneczka, której serduszko oburzyło się na takie barbarzyństwo, zaprotestowała, więc kupno nie doszło do skutku.

Kładąc się spać, każdy przybysz musi bacznie obejrzeć łóżko czy gdzie pod poduszkę lub pod prześcieradło nie zakradł się skorpion, bo tych nie brak na oazach. Lubią one chować się nocą nawet do trzewików, trzeba więc przed kładzeniem pończoch i obuwia dobrze je naprzód wytrzepać. Ukąszenie skorpiona, choć nie zawsze śmiertelne, jest bardzo bolesne i niebezpieczne. Sprowadza zawsze silną gorączkę trwającą kilka dni. Nareszcie nasi podróżni rozstali się. Panie i profesor udali się do swoich pokoi. Druh Jeliński zaś do szopy, gdzie zajął się przygotowaniem sobie posłania z koców w głębi auta. Nie mógł jednak i teraz usnąć. W pobliżu kwiczały i gryzły się między sobą wielbłądy, nieposkramiane przez śpiących poganaczy. Chcąc się przyjrzeć „okrętom pustyni”, poszedł do okólnika⁸⁰. Zaspokoiwszy swą ciekawość, wracał inną drogą. Zauważył pod daszkiem kilkanaście wielkich kuf napęcznionych wodą. Była to zbyt wielka pokusa. Druh Jeliński przypomniał sobie o ablucjach Arabów i doszedł do przekonania, że i cudzoziemcy naśladują ich pod tym względem, ale nie chcąc dokonywać tego publicznie, kąpią się na ustroniu, nie w kanałach, lecz w beczkach tak jak Japończycy. Niewiele więc myśląc, zrzucił z siebie odzież i pogrążył się z nieopisaną rozkoszą w chłodnej czystej wodzie.

– Jaka szkoda, że profesor nic nie wie o tym zwyczaju – myślał, szorując się mydłem – Pewnie sam zażyłby chętnie kąpieli. Biedak musiał poprzestać na umyciu się w niewielkiej miednicy. A tu cała beczka wody!

Po tym już naturalnie spał doskonale. Obudziwszy się rankiem, pobiegł do pokoju profesora Czekalskiego.

– Chce się pan profesor wykapać? – zagadnął.

⁸⁰ Okólnik – ogrodzona część podwórza bądź pastwiska przeznaczona dla bydła, owiec lub koni.

Uczony nie dowierzał jednak, powiedziano mu bowiem wyraźnie, że wody na kąpiel nie ma i że można się umyć tylko w kanalikach tak jak Arabowie. Kiedy już wszyscy znaleźli się przy stole, profesor odezwał się głośno:

– Cóż to mój druhu, zażartowałeś sobie ze mnie? Tu nigdzie żadnej kąpieli nie ma. Chyba ci się przyśniło.

– Kąpałem się wczoraj wieczór i dziś rano — odparł stanowczo druh Jeliński.

– Gdzie?

– Ależ w beczce i przygotowanej widocznie na użytek podróżnych.

– Gdzie ta beczka stoi? – krzyknęła pani Poznańska błędąc i odsuwając gwałtownym ruchem napoczętą filiżankę herbaty.

– Tam pod szopą. Wieczorem i panią mogę tam zaprowadzić.

– Ładno historia! – zawołał profesor. – Właśnie niedawno pokojówka przyniosła stamtąd wody do picia.

– Ja zaraz powiedziałam, że dziś herbatę czuć mydłem – wtrąciła Haneczka.

– Boże, i ja to piłam! – jęknęła pani mecenasowa.

Chyłkiem wyniosła się do swego pokoju, a za nią pobiegła zaniepokojona Haneczka. Okazało się, że „mamie zrobiło się niedobrze”. Wróciwszy do siebie, pani mecenasowa kategorycznie oznajmiła, że trzeba bezzwłocznie opuścić oazę, gdyż nie ma tu już wody zdatnej do picia. Druh Jeliński, który nie miał czystego sumienia, zabrał się energicznie do przygotowania auta na najniebezpieczniejszy odcinek podróży. Do Biskry trzeba było przejechać przez zupełnie pustynny, dość rzadko uczęszczany odcinek Sahary i poświęcić na to przy sprzyjających okolicznościach cały dzień czasu. Można było jechać także okólną⁸¹, pewniejszą znacznie drogą, wracając do Algieru. Nowa przeprawa przez góry nikomu się jednak nie uśmiechała. Postanowiono tedy zaryzykować, chociaż pytani o radą Arabowie kiwali głowami. Zdanie druha Jelińskiego było tutaj decydujące. Profesor Czekalski zbadał mapy, które go niewiele nauczyły i zagadnął:

– No, jak pan myśli? Przejedziemy czy nie?

Druh Jeliński, który rządził się, jak wiemy, piękną, choć niezbyt bezpieczną zasadą: „Zawsze naprzód, nigdy w tył”, zbadał ze swej strony auto, zmierzył ilość benzyny i oliwy, obejrzał opony i rzekł..

– Spróbujmy, panie profesorze. O ile nie zbłądzimy, to za dwa dni najdalej dotrzemy do Biskry.

⁸¹ Okólny – zwykle o drodze, trasie: okrężny.

Zabrano jak najwięcej wody do picia i do chłodzenia motoru, zdjęto maskę, żeby ułatwić wentylację, położono na bak i bańki z benzyną stos mokrych ścierek, wypito na zapas, ile tylko się zmieściło i ruszono śmiało w drogą. Zaraz za Bu Saadą zaczęły się wydmy piaszczyste. Są to ruchome wzgórza, które wiatr przenosi z miejsca na miejsce. Skutkiem tego na pustyni bardzo trudno się orientować; wszelkie ślady wielbłądów znikają po paru dniach, a nawet godzinach. Tylko sztucznie nagromadzone stosy kamieni służyły za drogowaskazy. Ujechawszy kilkanaście kilometrów, nasi podróżni stracili atoli i tę jedyną wskazówkę. Auto znalazło się na bezmiernej równinie, oblanej palącym słońcem – pustej zupełnie. Nigdzie najmniejszego drzewka, krzaczka, nawet kępy trawy. Nad głowami szafirowe niebo, dookoła pustka, przegniatająca ducha. Na domiar złego piasek ustąpił miejsca ostrym kamieniom, bardzo groźnie przedstawiającym się dla kierowcy auta. Profesor, zbadawszy mapę, oświadczył, że wyprawa znajduje się na najgorszym odcinku drogi, zwanym „śmierć gumom”. Druh Jeliński oczekiwał więc lada chwila katastrofy. Starał się jak mógł wymijać ostre głazy, ale w końcu posłyszał charakterystyczne, suche uderzenia felgi o kamienie. Dowód niezaprzeczony, że powietrze z opony przedziurawionej uciekło. Trzeba więc było zatrzymać się i zmienić popsutą oponę na zapasową. Przy tej czynności druh Jeliński dość lekko zresztą uderzył się młotkiem w palec, z którego, ku wielkiemu jego zdziwieniu, trysła krew strumieniem. Profesor Czekalski pocieszał go, że jest to objaw w tym klimacie bardzo naturalny, upał zwiększa bowiem cyrkulację krwi i ciśnienie w arteriach. Z drugiej strony w Afryce Północnej rany, gdzie indziej bezwarunkowo śmiertelne, często goją się bez żadnych złych następstw. Najbardziej w bitwie pokiereszowany Arab wraca do zdrowia.

Zreperowawszy auto, posuwano się dalej. Po jakimś czasie atoli druh Jeliński doszedł do przekonania, że się zabłąkał. Nigdzie żadnego śladu drogi. Dookoła rozciągała się, jak okiem sięgnąć, pustynia. Kierowano się tylko busolą i słońcem. W tych warunkach było można atoli minąć o kilka kilometrów w jedną albo w drugą stronę cel podróży i zapuścić się na bezdroża. Te same myśli, jak się pokazało, opanowały i jego pasażerów. Zaczęto przebąkiwać o powrocie, póki jeszcze wiatr nie zawieje śladów auta. Jak jednak rozpoznać ślad przebyty na kamienistej drodze? Zatrzymano się, ażeby sprawdzić, czy auto pozostawiło za sobą kolej. Okazało się, że nie. Druh Jeliński, widząc zaniepokojenie i łzy swoich pasażerek, kłął się na wszystko, co najświętsze w duszy, że już nigdy nie zabierze ze sobą niewiast.

Z daleka ukazał się na wielbłądzie jakiś Arab. Dawano mu znaki, ażeby się zatrzymał, ale on popędził dromadera, nie zwracając na podróżnych uwagi. Pojechano więc tam, gdzie spostrzeżono z początku jeźdźca. Po jakiejś godzinie przedzierania się przez głazy ostre jak potłuczone szkło, pękła z hałasem druga z kolei opona. Położenie stało się groźne, pozostała

bowiem jedna tylko opona nienaruszona. Można było po takiej drodze, która słusznie nosiła nazwę „śmierć gumom”, potracić wszystkie opony po kolei i reperować je bez końca. Druh Jeliński, poprosiwszy panie, żeby przestały płakać, gdyż ich łzy wytrącają go z równowagi psychicznej, obecnie niezbędnej, zmierzył ilość benzyny, zorientował się jako tako co do kierunku i w końcu oświadczył, że położenie jest wprawdzie poważne, ale nie należy tracić nadziei. Po raz pierwszy od wyjazdu napił się wody. Pani Poznańska troskliwie obliczyła zapasy cennego płynu i przekonała się, że go starczy jeszcze na jeden dzień. Owinęła kierowcy bandażem krwawiący palec i ruszono dalej.

Niebawem strapionym podróżnym uśmiechnęło się szczęście. Zaczęła się lepsza nieco droga. Kamienie stawały się mniej ostre i rzadsze, a pod piaskiem ukazywały się kępki trawy, chętnie jadanej przez wielbłądy. Zwiększono wobec tego szybkość. Po jakimś czasie na widnokręgu zamajaczyły sylwetki wielbłądów. Była to cała karawana. Na jej czele jechał na ślicznym koniu Arab, widocznie szejek. Ujrawszy auto z flagą polską, złożył ukłon, na który mu uprzejmie odpowiedział po arabsku profesor Czekalski, znający dobrze ten język. Po szejku ukazał się cały szereg wielbłądów juczych. Dźwigały one na grzbiecie różne gospodarskie przedmioty, towary itp. Na najlepszych pod baldachimami siedziały kobiety z dziećmi. Po barwach baldachimów profesor Czekalski potrafił rozpoznać, do jakiego plemienia należeli napotkani Arabowie. Mężczyźni szli pieszo albo jechali konno. Kiedy najliczniejsza grupa mijiała auto, wyskoczył z niej jakiś obdartus, ozdobiony medalem wojskowym. Przywitał się on z podróżnymi łamaną francuszczyzną i zdziwił się niepomnie, kiedy profesor odezwał się doń w jego rodowym języku. Mowa arabska w ustach cudzoziemca zaimponowała Arabom, zaczęli więc wydobywać z ukrycia stare strzelby z długimi lufami, noże okute w srebro i inne cenne okazy broni. Na piersiach byłych wojaków zaświeciły ordery. Karawana otoczyła samochód. Profesor Czekalski wdał się w rozmowę, ale druh Jeliński wiedząc, że Arabowie w pustyni nieraz dopuszczają się napaści na podróżnych, miał się na ostrożności. Nabiał i zarepetował⁸² oba karabiny, trzymając je na kolanach. Na ten widok Arabowie trzymali się w przyzwyczajonej odległości. Stosunki pokojowe nie zostały naruszone.

Dowiedziano się, że fordzik znajduje się niedaleko od Biskry i może tam na wieczór dojechać, trzymając się śladów karawany. Wobec tego trwożny nastrój zamienił się na wesoły. Łzy od razu obeschły na buzi Haneczki i jej mamy. Zadzwoił srebrny uśmiech. Profesor wysiadł, zabrał swoje instrumenty geologiczne i zaczął badać sąsiednie skały. Walił młotkiem i oskardem aż iskry leciały. Druh Jeliński przy pomocy pani Poznańskiej zabrał się do przy-

⁸² Zarepetować – przygotować broń do strzału.

rzędzania posiłku, od wyjazdu bowiem nic prócz wody nie miano w ustach. Okazało się jednak, że miejsce na postój było źle obrane, gdyż za karawaną ciągnęły w chmurze kurzu niezliczone stada owiec, osłów i wielbłądów, cały majątek plemienia koczowniczego. Otwarte puszki byłyby się niemiłosiernie zakurzyły. Druh Jeliński, nie widząc innej rady, zaczął strzelać z karabinu w powietrze. Osiągnęło to dobry skutek, gdyż przerażeni poganiacze skęcili w bok, ocalając zagrożoną wieczerzę. Profesor wrócił do auta, dopytując, co się stało. Dźwigał on na plecach dwa worki minerałów, jak twierdził, bardzo rzadkich.

Zdenerwowanie przeszło we wściekły apetyt. Zapasy znikwały z przerażającą szybkością. Druh Jeliński, który nigdy nie chorował na brak apetytu, trzymał w tym koncercie pierwsze skrzypce. Proponował on rozbić namiot i spędzić romantycznie noc wśród pustyni, patrząc w świetnie błyszczące na firmamencie gwiazdy. Niestety pani Poznańska przedkładała wygodne łóżko hotelowe nad nocleg pod gołym niebem. Chcąc nie chcąc musiano zrezygnować z pięknych zamiarów i puszczono się we wskazanym kierunku, korzystając z pozostałych jeszcze paru godzin dnia. Spotkano po drodze kilka maleńkich oaz oraz licznych Arabów, którzy zapewnili podróżnych, że cel podróży leży niedaleko. Przed samym zachodem słońca ukazała się na widnokręgu wspaniała Biskra ze swymi obszernymi lasami palmowymi i białymi budynkami, tonącymi w różowym morzu poświaty.

Niebezpieczna przeprawa przez pustynię skończyła się szczęśliwie. Pani Poznańska od razu zaczęła się śmiać, zapewniając, że ani na chwilę nie wątpiła, iż dojedzie bez przeszkód pod kierownictwem tak doświadczonego sportowca. Nawet Haneczka z uporem twierdziła, że nic a nic się nie bała i że chętnie zanocowałyby w pustyni, gdyby nie mamusia. Profesor Czekalski z dwoma workami „cennych minerałów” na plecach poszedł do swego pokoju, zadowolony z minionego dnia, który dał mu tyle niepospolitych wrażeń.

ROZDZIAŁ XII.

BISKRA. ŻYCIE NA OAZIE. FAKIRZY. SKORPIONY.

UROCZYSTOŚĆ ZAPYLANIA PALM DAKTYLOWYCH. MAŁPI WĄWÓZ.

Podróżni nasi zatrzymali się w hotelu „Atlantic”, po europejsku urządzonym, gdzie pozostało wyjątkowo paru Niemców; większość bowiem turystów od paru tygodni opuściła oazę z powodu rozpoczynających się upałów. Był to koniec maja, a lato na Saharze nikogo nie nęci. Po umyciu się i przebraniu zgromadzono się w sali jadalnej, zamierzając zaraz po kolacji udać się na spoczynek. Dowiedziano się jednak, że tegoż wieczora w dzielnicy arabskiej ma się odbyć interesujące przedstawienie fakira, sławnego hipnotyzera, poskramiacza węzów i kuglarza. Nasze towarzystwo nie mogło się oprzeć pokusie ujżenia czegoś nowego. Zwłaszcza Haneczka pragnęła gorąco zobaczyć węże jadowite. Nawet profesor, porwany ogólnym zapalem, zdecydował się iść także.

Przedstawienia tak szumnie zapowiadane odbyło się w szopie udekorowanej flagami arabskimi i dywanami miejscowego wyrobu. Dokoła skrzyni paliły się cztery pochodnie. Kilku obdartusów, siedzących w kącie na podwiniętych nogach, wydobywało z piszczałek i cymbałków ostre a zarazem monotonne dźwięki. Publiczność musiała z góry uiścić opłatę za widowisko, co się wszystkim wydało bardzo podejrzanym. Wreszcie zjawił się sam fakir. Orkiestra umilkła, odezwała się natomiast jego piszczałka. Jej przenikliwe tony obudziły snąć⁸³ z odrętwienia olbrzymiego węża z gatunku pytonów, drzemiącego na dnie skrzyni, gdyż wypełznął na dywan. Tańczył on najwyraźniej, podług muzyki fakira, podnosząc i opuszczając górną połowę swego ciała okrytego łuską. Fakir zaczął biegać dokoła wyciągniętego węża, który, ulegając magnetycznie tym ruchom, zaczął zwijać się w kłębek. W końcu Arab włożył go niby pęk powrozów na powrót do skrzyni. Następnie podane mu blaszane pudełko. Kiedy Arab otworzył je, zebrani przekonali się z obrzydzeniem, że było napełnione jadowitymi skorpionami, które porozłaziły się po całym dywanie. Arabowie, nie mówiąc już o Europejczykach, w przerażeniu zaczęli się tłoczyć do drzwi, ale fakir z zimną krwią zbierał gołymi rękami jadowite stworzenia i po kolei kładł je na swoje prawie nagie ciało, drażniąc je przy tym na wszelkie sposoby. Żaden jednak nie ukłuł go żądłem. W końcu fakir powrzucał wszystkie na powrót do pudełka. Dalej nastąpiły popisy z ogniem i inne kuglarskie sztuki. Na zakończenie fakir zahipnotyzował jakiegoś chłopaka i wbijał mu w ciało igły, co zresztą dla

⁸³ Snąć (lub snadź) – stpol.: widocznie, zapewne, może.

wtajemniczonych w objawy hipnotyczne nie przedstawiało nic nowego. Ma się rozumieć, że największe wrażenie na naszych podróżnikach uczyniły skorpiony. Ciągłe im się wydawało, że jedno z tych jadowitych stworzeń zakradło się do łóżka, pod kołdrę, poduszkę lub w jaki inny kącik. To podejrzenie spędzało sen z powiek, tak iż całą niemal noc spędzono nie zmruczywszy oka. Na tym punkcie wszyscy byli naprawdę jakby zahipnotyzowani przez fakira.

Rano udano się na zwiedzenie oazy Biskra, która jest jedną z większych i ładniejszych na Saharze. Podziwiano rozległe gaje palmowe, zwłaszcza piękny ogród publiczny, Landon, należący do pewnego bogatego cudzoziemca, gdzie turysta może się napatrzyć wszelkim okazom flory miejscowej. Na oazie znajduje się dużo budynków publicznych, między nimi dobrze prezentujące się kasyno, kilka hoteli po europejsku urządzonych i kościoły mahometańskie, czyli meczety. Biskra robi wrażenie wielkiego centrum, w którym na zimę zbiera się liczny tłum chorych, szukających w tutejszym suchym i gorącym ulgi na swoje dolegliwości. Ale w maju już tu pusto, każdy wraca na północ w obawie okropnych upałów. Jest też dużo arabskich sklepów, gdzie można dostać za drogie pieniądze wiele różnych wyrobów, niby to miejscowych, a w gruncie rzeczy pochodzących z Niemiec. Przy tym kupiec arabski naznacza na swój towar cenę kilkakrotnie wyższą i trzeba się z nim długo i zajądło targować, żeby nie dać się oszukać. Dzielnica arabska składa się z szeregow małych domków, przeważnie glinianych. Prócz sklepów turyści znajdą tam liczne lokale rozrywkowe, poczynając od kawiarni, a kończąc na bardzo podejrzanych spelunkach, dokąd bez rewolweru i liczego towarzystwa lepiej nie zaglądać. Można tam za parę franków podziwiać sławny taniec brzucha i inne arabskie popisy choreograficzne, kuglarskie itd.

Arabowie rozpoczynają życie dopiero po zachodzie słońca, kiedy zapanował przyjemny chłód po skwarze. Wszędzie panuje wrzawa nie do opisania. Między kramikami włóczą się głodne psy i opuszczone dzieci, napastowane przez roje zjadliwych much, roznoszących choroby oczu (jaglicę⁸⁴). Wszędzie pełno wydrwigroszów, którzy ofiarowują cudzoziemcom swoje usługi. Wszystko to dla świeżego przybysza jest może z początku zajmujące, niebawem atoli budzi w nim niesmak. Wszędzie hałas, brud i wyzysk, toteż do dzielnicy arabskiej przybywa się tylko na krótko dla zaspokojenia ciekawości. Cudzoziemiec woli przebywać na szerokich ulicach dzielnicy europejskiej lub oddychać balsamiczną wonią kwiatów w ogrodach hotelowych.

Nazajutrz, odpocząwszy po nocnych wrażeniach w dzielnicy arabskiej, nasi podróżni dali się namówić na przejażdżkę wielbłędami. Każdy wziął sobie jednego osiodłanego dro-

⁸⁴ Jaglica – przewlekłe zapalenie rogówki i spojówek prowadzące do ślepoty. Choroba jest zaraźliwa.

madera. Małą karawaną prowadziło dwóch gidów⁸⁵, a raczej poganiaczy. Zwierzę wytresowane kładzie się z podwiniętym nogami, ażeby ułatwić podróżnemu zajęcie miejsca na swoim garbie. Wstaje natychmiast, gdy poczuje, że pasażer już usiadł, przy czym najprzód dźwiga się na tylne nogi, potem dopiero na przednie, o czym dobrze wiedzieć jest z góry. Wyrzuca on naraz obie nogi boczne, jak konie zwane inochodźcami⁸⁶ i w ogóle konie w Ameryce Południowej. Ruch ten kołyszący dla podróżnego jest bardzo przyjemny.

Zapuszczono się na dromaderach o parę kilometrów na pustynię, żeby zaznać wrażeń podróżującego karawaną. Afrykańskie wielbłądy są jednogarbne i odznaczają się wielką wytrzymałością na trudy. Bajką jest jednak, że w żołądku przechowują zapas wody. Mogą one wytrzymać kilka dni na znoju bez picia. Kontentują się jak osioł suchą trawą pustynną i ziołami o ostrych liściach, których inne stworzenia nie ruszą. Rasowe dromadery mogą robić po dwieście z górą kilometrów na dzień i mają galop szybszy niż koń arabski. Gdyby nie te wytrwałe stworzenia, wnętrze Sahary byłoby zupełnie niedostępne.

Głównym źródłem pożywienia dla ludzi są tutaj palmy daktylowe, które dają bardzo obfite i pożywne owoce. Wymagają jednak wielkiej pieczołowitości. Trzeba je użyźniać, dobrze nawadniać i, co najciekawsze, sztucznie zapyłać. Arabowie przekonali się bowiem, że metoda ta przewyższa znacznie naturalną, zależy od pogody i wielu innych czynników. Na wiosnę, kiedy kwiaty na palmach żeńskich rozwiną się, rozpoczyna się pewnego pogodnego poranka uroczystość zapyłania. Na całej oazie panuje niezmacony spokój. Spośród pióropuszków liściastych dochodzą pobożne pienia Arabów, dokonywających zapyłania. Modlą się przy tej czynności do Allacha o urodzaj tego owocu, który żywi, tak jak u nas zboże, większość tamtejszej ludności. Jeżeli dwa plemiona arabskie wiodą między sobą wojnę, to starają się powycinać palmy męskie, ażeby uniemożliwić zapyłanie żeńskich drzew i przez to skazać na wygłodzenie nieprzyjaciela.

Życie na oazie, gdzie mimo wszystko panuje wielka monotonia, a upały rozleniwiają nie tylko ciało ale i umysł, nie przedstawia się dla turysty zbyt interesująco. Po trzech dniach pobytu nasi podróżni udali się przez El Kantarę do Timgadu. El Kantara jest to malowniczy, długi na kilometr wąwóz, który tworzy naturalne przejście przez pasmo stromych i trudno dostępnych wyniosłości górskich, odgradzających Algier północny od Sahary, dlatego też nazywają go „Bramą Pustyni”. Miał on podczas walk z Arabami duże znaczenie strategiczne, odbyła się tutaj niejedna krwawa walka pomiędzy krajowcami a wojskami francuskimi.

⁸⁵ Gid – osoba oprowadzająca turystów, przewodnik.

⁸⁶ Inochodźce – zwierzęta poruszające się inochodem, polegającym na unoszeniu jednocześnie obu kończyn z jednej strony ciała.

Obecnie przeprowadzono tędy dobrze utrzymaną szosę i drogę żelazną, która prowadzi na południe. Francuzi noszą się z pięknym projektem połączenia Algierii z Nigerią koleją żelazną. W El Kantarze znajduje się niewielki hotelik. Nasi podróżni zatrzymali się w nim na nocleg, a przeglądając księgę meldunkową zauważyli w niej nazwiska paru Polaków, między nimi profesora Ossendowskiego⁸⁷. O 100 kilometrów na południe od Konstantyny znajdują się doskonale zachowane i częściowo odkopane przez francuskich archeologów ruiny dużego miasta rzymskiego, Timgadu. Sądząc ze szczątków teatru, łaźni i innych budynków miasto to, z początku niewielkie, z czasem rozrosło się i liczyło zapewne paręset tysięcy mieszkańców. Niezmiernie dowcipnie⁸⁸ i mądrze urządzonego system wodociągów dostarczał miastu wody ze źródeł odległych o kilka kilometrów. Często po sobie następujące trzęsienia ziemi musiały zniszczyć te kosztowne urządzenia i skłonić mieszkańców w siódmym wieku naszej ery do opuszczenia miasta, które od tych czasów popadło w ruinę. Obecnie ruiny miasta Timgad zajmują obszar 130 hektarów. Prawie nietknięte pozostały budynki otaczające forum, czyli rynek, jak np. Pałac Sprawiedliwości, Trybuna Publiczna, Świątynia Zwycięstwa. Niektóre domy prywatne zachowały jeszcze dachy kryte dachówkami. Pod wieloma względami Timgad jest równie ciekawe jak Pompeje.

Zatrzymawszy się kilka godzin w Timgadzie, nasi podróżni wracali bezpieczną już i dobrą drogą przez Konstantynę do Algieru. Zaraz za Konstantyną ujrano wspaniały samochód marki Renault, a za nim cwałującego na przepięknym koniu Araba, którego wytworny, ozdobiony klejnotami ubiór pozwalał domyślać się bogatego tuziemca. Zagadnął on przyjaźnie mijających go podróżnych po francusku. Wszczęto rozmowę. Okazało się, że był to szejek pewnego plemienia arabskiego, które już osiedliło się na stałe niedaleko Konstantyny. Jego dawny przywódca był obecnie właścicielem pięknych plantacji i willi w pobliżu tego miasta. Poproszono go, żeby pozwolił się zdjąć na koniu. Zgodził się na to, chociaż religia proroka zabrania wiernym portretować się. Druh Jeliński zajrzał do wnętrza samochodu, przypuszczając, że jadą nim żony szejka, ale był on pusty. *Noblesse oblige*⁸⁹. W myśl tego przysłowia szejek kupił sobie samochód, wołał jednak harcować przy nim na siodle jak jego przodek. Zaprosił on podróżnych do swojej willi. Był to piętrowy budynek w stylu mauretańskim, istne cacko architektoniczne, pełne drogich kobierców, pięknych rzeźbionych naczyń i innych przedmiotów. Robił jednak wrażenie, że nikt w nim nie mieszka. Szejek zaprowadził swych

⁸⁷ Ferdynand Ossendowski (1876-1945) – polski pisarz, dziennikarz, podróżnik, działacz polityczny, naukowy i społeczny. Podróżował po Kraju Ałtajskim na Syberii, Afryce, Bliskim Wschodzie. Pływał na statkach handlowych do Indii, Japonii i na Sumatrę. Relacje ze swoich podróży publikował.

⁸⁸ Dowcipny – dawniej: inteligentny, mądry, z pomysłem.

⁸⁹ *Noblesse oblige* (fr.) – szlachectwo zobowiązuje

gości na plantację. Pokazywał i winnice, częstował winem własnej produkcji i doskonałymi owocami. Kiedy znaleziono się w ogrodzie otaczającym willę, w cieniu palm daktylowych ujrzano namiot zupełnie podobny do tego, w jakim mieszkają Arabowie na pustyni. Profesor, który doskonale porozumiewał się z Arabem w jego rodzowym języku, wysłuchawszy objaśnień gospodarza, uśmiechał się. Kiedy w końcu pożegnano gościnnego Araba, pani Poznańska zagadnęła, co robił namiot w sąsiedztwie pięknej willi.

– Natura ciągnie wilka do lasu – odpowiedział profesor. – Szejek, wzbogaciwszy się, zapragnął mieszkać po europejsku. W tym celu zbudował sobie wspaniałą willę, która kosztowała go, jak sam mówił, z górą milion franków. Przekonał się atoli, że nie może spać pod dachem. Rozbił więc namiot i w nim spędza noce, patrząc w gwiazdy błyszczące nad jego głową. Twierdzi, że tylko w takich warunkach może dobrze sypiać.

– Tak jak z samochodem! – zawołała pani Poznańska, śmiejąc się. – Limuzyna idzie pusta, a szejek przed nią paraduje na swoim arabczyku!

– I po co takiemu pieniądze? – westchnął druh Jeliński, ujmując za kierownicę swego podniszczonego fordzika.

Niedaleko miasta Algier znajduje się „Wąwóz Małpi”, tak nazwany dla obfitości zamieszkujących go małp różnych gatunków. Zatrzymano się tam na nocleg w małym hotelu, ku uciechu Haneczki. Podróżni muszą się wystrzegać, gdyż z okolicznych skał i zarośli przybývają liczne rzesze tych zwierząt, które są plagą dla turystów, ale dobrym źródłem dochodu dla hotelarzy, pozwalającym im bezkarnie odwiedzać swoich gości. A odwiedziny te, jak się wnet przekonali nasi podróżni, nie zawsze są pożądane. Tego samego jeszcze dnia pozostawiono niebacznie otwarte drzwiczki od samochodu, gdzie znajdowały się różne zapasy żywności, między innymi owoce i czekolada. Kiedy druh Jeliński po obiedzie podszedł do forda, to przekonał się, że w jego wnętrzu gospodaruje sobie duża małpa. Zatrzasnął więc drzwiczki, ażeby schwytać złodzieja. Nie była to jednak bardzo bezpieczna afery, gdyż na naszego podróżnika posypał się grad kamieni z okolicznych drzew, na których siedziały towarzyszki uwięzionej. Wprawdzie kamienie te były przeznaczone dla naszego skauta, ale jeden z nich zbił szybę, z czego skorzystała zamknięta wewnątrz samochodu małpa. Jednym susem wyskoczyła i uciekła, nie zdradzając zbytnej obawy. Inne małpy obsiadły dach samochodu i widocznie oswojone z ludźmi nie miały zamiaru zmykać. Bieda turyście, który pozostawi swój pokój otwarty. Wnet dostaną się tam małpy i pokradną wszystko, co im wpadnie pod rękę, nawet przedmioty nie służące do jedzenia. Są to więc bezczelni złodzieje, których utrzymują turyści, bawiąc się ich pociesznymi minami i zręcznymi ruchami. Małpy udają się na noc do swych pieleszy w góry, ale rankiem z wielkim piskiem i hałasem znów zjawiają się

tłumnie przy hotelu i czekają na sposobność, żeby porwać zręcznie spod ręki turyście owoc albo jaki inny smaczny kąsek. Nikt ich nie zabija, więc mnożą się bez przeszkody, ożywiając pustkowia i wprawiając w dobry humor podróżnika.

Powrót do Algieru odbył się już bez żadnych przygód. Druh Jeliński pożegnał serdecznie swych przygodnych pasażerów, którzy dali mu sposobność odbycia tak interesującej wycieczki i zarobienia sporego kawałka grosza. Joga Smosarski przyjął go z otwartymi ramionami. Znaleziono się w posiadaniu funduszu na dalszą podróż. Wprawdzie opony fordzielca mocno ucierpiały, lecz w ciągu kilku dni doprowadzono je do porządku. Poza tym poddano samochód gruntownemu remontowi i, choć z żalem, musiano wydać sporo pieniędzy na nowe łożyska i pierścienie tłokowe. W parę dni po powrocie z oaz pożegnano się z nieliczną kolonią polską. Niektórzy spomiędzy rodaków przyrzekli wyprawie pomóc w przeprawie do Ameryki, skończyło się jednak na obietnicach. Zabrano ze sobą parę listów polecających do większych firm handlowych i w odświeżonym wozie śmiało puszczono się w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XIII.

ORAN. GOŚCINNOŚĆ ARABSKA. ŻYWY PODARUNEK. FEZ. CASABLANCA. NA OKRĘT.

Z Algieru szosa malowniczo wiedzie wzdłuż wybrzeża morskiego. Po prawej stronie z dala poza wzgórzami, okrytymi przez lasy i plantacje, błyszczą tafla wody błękitnej. Po lewej zaś wznoszą się strome stoki Gór Atlasu, którego wierzchołki sięgają do linii wiecznych śniegów. Pasma to zatrzymuje wilgotne wiatry morskie, dzięki czemu jest na swych stokach północnych obficie zraszane, stąd świeżość i obfitość wegetacji oraz urodzajność gleby. Zaś w Maroku Atlas ustępuje daleko w głąb lądu.

W Oranie przede wszystkim udano się na pocztę. Zamiast jednak spodziewanych listów znaleziono tylko parę numerów gazet wysłanych przez harcerstwo. Był to bolesny cios moralny dla wyprawy! A więc tak prędko zapomniano o naszych podróżnikach! Nawet najbliżsi!... Połykając gorzką ślinę, nasi skauci udali się z polecając listem do firmy arabskiej, handlującej smarem do samochodów. Właściciel, poważny Arab, załatwiwszy interes, bacznie przyglądał się podróżnikom, jakby chcąc zbadać z kim ma do czynienia. Widocznie ten przegląd wypadł dla naszych skautów dodatnio, gdyż kupiec zagadnął ich czy mają gdzie przenoćować. Dowiedziawszy się, że chcą rozbić namiot pochodowy, zaprosił ich do swego domu, leżącego na skraju miasta w dzielnicy arabskiej. Wprowadzono ich przez wąskie drzwi wejściowe na mały dziedzińczyk, w którego ośrodku tryskała w górę fontanna otoczona kwitnącymi roślinami. Na dziedzińczyk wychodziły izby, leżące jedna przy drugiej i mające wejścia pozasłaniane makatami. Do jednej z takich izb Arab zawiódł swoich gości i posadził ich na poduszkach, leżących wprost na kobiercu przy niskim stoliku.

Była to sala gościnna i jadalna. Gospodarz, pomodliwszy się, klasnął w dłonie i ukazała się na progu Murzynka, niosąc coś w rodzaju trybularza⁹⁰, którym okadziła izbę. Potem, kiedy wszyscy zasiedli koło stolika po turecku, to jest z podwiniętymi nogami, inna służebna wniosła kuty ręcznie z miedzi półmisek napełniony ulubioną potrawą arabską, to jest baraniną ugotowaną z ryżem i dobrze zaprawioną korzeniami. Arab naprzód wziął palcami i spróbował sam „pilawu”⁹¹, potem nakładał sporo na talerzyk i podawał po kolei swoim gościom, w końcu sobie. Jedzono w głębokim milczeniu. Na drugie danie przyniesiono dużo smacznych owoców, ciasteczka z ryżu, a na zakończenie kawę czarną, ugotowaną w miedzianych fili-

⁹⁰ Trybularz – naczynie do spalania kadzidła, kadzielnica.

⁹¹ Pilaw – wschodnia potrawa złożona z ryżu, wołowiny lub ryb z dodatkiem ostrych przypraw.

żankach na rozżarzonych węglach. Chociaż było w niej pełno fusów, to jednak miała piękny aromat. Sam gospodarz pił gorzką, ale gościom kazał podać cukru. Ten pierwszy obiad, jaki nasi podróżni spożyli pod dachem arabskim, byłby może niezły, gdyby nie to, że gospodarz posługiwał się zamiast noża i widelca palcami, które umył wprawdzie, ale dopiero po uczcie – po deserze podano bowiem wodę w miedzianych miseczkach i ręczniki do otarcia rąk. Arab spalił długą fajkę na cybuchu, gościom zaś, którzy nie używali tytoniu, zrobił przyjemność w ten sposób, że kazał ich obficie zlać wodą kolońską, czego dopełniła aż nadto sumiennie niewolnica murzyńska.

Podziękowano Arabowi zwyczajem miejscowymi dotykając palcami najprzód czoła, potem przykładając do ust, a w końcu, szerokim gestem chwytając się za serce, przy czym należy składać jak najniższe ukłony. Wyszedszy, nasi skauci wyglądali jakby ich kto wyciągnął z beczki z kolońską wodą, niestety nie najlepszej marki. W Oranie podróżni zetknęli się z miejscowymi skautami, którzy naszą nazwę „éclairEURów”⁹². Chcieli oni ofiarować swym polskim kolegom jakąś pamiątkę na drogę. Nie można było narażać pocziwych chłopaków na wydatek, więc druh Jeliński, naglony pytaniami czego by sobie życzył, oświadczył, że pragnie mieć małego pieska. Wieczorem zgromadzono w domu pewnego księdza, który patronował skautom, kilkanaście różnej rasy psów, poczynając od maleńkich parotygodniowych, a kończąc na dorosłych. Spomiędzy całej tej psiej czeredy druh Jeliński wybrał niepozornego, jeszcze niedołęznego mieszańca kundla z foksem, czy coś podobnego. Był to w każdym razie pies urodzony pod niebem afrykańskim. Druh Jeliński zauważył jakiś spryt w jego oczach i to zadecydowało o losie szczeniaka, który niesiony w kapeluszu dostał się do auta i tam już na długo miał się zakwaterować. Uzyskano więc miłego towarzysza a zarazem czujnego stróża, bardzo pożądanego w podróży. Miał on najwyżej trzy tygodnie i wymagał dobrej opieki. Druh Jeliński czuł potrzebę przywiązania się do jakiejś żywej istoty i szybko przelał swoją miłość na tego afrykańskiego kundelka, który mu potem miał osładzać samotne chwile. Gorliwie zabrał się do wychowania swojego ulubieńca. Kupował nieraz za ostatnie pieniądze dla niego mleko albo jakiś inny przysmak, uczył go najprymitywniejszych rzeczy, spał razem z nim w aucie, nie rozstając się ze swym wychowawcą ani na chwilę.

Joga Smosarski miał teraz na głowie sprawy gospodarcze, sam udawał się na targ celem zakupu żywności. To ciągłe stykanie się z brudnymi i chorymi Arabami niebawem pociągnęło dłań bardzo niepożądane następstwa. Biedak zaczął się skarżyć na ból oczu. Istotnie powieki miał mocno zaczerwienione i nie mógł znosić blasku słońca.

⁹² ÉclairEUR (fr.) – harcerz.

Z Oranu droga zdatne dla aut oddala się od wybrzeża morskiego w głąb Maroka. Kiedy nasi podróżni tam przybyli, toczyły się jeszcze walki między wojskami francuskimi a plemionami marokańskimi, które nie chciały złożyć broni. W walkach tych wielką rolę odgrywała słynna Legia Cudzoziemska, składająca się z awanturniczych elementów wszystkich narodowości świata. Nasi skauci, przejeżdżając przez Tlemcen, dowiedzieli się, że stacjonuje tam kadra Legii. Dowodzący generał dał im za przewodnika podoficera Polaka, w którego towarzystwie udano się do koszar. W Legii zawsze można napotkać rodaków. Znajdują się między nimi ludzie różnego pokroju: tacy, którzy nie lubią wspominać o swej przeszłości, gdyż mają jakieś poważne grzechy na sumieniu i tutaj po prostu szukają przytułku, jak ciągle tropione przez ogary wilki; inni zaś, bardziej lekkomyślni niż występni, którzy pędzeni żylką do przygód i podróży tak jakoś dostali się tutaj, a raz podpisawszy kontrakt muszą przez dziesięć lat służyć w oddziale, który odpowiada mniej więcej rotom⁹³ aresztanckim. Nikt tu ich nie oszczędza. Posyłają ich na pierwszy ogień, a kiedy już przetrzebiony oddział udaje się na wypoczynek, to każą żołnierzom pracować nad budową dróg strategicznych w nieznosnych wprost warunkach i w klimacie zabójczo gorącym. Nic więc dziwnego, że służbę w Legii nie każdy ukończy. Jeżeli jednak wytrzyma tę ciężką próbę, to w końcu zostaje obywatelem francuskim, a raczej obywatelem Afryki Północnej, otrzymuje kawałek ziemi i może oddawać się pracy na roli. Kiedy po koszarach gruchnęła wieść, że przyjechali rodacy, zebrało się kilkunastu legionistów, pytając o nowiny z kraju. Niektórzy z nich z początku odzywali się butnie z pewną nutą żalu do Ojczyzny, jakby mieli do niej pretensję o to, że musieli ją opuścić. Ale kiedy zaczęli słuchać opowiadania przybyszów, kiedy zaleciał ich świeży wiew niw⁹⁴ ojczyńskich, kiedy dowiedzieli się o bolesnych przejściach starego kraju, siłą woli tłumiona tęsknota trysła z tych zahartowanych, nieraz występnych piersi i łaża słodka, łaża miłości dla Ojczyzny spłynęła po niejednej twarzy pooranej bliznami.

Żegnano się uściskami dłoni. Oni mieli przed sobą długie jeszcze lata obcej i ciężkiej służby, a nasi skauci pół świata, ale mimo to wszyscy zarówno wyrazili nadzieję, że spotkają się koniec końcem tam, w dalekiej Ojczyźnie. Generał dowodzący kadrami, wpisawszy się do księgi pamiątkowej, radził naszym podróżnym, żeby ostrożnie posuwali się na terenach objętych jeszcze przez powstanie i przy każdej sposobności zasięgali informacji na placówkach wojskowych. Stosując się do wskazówek generała, podróżni zgłaszali się od czasu do czasu do mijanych posterunków, gdyż wiedzieli, że wojna z powstańcami toczy się bez ustanku, chociaż większa część plemion poddała się już władzy francuskiej. Chodziło o to, żeby przy-

⁹³ Rota – dawna polska jednostka piechoty zaciężnej licząca do trzystu żołnierzy.

⁹⁴ Niwa – pole, ziemia uprawna.

padkiem nie dostać się na teren walk, który przenosił się ciągle z miejsca na miejsce. Oddziały francuskie tropiły Marokańczyków w pustynnych górach, ci zaś prowadzili walkę podjazdową na wzór indyjski, starając się zniecka napadać na słabe posterunki francuskie, unikając starcia z przeważającymi siłami. Chociaż w zasadzie wojna ta, prowadzona przez Marokańczyków pod hasłem oswobodzenia od najeźdźców ojczyzny, była sympatyczną dla naszych skautów, to jednak z drugiej strony nie można było sobie życzyć, żeby barbarzyńskie hordy znowu zapanowały nad tą rozległą krainą, do której już Francuzi wniesli wiele porządków europejskich.

Kierowano się na zachód, pragnąc poprzez miasto Fez dotrzeć do portu Casablanca i tam poszukać sobie przeprawy do Ameryki. Okazało się jednak, że przeprawa przez kraj górzysty, pustynny, mający drogi tylko wojskowo-strategiczne i objęty działaniami wojennymi nie stanowi łatwego i bezpiecznego zadania. Każda niemal placówka ostrzegała naszych podróżnych, żeby broń Boże nie zatrzymywać się na nocleg w pobliżu jakiegoś koczowiska arabskiego, gdyż grozi to niezawodnie napadem rabunkowym i śmiercią, starano się więc trzymać z dala od wszelkich ludzkich siedzib. Codziennie niemal na wojskowych posterunkach słyszano opowiadania o różnych krwawych przygodach. Na jednym z nich oficer stanowczo nie pozwolił naszym skautom zaraz jechać.

– Zatrzymajcie się do jutra – rzekł. – Właśnie wczoraj wyprawiliśmy dwa auta wojskowe na rekonesans i do tej pory nie mamy o nich żadnej wiadomości.

Musiano się więc zatrzymać. W obecności naszych chłopców komendant placówki wysłał na szybkich wielbłędach kilku ludzi dla zasięgnięcia języka o rekonesansie. Wieczorem dowiedziano się, że jakaś karawana idąca od Tangeru z północy napotkała owe auta, a będąc widocznie przekonaną, że jest to pościg za nią, zaczęła się za wzgórkami piaszczystymi i wystrzelała w autach niespodziewających się zasadzki żołnierzy nim ci zdążyli zrobić użytek z broni. Wobec takich wieści druż Smosarski upadł nieco na duchu i nalegał na kolegę, żeby wracać do Oranu i stamtąd depeszować do domu o pieniądze, które umożliwiłyby powrót do Polski. Druż Jeliński jednakże, który wyznawał piękną zasadę, że nie należy się cofać przed żadnym niebezpieczeństwem, jeżeli się chce osiągnąć cel wytknięty, odrzucił stanowczo te podszepty. Wykombinował on sobie, że niebawem sytuacja musi się wyjaśnić, gdyż na wszystkie strony poroszano rekonesanse. Jakoż nazajutrz żaden z nich nie doniósł, żeby nieprzyjaciół znajdował się w pobliżu.

Karawana obładowana zapasami żywności dla wojsko miała ruszyć w drogę. Rozgłaszano o tym na wszystkie strony w nadziei, że owi rabusie, którzy napadli na auta, skuszą się dużą zdobyczą. Natrafiliby atoli na oddział doskonale uzbrojony. Była to więc pułapka. Pod

osłoną tej karawany dość szybko poruszającej się w kierunku Fezu nasi podróżni pojechali dalej. Minąwszy niebezpieczniejsze okolice razem z wojskiem, fordzielec pomknął szybko do Fezu. Jest to miasto bardzo obszerne, a właściwie dwa miasta oddzielne: jedno czysto arabskie; drugie, obok położone, europejskie. Fez nosi charakter wybitnie wschodni. Składa się z wielu wąskich uliczek, po których zaledwie objuczony osioł lub wielbłąd zdoła się przecisnąć. Budynki niewielkie, białe o płaskich dachach, zamieszkuje ludność licząca paręset tysięcy dusz. Jest tam dużo pięknych meczetów i pałac sułtana. Ponad jezdniami ulic znajdują się porozpinane na plecionkach z gałęzi winne macice, których dojrzewające grona zwieszają się nad głowami przechodniów. Urozmaica to monotonię wąskiej uliczki i co najważniejsze daje osłonę przed palącymi promieniami słońca.

Fez wziął, jak się zdaje, swoją nazwę stąd, że wyrabiają w nim dużo muzułmańskich nakryć głowy, zwanych fezami⁹⁵. Środkiem miasta płynie rzeka Subu⁹⁶, której wody służą do zraszania licznych ogrodów. Stąd powietrze bardziej wilgotne i obfitość wszelkiego rodzaju owoców, spośród których najsmaczniejsze chyba są olbrzymie, słodkie i pachnące arbuzy. Są one tak tanie, że druh Jeliński za pustą bańkę od oliwy otrzymał aż pięć do sześciu sztuk. Trudno było taki ładunek samemu zabrać na plecy! Dzięki uprzejmości dyrektora oddziału Vacuum Oil Company nasi skauci otrzymali za przewodnika Francuza mówiącego po arabsku, który ich oprowadził po tym wielce oryginalnym mieście.

Przybyszowi zdaje się, że nagle przeniósł się w odległą epokę biblijną: widzi bowiem dookoła siebie iście patriarchalne postacie poważnych Arabów, o czarnych jak węgiel brodach i płomiennych oczach. Są oni odziani w długie, białe burnusy, mają sandały na nogach, a głowy owinięte w barwne turbany. Kobiety chodzą z zasłoniętymi twarzami, tak iż przechodzień spostrzega tylko wlepione weń ciekawe oczy. Dzieciaki, których wszędzie pełno, chodzą prawie nago. Są niezmiernie żywe, hałaśliwe, naprzykrzone, no i jak zwykle na wschodzie, niemiłosiernie brudne. Pomiędzy przekupniami na rynku, a także właścicielami większych sklepów, można często zauważyć wybitnie semickie rysy. Kobiety żydowskie nie mają jak Mahometanki zasłoniętej twarzy. Arab za dnia przechadza się po ulicach, załatwiając interesy, w południe odbywa sjęstę, wieczorem zaś odpoczywa, nasycając się przyjemnym chłodem. Przed samym zachodem słońca na głos duchownego, rozlegający się z wieży najbliższego meczetu, każdy Arab, gdziekolwiek by się znajdował, odmawia modlitwę wieczorną z twarzą odwróconą w stronę miasta Mekki. Przy czym obrządek mahometański nakazuje dokonać

⁹⁵ Fez – męskie nakrycie głowy noszone w krajach muzułmańskich o kształcie przypominającym ścięty stożek, zazwyczaj koloru bordowego, z charakterystycznym czarnym frędzlem.

⁹⁶ Wadi Subu – druga najdłuższa rzeka w Maroku (458 km).

przepisanych obmywań. Arab dąży więc do najbliższej fontanny, do źródła, a w braku wody obmywa się wprost piaskiem.

Nasi skauci mieli sposobność dobrze przyjrzeć się nie tylko samemu miastu, zwiedzić meczety, stare fortyfikacje itd., ale poznać też obyczaje mieszkańców. Było im tylko bardzo przykro, że nie mogli tam spotkać żadnego Polaka. Czuli się więc bardzo obco w Fezie. Po paru tedy dniach, zaopatrzwszy się w materiały pędne, ruszono do Casablanki. Podróż stała się coraz przykrzejsza, gdyż opony znajdowały się w opłakanym stanie. Co kilka kilometrów pękała kieszka, trzeba było zdejmować koło i na skwarze dokonywać żmudnej reperacji. Druh Smosarski twierdził, że na tak zdezelowanym fordzielcu daleko się nie zajędzie i chętnie zapewne wróciliby do domu, zwłaszcza, że oczy dokuczały mu coraz bardziej. Nie było pieniędzy, ażeby zasięgnąć porady lekarskiej, leczyl się więc domowymi środkami. Apteka profesora Bujwida bardzo się tutaj przydała, ale niestety, choroba robiła postępy.

Wyjechawszy z Fezu, nasi skauci byli świadkami bardzo przykłej sceny, która oburzyła ich kulturalne instynkty. Na drodze ujrano wielki tuman kurzu. Zdawało się na razie, że Arabowie pędzą stado bydła, ale wprędce nasi podróżni przekonali się, że tu dzieje się coś bardzo niezwykłego. Na czele tłumu, złożonego z kilkuset mężczyzn i niewiast uzbrojonych w kije, kamienie, a nawet noże, biegła jak szalona obnażona kobieta. Jej obłąkane z przerażenia oczy i rozrzucone w nieładzie włosy od razu pozwalały się domyśleć, że nieszczęśliwa szuka ocalenia w ucieczce przed swymi prześladowcami. Cały ten rozhlukany, dziki, roznamietniony tłum minął auto w pędzie, nie zwracając nań uwagi. Dopiero po kilku chwilach nasi skauci dowiedzieli się, że to był sąd nad niewierną żoną. Zwyczajem miejscowym kobietę przekonaną o wiarołomstwo wypędzają z rodzinnego szczepu w pustynię, gdzie powinna zginąć z głodu, pragnienia, od zbójów lub dzikich bestii. W razie gdyby dała się dogonić, to współplemieńcy bez litości ukamienowaliby ją albo zabili kijami. Nic więc dziwnego, że kobieta, wiedząc jaki los okrutny ją czeka, dobywała wszystkich sił, ażeby wymknąć się swoim katom. Nasi podróżni patrzyli przez chwilę na ten pościg barbarzyński, który przypominał im, że się znajdują nie w Europie, lecz w głębi Maroka. Nie chcąc doczekać końca tych łowów na człowieka, druh Jeliński poddał gazu i za chwilę cały ten tłum rozbewziewiony zniknął w tumanach kurzu podobnego do wielkiej, złotej chmury.

Aucik, prowadzony energiczną ręką, zdołał wreszcie prześliznąć się szczęśliwie przez obszary objęte działaniami wojennymi i nasi skauci znaleźli się na zachodnim krańcu swej drogi po kontynencie afrykańskim. Obecnie oczekiwało ich bardzo trudne zadanie. Leżał na ich szlaku olbrzymi Atlantyk, przez który należało za wszelką cenę przeprowadzić się do Ameryki. A tutaj kasa wyprawy była niemal zupełnie pusta. Nasi skauci nie zawahali się ponieść

najprzykrzejszej ofiary, żeby zdobyć fundusze na karty okrętowe. Na każdym większym posterunku wojskowym sprzedawali oni cenniejsze przedmioty i poszły między oficerów francuskich porządne koce, pozostał tylko jeden i to najgorszy. Ten sam smutny los spotkał maszynę do pisania, radio, z którym rozstawano się z żalem, buty zapasowe, słowem pozbywano się wszystkiego, bez czego w ostateczności można było się obejść, byle tylko zgromadzić nieco gotówki.

Casablanca, portowe miasto nad Atlantykiem, rośnie jak na drożdżach, dzięki energii Francuzów, którzy uczynili je w ciągu krótkiego czasu dość ważnym punktem handlowym. Pobudowali nowożytnie domy, banki, giełdę, fortyfikacje, słowem zapadły kąt pod ich panowaniem staje się widną placówką kultury europejskiej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w Casablanca świeżo otworzyła swój kantor znana światowa firma wyrabiająca opony do samochodów „Goodyear”⁹⁷. Zarządzający przyjął naszych skautów z otwartymi rękami, gdyż jak się okazało przebyli oni na gumach nie zmienianych tejże firmy z górą 20.000 kilometrów, z czego na samą Afrykę przypadło kilka tysięcy. Zwłaszcza ciężką próbą była wspomniana droga na pustyni, zwana „Mort du Pneux”. Było to więc znaczną reklamą dla tejże firmy. Wytrzymałość opon przez nią wyrabianych rzucała się w oczy, toteż fordzik, w dobrze pojętym przez dyrektora interesie firm, otrzymał dwie nowe zupełnie opony na tylne koła. Druh Jeliński był, jak to się mówi, w siódmym niebie, gdyż właśnie łamał sobie głowę jak zastąpić zużyte doszczętnie opony.

Zabrano też zapas paliwa z firmy Vacuum Oil Company, której zarządzający także odnosił się z wielką przychylnością do podróżników. Ponieważ dyrektorowie znali wielu kapitanów okrętów, z którymi znajdowali się od dawna w stosunkach handlowych, przeto zaczęli się energicznie starać o znalezienie statku, który by za niedużą opłatą zabrał naszych skautów i ich fordzika do Ameryki. Po dość długich zabiegach udało się im wreszcie znaleźć kapitana amerykańskiego, który zgodził się przewieźć auto zupełnie bezpłatnie przez Atlantyck, a od każdego z naszych skautów żądał jedynie po 80 dolarów, co było względnie tanio z uwagi że przeprawa na luksusowym parowcu drugą klasą kosztuje prawie dwa razy tyle. Niestety w kasie nie było i tej skromnej sumki. Wyteżone więc dowcip, żeby jakoś zdobyć trochę pieniędzy. Pozostały jeszcze rewolwery, które sprzedano w końcu instruktorom skautowskim.

Zetknięcie się ze skautami marokańskimi bardzo było owocne dla wyprawy, urządzono bowiem dla nich propagandowy odczyt z przezroczami o odbytej już podróży, który zgromadził dość liczną publiczność. Wywdzięczając się za to, druhowie marokańscy (Francuzi)

⁹⁷ W pierwszym wydaniu: „Gudir”.

ofiarowali naszym podróżnikom pewną ilość konserw na drogę. Ponieważ jednak życie na okręcie było już opłacone, przeto nasi podróżnicy sprzedali część otrzymanych zapasów i dzięki temu uzupełnili sumę żadaną za przeprawę. Poczawszy już karty okrętowe w kieszeni, nabrali lepszego usposobienia. Złożono wizytę marokańskim automobilklubie, który potwierdził kilometraż i ofiarował naszym skautom swoją odznakę. Przekonywano się teraz na każdym kroku, że im dalej wyprawa znajdowała się od ojczystego kraju, tym większym cieszyła się autorytetem wśród obcych. Bez mała 30.000 kilometrów, które pozostawiono za sobą, robiły już pewien efekt. Automobilści marokańscy żegnając się, zapewniali naszych skautów, że niebawem dostaną się na najlepsze drogi świata i że już w ciągu dalszej podróży nie będą potrzebowali zmieniać opon.

Zbliżało się obchodzone uroczyscie przez wszystkich Francuzów święto narodowe w dniu 14 lipca⁹⁸. Wojska francuskie, stacjonujące w okręgu Casablanca, odbyły wielką rewję, w której wzięły udział niezliczone tłumy widzów, nie tylko pośród Francuzów, ale i Arabów. Druh Jeliński, także chcąc przyjrzeć się defiladzie wojskowej, zatrzymał się ze swym aucikiem akurat na drodze, którą przechodziły zastępy dowodzone przez generała dywizji, pana Z. Morelliego. Generał, ujrawszy w tym zapadłym kraju afrykańskim flagę polską, zdziwił się niezmiernie, co tu robią Polacy. Salutował im, mijając auto z flagą polską, po czym zaraz przysłał przez swego adiutanta kartę wizytową. Na skutek tego nasi podróżni udali się do jego kwatery, gdzie byli przyjęci bardzo gościnnie. Generał niejednokrotnie napomynał o przyjaźni łączącej Francję z Polską i zadawał różne pytania swoim gościom, na które chętnie mu odpowiadano. Zwłaszcza interesowały go świeże przewroty polityczne w Polsce. Nasi skauci przy okazji sprostowali wiele niezupełnie zgodnych z rzeczywistością poglądów generała, starając się przy tym przedstawić Ojczyznę w najlepszym świetle. Dowódca okazał się prawdziwym przyjacielem Polski i wpisał się bardzo serdecznie do księgi pamiątkowej. Pozwolił się też sfotografować i rozstano się w jak najlepszych stosunkach.

Zaraz nazajutrz zaczęto przygotowania do podróży morskiej. Aucik wpakowano na mały statek, a z niego dopiero przy pomocy żurawia wciągnięto go na pokład przewozowego parowca amerykańskiego „Sinsinnawa”, na którym miano przeprowić się przez ocean. Naszych chłopców gremialnie odprowadzili na statek skauci marokańscy. Komendant drużyny skautowskiej wręczył im dyplomy, mianując Jelińskiego honorowym naczelnikiem zastępu „Gazela”, a Smosarskiego honorowym naczelnikiem zastępu „Bocian”. Znalazłszy się na pokładzie, udali się oni wszyscy razem do kapitana okrętu i oświadczyli mu solennie, że powie-

⁹⁸ Święto Narodowe Francji, obchodzone 14 lipca, upamiętnia wybuch Wielkiej Rewolucji Francuskiej 14 lipca 1789 r.

rzają mu opieką nad swymi braćmi, polskimi skautami, którzy pod flagą polską mają zamiar okrążyć kulę ziemską. Wzniesiono na jego cześć potrójny okrzyk skautowski, co starego wilka morskiego wprowadziło w doskonałe usposobienie. Uściskał dłonie swych gości z takim serdecznym uniesieniem, że ci o mało co nie przyklękali z bólu. Potem powitał naszymi skautów i oświadczył im, że mogą liczyć na jego opiekę. Gdy statek podnosił kotwicę, drużyna skautowska zabierała się do opuszczenia pokładu. Kiedy już znajdowała się w szalupie, wzniosła jeszcze jeden pożegnalny okrzyk, który brzmiał dość dziwacznie, ale zrobił wspaniały efekt, gdyż wyrwał się z dwudziestu młodych i silnych piersi „A dzi dzi, a dzi dzi! A-u-a! A dzi dzi, a-u-a! Bim bum ba a-a!”

Tak się rozpoczęła podróż przez Ocean Atlantycki.

ROZDZIAŁ XIV.

„SINSINNAWA”. ZAGADKOWI ARABOWIE. WSZĘDZIE POLACY. PRZEPRAWA PRZEZ ATLANTYK. ORANEK OTRZYMUJE MAMKĘ.

Okręt, na który nasi podróżni zdołali się dostać na takich dobrych warunkach, należał do „American Export Line”. Miał on sześć tysięcy ton pojemności i służył specjalnie do przewożenia towarów. Pasażerów brał tylko wyjątkowo, nie było też na nim tego luksusu, jaki spotyka się tak często na wielkich pakebotach⁹⁹, kursujących między dwiema częściami świata, jednakże znajdowało się na nim parę kajut i w jednej z nich, mającej cztery koje, umieszczono naszych podróżnych. Statek wiózł do Stanów ładunek korka i owoców afrykańskich. Nie był to towar zbyt ciężki, toteż pomimo balastu parowiec nie zanurzał się dość głęboko, a kiedy zadał silniejszy wiatr, niemiłosiernie tańczył po grzbietach bałwanów, kołysząc się wzdłuż i w poprzek. Nie było to zbyt przyjemnym dla przygodnych pasażerów, choroba morską zaczęła więc grasować nagminnie.

Kiedy nasi skauci udali się do kajuty, przekonali się z przykrością, że razem z nimi jadą dwaj Arabowie. Ludzie ci, odziani w kostiumy noszone w Afryce Północnej, rozmawiali między sobą po arabsku, którego to języka niestety ani druh Jeliński ani joga Smosarski nie znali wcale. Sytuacja była więc krępująca. Na szczęście okazało się, że dwaj Arabowie znają także język francuski. Dzięki temu nasi skauci mogli się ze swymi towarzyszami podróży jako tako porozumieć. Z początku jednak Arabowie nie kwapili się zbyt do rozmowy. Brali oni, jak się pokazało, naszych skautów za żołnierzy amerykańskich i widocznie nie chcieli się przed nimi wywnętrzać. Tak upłynęło kilka dni, podczas których stosunki z Arabami były pełne rezerwy z obu stron.

Aliści pewnego razu druh Jeliński, wchodząc do kajuty z pokładu, usłyszał, że domniemani Arabowie mówią do maleńkiego Orana (tak bowiem zwał się piesek druha) po polsku, robiąc mu w tym języku wyrzuty za nieporządek, jakiego się dopuścił pod łóżkiem. Można sobie wyobrazić zdumienie naszych podróżnych.

– Skąd panowie nauczyliście się po polsku? – zagadnął druh Smosarski.

Na razie Arabowie byli bardzo zmieszani tym odkryciem. Nie tracąc jednak miny, jeden z nich rzekł tajemniczo:

– My wiemy już, że mamy do czynienia z bardzo porządnymi ludźmi i w dodatku

⁹⁹ Pakebot – statek pasażerski, parowiec (fr. paquebot).

z rodakami. Nie będziemy więc dłużej ukrywali, że chociaż mamy obywatelstwo północnoafrykańskie, to jednak pochodzimy z Polski. Ja jestem z Warszawy, mój przyjaciel zaś ze Lwowa. Od dawna staraliśmy się dostać do Stanów Zjednoczonych. Wiadomo jednak, że Amerykanie nie chcą mieć u siebie za dużo Polaków, zwłaszcza pochodzenia mojżeszowego, toteż nie uwierzycie panowie jak trudno dostać wizę do tego kraju. Czekaliśmy rok cały nadaremnie. Cóż było robić? Pojechaliśmy jako agenci pewnej czeskiej firmy do Afryki francuskiej i spędziliśmy tam dwa lata, co zupełnie wystarcza, ażeby uzyskać obywatelstwo północnoafrykańskie. Dla Maroka nie ma żadnych kontyngentów emigranckich, dano więc nam wizę, o którą daremnie staraliśmy się w Polsce. Jak pan widzi trafiła kosa na kamień. Teraz już wszystko w porządku. Mamy legalne paszporty jako Marokańczycy. Prosimy jednak panów na wszystko o dyskrecję, bo jakby się Amerykanie o tym dowiedzieli, to mogliby nas nie wpuścić.

Nasi chłopcy chętnie przyrzekli milczenie w tej drażliwej sprawie. Wywdzięczając się im za to, Arabowie pochodzenia polskiego byli dla nich uprzedzająco grzeczni. Najbardziej dawała się im we znaki nie sama żegluga, ale kuchnia okrętowa. Należy przyznać, że mieli co do tego rację, żywiono bowiem załogę i podróżnych przeważnie konserwami z puszek, co na dłuższą metę jest bardzo szkodliwe dla zdrowia i całkiem odbiera apetyt. Świeżego mięsa ani jarzyn nie podawano wcale. Gdyby nie kompoty z suszonych owoców, to taki stół na pewno pociągnąłby za sobą szkorbut.

Jeden tylko druh Jeliński znosił bezkarnie ten reżim, dzięki temu zapewne, że miał z natury strusi żołądek. Zwłaszcza używał sobie w dni burzliwa, bo wtedy Arabowie nabierali zdecydowanego wstrętu do wszelkiego jadła. Druh Jeliński tłumaczył im, że podczas kołysania nie dobrze jest jeść, bo torsje stają się silniejsze i mogą bardzo źle się skończyć. Przerażeni tym Arabowie wyrzekali się chętnie swoich obiadów na rzecz druha Jelińskiego, a joga Smosarski, sam będąc ofiarą choroby morskiej, nie mógł mu robić konkurencji. To poświęcanie się rodaków wyszło druhowi Jelińskiemu na dobre i oblicze jego, do niedawna wychudłe skutkiem doznanych w podróży niewygód, zaokrągliło się z zadziwiającą szybkością. W końcu wzbudziło ono zazdrość w Marokańczykach. W ich głowach zaczęły się budzić wątpliwości, czy istotnie głodzenie się zabezpiecza od złych skutków choroby morskiej. Ale było już za późno.

Druh Jeliński, poznawszy praktyczność takiej metody, zastosował ją dla dobra swojego Oranka. Piesek miał zaledwie parę tygodni i musiał żywić się mlekiem, lecz niestety tego artykułu na pokładzie statku nie było w stanie świeżym. Ku wielkiemu zmartwieniu swego pana piesek chudł w oczach i można było z góry przewidzieć, że nie przeżyje. Pewnego dnia

atoli druh Jeliński ujrzał na pokładzie kotkę, która karmiła młode. Przy pośrednictwie kuchacza urządzono ciekawą próbę. Przystawiono małego Oranka do kotki. Przerazona wtargnięciem intruza uciekła na razie. Nie dano jednak za wygraną. Następnego dnia ponowiono próbę już z nieco lepszym rezultatem. Kocięta zaczęły się nawet bawić z pieskiem. Widząc to, kotka dłużej już nie odmawiała przyjęcia do grona swoich dziątek i Oranka. Był to znać fakt bardzo osobliwy, bo cała załoga „Sinsinnawy” przyglądała się temu zjawisku. Nawet sam kapitan, pykając z fajki, brał w nim udział. Oranek, uzyskawszy niespodziewanie mamkę, poprawiał się szybko na zdrowiu, rósł, nabierał dobrego humoru i bawił się z kociętami jakby z rodzonymi braćmi. Z tego widać, że przysłowiowa nienawiść między psem a kotem jest złośliwym dziełem człowieka i nie ma nic wspólnego z naturą tych zwierząt.

Między tymi, którzy się ciekawie przyglądali Orankowi karmionemu przez kotkę, znajdował się pewien oficer, człowiek nieco starszy, z długą szpakowatą brodą. Był to inżynier mechanik „Sinsinnawy”. Obserwował on bacznie naszych skautów od pierwszego dnia, kiedy załadowano na pokład ich auto z flagą polską. Pewnego razu zaproponował, że ich oprowadzi po okręcie. Była to interesująca wycieczka. Schodzono do oddziału maszyn, do kotłowni, na spód statku, słowem zwiedzano wszystkie zakamarki parowca, przy czym pan inżynier dawał fachowe objaśnienia. Statki amerykańskie, podobnie jak holenderskie, odznaczają się wielką czystością.

– Kiedy to nasza flota handlowa będzie w posiadaniu takich okrętów? – westchnął druh Jeliński.

– Nie prędko to nastąpi! – jęknął Smosarski.

Po tej wycieczce inżynier okrętowy zapytał czy nasi skauci nie chcieliby odwiedzić go w kajucie razem z Orankiem, który stawał się coraz zabawniejszym. Chętnie przyjęto zaproszenie. Inżynier poczęstował naszych chłopców kawą i ku wielkiemu ich zdziwieniu zaczął rozmawiać z nimi po polsku. Był on, jak się okazało, amerykańskim obywatelem polskiego pochodzenia, który z prostego marynarza, dzięki swoim zdolnościom, zdołał się dostać na odpowiedzialne stanowisko inżyniera okrętowego.

– Nie przyznawałem się od razu do mej narodowości – tłumaczył gościom – gdyż kilka razy pomagałem rodakom i stąd spadły na mnie różne przykrości. Widzę jednak, że jesteście dzielnymi chłopakami i na pewno nie przyniesiecie mi wstydu.

Na ścianie w jego kabinie wisiała fotografia Zamku Wawelskiego, widać więc było, że pan inżynier pamiętał o swojej ojczyźnie i w głębi duszy do niej tęsknił. Polubił on następnie bardzo druha Jelińskiego i zaofiarował się własną metodą udzielać mu lekcji angielskiego. Lekcje te były dla naszego podróżnika bardzo przyjemnym i pożytecznym spędzeniem czasu.

Zjadanie potrójnych obiadów, ślęczenie nad angielszczyzną, opieka nad Orankiem, którego kotka zupełnie już adoptowała – wszystko to nie mogło pochłonać nadmiaru czasu wolnego w podróży. Nasi skauci zabrali się więc do czynności czysto gospodarczych. Jak każdy dobry kawalerzysta, tak i automobilista przede wszystkim powinien myśleć o swoim rumaku. Fordzik, choć przykryty na pokładzie plandeką, pod wpływem wilgotnej atmosfery pokrywał się rdzą, trzeba więc było ustawicznie go czyścić i smarować olejem. Opieki wymagała także garderoba, która znajdowała się w rozpaczliwym stanie. Nie tylko spłowiała na słońcu afrykańskim, ale poplamiała się i podarła. Nasi skauci, wchodząc na pokład, nie przedstawiali się zbyt elegancko. Trzeba było na gwałt łątać, cerować, zaszywać, czyścić. Założono na pokładzie prawdziwy warsztat krawiecki i we dwóch pracowano po parę godzin dziennie. Pomimo wszelkich starań, garderoba nie szczególnie się jednak prezentowała, co stanowiło niemałą troskę dla naszych podróżnych.

– Jak tu się pokazać w takich kostiumach Amerykanom, którzy mają pełne kieszenie i ubierają się starannie?

Dla zaoszczędzenia tych szacownych szczątków odłożono je do kuferków, a na pokładzie chodzono w kostiumach, które niezbyt różniły się od tego, jakiego używał w raju nasz praojciec Adam. Można sobie było na to pozwolić, gdyż mamka Oranka była jedyną przedstawicielką płci nadobnej na „Sinsinnawie”. Kiedy jednak nadeszła niedziela, z żalem trzeba było włożyć na siebie kostiumy skautowskie. Amerykanie nie naśladują Anglików, którzy bawią się w sobotę, a niedzielę spędzają w domu nad Biblią. Lubią oni w święto rozerwać się. Na pokładzie „Sinsinnawy” panował zwyczaj, że w niedzielę urządzano zapasy atletyczne i spotkania bokserskie. Stawali naprzeciw siebie marynarze, którzy w ciągu tygodnia pokłócili się o coś albo nawet zasłużyli na karę. Ci mieli pierwszeństwo. Była to więc uroczystość sportowa i, obyczajem angielskim, wyrównanie nieporozumień między gentlemanami przy pomocy pięści. Amerykanie wkładali w to widowisko cały swój temperament. Dzielono się na partie i nieraz doszłoby zapewne do ogólnej bijatyki, gdyby nie powaga biorących udział w tym wszystkim oficerów. Przy tej okazji nasi chłopcy poznali głęboki demokratyzm amerykański. Na służbie każdy marynarz ślepo musiał słuchać swojego przełożonego, ale w niedzielę, kiedy rozpoczęły się spotkania bokserskie, oficer nie mógł odmówić wyzwania ze strony pospolitego majtki. Musiał stawać z nim na ringu i zdarzało się nieraz, że trafiwszy na silniejszego przeciwnika, zostawał dotkliwie poturbowany i wycofywał się z podbitym okiem, zwichniętą szczęką lub z innym uszkodzeniem cielesnym. Taki niepomysłny wynik spotkania oficera z majtkiem nie osłabiał atoli jego autorytetu w sprawach służbowych. Równość przede wszystkim.

Przez jakiś czas skauci przyglądali się z daleka tym zapasom. W końcu jednak druha Jeliński nie chcąc, ażeby marynarze amerykańscy posadzili go o tchórzostwo odważnie stanął do boju z przeciwnikiem, który nie wydawał mu się zbyt niebezpiecznym. Dostał pierwszą i wcale niezłą lekcję na terenie międzynarodowym, bo w marynarce polskiej nieraz już próbował swej zręczności w tym kierunku. Odsłoniwszy niebacznie żołądek, otrzymał potężny cios w ten wrażliwy organ, tak iż omal nie zemdlął. Drugie spotkanie wypadło już znacznie lepiej. Joga nie dał się atoli namówić na boks, gdyż to sprzeciwiało się jakoby zasadom filozofii indyjskiej. Wszyscy mieli wielką ochotę spotkać się na ringu z Arabami polskiego pochodzenia, ale ci w żaden sposób nie dali się namówić na założenie rękawic bokserskich. Nareszcie jeden z nich, tęgi, barczysty chłop, zdecydował się zaryzykować spotkanie z druham Jelińskim o głowę odeń niższym. Pierwsza runda skończyła się na niczym, bo Jeliński, dla dodania odwagi swemu przeciwnikowi, wymykał mu się ciągle. Druga jednak skończyła się fatalnie dla Araba, który odsłoniwszy się niebacznie w ataku, został rzucony na ziemię kilkoma specjalnymi ciosami w okolicę serca i pod brodę. Od tej pory stracił zupełnie animusz i nikt go już nie potrafił namówić na spotkanie.

Podróż morska odbywała się gładko. Nie doznano żadnej przygody. Pogoda stale dopisywała i po 18 dniach żeglugi „Sinsinnawa” znalazła się na wodach północnoamerykańskich. Jeszcze ląd leżał dość daleko, a już ukazały się statki strażnicze, strzegące wybrzeży od najścia szmuglerów alkoholu. Statki, trudniące się zaopatrywaniem „suchej Ameryki”¹⁰⁰ w ten pożądaną napój, stały poza granicą wód terytorialnych, oczekując na ciemną noc, burzę lub mgłę. Wówczas dziesiątki szalup, naładowanych gorącymi napitkami, usiłowały dotrzeć do brzegów i oddać swój towar oczekującym współnikom. Ameryka urzędowa broni się przed powodzią alkoholu, Ameryka zaś prywatna owacyjnie wita butelki szampana i whisky. W ogóle zdaniem wytrawnych Amerykanów prohibicja nie tyle zmniejsza spożycie spirytusu, ile wpływa na obniżenie poziomu moralnego Amerykanów, którzy uczą się, jak obchodzić prawo i używają ku temu wszelkich możliwych podstępów. Dlatego też dni prohibicji są, jak się здаje, policzone.

„Sinsinnawa” musiała poddać się rewizji. Po tym już bez przeszkody wpłynęła do olbrzymiego portu nowojorskiego, u którego straży stoi oświetlony latarniami elektrycznymi Posąg Wolności (Statua Wolności). Pilot, prowadzący okręt, zatrzymał go u znanej wszystkim emigrantom „Wyspy Płacz”¹⁰¹. Tutaj władze lekarskie i administracyjne przeglądają pasz-

¹⁰⁰ Prohibicja, czyli zakaz produkcji i dystrybucji napojów alkoholowych, trwała w USA w latach 1920-1933.

¹⁰¹ Mowa o wyspie Ellis, mieszczącej się niedaleko wyspy Manhattan. Na wyspie działało główne centrum przyjmowania imigrantów do Stanów Zjednoczonych przybywających z Europy i Afryki. Do chwili ostatecznej

porty przybyłych i badają stan ich zdrowia. Jest to okrutna, bezwzględnie prowadzona rewizja, od której nikt nie może się uchylić. Emigranci muszą wykazać się wizą i pewną sumą gotówki. Turyści, jadący pierwszą klasą, cieszą się pewnymi względami. Ileż to gorzkich łez wylało się na tym fatalnym wybrzeżu. Ile matek rozłączono z dziećmi, ilu mężów z żonami, ilu starców z opiekunami. Każdy musi stanąć przed obliczem komisji lekarskiej zupełnie rozebrany i poddać się szczegółowemu badaniu. Jeżeli ktoś cierpi na zaraźliwą chorobę albo z powodu jakiegoś kalectwa fizycznego jest niezdolny do pracy, tego natychmiast odprowadzają na stronę. Nie może on już liczyć na to, że stopa jego dotknie ziemi amerykańskiej. W parę dni potem wsadzają go na okręt i odsyłają z powrotem do miejsca, skąd przyjechał.

Tutaj druh Jeliński doznał bolesnego ciosu. Jego jedyne go towarzysza podróży, jogę Smosarskiego, jednogłośnie uznano za chorego na jaglicę i stanowczo wzbroniono mu wylądowania. W dodatku chciano go odesłać do Maroka. Z bólem serca musiano się więc rozstać. Druh Jeliński wraz z tymi, którym nie stawiano przeszkód, siadł znów na „Sinsinnawę”, która wysadziła swoich pasażerów w porcie nowojorskim, przy jednej z licznych przystani na rzece Hudson. Dziwnym zbiegiem okoliczności przystań ta znajdowała się w okolicy zamieszkałej przez Polaków. W porcie, dzięki wysłanej zawczasu korespondencji, oczekiwał na wyprawę dookoła świata konsul polski z urzędnikami oraz kilku przedstawicieli sokolstwa polskiego i prasy.

Pan konsul Marynowski spodziewał się spotkać kilku skautów, a tymczasem ujrzał przy fordziku jednego druha Jelińskiego i jego faworyta Oranka. W dodatku druh Jeliński znajdował się w przygnębionym nastroju, gdyż miał w kieszeni zaledwie półtora dolara gotówki, a poza tym swego forda i nieco zniszczonej garderoby, no i Oranka, który na razie był dlań największym skarbem, gdyż osładzał mu samotność. Mimo to nasz skaut robił dobrą minę, kiedy reporterzy usilnie fotografowali go ze wszystkich stron. Ku wielkiej swej radości nasz podróżnik spostrzegł w otoczeniu konsula swego dawnego znajomego, byłego komendanta chorągwi harcerskiej w Poznaniu, pana Wasilewskiego. Nabrawszy nieco otuchy wyśpowiadał się przed nim i konsulem ze wszystkich swych zmartwień i prosił o pomoc w wyciągnięciu druha Smosarskiego z „Wyspy Płaczu”. Konsul obiecał zrobić wszystko, co będzie leżało w jego możliwości. Wylądowano auto i druh Jeliński postawił nogę na ziemi Waszyngtona, nie wiedząc, co mu losy tutaj zgotują.

Drugi wielki etap podróży samochodem naokoło świata rozpoczynał się w porcie nowojorskim.

go zamknięcia w 1954 roku stacja przyjęła około 12 milionów imigrantów. Około 2 procent osób przechodzących przez stację nie otrzymało zgody na osiedlenie się w USA.

ROZDZIAŁ XV.

MIASTO OLBRZYM. ROZPACZLIWA PERSPEKTYWA. ZBAWCZY POMYSŁ.

Pierwsza noc w mieście olbrzymim minęła niemal bezsennie, nasz podróżnik bowiem miał głową nabitą różnymi rozpaczliwymi myślami, tak iż chwilami, nie mogąc znaleźć wyjścia, wpadał w zwątpienie, graniczące z rozpaczą. Jak już wspomnieliśmy zapas gotówki, przywieziony przez naszego harcerza do Stanów, wynosił półtora dolara. Znaczyło to w praktyce tyle co nic. A tu trzeba przecież setek na przeprawę w poprzek kontynentu amerykańskiego. Druh Jeliński nie uciekał się w żadnym razie do żebraniny, choćby zamaskowanej, gdyż pragnął dokonać swego czynu jedynie o własnych siłach. Nic więc dziwnego, że chcąc rozwiązać ten problemat, daremnie suszył sobie głowę przez całą noc. Czyżby miał w połowie drogi uznać się za zwyciężonego i wracać ze wstydem do Ojczyzny? Za nic na świecie!

Po bezsennej nocy ubrał się w swój połatany, ale czysty skautowski kostium, i udał się do restauracji Z.N.P.¹⁰², gdzie umówił się z druhem Wasilewskim. Dawny „Czarny Wilk”¹⁰³ oczekiwał już przy stole, popijając wodę z sokiem, która w „suchej Ameryce” zastępuje z konieczności piwo i wino. Przyjrzawszy się krytycznym okiem Jelińskiemu, skrzywił się.

– Mój druhu, rzekł, wprowadź kostium twój nie ma dziur ani plam, ale niestety, nie możesz w nim reprezentować skauta polskiego. W Ameryce jak cię widzą, tak cię piszą, podobnie zresztą jak na całym świecie. Chodź ze mną do konsula, może się dać coś zrobić.

Pan konsul generalny Marynowski i konsul Gruszka, jak się okazało, byli to ludzie lepiej od innych pojmujący znaczenie propagandy na rzecz Polski wśród emigracji amerykańskiej. Kiedy druh Jeliński zwierzył się ze swych kłopotów, pan Marynowski rzekł:

– Co do pańskiego towarzysza, Smosarskiego, to niestety, nic się nie da zrobić! Jest on stanowczo niedopuszczony na ziemię amerykańską z powodu swej choroby. Zostajesz pan więc sam jeden. Czy w tych warunkach masz pan jeszcze odwagę jechać dalej i kończyć swoją podróż naokoło świata?

¹⁰² Związek Narodowy Polski (ang. Polish National Alliance) – największa i jedna z najstarszych organizacji polonijnych w Stanach Zjednoczonych. Została założona 14 lutego 1880 w Filadelfii z inicjatywy Agatona Gille-
ra, który w liście do kilku pism polskich ukazujących się w Europie Zachodniej zwrócił uwagę na brak organiza-
cji wśród licznych uchodźców polskich w USA. Od końca XIX wieku ZNP jest największą polską organizacją
samopomocy w USA. Początkowo związek zajął się ubezpieczaniem zdrowotnym polskich robotników i prowa-
dzeniem funduszu, przynoszącego zyski z oprocentowanych polis członkowskich. W kolejnych latach ZNP
powołał do życia szereg instytucji wydawniczych i oświatowych, m.in. wyższą uczelnię w Cambridge Springs.
W czasie I wojny światowej współpracował z Ligą Narodową i Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu. W
czasie II wojny światowej wspierał działania Rządu RP na uchodźstwie.

¹⁰³ Czarne Wilki – tak nazywano członków pierwszej organizacji skautowskiej w USA: Woodcraft Indians (In-
dianie Puszczańscy). Nazwa pochodzi od przydomka jej założyciela Ernesta Thompsona Setona.

Druh Jeliński, jak wiemy, nie należy do tych ludzi, którzy cofają się wobec przeszkód.

– Społeczeństwo polskie wyprawilo nas w drogę, nie szczędząc nam zachęty i wierzy mocno w to, że nasz zamiar będzie wykonany, odparł. Jakże więc mógłbym zawieść pokładane we mnie zaufanie? Jak śmiałbym pokazać się tym wszystkim wybitnym osobistościom, które obdarzyły mnie dobrym słowem przy odjeździe? Pan Marszałek Piłsudski oświadczył mi wyraźnie: „Jeżeli spełnicie swój projekt, możecie się do mnie zameldować. Jeżelilibyście jednak nie potrafili opasać flagą polską kuli ziemskiej, to nie pokazujcie mi się na oczy”. Muszą więc za wszelką cenę dopiąć swego. Jedna tylko śmierć lub kalectwo mogłaby mnie od tego powstrzymać.

Energia i stanowczość druha Jelińskiego zaimponowała panu konsulowi. Uścisnął go z uśmiechem zadowolenia za rękę i rzekł:

– No, nie zginiessz pan tutaj, jakoś sobie poradzimy wśród Polonii.

Na razie najważniejsza sprawa to porządny przyodziewek. Służą panu małą pożyczką, którą mi pan zwróci przy okazji. Marsz więc do krawca, a potem dopiero pogadamy, co robić dalej. Druh Jeliński, usłyszawszy te pokrzepiające ducha słowa pana Martynowskiego, uczuł się nagle pełen nadziei. Smuciło go tylko to, że wypróbowany, najwierniejszy druh Smosarski musi wracać pod przymusem do Europy. Okręt, na którym odjeżdża joga, miał nazajutrz podnieść kotwicę. Pożegnanie było bardzo smutne. Łzy zaperliły się na opalonych słońcem afrykańskim policzkach naszych przyjaciół. Joga Smosarski pogodził się ze swym losem. Daleki był też od tego, żeby zazdrościć towarzyszowi powodzenia, które mogło stać się jego udziałem.

– Trudno, rzekł, ściskając mu dłoń. Nie mogę z tobą jechać, ale mam nadzieję, że będziesz sam wysoko dzierzył sztandar, dla którego tyle przecierpieliśmy. Ruszaj śmiało i pamiętaj, że zawsze myślą i sercem będę przy tobie.

Na pokładzie wielkiego parowca, gotującego się do dalekiej podróży, dał przenikliwe wichry, a druh Smosarski stał w lekkim kostiumie harcerskim, szczękając zębami. Widząc to druh Jeliński zrobił paczkę ze swego palta, włożył do wewnątrz czekolady, owoców i innych smakołyków, i kiedy nastała chwila opuszczenia pomostu, wetknął to wszystko Smosarskiemu.

– Zdołałem pożyczyć nieco floty, rzekł, zostawiam ci więc 30 dolarów i palto. Podróż masz opłaconą, a trochę grosza przyda ci się w drodze.

Z początku druh Smosarski nie chciał przyjąć tego daru, w końcu jednak zgodził się i rozstano się w jak najlepszych stosunkach. Kiedy syrena okrętowa zahuczała grubym i przeciągłym głosem, i kolos powoli odbił od przystani, druh Jeliński nie mógł oprzeć się pewnej

obawie i wzruszeniu. Od tej chwili pozostał sam jeden z tej czwórki, która rok temu wyruszyła w jak najlepszych myślach z Warszawy. Czuł on, że cała odpowiedzialność moralna za powodzenie wyprawy, której patronowało społeczeństwo polskie, spoczywa teraz na jego słabych barkach. Nie cofał się jednak przed nią, odważnie postanawiając iść naprzód.

Pan konsul generalny dotrzymał słowa, zajął się bowiem energicznie naszym podróżnikiem. W ciągu 24 godzin ujrzał się tenże w nowiutkim i bardzo starannie uszytym kostiumie skautowskim. Otrzymał w dodatku zapas świeżej bielizny. Drażliwa więc sprawa przyzwoitego prezentowania się od razu była załatwiona. Równocześnie, dzięki stosunkom konsulat, w prasie ukazały się zdjęcia porobione na okręcie. O wyprawie samochodem dookoła świata zaczęto pisać i mówić. A sztuka to nielada zwrócić na coś uwagę mieszkańców dziewięciomilionowego miasta, którzy uganiają się za coraz to świeższymi wrażeniami i są zbławizowani na punkcie sensacyjnych wydarzeń.

Wyprawa mogła więc sobie powinszować, że potrafiła zainteresować nie tylko Polaków, ale i rodowitych Amerykanów. Pozostawała tylko kwestia zdobycia gotówki na daleką podróż. Rozmawiając na ten temat, pan konsul zapytał:

– No, a jakże radziliście sobie dotąd?

Prawdę mówiąc, próbowaliśmy zdobyć trochę pieniędzy wygłaszaniem odczytów o naszej podróży, odparł druż Jeliński. Przedsięwzięcie to powiodło się dobrze, jeżeli idzie o propagandę, ale nie dało nam nic. Daleko lepiej wyszedłem na szoferce. Trudno jednak równocześnie podróżować i wozić przygodnych pasażerów.

– Tutaj będzie na odwrót, rzekł konsul. Na szoferce niewiele byś pan zarobił, bo konkurencja jest szalona. Ale pokaż no pan swoje prezrocza. Może z odczytami powiodłoby się lepiej.

Druż Jeliński chętnie uczynił zadość żądaniu pana konsula generalnego, który przejrawszy zbiór i księgę pamiątkową, poklepał go z uśmiechem po ramieniu.

– Widzę, że z niejedną wybitną osobistością zetknął się pan w Europie. Ma pan także bardzo interesujące autografy i zdjęcia fotograficzne. To w Ameryce stanowi cały majątek. Trzeba tylko umieć zamienić go na gotówkę, a to nie będzie zbyt trudną sprawą. W Algierze nic pan nie uzyskał z odczytu, tutaj zaś nasi rodacy przyjmą pana z otwartymi rękami i chciwie będą słuchali co im pan opowie o Polsce i o swej podróży. Zaraz dzisiaj zrobimy próbę.

Jest sobota, w naszej dzielnicy odbywa się kilka większych zgromadzeń. Latarnię¹⁰⁴ dostaniemy łatwo, zabierz pan swoje przezrocza i pojedziemy.

– Dokąd? – zapytał druh Jeliński, którego taka energia trochę przeraziła.

– Do Brooklynu, na największe przedmieście Nowego Jorku, odparł konsul. Siadaj pan w swoje auto, które będzie dla pana najlepszą reklamą.

I nie tracąc czasu pan konsul Marynowski i druh Wasilewski kazali się wieźć na wybrany punkt. Przy tej okazji nie mogli się wstrzymać, żeby nie zrobić pewnego niewinnego zresztą figla naszemu podróżnikowi. Zamiast bowiem kazać mu jechać najkrótszą drogą wybrali najdłuższą i w dodatku prowadzącą przez najruchliwsze ulice Nowego Jorku. Chcieli jakby przekonać się, czy druh Jeliński potrafi prowadzić swego forda nie tylko na pustyni, ale i w cizbie, o jakiej żaden europejski szofer nie ma pojęcia. Ruch samochodowy na ulicach miasta olbrzyma jest tak kolosalny, że nieraz tworzą się zatory i można by przejść na drugą stronę ulicy po dachach stłoczonych samochodów. Przy tym trzeba dawać baczenie na sygnały, dawane przez policję. Na odgłos dzwonka zatrzymać się, ażeby tłum publiczności oczekującej mógł przejść w poprzek ulicy, potem na drugi sygnał i w jednej chwili ruszać z miejsca, całym zastępem aut.

Druh Jeliński nie dał się atoli oszołomić tym chaosem i ruchem. Wprawdzie biły nań, jak to się mówi, siódme poty i nieraz z przerażenia, co się stanie, włosy podnosiły mu się na głowie, ale i z tych opałów wyszedł koniec końców z honorem. Nikogo nie przejechał, o nikogo nie zawadził i cało stanął przed dużym domem, gdzie odbywało się zgromadzenie polskie. Kilka słów pana konsula wystarczyło za rekomendację. Przedstawiono druha Jelińskiego przewodniczącemu zgromadzenia i prezesowi towarzystwa. Ci ze swej strony przedstawili go w kilkunastu gorących frazesach zgromadzonym, zapewniając, że może on opowiedzieć im dużo ciekawych rzeczy. Z kolei nasz podróżnik wstał i uklonił się publiczności, jakże odmiennie od tej, z jaką miewał do czynienia w Polsce! Byli to przeważnie robotnicy fabryczni, górnicy, kupcy, mechanicy, słowem przedstawiciele klasy zarobkującej fizycznie. Druh Jeliński pokazywał swoje zdjęcia przez latarnię magiczną, dając objaśnienia rzeczowe. Było to niewyszukane, ale płynące prosto z serca opowiadanie o doznanych wrażeniach, i dzięki tej formie zyskało zupełne uznanie u słuchaczy.

Wytworzył się bardzo miły nastrój, rodacy zza oceanu podchodzili do przybysza, ściskając go za rękę i nie szczędząc prostych, ale szczerych słów podzięk. Próba więc powiodła

¹⁰⁴ Latarnia czarnoksiężska (magiczna) – rodzaj prostego rzutnika, aparatu rzutującego obraz ze szklanych przezroczy. Urządzenie znane było już w XVII wieku. Udoskonaloną wersję (z możliwością regulacji ostrości) opatentowano w USA w 1870 roku.

się znakomicie. Zachęcony powodzeniem pan konsul, który nie żałował swego czasu, jeżeli chodziło o propagandę i budzenie ducha patriotyzmu w rodakach, ułożył cały program dla Nowego Jorku. Nie minął dzień, żeby druż Jeliński nie miał jakiej pogadanki po różnych zakątkach wielkiego miasta. Okazało się, że to tak skromne na pozór przedsięwzięcie jednak się opłacało. Raz prelegent otrzymał z kasy towarzystwa pewne, szczupłe zresztą, honorarium; to znów słuchacze płacili za bilety po kilkanaście centów. Tak czy owak jeden występ przynosił od kilkunastu do kilkudziesięciu dolarów. Z tych małych kwot po paru tygodniach utworzyła się sumka, nie tylko wystarczająca na pokrycie długu zaciągniętego w konsulacie i na bieżące potrzeby, lecz nawet można było z niej coś niecoś odłożyć na podróż. Przy tej okazji druż Jeliński z Czarnym Wilkiem, który służył mu za bezinteresownego przewodnika, poznał olbrzymie miasto i jego życie wewnętrzne, zarówno podczas dnia jak i w nocy.

Oswoiwszy się nieco z życiem drugiego miasta na świecie, gdyż Londyn dotychczas utrzymuje prym co do liczby ludności¹⁰⁵, druż Jeliński, przy pomocy pana konsula Marynowskiego, otrzymał widzenie się z burmistrzem nowojorskim, który sam będąc sportsmanem ocenił należycie wysiłek druż Jelińskiego. Z wielką satysfakcją umieścił on swój podpis w księdze pamiątkowej obok tylu wybitnych nazwisk, które już w niej figurowały podówczas. Złota pieczęć urzędu burmistrzowskiego ozdobiła kartę albumu. Prasa polska i amerykańska nie szczędziła swoich szpalt dla zareklamowania przedsięwzięcia, które nawet za oceanem wydało się oryginalnym i ryzykownym. O wyprawie polskiej naokoło świata w samochodzie pisano i mówiono coraz więcej. Stwarzało to podatny grunt na przyszłość dla naszego podróżnika.

Najwyższe dowództwo skautów amerykańskich wręczyło drużowi Jelińskiemu pismo, w którym ta olbrzymia, licząca 800 tysięcy członków organizacja wyraża mu podziękowanie za tak świetne reprezentowanie wobec całego świata ruchu skautowskiego, międzynarodowego. Wyróżnienie to nie było bez znaczenia dla wyprawy, która odtąd mogła liczyć na poparcie moralne skautów amerykańskich. Nasz podróżnik odwiedzał polskie gniazda sokole w Nowym Jorku, które są silnie zorganizowane i przejęte duchem patriotycznym. Automobilklub, do którego zgłosił się druż Jeliński, z początku nie chciał wierzyć, że jeden człowiek i w dodatku nie mający doświadczenia prowadził auto po całej Europie i Północnej Afryce. Kiedy jednak panowie automobiliści, między którymi jest sporo bogaczy, przejrzeni krytycznie papiery wyprawy, od razu zmienili ton. Stali się bardzo uprzejmi, pokazali swój lokal klubowy naszemu skautowi, który musiał podziwiać nie tylko przepych urządzenia, ale i

¹⁰⁵ W latach 20. liczba mieszkańców Londynu wynosiła ok. 7,5 miliona, Nowego Jorku natomiast 5,6-6,9 miliona.

wspaniałe nagrody, zdobyte przez klub na światowej arenie. Wartość pucharów i innych trofeów, umieszczonych w żelaznych szafach, przekracza sumę kilku milionów dolarów. W końcu druh Jeliński, traktowany już jak równy, przyjął ofiarowane mu godło klubu z legitymacją, list polecający do wszystkich oddziałów klubu w całych Stanach i, co najważniejsze, dokładne mapy dróg, które niebawem miał przebywać. Był to dar bardzo praktyczny.

Po paru tygodniach zabiegów druh Jeliński poczuł w kieszeni skromną sumkę i odważył się z nią puścić w dalszą drogę, pomimo że jego auto było mocno zdezelowane. W Stanach w takim samochodzie nawet zwyczajny robotnik nie chciałby się pokazać. Ale trudno. Naszemu podróżnikowi chodziło na razie o to, żeby dostać się do Waszyngtonu i tam otrzymać audiencję u prezydenta Coolidge'a.

ROZDZIAŁ XVI.

JAK SIĘ PODRÓŻUJE AUTEM W AMERYCE. STOLICA STANÓW. AUDIENCJA W BIAŁYM DOMU.

Tak więc z czwórki, która wyruszyła przed rokiem z górą, pozostał tylko druh Jeliński. Jedynym jego przyjacielem i towarzyszem był odtąd mały Oranek, który dzięki swej mamce cieszył się doskonałym zdrowiem i złotym humorem. Jego figle rozweselały samotnego podróżnika, dodając mu otuchy i spędzając nieraz troskę z czoła. Odgrywał on teraz rolę pasażera, zajmując miejsce osierocane przez jogę Smosarskiego wewnątrz karety, chociaż często, uprzykrzywszy sobie samochód, siadał obok kierowcy. Gdyby nie on, to druh Jeliński całymi dniami nie miałby do kogo ust otworzyć. Podróżowanie po drogach amerykańskich, doskonale utrzymanych dzięki wielkiej liczbie aut w tym kraju, odbywa się gładko. Wszędzie są zakładane stacje gazolinowe¹⁰⁶, gdzie można także zreperować samochód w razie jakiejś przygody. Obok znajdują się budki rozmaitych stylów, w których głodny automobilista może dostać przekąskę, składającą się zwykle z parówek i chleba, albo napić się wody sodowej, kakao lub mleka. Smutne doświadczenie każe jednak druhowi Jelińskiemu unikać na przyszłość tych hot-dogów¹⁰⁷ i innych przysmaków. Jadąc wspominał on często rodaków, którzy na samym wstępie na ziemi amerykańskiej wyświadczyli mu tyle dobrego. Gdyby nie ich braterska, bezinteresowna pomoc, musiałby on może zaniechać swej podróży. Wyraża im więc na tym miejscu niewygasłą wdzięczność i przesyła gorące podziękowanie ze Starego Kraju.

Podróż poprzez Jersey City, Newark, Camden i Baltimore do Waszyngtonu odbywała się „rzemiennym dyszlem”¹⁰⁸. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami konsulatu druh Jeliński zatrzymywał się w miejscowościach, gdzie wprawdzie mieszkali Polacy, ale duch ich patriotyczny wymagał świeżej podniety. Przybywając do jakiejś miejscowości, nasz skaut zastawał już maleńki komitecik złożony z rodaków, który prowadził go do burmistrza miasta (majora). Urząd ten, piastowany zwykle przez ludzi popularnych, jest wysoko ceniony w Stanach, toteż przyjęcie przez majora jest pewnego rodzaju wyróżnieniem. Polacy, biorący udział w tym przyjęciu rodaka, na ratuszu czuli się mile połączani w swej ambicji narodowej świadomo-

¹⁰⁶ Stacja gazolinowa – stacja benzynowa. Gazolina to przestarzała nazwa benzyny (od ang. gasoline).

¹⁰⁷ W pierwszym wydaniu: „haddogów”.

¹⁰⁸ Podróżować rzemiennym dyszlem – podróż z częstym zatrzymywaniem się, zazwyczaj u znajomych mieszkających po drodze. Rzemienny dyszel to staropolskie określenie powozu.

ścią, że mają między swymi wybitnych sportowców, zasługujących na uznanie Amerykanów, którzy są dość wymagający pod tym względem.

Na ogół Polacy zachowywali się z początku względem naszego podróżnika nieufnie. Nie można się temu dziwić, gdyż w Stanach włości się wielu rodaków bez wytkniętego celu, a tylko w zamiarze wykorzystania pocziwych ludzi. Kiedy jednak druh Jeliński pokazał swoje przezrocza, sytuacja od razu się zmieniła. Nie tylko słuchano sprawozdania i wynagradzano, według środków, prelegenta, ale zapraszano go do domów prywatnych z isticie staropolską gościnnością. Ludzie najbiedniejsi przodowali na tym punkcie innym, znacznie od siebie zamożniejszym. Zresztą druh Jeliński unikał stosunków z bogaczami, ażeby go nie posądzono, że kieruje się jakimiś materialnymi względami. Zapraszał każdego zamożnego czy biedniejszego na swój odczyt, w czym prasa miejscowa bardzo mu pomagała. Nigdzie nie zatrzymywał się dłużej, spiesząc do następnego osiedla, gdzie znów miał nadzieję spotkać się z rodakami. Polacy amerykańscy, choćby mieszkali tam od wielu lat, nie tracą przywiązania do staro kraju. Chętnie słuchają tych, którzy mu o nim mówią i z pewnym sentymentem oglądają przezrocza z Polski przywiezione.

Dzięki tej licznie osiadłej w Stanach ludności polskiej druh Jeliński wszędzie prawie znajdował oparcie i zachętę dla swojego przedsięwzięcia. Przebycie dwóch części świata, jednego oceanu i kilkudziesięciu tysięcy kilometrów już każdemu imponowało, stąd płynęły liczne ułatwienia w podróży. Po przybyciu do nieznanego miasta, gdzie kolonia polska była nieliczna, druh Jeliński zatrzymywał się na placu przeznaczonym dla turystów, którzy bez ustanku włości się całymi rodzinami po Stanach, zwłaszcza w porze letniej. Na takim campingu można za małą opłatą dostać czystej wody, ognia, wykapać się i przenocować w jednoizbowych domkach. W ogóle Amerykanie starają się poznawać swój kraj i korzystają z każdej okazji, żeby odbyć większą podróż do najciekawszych okolic. Jako środek lokomocji służy im przeważnie samochód. Każdy Amerykanin, mając parę tygodni wolnych, zabiera do auta rodzinę, kuchnię przenośną, łóżka polowe, namiot, słowem wszystko niezbędne dla turysty, i puszcza się w drogę, co rok obierając inne strony. W podróży zatrzymują się tam, gdzie okolica wydaje się piękną, rozkładają obozowisko gdzieś nad strumieniem, jeziorem lub przy lesie i prowadzą życie bez troski, na świeżym powietrzu, zażywając powabów natury. Ruch turystyczny tego rodzaju obejmuje wszystkie warstwy, nawet najuboższe, jeżeli w ogóle można mówić w Stanach o ubóstwie.

Każdy niemal tamtejszy robotnik, o ile ma pracę, dochodzi niebawem do posiadania samochodu, własnego domku, porządnych mebli, słowem do pewnego dobrobytu. Wszystko to bierze na długie spłaty, na tym tle jednak dzieją się różne nadużycia – w razie kryzysu,

kiedy robotnik nie może płacić rat bieżących, zabierają mu wszystko, i znów zostaje biedakiem. Mimo to jednak wielu się dorabia okazałych majątków. W Stanach dobrze płacą, ale też żądają sumiennej, energicznej pracy. Nasz robotnik, który w Polsce nie chce pracować, raz dostawszy się do amerykańskiej fabryki musi się dostosować do tych warunków i zostaje dzielnym człowiekiem. Taki jednak, który przybył świeżo i nie zna języka, musi się przez kilka miesięcy opłacać agentowi, który mu dostarczył zajęcia.

W Ameryce nikt nie ma litości nad podróżnikiem albo niedołągą i nie da mu za darmo ani grosza. Inaczej niż u nas! Dlatego też każdy musi się tam imać jakiegoś zajęcia, a żebraka nigdzie nie spotkasz. Przeciętny robotnik przedstawia się zupełnie przyzwoicie i może sobie na niejedną przyjemność pozwolić. Ponieważ od szeregu lat alkohol jest zabroniony, więc oszczędności rosną, kraj staje się coraz bogatszy. Niejednemu robotnikowi zwyczajny ford już nie wystarcza i ogląda się za cadillakiem albo packardem¹⁰⁹.

Ten wielki ruch turystyczny wymaga dobrze utrzymanych szos, toteż Stany górują na tym punkcie nad Europą. Drogi są wszędzie wyśmienite, gdyż każdy nabywający gazolinę płaci równocześnie podatek – cent od galona¹¹⁰ – na ich konserwację. Im więc kto więcej jeździ, tym większy opłaca podatek i sprawiedliwości dzieje się zadość. Duch Jeliński pędził szybko z miasta do miasta, chociaż jego aucik był już mocno rozklekotany. Nie obyło się bez przygody. Dojeżdżając do Baltimore, wstąpił jak zwykle na przekąskę w campingu i zjadł z apetytem gorące hot-dogi (kiełbaski parowe), które, jak się wnet okazało, były nieświeże. Nasz podróżnik poważnie skutkiem tego zapadł na zdrowiu i tylko dzięki opiece pewnego zamożnego Polaka, pana B., i jego córek, wrócił do zdrowia po kilku zaledwie dniach.

Był jeszcze bardzo osłabiony i miał ochotę poleżeć w łóżku, gdy otrzymał od poselstwa polskiego wiadomość, że musi natychmiast jechać do Waszyngtonu, gdzie mu wyrobiono audyencję u samego prezydenta Coolidge’a. Pędził więc jak szalony po doskonałych, gładkich jak bilardowe stoły szosach, do tonącego w zieleni parków i ogrodów stołecznego miasta Unii¹¹¹. Żyje się tam całkiem inaczej niż w przeludnionym Nowym Jorku. Pan poseł Rzeczypospolitej, Jan Ciechanowski¹¹², jest człowiekiem niezależnym majątkowo, dzięki czemu może świetnie reprezentować Polskę w tym kraju milionerów. Na przyjęciach w poselstwie naszym bywają chętnie i licznie nie tylko dyplomaci zagraniczni, ale nawet bogacze amerykań-

¹⁰⁹ Packard – amerykańska firma motoryzacyjna założona przez braci Jamesa i Williama Packardów, produkująca w latach 1899-1958 luksusowe samochody osobowe.

¹¹⁰ Galon – miara objętości stosowana w krajach anglosaskich. Galon amerykański równy jest 3,79 litra.

¹¹¹ Unia – określenie amerykańskich stanów, które podczas domowej wojny secesyjnej (1861-1865) pozostały w składzie Stanów Zjednoczonych. Przeciwnikiem Unii była Konfederacja (stany południowo-wschodnie). Później „Unia” mogła być synonimem dla całego terytorium USA.

¹¹² Jan Ciechanowski (1887-1973) – polski ekonomista i dyplomata; radca ambasady w Londynie (1925-1926), ambasador RP w Waszyngtonie (1925-1929 oraz 1940-1945).

scy. Poza tym pan poseł odznacza się osobistymi zaletami, które czynią go bardzo popularnym w Waszyngtonie. Zna się on doskonale na ludziach i rzadko myli w sądach o nich.

Sekretarz poselstwa, pan Staliński, umieściwszy naszego podróżnika w jednym z najlepszych hoteli i zjadłszy z nim rano śniadanie, przedstawił go panu Ciechanowskiemu. Pan poseł, który sam jest wybitnym podróżnikiem, sympatycznie powitał naszego podróżnika. Przyobiegał, że natychmiast wyśle okólnik¹¹³ do placówek polskich w Stanach, żeby w miarę możliwości popierały jego propagandowe występy. Następnie kazał zająć swą wspaniałą limuzynę i wraz z naszym podróżnikiem, który siadł do swego fordzika, pojechał do Białego Domu (tak nazywa się rezydencja prezydenta Stanów). Nie czekano tutaj długo. Przeszedłszy szereg pokojów, zatrzymano się w dużej sali, gdzie sekretarz prezydenta oświadczył, że audycja odbędzie się za dwie minuty. Przedstawił on druhowi Jelińskiemu głównego komendanta skautów amerykańskich, który także miał wziąć udział w posłuchaniu jako przedstawiciel bratniej organizacji.

Pan prezydent Coolidge podał rękę posłowi Ciechanowskiemu, potem druhowi Jelińskiemu i zadał mu kilka pytań, którymi krajami przejechał, dokąd się obecnie kieruje i jak długo ma zamiar być w podróży. Ten przedstawiciel olbrzymiego i najbogatszego w świecie państwa robił wrażenie człowieka chorego¹¹⁴, zmęczonego życiem. Przerzucił od niechcenia kartki pamiątkowej książki, umieścił na niej ciekawym, delikatnym charakterem pisma swój podpis i oddał ją naszemu podróżnikowi. Audycja na tym się skończyła. Na tle Białego Domu porobiono interesujące zdjęcia, na których nasz podróżnik figuruje obok posła Ciechanowskiego i komendanta skautów amerykańskich. Nie zapomniano także o Oranku, który pozwolił się sfotografować z wielką powagą, jakby przejęty doznany zaszczytem.

– Uważaj pan na niebezpieczne góry, które niebawem musisz pan przebyć, udając się do Pittsburga, rzekł pan poseł przy pożegnaniu. Źle by było, gdyby z powodu jakiegoś wypadku pańska propagandowa podróż miała doznać przerwy. A więc szczęśliwej drogi.

Druh Jeliński wyobrażał sobie, że będzie miał do czynienia z takimi samymi karkołomnymi przeprawami jak na Sycylii. Ale jakoś daremnie wypatrywał serpentyn, przepaści i sprawdzał, czy hamulce dobrze działają. Kiedy nareszcie ujrzał z daleka kominy fabryczne Pittsburga, sądził że pan poseł się omylił. Niebawem atoli powiedziano mu, że istotnie przejechał niebezpieczny odcinek. Należy zaznaczyć, że w Ameryce na wirażach szosa jest pochyła jak na torach wyścigowych. Wszędzie mocne bariery i znaki ostrzegawcze. W tych warun-

¹¹³ Okólnik (kurenda) – pismo urzędowe wydane przez organ administracyjny, zawierające wskazówki lub zalecenia dla podległych mu instytucji.

¹¹⁴ Prezydentowi Coolidge'owi doskwierały dolegliwości kardiologiczne. Zmarł na zakrzepicę naczyń wieńcowych 5 stycznia 1933 r.

kach nawet dość strome odcinki nie wydają się niebezpiecznymi i można na nich jeździć nocą bez narażenia się na poważniejszy wypadek.

Nareszcie ukazał się Pittsburg, olbrzymie miasto fabryczne, zionące chmurą dymu ze swych tysiącznych kominów. Tutaj w stalowniach, hutach i kopalniach pracuje dużo Polaków. Kierownik konsulatu, pan Kulicz, niezmiernie uczynny i sympatyczny człowiek, uprzedzony zawczasu rozesłał okólniki do wszystkich parafii o przybyciu skauta Jelińskiego. Zawiadomił także zarząd sokołów polskich, który mieści się w Pittsburgu. Trzeba tu zaznaczyć, że Sokoli amerykańscy, przeniknięci żywym patriotyzmem, wiele uczynili dla Polski powstającej do nowego życia. Oni to tłumnie zapisywali się na ochotników do armii polskiej, która walczyła ramię przy ramieniu z armią amerykańską na zachodnim froncie, wyrabując wolność Ojczyźnie w żelaznych zastępach niemieckich.

Sokoli tworzą bardzo bogatą i rozgałęzioną organizację w Stanach. Wszędzie niemal, gdzie mieszka choćby niewielka garstka Polaków, mają oni swoje gniazda, w których młodzież nie tylko wzmacnia ciało gimnastycznymi ćwiczeniami, ale rozbudza w sobie tężyznę ducha i miłość Ojczyzny. Na czele organizacji stoją: druż dr Starzyński i jego prawe ręce – druhowie Pieprzny, Kłosowicz, Burke i drużna M. Korfantowa. Ludzie ci z całym zaparciem pomagali druhowi Jelińskiemu w jego propagandowych wycieczkach do okolicznych sokolni. W ciągu kilku dni nasz skaut wygłosił sporo odczytów dla sokołów i parafian. Są bowiem w Ameryce liczni księża katoliccy, którzy chętnie przykładają rękę do spraw leżących im na sercu. Przy ich pomocy można dużo zdziałać. Należy jednak zaznaczyć, że tu i ówdzie może się trafić proboszcz nie doceniający wagi propagandy na rzecz Polski wśród amerykańskich Polaków. W takiej parafii przedsięwzięcie w rodzaju odczytu nie może liczyć na powodzenie, nawet wręcz przeciwnie, gdyż parafianie mają zwykle duże zaufanie do swojego przewodnika duchownego.

Robotnicy, jak się okazało, są bardzo wdzięcznym typem słuchaczy. Nieraz sala nie mogła pomieścić przybywających na odczyt. Nasz skaut doznał od nich licznych i serdecznych objawów sympatii. Litowano się nad nim, że choć tak młody, musi jeszcze pół świata objechać. Niejedna łza macierzyńskiego współczucia potoczyła się po zoranej zmarszczkami twarzy, nie jedno błogosławieństwo padło na głowę naszego podróżnika.

ROZDZIAŁ XVII.
KOLEGIUM ZWIĄZKU NARODOWEGO. TOLEDO.
NIESPODZIEWANE SPOTKANIE. DETROIT. KŁOPOTY AUTOMOBILISTY.
POD SZCZĘŚLIWĄ GWIAZDĄ.

Biedny fordzielec wyteżał ostatnie siły. Przebyte przestrzenie podniszczyły bardzo jego zdrowie. Panewki były wytarte, pierścienie tłoków nie dość przystawały do cylindrów, resory ledwie trzymały, bolce powyrabiane. Najbardziej zaś ucierpiały opony na przednich kołach; tylne bowiem były, jak wiadomo, niedawno zastąpione nowymi. Druh Jeliński naprawiał uszkodzenia jak mógł, ale widział z rozpaczą, że jeszcze dwa albo trzy tysiące kilometrów i kariera jego na fordzielcu skończy się żałością. A o tym, żeby sprawić sobie nową maszynę, nawet nie marzył w najskrytszych snach. Byle dotrzeć do Detroit, gdzie króluje Ford. Kto wie, może ten magnat uniesie się wspaniałomyślnością!

Jadąc do Toledo z Waszyngtonu, nasz skaut zatrzymał się w Cambridge Springs, gdyż pragnął zwiedzić głośnie wśród amerykańskiej Polonii kolegium tamtejsze, utrzymywane przez Związek Narodowy Polski. Z daleka już dostrzec można na wzgórzu wspaniały budynek, w którego murach kształci się przeszło 400 młodych Polaków. Dyrektorem tego zakładu jest znany powieściopisarz, Wacław Gąsiorowski¹¹⁵, dyrektorem zaś administracyjnym pan B. Stęczyński. Już wiadano z prasy o przybyciu naszego podróżnika. Gremium uczniów z profesorem na czele wyległo na spotkanie rodaka przybywającego autem z dalekiej Ojczyzny. Dusza rosła, kiedy się patrzyło na te zastępy dzielnej młodzieży – wysportowanej, doskonale się prezentującej w granatowych mundurkach o żółtych guzikach.

Zaproszono naszego skauta, żeby opowiedział swoje wrażenia z podróży i pokazał nagromadzone prezencja. Odczyt ten, poprzedzony hymnami polskim i amerykańskim, wysłuchany był z wielkim skupieniem i entuzjazmem. Kiedy dyrektor zapytał żartem, kto zgodziłby się jechać z druhami Jelińskimi, który pozostał sam jeden, zgłosiło się tylu kandydatów, ilu uczniów liczyło całe kolegium. Oczywiście nasz podróżnik nie mógł zabrać ze sobą żadnego z młodych uczniów, tak więc musiał zadowolić się nadal towarzystwem Oranka, który na ziemi Waszyngtona czuł się jak rodowity Amerykanin.

¹¹⁵ Wacław Gąsiorowski (1869-1939) – pseudonim Wiesław Sclavus; polski powieściopisarz, dziennikarz, scenarzysta, działacz polonijny i niepodległościowy. W latach 1921-1930 redaktor czasopism polonijnych w Stanach Zjednoczonych, autor powieści historycznych nawiązujących głównie do epoki napoleońskiej i powstania listopadowego.

W Toledo atmosfera zmieniała się radykalnie. Zamiast uczniów kolegium przyjmowali naszego podróżnika dawno już tam osiedleni Polacy. Między nimi jest kilka wybitnych osobistości: powszechnie lubiany „Wujek” Dałkowski, człowiek niepospolitego serca, pan Kacper Terpiński, mecenas Grzeziński oraz prezes sokołów Duda. Ten ostatni, bardzo przyjaźnie usposobiony do naszego podróżnika, urządził mu z wielką reklamą i starannością odczyt w lokalu sokolni, w obszernej i widnej sali. Na tę prelekcję zjawił się bardzo duży zastęp publiczności, tak iż sokolnia w swych ścianach nie mogła go nawet pomieścić. Liczna publiczność dobrze usposabia prelegenta, toteż nasz skaut był w doskonałym humorze i barwnie opowiadał o doznanych przygodach. Kiedy zajmował się opisem pewnego miasta na wybrzeżu polskim, nagle z grona słuchaczy, siedzących w pierwszych rzędach krzeseł, rozległ się doskonale znany mu głos kobiety: „Jest to właśnie jedna z największych latarni morskich nad Bałtykiem”.

Druh Jeliński poczuł jakby uderzenie iskry elektrycznej. Obejrzał się i ze zdumieniem poznał w jednej ze studentek miejscowego uniwersytetu ową znajomą ze Lwowa, której listy otrzymywane w drodze tak bardzo go zaintrygowały i stanowiły dlań osłodę w przykrych chwilach osamotnienia. Starał się jak najprędzej skończyć swój wykład o morzu polskim, przesuwał więc spieszenie przezrocza, a kiedy ostatni obrazek zagasł na ekranie nie mógł dłużej wytrzymać i, zbliżywszy się do panny Izy, koleżeńskim ruchem wyciągnął do niej dłoń.

– Pani tutaj? Co za niespodzianka!

Panienka uśmiechnęła się filuternie.

– Niespodzianka? – powtórzyła. – Zapomina pan, że z góry zapowiedziałam, jeszcze we Lwowie, nasze spotkanie się na gruncie amerykańskim. Widzi pan więc, że umiem dotrzymywać danego przyrzeczenia. Niech pan pozwoli, przedstawię pana mojej cioci! – dodała wskazując na sympatyczną kobietę, siedzącą obok niej.

Nasz skaut, ukłoniwszy się, wrócił z niechęcią na katedrę. Nie spuszczał jednak wzroku ze ślicznej blondynki, wpatrzonej w niego nawzajem niebiesko-szarymi źrenicami, w których widniało silne pomieszanie i błyskały iskry tłumionej radości.

– Niech pan nas odwiedzi, proszę – rzekła uprzejmie ciocia przy rozstaniu. – Dużo o panu słyszałyśmy i jesteśmy ciekawe z własnych ust pańskich dowiedzieć się o przygodach afrykańskich.

Druh Jeliński rad by był natychmiast skorzystać z tego zaproszenia, lecz musiał wziąć udział w wieczerzy, którą na jego cześć wydawali obywatele polscy w Toledo. Nazajutrz rano, nie czekając nawet zwykłej pory wizytowej, udał się pod wskazałby adres. Panna Iza zamieszkiwała ładny domek, coś w rodzaju willi podmiejskiej, otoczonej ogrodem. Przyjęła

swego gościa w hallu prostym, lecz serdecznym uściskiem dłoni. Kiedy nasz skaut, olśniony widokiem panienki, o której w cichości serca wielokroć marzył, zaczął się przyglądać z wielkim i nieco krępującym zaciekawieniem jej wiotkiej postaci, wspaniałym puklom złotych, krótkich włosów, okrywających niby złoty hełm kształtną główkę, panna, zmieszana nieco, rzekła:

– Niechże pan rozbierze się prędejką, nie ma czasu! Muszę pana zaprowadzić do mojej cioci.

Pobiegła przodem i zatrzymała się na progu sypialni, gdzie leżała jej ciotka, tak dalece zmieniona, że nasz podróżnik z trudnością ją poznał. Pani N. uśmiechnęła się blado.

– Jak to ładnie z pana strony, że pan spełnia życzenie chorej, może ostatnie! – dodała. – Kto wie, czy ujrzę jeszcze Polskę, o której pan nam wczoraj tak pięknie mówił. Zasłużył pan na moją wdzięczność. Niech pan uważa mój dom za własny i odwiedza nas jak najczęściej.

Panna Iza zapewniła gościa, że ciocia zwlekła się z łóżka, w którym od tygodnia musiała leżeć, aby tylko być na jego odczucie i że zaraz po powrocie uczuła się znacznie gorzej. Pozostawiono ją w spokoju. Pannie Izcie było pilno pogawędzić z gościem. Zaprowadziła go do swego pokoiku, pełnego cacek, kwiatów i obrazów, i posadziła go przy małym biurczku, z którego wyjęła całą paczkę listów nierozpieczętowanych i wiązkę wycinków z gazet.

– Mówił mi pan, że otrzymał ode mnie parę listów. Niech pan jednak spojrzysz, ile ich mi zwrócono! To całe szczęście, bo inaczej musiałby pan to wszystko przeczytać! Doskonale wiedziałam, którądy pan jedzie dzięki Polskiej Agencji Prasowej, która przysyłała mi co parę dni wycinki dotyczące pańskiej podróży. Pamięta pan jak we Lwowie wyraziłam chęć towarzyszenia panu? Odrzucił pan wówczas moją prośbę. Gdybym jednak ponowiła ją teraz, kiedy pan pozostał sam jeden? Co by pan na to powiedział?

Druh Jeliński, słuchając tych słów, mimo woli oblał się rumieńcem.

– Nie śmiałem nawet marzyć o podobnym szczęściu – rzekł – lecz niestety projekt ten i teraz jest niemożliwy do przyjęcia. Czy pani zastanowiła się nad tym, jakby świat patrzył na taką wspólną podróż? Plotka zwróciłaby może swe jadowite żądło w stronę pani, raniąc ją boleśnie, choćby nawet pani nie zasłużyła na to swoim postępowaniem. A w dodatku, czy pani zdaje sobie sprawę z trudów podróży autem poprzez wertepy, pustynie, wśród wrogich nieraz ludzi i różnych niebezpieczeństw?

– Nie lękam się niczego! – zawołała z zapałem panna Iza. – Zapomina pan, że jestem pełnoletnia i mogę odpowiadać za swoje czyny.

Druh Jeliński nie dał się atoli zachwiać w swoim postanowieniu. Zanadto szanował on i cenił pannę Izę, ażeby się zgodzić na jej cokolwiek ryzykowne projekty. Gdyby była moją żoną, myślał sobie, podróż taka byłaby pełna powabów, lecz czyż mogę obcą, bądź co bądź, osobę zabierać do auta i jechać z nią na skraj świata? Powoli sama panna Iza zaczęła chłodniej traktować swój pomysł, w końcu nawet uznała go za wariacki. Lecz zapal i żywa sympatia okazywana naszemu skautowi coraz bardziej pociągały go do tej energicznej, inteligentnej i ładnej panienki. Gnana żądzą wiedzy porzuciła ona rodzinne miasto ażeby studiować filozofię na uniwersytetach amerykańskich. Poza tym dobre serce kazało jej służyć ostatnie lata życia chorej ciotki, która, owdowiawszy, potrzebowała czulej opieki kogoś bliższego. Panna Iza, chociaż poświęcała się filozofii, miała jednak bardzo wysoko rozwinięte poczucie muzyczne i grała doskonale na fortepianie. Nieraz oboje siadywali w saloniku, gdzie panna W. dawała prawdziwe koncerty, których nasz podróżnik był jedynym słuchaczem.

Dwoje młodych ludzi zbliżało się do siebie coraz bardziej. Nasz podróżnik miał sposobność porównywać Polki, a zwłaszcza pannę Izę, do pustych na ogół i myślących tylko o strojach, sportach i przyjemnościach życia rodowitych Amerykanek. Porównanie to, rzecz prosta, wypadło bardzo szczęśliwie dla panny Izy. Pan Jeliński czuł instynktownie, że zabawiwszy w Toledo dłużej, mógłby pozyskać serce i rękę tej wyjątkowej pod każdym względem dziewczyny, i kto wie, znaleźć szczęście we wspólnym z nią pożyciu. Musiał wielokrotnie staczać z samym sobą walki, z których jednak wyszedł koniec końców zwycięsko. Oświadczyć się i ożenić z panną Izą znaczyłoby to zaniechać rozpoczętej tak świetnie podróży, a więc zawieść zaufanie rodaków.

Jednakże panna Iza wywierała tak silny wpływ magnetyczny na naszego skauta, że aż trzy razy pod rozmaitymi pretekstami wracał do Toledo. Kiedy wreszcie wybiła godzina stanowczego rozstania się, młodzi ludzie przyrzekli sobie solennie pisywać jak najczęściej i za rok spotkać się znów w Polsce, wówczas kiedy druh Jeliński dokończy swej podróży, a panna Iza otrzyma dyplom uniwersytetu w Toledo. Z miasta tego druh Jeliński wyniósł więc bardzo przyjemne wspomnienia. Dzięki protekcji proboszcza Wachowskiego odczyty w parafii Świętego Wojciecha, bardzo licznej i zamożnej, cieszyły się wielką frekwencją, zasilając szczupłe fundusze podróżnika. W mieście tym druh Jeliński mimo woli wtajemniczył się w sposoby obchodzenia surowego prawa prohibicyjnego przez mieszkańców nie mogących obejść się bez kieliszka wódki. Ponieważ nie wolno pędzić okowity ani jej sprzedawać, przeto pomysłowili toledczycy, jak zresztą dzieje się wszędzie niemal w Stanach, urządzali potajemne gorzelnie domowe. Prawo przeciwko takiej prywatnej produkcji jest bezsilne, co najwyżej policja

konfiskuje aparaty, ale nazajutrz amator wódki kupuje sobie nowe i nadal pędzi „moonshine”¹¹⁶, to znaczy samogonkę przy świetle księżycowym.

Co najdziwniejsze – w kraju, gdzie alkohol jest tak prześladowany, w każdym domu można się z nim spotkać. Zakazany owoc smakuje najlepiej, więc druh Jeliński wszędzie był częstowany gorącymi trunkami. Ku wielkiemu zmartwieniu gościnnych gospodarzy musiał wszakże, jako prawowierny skaut, odmawiać. Miał atoli okazję przekonać się jak niedorzecznym w gruncie rzeczy jest ten zakaz, który tylko powiększa pragnienie obywateli Stanów. Żona „Wujka Kacperka” Terpińskiego (tak go powszechnie nazywano wśród przyjaciół), chociaż wychowana w Ameryce, nie hołdowała bynajmniej konserwom ani kuchni jankesów, lecz dawała wyśmienite, szczerze tradycyjne obiady. Nie dość, że nasz druh korzystał z jej gościnności podczas pobytu w Toledo, ale jeszcze, kiedy już był w drodze, otrzymywał za pośrednictwem samego Kacperka, pędzącego z szybkością 100 mil na godziną w swym olbrzymim cadillacu, dodatkowe zapasy na dalszą podróż. Były one tak obfite, że Oranek miał wielki kłopot, żeby należycie pomóc w ich sprzątnięciu swojemu panu. W Toledo Polonia żyje więc dostatnio, wesoło i pielęgnuje tradycje starego kraju, nie tylko w dziedzinie kulinarnej, ale i obyczajowej.

Druh Jeliński zamiast paczek z zapasami żywności wolałby może otrzymać na drogą jakiego okazałego cadillaca lub buicka. Pocieszał się jednak myślą, że w Detroit, gdzie przecież samochody są jak ziarna piasku nad brzegiem morskim, dojdzie do posiadania lepszego wehikułu. Szybko więc podążył do tej stolicy Forda, pragnął bowiem obejrzeć jego słynne na cały świat zakłady¹¹⁷. Trafił akurat w nie dobrą porę, Ford bowiem ujrzał się w konieczności zastąpienia swego przestarzałego już samochodu nowym typem¹¹⁸. Fabryka była atoli urządzona do produkcji seryjnej, każda zatem maszyna musiała być zastąpiona przez nową. Nawet stare budynki już się nie nadawały do nowej fabryki. To gruntowne przerobienie i przystosowanie olbrzymich zakładów do produkcji nowego typu pociągnęło za sobą kolosalne wydatki inwestycyjne. Mówiono o kilkudziesięciu milionach dolarów. Ford nie cofnął się

¹¹⁶ Moonshine (z ang. „światło księżyca”) – potoczna nazwa wysokoprocentowego alkoholu wytwarzanego nielegalnie. Etymologia nazwy wiąże się z angielskimi przemytnikami, którzy swą działalność prowadzili w nocy (przy świetle księżyca). Polski odpowiednik nazwy to „księżycówka”.

¹¹⁷ Zakłady Forda były pierwszą w świecie fabryką, w której zastosowano produkcję masową. Zastosowanie taśmy produkcyjnej obniżyło koszty do tego stopnia, że samochód przestał być dobrem dla elit i stał się dostępny dla każdego średnio zarabiającego obywatela USA.

¹¹⁸ Mowa o Fordzie Model A, produkowanym w latach 1927-1931. Bardzo popularny model poprzedni, którego właścicielem był Jeliński, to Ford T (w latach 1908-1927 z fabryk wyszło 15 milionów egzemplarzy tego auta – pod tym względem w historii motoryzacji Ford T ustępuje jedynie Volkswagenowi Garbusowi).

przed tym nakładem, który nadal zapewniał mu pierwszeństwo w produkcji seryjnych maszyn, mimo dotkliwej konkurencji ze strony General Motors Company¹¹⁹ i innych fabryk.

Nasz podróżnik, przybywszy do miasta, jak zwykle udał się do domu polskiego. Prezesem sokołów był druh Adam Ostrowski, który panem Jelińskim z miejsca zaopiekował się lepiej niż rodzony ojciec. Przyjął on go w swej willi, a wysłuchawszy jego najpobożniejszego życzenia co do samochodu, rzekł:

– Nie martw się, druho, jesteś sokołem i znajdujesz się w swojej rodzinie. Potrzebujesz nowej maszyny i będziesz ją miał!

Obietnica ta olśniła naszego skauta. Z początku nie brał jej na serio, ale wnet przekonał się, co to jest druh Ostrowski i jakie człowiek ten posiada stosunki i wpływy w Detroit. Nazajutrz razem udano się do konsulatu polskiego, gdzie sprawa nowej maszyny była przedmiotem rozważania. Postanowiono spróbować u Forda. Druh Jeliński otrzymał pozwolenie obejrzenia zakładów, które zatrudniają kilkanaście tysięcy robotników i wypuszczają po kilkaset aut dziennie. Nowa fabryka nie doszła jednak podówczas jeszcze do dawnej normy. Ford posiada własne kopalnie węgla i żelaza, własne huty, koleje, a nawet plantacje drzew kauczukowych w Brazylii. Chce on bowiem sam produkować materiały surowe, przez siebie zużywane. Druh Jeliński miał niejaką nadzieję, że ten potentat zechce przyjść mu z pomocą w odnowieniu maszyny. Młody Ford, z którym pan Ostrowski zetknął naszego podróżnika, nie uchylał się od niej. Uczynił jednak słuszną zresztą ze swego punktu widzenia uwagę, że nie ma żadnego interesu w tym, żeby reklamować maszynę, którą wycofuje z obiegu. W każdym razie wyraził gotowość dania gruntownego remontu fordzielcowi.

To jednak nie zadowoliło pana Ostrowskiego. Ze swojej strony pomówił z panem Krajankę, Polakiem, który miał przedstawicielstwo Buicka, wyrabianego przez General Motors Company. Pan Krajankę niezmiernie przychylnie potraktował sprawę. Według jego mniemania dokonanie podróży dookoła świata na buicku byłoby dużą reklamą dla fabrykantów. Oświadczył więc gotowość oddania druhowi Jelińskiemu samochodu po cenie kosztu. Ta cena kosztu wynosiła jednak tysiąc dolarów, podczas gdy nominalnie buick z dodatkami kosztuje dwa tysiące. Chodziło więc teraz o to tylko, żeby zdobyć ów tysiączek! Bagatela! Tysiąc dolarów, kiedy kasa podróżnika zawierała niecałą setkę. Był to na pierwszy rzut oka szkopuł nie do przewyciężenia. Lecz nie święci garnki lepią, powiada przysłowie. Druh Ostrowski teraz dopiero dowiódł, że nie robi z gęby cholewy. Rozesłano na wszystkie strony

¹¹⁹ General Motors Company – amerykański koncern przemysłowy istniejący od 1908 roku, producent takich marek jak m.in.: Buick, Cadillac, Chevrolet, Pontiac.

do gniazd w Detroit sztafety, żeby na oznaczone dni urządzono zbiórki, celem wysłuchania odczytów druha Jelińskiego, przybywającego z Polski przez Afrykę na samochodzie.

Starania te uwieńczył pożądaný skutek. Odbýło się kilkanaście odczytów bogato ilustrowanych przezroczami, na których przemawiali panowie konsul i wicekonsul, polecając gorąco druha Jelińskiego licznie zebranej publiczności. Odczyty bardzo się podobały sokołom i przyniosły wcale pokaźny dochód. niespodziewanie szybko znalazł się on w posiadaniu upragnionego tysiąca dolarów, które prezes Ostrowski triumfalnie zaniósł panu Krajankę. Można sobie wyobrazić, z jaką radością nasz podróżnik wszadł do nowiutkiego buicka o osiemdziesięciokonnym silniku. Zdawało mu się, że go posadzono na tron królewski. Największa jego troska rozwiała się jak mgła poranna w promieniach ożywczeo słońca. Teraz dopiero odczuł całą potęgę zorganizowanej Polonii amerykańskiej. Gdyby nie to liczne skupienie uświadomionych rodaków, którzy w dodatku rozporządzają dużymi środkami materialnymi, to podróż jego musiałaby się prędzej czy później zakończyć fiaskiem. Na szczęście Polacy w Ameryce trzymają się solidarnie i nawet tam, gdzie liczba ich jest procentowo niższa od rodowitych Amerykanów, potrafili oni wybrać swoich majorów po miastach. Jak już wspomniałem, urząd ten cieszy się powagą i daje znaczne wpływy, toteż Polacy, gdzie tylko mogą, starają się przeprowadzić swoich ludzi.

W Detroit majorem jest pan Smith, Amerykanin żonaty z Polką. Pan konsul Kozłowski przedstawił mu naszego podróżnika, w towarzystwie prezesa sokołów pana Ostrowskiego i naczelnika polskich sokołów pana Lutra. Obok Detroit leży rozległe przedmieście, zwane Hamtramck, w którym Polacy stanowią większość ludności. Można tam zupełnie obywać się bez angielskiego. Polacy założyli liczne stowarzyszenia, przy parafialnych zgromadzeniach urządzają często uroczystości i przeprowadzili w tym mieście swojego majora, pana Stefana Majewskiego, który w otoczeniu radnych, również Polaków, serdecznie witał naszego skauta. Prasa polska, która dzieli się tam na lewicową i prawicową, bez różnicy przekonań równie przychylnie potraktowała naszego podróżnika. Niemalą też zasługę około spopularyzowania podróży druha Jelińskiego między Polonią położył pan T. Rotman, sokół, doskonały fotograf, który nie żałował ani czasu ani pieniędzy na porobienie mnóstwa okolicznościowych zdjęć. W ogóle nasz podróżnik nie może się dość nachwalić gościnności i serdeczności, jakich doznał od rodzin polskich, z którymi miał sposobność bliżej się zetknąć. Są to dzielni przedstawiciele potężnej organizacji sokolstwa polskiego w Stanach, które wszędzie ma swoje gniazda i niemalą się przyczynia do podtrzymania ducha narodowego. Z żalem więc druh opuszczał miasto, dookoła którego wielkimi grupami osiedlił się żywioł polski i ciężką pracą dobija się stanowiska wśród obcych, nie zapominając przy tym o starym kraju.

ROZDZIAŁ XVIII.

POLSCY SKAUCI W BUFFALO. WODOSPADY NIAGARY. BUICK W NIEBEZ- PIECZEŃSTWIE. POBYT W CHICAGO.

Żegnając się z druhem Jelińskim, prezes Ostrowski rzekł mu:

– No, masz dobrego, świeżego konia. Rozreklamowaliśmy na wszystkie strony o twoich odczytach. Musisz się dobrze wziąć na pazury, żeby przewidywania konsula Kozłowskiego, który wątpi, czy na buicku wrócisz do Polski, nie ziściły się czasem.

Nasz skaut dobrze sobie te słowa zakarbował w pamięci. Zdawał sobie sprawę, jak trudny jeszcze przed sobą ma szlak. Musiał przejechać w poprzek cały kontynent amerykański, przez pustynie, stepy i góry, aż do słonecznej Kalifornii, i tam dopiero wsiąść znów na okręt. Niestety, na tak długą podróż miał tymczasem 16 dolarów w kieszeni, ale, co najważniejsze, nowe auto. Dla zdobycia gotówki należało teraz zrobić tournée odczytowe, zostać, mówiąc po prostu, wędrownym prelegentem. Tak też nasz podróżnik uczynił. Z Detroit wrócił znów do gościnnego Toledo, gdzie go, jak poprzednio, przyjęto z otwartymi ramionami, i stamtąd rozpoczął swój objazd z odczytami. Wykorzystał przy tym sumiennie wszystkie liczniejsze osiedla polskie, nie pomijając żadnego, gdyż chodziło tutaj nie tylko o propagandę, ale także o gotówkę na dalszą podróż.

W tym objeździe nasz skaut zawadził o Cleveland, Iry, Nanticoke, Buffalo i wiele pomniejszych miasteczek. Odczyty cieszyły się wszędzie powodzeniem. Zależnie od zamożności kolonii przynosiły one mniejszą lub większą sumkę. Były też między tymi wykładami i zupełnie bezinteresowne, np. w Buffalo miał druh Jeliński kilka występów wobec licznie zgromadzonej młodzieży, za które nie przyjął żadnego honorarium. Trafiło się to i gdzie indziej. Pan Jeliński może śmiało powiedzieć, że przysporzył nawet trochę grosza różnym filantropijnym zakładom, jak np. sierocińcom i parafialnym szkołom. W ogóle ten objazd był bardzo utrudzający i nasz skaut uczciwie zarabiał dolary na podróż. Zważywszy, że buick kosztował sam jeden tysiąc dolarów, należy podziwiać energię młodego chłopca, który na obczyźnie potrafił swoją pracą zdobyć tak znaczne fundusze.

W Buffalo pan konsul Rosicki i przewodniczący sokolstwa Madej przedstawili druha Jelińskiego majorowi miasta, który wpisał do księgi pamiątkowej długi szereg pochwał i życzeń pod adresem polskich skautów i ich młodego przedstawiciela. Równocześnie doręczył mu klucz miasta Buffalo na znak, że jest on uważany za honorowego gościa i korzysta na każdym kroku z pewnych przywilejów. W innych miastach, gdzie podróżnik nasz doznał

równie dobrego przyjęcia, wręczano mu zamiast klucza cos w rodzaju dyplomu na gościa. Było to w każdym razie duże i miłe dla rodaków wyróżnienie naszego dzielnego skauta. Mówiąc o skautach, trzeba zaznaczyć wybitny fakt, jak na amerykańskie stosunki w Buffalo, gdzie istnieje liczna kolonia polska, założono osobny i jedyny w Stanach samodzielny oddział skautowski polski, znajdujący się pod komendą druha Leonarda Gabryjelewicza, doświadczonego przewodnika, który za cel życia postawił sobie budzenie w młodych rodakach ducha patriotycznego. Oddział ten, doskonale wyćwiczony, na wszystkich zawodach zdobywa pierwsze miejsca i stanowi chlubę Polonii, budząc zazdrość wśród amerykańskich drużyn.

W Buffalo znajdują się także liczne gniazda sokołów i sokolic. Prezesem gniazd męskich jest pan Madej, żona zaś jego piastuje tę samą godność w gniazdach żeńskich. Wszyscy synowie i córki państwa Madejów należą do tej organizacji, jest to więc stuprocentowa rodzina sokola. Druh Jeliński wyniósł o niej niezatarte i bardzo sympatyczne wspomnienia. Bodaj tacy ludzie na kamieniu się rodzili! Od przemiłych, kochanych druhiń nasz skaut otrzymał po wygłoszeniu odczytu piękne złote pióro z ołówkiem do pisania notatek z podróży. W miarę możliwości starał się dotrzymać tego warunku i do dziś dnia używa tej miłej pamiątki od rodaczek w Buffalo. Pan konsul Rosicki, który przy pomocy wpływowej prasy miejscowej potrafił dobrze spożytkować naszego podróżnika na rzecz propagandy, chcąc mu zrobić przyjemność, zaproponował wspólną wycieczkę do słynnego wodospadu Niagary, który jest jednym z cudów świata.

Już w miasteczku Niagara Falls, o kilometr od wodospadu, powietrze jest przesycane kropelkami, które robią wrażenie drobnego deszczu. Szum podobny do odległego grzmotu słuchać w promieniu kilku mil. Była wówczas zima, mróz kilkustopniowy i wodospad zacieśnił się w olbrzymie, zwieszające się z wysokiej ściany skalnej sople lodowe. Wody niezamarzniętej było znacznie mniej niż latem. Amerykanie zrobili wiele udogodnień dla turystów, którzy przyjeżdżają obejrzeć wodospady. Przede wszystkim rzucono przez rzekę na stronę kanadyjską wspaniałe mosty wiszące, z którego można podziwiać majestat największego w świecie wodospadu¹²⁰. Niezależnie od tego zbudowano kolejkę wiszącą na linie. Z wagonika unoszącego się nad kipielą można do woli nasycić się widokiem lecących w przepaść wód.

Kiedy przybywają liczniejsze wycieczki, albo też w święta, wodospad oświetlają szeregiem barwnych reflektorów elektrycznych, które zamieniają go w czarodziejską symfonię świetlną. Wodospad, którego energię oceniono na 12 milionów koni parowych i zdołano czę-

¹²⁰ Nie jest to prawda. Pod względem wysokości (60 m) Niagara jest na odległym miejscu na liście najwyższych wodospadów (najwyższy to wenezuelski Salto Angel – 979 m). Niagara nie jest także w czołówce dwóch innych rankingów klasyfikujących wodospady: przepływu wody oraz najdłuższej pojedynczej strugi.

ściowo wykorzystać do wytwarzania prądu elektrycznego, nieco się zmniejszył i utracił na swej wspaniałości. Amerykanie boją się, że przemysłowcy zupełnie go z czasem rozkradną, lecz rząd Stanów i Kanady dba o to, żeby ten dziw przyrody istniał nadal. Dlatego ograniczono ilość koni parowych, jaką można mu odebrać – wynosi ona dziś około 400 tysięcy. Dokoła wodospadu powstały liczne stacje elektryczne i zakłady przemysłowe korzystające z prądu, który poza tym oświetla Buffalo, porusza tamtejsze tramwaje i pracuje w fabrykach chemicznych w promieniu kilkuset kilometrów. Amerykanie potrafili, jak widzimy, spożytkować Niagarę nie tylko dla turystów, ale i dla celów praktycznych.

Widok wodospadów zrobił na naszym podróżniku kolosalne wrażenie. Żałował tylko, że właśnie była zima, kiedy to zjawisko nie przedstawia się tak imponująco jak latem. Rozstawszy się z Buffalo i tamtejszymi przyjaciółmi, druh Jeliński skierował się na Syracuse i Rochester w stronę Chicago, robiąc tę samą drogę co przed niedawnym czasem. Auto biegło szybko po szosie zasypanej śniegiem i bardzo śliskiej. O kilka metrów w bok ciągnął się plant kolejowy¹²¹, na tym samym niemal poziomie co trakt. Nasz podróżnik widząc, że noc zapadła, a do najbliższego miasta jest z górą kilkadziesiąt mil, poddawał gazu, marząc, jak to będzie przyjemnie zatrzymać się w dobrze ogrzonym hotelu i zjeść gorącą kolację. Niestety marzenia te zmroziła rzeczywistość. Na silniejszym zakręcie, gdzie śnieg był jak lustro wygładzony kołami samochodów, nagle zarzuciło w bok z taką gwałtownością, że w jednej chwili buick znalazł się na szynach wzdłuż toru. Oranek przerażony tą przygodą zaczął szczekać i skomleć, co od razu doprowadziło do przytomności rozmarzonego kierowcę. Wyskoczył z karety i usiłował zepchnąć ją z szyn. Daremnie jednak wyęczał wszystkie siły, buick był za ciężki i zbyt dobrze w dodatku wyposażony w zapas paliwa i żywności.

Dookoła panowała pustka i ciemność okrutna. Druh Jeliński zaczął krzyczeć w nadziei, że kto go usłyszy, ale daremnie. Postanowił więc czekać, aż zjawi się jakiś samochód i przyjdzie mu z pomocą. Od czasu do czasu jednak ponawiał swoje bezskuteczne próby, auto mocno jednak utkwilo na torze. A żeby je stamtąd wydobyć, trzeba było przynajmniej czterech ludzi. Kiedy tak na zimnie nasz skaut dumał o swoim położeniu, nagle drgnął, jakby od uderzenia iskry elektrycznej: w dali rozległ się głuchy turkot kół zbliżającego się pociągu. Maszynista musiał dostrzec przeszkodę na torze i widząc, że ma do czynienia z autem, którego latarnie paliły się jasno, dał jeden i drugi gwizdek, żeby skłonić kierowcę do zjechania z toru. Co tu robić? Za chwilę pociąg wpadnie z impetem i strzaska w drobne drzazgi nowiutkiego, zdobytego z takim trudem buicka. Położenie było rozpaczliwe.

¹²¹ Plant kolejowy – teren wydzielony na tor kolejowy.

Nasz skaut nie utracił jednak zimnej krwi. Skierował reflektor tak, żeby światło padało na tor, sam zaś, wyrzuciwszy Oranka z karety w śnieg, pobiegł na spotkanie pociągu w smudze elektrycznego światła. W tej chwili był on gotów własną osobą zasłonić auto od nadbiegającego smoka żelaznego. Niestety nic to nie pomagało, pociąg walił dalej i znajdował się o paręset metrów zaledwie od auta. Była to chwila ostateczna. Jeszcze parę sekund zwłoki, a maszynista nie zdoła zahamować i buick będzie zgubiony bez ratunku. Druh Jeliński, doprowadzony do ostatniej rozpacz, wyciągnął rewolwer i stojąc tuż przy torze, zaczął z niego strzelać raz po raz. Zdawało mu się, że byłby nawet zdolny zastrzelić maszynistę, gdyby wiedział że w ten sposób ocali swój samochód. Ten energiczny środek odniósł pożądany skutek. Hamulce parowe zazgrzytały na obręczach wagonów. Pociąg osobowy, ślizgając się po szynach, zwalniał biegu. Nie zdołał jednak zatrzymać się zupełnie. Rozległ się głuchy łoskot. To odgarniacz śniegu, umieszczony na przodzie lokomotywy, uderzył w odbijacze¹²² auta, które odrzucone olbrzymią siłą w jednej chwili, ślizgając się po śniegu, odskoczyły o kilkanaście metrów.

Naszemu podróżnikowi zdawało się, że buick został roztrzaskany w kawałki. Pod tym wrażeniem biedaczysko upadł zemdlny na ziemię, tak iż omal go nie przejechały koła wagonów. Kiedy po chwili odzyskał przytomność, poczuł że Oranek liże go po twarzy z żalonym skomleniem, a dokoła niego stoi kilkunastu ludzi z latarkami. Byli to konduktorzy i pasażerowie pociągu. Wzięto naszego skauta pod ręce i zaprowadzono do auta, dokoła którego już zgromadziło się sporo ciekawych. Teraz druh Jeliński odetchnął z całej piersi, nie wierząc jednak własnym oczom. Oglądał bacznie auto i jego uszkodzenia. Na szczęście, prócz pogiętych odbijaczy, nie dostrzegł żadnego uszkodzenia. Podróżni tymczasem z napisów na aucie dowiedzieli się z kim mają do czynienia i urządzili na cześć podróżnika małą owację, winszując mu cudownego ocalenia z tej przygody, która mogła się skończyć tragicznie.

– Gdzie są pańscy towarzysze podróży? – pytał jakiś pan z ojcowską troskliwością. Zamiast odpowiedzi druh Jeliński gwizdnął. Na ten sygnał do odjazdu Oranek wyskoczył z ciemności i zajął swoje zwykłe miejsce w środku karety, budząc powszechną wesołość. Pasażerowie z pociągu nie chcieli uwierzyć, że sam jeden młody chłopiec odważa się podróżować naokoło świata. Długo czas jednak po tej przygodzie druh Jeliński miał przed oczyma dwie latarnie lokomotywy, groźnie patrzące nań z dali.

Podróż do Chicago trwała dni kilka, gdyż Jeliński musiał wstępować do osiedli polskich ze swoimi odczytami. W końcu jednak dotarł do olbrzymiego miasta nad jeziorem Erie,

¹²² Odbijacz – dawna nazwa zderzaka samochodowego.

gdzie znajduje się najliczniejsza kolonia polska, licząca pół miliona głów. Jechał ciągnącym się wzdłuż jeziora bulwarem dobrą godzinę, nie wiedząc, że znajduje się już u celu podróży. Zdziwiony, że ciągle jeszcze nie widzi miasta, tak jak je sobie wyobrażał, zagadnął pierwszego lepszego przechodnia, jak daleko jeszcze do Chicago.

– Jesteś pan już w Chicago – odparto mu ze śmiechem. Nasz podróżnik uspokojony znowu puścił auto bulwarem, który ciągnął się w nieskończoność. W jakiś czas po tym myśląc, że mu dano fałszywą informację, ponowił swoje zapytanie.

Tak, było to już Chicago – miasto ciągnące się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Noc już zapadła. Nasz skaut, spojrzawszy na zegarek, doszedł do wniosku, że trzeba gdzieś zanoć. Zboczył więc cokolwiek i stanął pod rozłożystym drzewem, żeby uniknąć światła latarni elektrycznych. „Tu się prześpię” – pomyślał sobie, rozkładając koc. Ledwie jednak spuścił firanki i ułożył się, kiedy Oranek zaczął gwałtownie szczeleć i ktoś zapukał do okna.

– Śpij spokojnie – odezwał się jakiś głos w czystym polskim języku. – Ja pełnię tutaj służby do dziewiątej rano, więc będę dawał baczenie na twoje auto.

Zdziwiony tym spotkaniem z rodakiem, Jeliński pogrążył się w głęboki sen, z którego dopiero zbudził go rano ów policjant.

– Dzień dobry – rzekł. – Teraz muszę już skończyć swoją wachtę. Do widzenia. Pamiętaj jednak na przyszłość nie zatrzymywać się tak na noc gdzieś na bulwarach. Musisz wiedzieć, że w Chicago nie brak złodziei i bandytów. Łatwo mogliby cię okraść albo nawet zamordować.

Nasz skaut podziękował serdecznie rodakowi za tę radę. Trzeba było doprowadzić się do porządku i coś ciepłego zjeść, potem dopiero udać się do generalnego konsulatu polskiego, na którego czele stał pan Kurnikowski. W biurze przyjął podróżnika wicekonsul pan Kaleński, który zaraz na wstępie zawołał uradowany:

– Nareszcie pan przyjechał! Witam naszego dzielnego skauta! Masz pan tu listy z kraju i gazety. Niech no nadejdzie konsul generalny to zaraz się panem zajmujemy.

Pan Kurnikowski jest to jakby wódz całej Polonii chicagowskiej, która słuca go bezwzględnie. Potrafi on jak nikt inny przeprowadzić każdą sprawę, jest pełen energii i przewiduje wszystko na daleką metę, słowem człowiek wyjątkowy. Jak się pokazał zawczasu już zawiadomił on całą prasę chicagowską o przybyciu polskiego podróżnika i przygotował wizytę u majora miasta z polskimi radnymi, na których czele stoi pan Adamkiewicz. Oddał on zaraz cenną przysługę druhowi Jelińskiemu. Okazało się, że między licznymi przychylnymi głosami prasy o podróżniku, znalazł się w jednej z gazet polskich wychodzących w Cleveland

artykuł inspirowany przez pana Ł., w złym i zupełnie fałszywym świetle przedstawiający cele i zadania druha Jelińskiego.

– Patrz pan – rzekł pan konsul – oto wycieczka przeciwko panu. Jestem przekonany, że to jakiś wróg osobisty chce panu podstawić nogę. Pytam pana, czy jest w tym coś prawdy, czy też należy to zakwalifikować jako oszczerstwo?

Kiedy druh Jeliński dowiódł posiadanymi dokumentami jak się rzeczy w istocie mają, pan konsul rzekł:

– Nie wątpię o panu i niepotrzebnie mi pan to wszystko pokazuje. Musimy teraz ukreślić łeb jadowitej plotce. Jedź pan zaraz do Cleveland i działaj w swoim interesie.

Ujęty tym za serce druh Jeliński niezwłocznie poszedł za radą pana konsula, który był tak łaskaw, że dodał mu za towarzysza i opiekuna jednego ze swoich kolegów. Zdenerwowany skaut pędził jak strzała do Cleveland. Dość powiedzieć, że na przebycie ośmiuset mil angielskich¹²³ tam i z powrotem zużył zaledwie 30 godzin czasu. Dano wyjaśnienia owej gazecie jak naprawdę rzeczy się mają. Redakcja oświadczyła, że wspomniany oszczerczy artykuł pochodził od przyjaciela pana Ł. Przepraszono druha Jelińskiego, sporządzono w asystencji pana konsula N. protokół, w którym punkt po punkcie odwołano postawione zarzuty. Ma się rozumieć, że protokół ten został niezwłocznie wydrukowany na szpaltach gazety, kopię zaś jego wysłano do Naczelnictwa Harcerstwa w Warszawie i do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Afera ta zakreśliła szersze kręgi. Pan poseł Ciechanowski zapytał telefonicznie Ministra Spraw Zagranicznych o informacje co do pana Ł. Odpowiedziano mu depeszą: „Ekspedycją Jedlińskiego popierać. Ł. jest zdyskwalifikowany przez Komendę Główną Harcerstwa”. Tak więc grot zatruty, wypuszczony przez druha Ł., z którym rozstano się w Rzymie po zde-maskowaniu go przez kapitana Klotza, dzięki energicznej interwencji pana konsula generalnego w Chicago chybił celu. Widzimy z tego, że nasz podróżnik nie tylko musiał zdobywać sobie własnym staraniem i pracą środki do życia i do dalszej drogi, ale jeszcze bronić swojej opinii przeciwko nieuczciwym zarzutom. To wszystko atoli nie osłabiło ani na włos energii, z jaką dążył do swego celu. W samym Chicago znajduje się duża i uczęszczana restauracja polska Leonarda. Można tam spotkać najwybitniejszych przedstawicieli kolonii polskiej. Wśród licznych stołów w głębi sali znajduje się jeden, powszechnie znany z tego, że zasiadają przy nim tuzy Polonii, głównie lekarze i przedstawiciele prasy. Do tego stołu miał zaszczyt zasiąść i nasz druh, przedstawiony przez pana wicekonsula Kaleńskiego.

¹²³ 1 mila angielska = 1609,34 m, czyli 800 mil angielskich = ok. 1287 km.

Były to dla niego najprzyjemniejsze czasy z pobytu w Chicago. Poznał moc ludzi interesujących, między nimi pana doktora Pietrzykowskiego, prezesa byłych oficerów armii polskiej. Człowiek ten cieszy się w kolonii olbrzymim autorytetem, na który zasłużył sobie swoją wieloletnią, pełną zaparcia pracą dla dobra społeczeństwa polskiego w Ameryce. On to wziął na siebie trudny i uciążliwy obowiązek towarzyszenia druhowi Jelińskiemu na jego odczytach w mieście i rekomendowania go zebranej publiczności w pełnych sympatii słowach. Druh Jeliński jednak ograniczył liczbę odczytów w Chicago, gdyż nie zamierzał tam robić pieniędzy, o które byłoby mu dość łatwo, lecz prowadzić propagandę na rzecz Polski. Zdobywszy środki na dalszą podróż, wyruszał do następnej kolonii polskiej, nie tracąc daremnie czasu.

W Chicago znajdują się zarządy główne organizacji polskich w Ameryce. Jest to zatem stolica Polonii, w której skupiło się do pół miliona naszych rodaków. Zajmują się oni wszystkim niemal: mają fabryki, sklepy, zakłady rzemieślnicze. Największa atoli część pracuje po fabrykach w charakterze robotników. Polacy są tutaj dość cenieni jako sumienni pracownicy. Jest nader charakterystyczne, że każdy niemal, znalazłszy się w Chicago, stara się jak najprędzej dojść do posiadania własnego domku, który bierze na długie spłaty. Dzięki temu zamiłowaniu do własnego kąta Polacy przeważnie już na stałe osiedlają się nie tylko w Chicago, ale i w innych miastach. Obecnie nastały ciężkie czasy dla Polaków w Ameryce. Od Wielkiej Wojny¹²⁴ rząd amerykański, chcąc przyśpieszyć proces asymilowania się obcych elementów, prowadzi dość energiczną politykę wynaradawiania. Szkoły parafialne są zamykane i młodzież musi uczęszczać do szkół rządowych, gdzie wszystkie wykłady odbywają się po angielsku, toteż najmłodsze pokolenie, już urodzone w Stanach, nie używa mowy rodzinnej, a nawet w domu mówi między sobą po angielsku. Tylko starsi wiernie stoją przy wierze i języku przodków. Nie znaczy to jednak, że amerykanizujący się młodzi Polacy wypierają się swojego pochodzenia. Bynajmniej, ulegają oni tylko naturalnemu procesowi wchłaniania słabszej kultury przez mocniejszą i bardziej żywotną. Podlegają mu w równym stopniu i inni koloniści.

Nasz podróżnik, zwiedziwszy w Chicago godne uwagi muzea, wspaniałe biblioteki, kolosalne stadiony, gdzie może się zmieścić 150 tysięcy ludzi, jak np. podczas walk bokserkich, osławioną i cuchnącą na parę mil dokoła rzeźnię, miał zamiar udać się w dalszą podróż do Milwaukee. Utworzył się mały komitecik z sympatyków naszego skauta, który chciał urządzić ucztę pożegnalną. Pan Leonard, właściciel restauracji, okazał przy tym swoją bezin-

¹²⁴ W latach 20. i 30. XX wieku „Wielką Wojną” nazywano I wojnę światową.

teresowność i szerokim gestem wydał bezpłatną kolację na sto osób. Na zabawie tej, jak zwykle w Ameryce, były najprzód liczne przemowy, potem uczta, a na koniec dancing, w którym wzięło udział wielu przedstawicieli i przedstawicielek kolonii polskiej. Wyjeżdżając ze stolicy Polonii amerykańskiej, druh Jeliński zabrał ze sobą jak najprzyjemniejsze wspomnienia.

ROZDZIAŁ XIX.

OSTATNIE OSIEDLA POLSKIE. DENVER. COLORADO. RYZYKOWNA PRZEPRAWA. W PUSTYNIACH NOWEGO MEKSYKU. SŁODKA NIEWOLA.

W Stanach Zjednoczonych zima bywa ostrzejsza nawet niż w Polsce. Tak np. Nowy Jork, który leży na tej samej szerokości geograficznej co Lizbona, gdzie rosną palmy, ma bardzo przykre mrozy i wichry. Im dalej w głąb kontynentu, tym zima bardziej daje się we znaki. Nad wielkimi jeziorami w Chicago bywa w styczniu gorzej niż w Warszawie. Mimo jednak dokuczliwego zimna, nasz skaut sprzeniewierzył się dobrej radzie profesora Romera i zamiast uciekać na południe postanowił odwiedzić jeszcze miasto Milwaukee, położone nad jeziorem Michigan. Ciągnęła go tam chęć obejrzenia najładniejszego pomnika Kościuszki w parku jego imienia i największego kościoła polskiego¹²⁵ w całych Stanach. Nie żałował tej wycieczki, chociaż podróż podczas mrozu i dużych śniegów zmęczyła go porządnie. Świątynia, o której mowa, jest istotnie wspaniała i przypomina strukturą bazylikę Świętego Piotra w Rzymie. Park Kościuszkowski jest rozległy, a jednak mieści się w granicach miasta. Stoi w nim brązowy pomnik Kościuszki na koniu. U stóp cokołu znajdują się dwie armaty. Wzniesiono go ze składek dobrowolnych Polonii. Pomników wodza narodu jest w Stanach kilka, lecz ten stanowczo się między nimi wyróżnia. W mieście wychodzi „Kurier Polski”, poczytne pismo pod redakcją pana Dziadulewicza, z którym nasz podróżnik zapoznał się i zaprzyjaźnił. We dwóch robiono z pamiętek dla prasy zdjęcia fotograficzne. Największą szkołę w parafii prowadzi ksiądz proboszcz Kruza, który poza swymi obowiązkami kapłańskimi i nauczycielskimi zajmuje się z powodzeniem publicystyką. Pozwolił on chętnie i bezinteresownie na urządzanie przy szkole odczytu, który cieszył się powodzeniem.

Milwaukee było najbardziej na północ wysuniętą miejscowością, do której dotarł nasz wędrowny prelegent. Stąd wypędzony zimą skierował się na południe do stanu Indiana, przez South Bend Indiana i Saint Louis. Im bardziej posuwał się na zachód, tym rzadziej napotykał osiedla polskie. Rodacy byli tam porozrzucani luźnymi grupkami i przez to nie mogli wytworzyć znaczniejszych organizacji. Wymienione dwa miasta są ostatnimi placówkami, gdzie jeszcze są gniazda sokole i gdzie druh Jeliński miał szereg odczytów. W miarę tego, jak się oddalał od gęsto zaludnionych i cieszących się zdobyczami cywilizacji centrów wschodnich,

¹²⁵ Mowa o bazylice św. Józefa w Milwaukee ufundowanej przez polskich imigrantów. Jej budowa trwała (z przerwami) od 1889 roku przez blisko 40 lat. Monumentalna budowla, której architekturę wzorowano na bazylice św. Piotra w Rzymie, w 1929 roku otrzymała godność bazyliki mniejszej – jako trzeci kościół w Stanach Zjednoczonych, a pierwszy polonijny.

gościnność, z jaką go przyjmowano, stawała się coraz gorętsza i szczerza. Widują tam rzadko rodaków świeżo przybyłych z kraju, a jeszcze rzadziej trafia się prelegent, mający coś ciekłego do opowiedzenia i umiejący trafić do serca tych ludzi, skazanych na życie wśród obcego sobie środowiska.

Wiedząc o tym, że dalej nie spotka już rodaków, którzy go zaproszą do swego domu na nocleg, podróżnik zmienił taktykę. Mając pod dostatkiem żywności, wrócił do dawnego życia koczowniczego. Nie dojeżdżając do miasta, zatrzymywał się gdzieś na ustroniu i tam, rozbiwszy namiot, zakładał obozowisko. Kierował się w wyborze miejsca jego naturalnym pięknem, bliskością wody i możliwością zdobycia opału na ognisko, przy którym w towarzystwie Oranka siadał wieczorami, marząc o dalekiej Ojczyźnie. Trochę gorącej herbaty czy kawy ze skondensowanym mlekiem, porcje wieprzowiny lub kawał kielbasy odgrzanej w puszcze, chleb i od czasu do czasu jakiś smakołyk w rodzaju kalifornijskich śliwek suszonych były to codzienne potrawy polskiego skauta. Czuł się on zadowolony, że nie potrzebuje wydawać pieniędzy na hotel lub narzucać się jakiemu farmerowi. Budził się nadto w nim instynkt do koczowniczego życia. Rozumiał on teraz dobrze owego Araba z Algieru, który mając piękną willę wolał nocować w namiocie i patrzeć w niebo gwieździste. W każdym razie nie było tu tak przyjemnie jak w Afryce, bo śnieg i mrozy nieraz dały się dobrze odczuć podczas tych biwaków.

Przejechawszy stany Illinois, Missouri, Kansas i Colorado nasz podróżnik miał zamiar przeprowadzić się przez Góry Skaliste do słonecznej Kalifornii. Dotarłszy jednak poprzez zasłane śniegiem drogi do Denver Colorado, dowiedział się, że dalej już trudno będzie się posuwać z powodu zasp zalegających górską szosę prowadzącą na drugą stronę łańcucha. Namawiano go, żeby został do wiosny. Mógł łatwo skorzystać z gościnności pierwszego lepszego farmera, gdyż daleko na zachodzie gość jest mile widziany i nie kosztuje wiele. Zatrzymał się przez kilka dni u jednego z Amerykanów, mając nadzieję, że się drogi poprawią. Nie mając nic lepszego do roboty, zaczął próbować szczęścia na polowaniu. Nie posiadając jednak fuzji myśliwskiej, musiał strzelać z karabinu wojskowego, lecz taka broń może służyć jedynie na grubszą zwierzynę.

Udało się druhowi Jelińskiemu zdobyć wspaniałe trofeum. Farmer skarżył się, że jakiś drapieżnik porywa mu co dzień jedną sztukę drobiu z kojca. Nasz skaut, zaczaiwszy się, po paru dniach oczekiwania zdołał wreszcie wysledzić rabusia, który unosił się na szerokich skrzydłach wspaniale na wysokości paruset stóp¹²⁶. Widział on myśliwego, a jednak to go nie

¹²⁶ 1 stopa angielska (międzynarodowa) = 30,48 cm.

zdołało odstraszyć. Spadł jak strzała do okólnika, w którym znajdowało się paręset kur i porwał jedną z nich w mgnieniu oka. Kiedy się jednak zrywał, celnie wymierzona kula z karabinu polskiego położyła kres jego rozbójniczemu żywotowi. Był to wspaniały okaz orła, który widocznie tutaj przyleciał na łowy z Gór Skalistych. Zachęcony przez gospodarza nasz podróżnik urządzał razem z nim wyprawy myśliwskie. Minęły już jednak te błogosławione czasy, kiedy w stanie Colorado mieszkali Apacze i Komancze¹²⁷, a stepy i pustynie tamtejsze roiły się od bawołów, jeleni i innej grubszej zwierzyny. Po bawołach zostały tylko szczątki w parku narodowym, stepy poszły pod pszenicę, zwierzyna pierzchła w niedostępne lasy i pustkowia górskie. Myśliwi musieli się zadawałać strzelaniem do królików i lisów. Raz tylko udało się druhowi Jelińskiemu zdybać przy wodopoju przed samym zachodem słońca pięknego jelenia, który padł z jego ręki i dostarczył smacznego mięsa dla całej rodziny farmera.

Okolica górzysta nie była wprawdzie pozbawiona zwierzyny, lecz dla zdobycia jej trzeba było urządzać łowy z nagonką, a tu o ludzi trudno. Znużony pobytem w pustynnej, mało zaludnionej okolicy i beczynnością Jeliński uczuł ataki nostalgii. Za jaką bądź cenę postanowił wydobyć się stamtąd. Ażeby jednak dostać się na południe do Nowego Meksyku należało przejechać przez stromą drogę, na której ugrzęzło już parę aut w śniegu. Nie bacząc na to, ruszył w drogę. Pierwsze wyniosłości udało mu się przejechać szczęśliwie. Kiedy się atoli znalazł na wyniosłym punkcie, ujrzał z dala bardzo mało zachęcający widok. Pod samym szczytem następnej przełęczy stało już nieruchomo parę samochodów, które nie były w stanie pokonać znacznej pochyłości.

Druh Jeliński miał w tej chwili do wyboru: albo cofnąć się i spędzić beczynnie wśród zimy parę miesięcy lub też zaryzykować nawet rozbicie samochodu i pokręcenie własnego karku w myśl zasady „zawsze naprzód”. Wybrał bez wahania to drugie. Poddał gazu ile się dało i buick potoczył się jak lawina w dół, żeby nabrać rozpędu. Podróżni, zatrzymani u szczytu przełęczy, dawali mu znaki rozpaczliwe, żeby się w porę zatrzymał. Lecz Jeliński ryknął tylko syreną, żeby mu ustąpić z drogi, nie mógł bowiem zwolnić biegu pod karą, że stoczy się po pochyłości wstecz i rozbije auto. Siłą uzyskanego pędu mknął jak błyskawica pod górę. Już miał dosięgnąć przełęczy, kiedy z rozpaczą poczuł, że buick zwalnia biegu. Lada chwila mógł stanąć i zatoczyć się w tył, co groziło niechybną katastrofą. Automobiliści, będący świadkami tego zakrawającego na szaleństwo czynu, szybko się zorientowali. Zrozumieli bowiem, że buick, staczając się wstecz, wpadłby na ich maszyny i zgruchotał je niezawodnie. Unikając tej smutnej ewentualności, przyskoczyli i z całych sił popchnęli zatrzymu-

¹²⁷ Apacze i Komancze – plemiona indiańskie zamieszkujące tereny Wielkich Równin w centralnej i południowej części Stanów Zjednoczonych.

jącego się buicka. Pod tym impulsem samochód przewyciężył te kilkanaście metrów, dzielących go od samego szczytu przełęczy, i szczęśliwie wydostał się na przeciwną stronę pochyłości. Druh Jeliński zdążył tylko kiwnąć im na podziękowanie głową, a już jego maszyna potoczyła się w dół równie szybko jak niedawno pięła się w górę. Niebezpieczna przeprawa skończyła się szczęśliwie. Teraz nic już nie stało na przeszkodzie, żeby wydostać się z zimnych stron do cieplejszego klimatu. Im bardziej opuszczał się buick na dół, tym powietrze stawało się łagodniejszym i śniegi znikwały, ustępując miejsca błotowi. Była to nowa bardzo ciężka próba. Przed naszym podróżnikiem roztaczały się rozległe płaszczyny i bezdroża.

Błoto tamtejsze jest bardzo grząskie, gdyż wszędzie pełno gliny. Oblepia ono opony, tworząc grubą warstwę, nie dającą się łatwo usunąć. Niebawem całe auto zmieniło się w jedną wielką bryłę gliny. W tych warunkach wychodziło bardzo dużo paliwa. Dla ułatwienia sobie posuwania się w błocie założył na koła łańcuchy, specjalnie do tego celu przystosowane. Dzięki nim auto posuwało się po lepkiej glinie jak tank albo sanie. Gdyby nie to, zapewne nasz podróżnik nie zdołałby wydostać się z błotnistych równin Nowego Meksyku. Druh Jeliński nie rozkładał już w tamtych stronach namiotu, lecz nocował w aucie, wiedział bowiem, że znajduje się w okolicach zamieszkałych przez na wpół dzikich cowboyów i jeszcze dzikszych od nich Indian. Im dalej posuwał się na zachód, tym bardziej musiał mieć się na ostrożności. Unikał osiedli ludzkich. Nocami, stróżowany przez czujnego Oranka, spał w aucie jak ptak na gałęzi, mając pod ręką nabite karabiny. Groziło mu inne jeszcze niebezpieczeństwo – hodoją bowiem w Nowym Meksyku wielkie stada bydła rogatego. Bieda maszynie, która znajdzie się wśród tysięcy dzikich byków i krów, tłoczących się niemiłosiernie. Zwierzęta te, nawet nie podrażnione, mogą pognieść błotniki auta i uszkodzić je bardzo dotkliwie. Parę razy nasz podróżnik ujrzał na swej drodze takie stada, lecz roztropnie zjeżdżał w bok, żeby się między nie nie dostać. Równie musiał unikać spotkania się z pastuchami, czyli cowboyami, są to bowiem ludzie o bardzo niskim poziomie moralnym i na wpół dzikich obyczajów. Łatwo z nimi o zwadę lub zaczepkę, która zawsze krwawo się kończy, gdyż cowboye są uzbrojeni w wielkie rewolwery i umieją artystycznie miotać arkanami¹²⁸.

Opuściwszy Nowy Meksyk, nasz skaut miał przed sobą pustynne obszary Arizony. Jedna jedyna droga prowadzi poprzez te wertepy i niedobrze jest, jeżeli auto z powodu jakiegoś defektu albo braku paliwa musi się tam zatrzymać. Na samej granicy Nowego Meksyku druh Jeliński postanowił porobić znaczniejsze zapasy na drogę przez pustynię arizońską. W tym celu zatrzymał się z konieczności w małym osiedlu, na wpół indiańskim, na wpół za-

¹²⁸ Arkan (także: lasso) – sztywna lina z pętlą, której pasterze i ludy koczownicze używają do chwytania zwierząt lub jako broni.

mieszkanym przez białych pastuchów, którzy tam dozorowali stada dzikiego bydła, należące do jakiegoś wielkiego hodowcy. Załatwiwszy w jednej z licznych karczem swoje sprawunki, jechał drogą zadowolony, że nie spotkało go nic złego. Nagle dostrzegł przed sobą grupę złożoną z kilku cowboyów na koniach. Podał gazu, żeby ich wyminąć, ale pastuchy, zamiast ustąpić z drogi, stanęli w poprzek, nie okazując zamiaru przepuszczenia auta. Druh Jeliński musiał więc zatrzymać się. Pastuchy byli widocznie pod dobrą datą. Nie zadowolili się jednak tym, co wypili, lecz ujrzawszy w aucie samego młodzieńca, zawołali:

– Dobrze, że cię spotykamy! Musisz zawrócić z nami, gdyż pragniemy cię ugościć we wsi.

Takie zaproszenie kończy się zwykle tym, że gość płaci za wszystko. Markotny skaut zawrócił pod naciskiem cowboyów, którzy nacierali kołmi na auto, jak gdyby chcieli na nie skoczyć. „Będzie to mnie niemało kosztowało”, myślał sobie, a dobrze jeszcze, jeżeli cała ta pijatyka nie skończy się jaką awanturą. Już się zbliżano do przydrożnej karety, kiedy jeden z cowboyów, starszy już nieco człowiek i widocznie przełożony nad pastuchami, przyjrzawszy się bacznie powiewającej z tyłu fladze, odezwał się niespodziewanie:

– Polak jesteś?

Można sobie wyobrazić zdziwienie naszego podróżnika, kiedy usłyszał mowę ojczystą w tym zapadłym kącie. Otrzymana odpowiedź zadowoliła pastucha i zamiast wrogów, szukających zaczepki albo okazji do rabunku, druh Jeliński ujrzał się wśród grona przygodnych przyjaciół. Cowboye nie tylko że nie kazali mu płacić za obficie wlewane do gardła trunki, lecz nawet gotowi byli fundować mu. Ma się rozumieć, że nasz skaut odmówił whisky, której na dalekim zachodzie nigdzie nie brak i zadowolił się butelką lemoniady. Wszczęto przyjacielską pogawędkę, z której dowiedział się, że Jan, obecnie John, przywędrował z Polski przed trzydziestu laty, uciekłszy od wojska rosyjskiego, i po długich tarapatach został wspólnikiem dużego hodowcy bydła w Nowym Meksyku. Nie zapomniał on jeszcze rodzinnego języka, chociaż mieszał go z angielskim. Rozumiał atoli, co doń mówiono po polsku. Druh Jeliński zaczął mu opowiadać o kraju ojczystym, pokazał mu, a nawet podarował kilka pocztówek. Znajdowała się przypadkiem między nimi jedna, spod Częstochowy, jak się okazało z rodzinnych okolic cowboya. Zaczął się rozpytywać o rodzinną wioskę, a kiedy nasz skaut zapewnił go, że zna tamte strony, ogarnęło starego emigranta tak silne wzruszenie, że łzy zaczęły mu spływać z oczu.

Druh Jeliński, który także nie mógł się oprzeć uczuciom, jakie zapanowały w sercu rodaka od dawna tęskniącego do Ojczyzny, na chwilę podszedł do auta i wrócił, trzymając w ręku pudełko z ziemią, ofiarowaną mu na kresach polskich.

– Oto ziemia polska – rzekł, otwierając wieczko – Możesz sobie wziąć szczyptę na pamiątkę.

Cowboy drżącymi palcami dotykał tej relikwii, zraszając ją strumieniem łez, których już się nie wstydził. Jakiś uroczysty nastrój ogarnął wszystkich, nawet na wpół pijanych pastuchów, którzy nigdy nie utracili ojczyzny. Wszyscy patrzyli wilgotnymi oczyma na starego Johna, całującego ziemię praojców, której już nigdy nie spodziewał się dotknąć stopą. Zawinął starannie w papierek grudkę ziemi wraz z polskim groszem, który mu ofiarował nasz podróżnik i wyciągnął prawicę:

– Dzięki ci, mój chłopcze – rzekł. – Każę to sobie włożyć do trumny, o ile mnie w niej pochowają gdy umrę. A teraz, proszę, przyjmij choć to ode mnie.

Z tymi słowy odpiął swój skórzany pas i wręczy druhowi Jelińskiemu. Inny pastuch dał mu swoje olstra od rewolweru. Obdarowany nasz skaut pożegnał się z przygodnymi znajomymi, którzy odprowadzili go konno kawałek drogi, życząc szczęśliwej podróży. Kiedy już znajdował się dość daleko, usłyszał spośród tumanu kurzu odgłosy szybko po sobie następujących strzałów rewolwerowych. Nie wiedząc, jak sobie te salwy wytłumaczyć, zatrzymał auto i zaczął się rozglądać po stepie. Spostrzegł zaraz, że grupa cowboyów powiększyła się o paru jeźdźców. Wszyscy machali kapeluszami w kierunku auta, przy czym znów rozległ się grzechot strzałów. Mocno tym zaintrygowany nasz podróżnik dał kilka razy ognia ze swego rewolweru, sądząc, że powinien odpowiedzieć na pożegnalne salwy. Wreszcie wysiadł, żeby lepiej zbadać sytuację.

Grupa cowboyów zbliżała się w pełnym galopie i za chwilę otoczyła samochód. Na jednym z najlepszych koni siedziała drobna postać, która zwróciła od razu uwagę naszego podróżnika. Pod wielkim kapeluszem błyszczały czarne oczy, spod rondla wymykały się pukle włosów. Twarzyczka, choć opalona słońcem i wiatrem, była nacechowana jakąś miękkością na wpół dziecinna, na wpół kobieca. Lecz szerokie szarawary¹²⁹, wielkie srebrne ostrogi, olstra z wielkimi rewolwerami, wszystko to stropiło nieco naszego obserwatora. Dopiero srebrzysty głosik, któremu towarzyszył śmiech pełen pustoty i swobody zdradził, że pod tym przebraniem kryje się powabna dziewczyna.

– No, moi ludzie musieli panu napędzić nieco strachu – zawołała nieznajoma. – Proszę im wybaczyć, są to ludzie na wpół dzicy! Mają jednak serca szczerzłote. Muszę panu wynagrodzić ich prostackie towarzystwo. Jeżeli więc pan nie odrzuci mojego zaproszenia to

¹²⁹ Szarawary – szerokie, bufiaste spodnie.

pojedziemy do naszej hacjendy¹³⁰. Ojciec mój od paru tygodni nie miał gościa i będzie panu bardzo wdzięczny, jeżeli mu pan przyniesie nowiny z szerokiego świata. Ho, ho! Z daleka pan, jak widzę, przybywa. Podróż naokoło świata?! Ach, jak to dobrze! Musi mi pan dużo ciekawych rzeczy opowiedzieć! No, niech się pan nie opiera! Biorę pana w niewolę!

Powiedziała to tak z czarującym wdziękiem, że nasz podróżnik od razu uczuł się jej niewolnikiem. Zawrócił więc swego buicka, proponując pannie, żeby zajęła w nim miejsce. Okazało się jednak, że amazonka woląca harcować na siodle. Porwała tylko Oranka i zaczęła go pieścić, po czym cała kawalkada ruszyła galopem, wskazując drogę samochodowi. Po półgodzinnej jeździe stepem, podczas której cowboye po kolei opuszczali towarzystwo, udając się do swoich stad bydła, zatrzymano się na dziedzińcu przed niskim, ale obszernym domostwem, zbudowanym z niepalonej cegły.

– Oto nasza hacjenda! – rzekła panna, zeskakując z wierzchowa, którego pochwycił John, czyli Jan.

Amazonka zniknęła we drzwiach i za chwilę powróciła w towarzystwie krępego, ale doskonale zbudowanego mężczyzny, lat około pięćdziesięciu, który, ujrawszy gościa, podbiegł doń z otwartymi ramionami.

– Witam pana w moich niskich progach! – zawołał. – Przepraszam za nieco niedelikatne zaproszenie ze strony mojej córki, ale my wszyscy musimy jej słuchać!

– Estello! – dodał – zaprowadź pana do bawialni, ja tam zaraz przyjdę z Johnem. Trzeba się zaopiekować autem pana.

Panna Estella pobiegła przodem i otworzyła drzwi od wielkiej, niskiej sali, dość pierwotnie umeblowanej.

– Jak pan widzi, nie mieszkamy tutaj po książęcemu, lecz za to żyjemy swobodnie i przyjemnie. Książek nie znajdzie pan, to prawda, za to czekają pana różne niespodzianki. Powinien pan pamiętać, że w Arizonie jest dużo ciekawych rzeczy do obejrzenia. Zaraz jutro pokażę panu coś nadzwyczajnego. Teraz niech pan spocznie, zaraz podadzą przekąskę.

Panna Estella była podobna do żywego srebra. Ani chwili nie mogła zachować spoczynku. Drobne jej, obute w zgrabne buciki z żółtej skóry, nóżki biegały od jednej ściany do drugiej. Gestykulowała przy tym ramionami. Cała jej fizjonomia drgała nadmiarem energii żywotnej, która musiała wyładować się w ciągłych ruchach. Jej czarne, aksamitne oczy, smągła cera i rysy regularne pozwalały przypuszczać, że płynie w niej krew hiszpańska. Ojciec zaś przedstawiał typ Amerykanina, pełnego energii i przedsiębiorczości. Niebawem zjawił się

¹³⁰ Hacjenda – nazwa odnosi się do dużego gospodarstwa (plantacji), posiadłości wiejskiej lub samych zabudowań mieszkalnych w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej.

on w bawialni i zaczął prowadzić rozmowę z gościem, która jakoś nie kleiła się. Człowiek ten z trudnością zachowywał formy towarzyskie i dobierał wyrażań, mimo woli wtrącając zwroty, które nawet w demokratycznym salonie obywatela Unii trąciły zanadto cowboyem. Znać było, iż od dawna stracił kontakt z ucywilizowanym światem. W toku pogawędki okazało się istotnie, że od dwudziestu lat z okładem siedzi na stepie i oddaje się hodowli bydła,, które go wzbogaca wprawdzie, ale też trzyma na uwięzi w tym zapadłym kącie. Ożenił się był z do-rodną Hiszpanką z Meksyku, która umarła, wydając na świat Estellę. Od tej pory ojciec spędzał z córką całe lata w hacjendzie, bardzo rzadko tylko wypuszczając się na parę tygodni do Kalifornii. Był to człowiek prosty, lecz mający, jak to się mówi, serce na dłoni. Zaraz na wstępie oświadczył, że nasz skaut bardzo mu się podoba i że pragnie jak najdłużej go u siebie zatrzymać dla towarzystwa, za którym po prostu tęsknili oboje.

– Ciągłe przebywamy między pastuchami i niewiele brakuje, żebyśmy się nimi stali – rzekł.

Druh Jeliński musiał przyznać, że jest w tym narzekaniu sporo racji. Ulegając gorącym prośbom, obiecał spędzić kilka dni na hacjendzie, gdzie nie miał nic do roboty, gdyż prócz pocziwego Jana częstochowiaka nie było tam więcej Polaków. Po obfitej kolacji, w której pieczona wołowina i kartofle odgrywały główną rolę, zaprowadzono gościa do obszernej izby, gdzie zamiast łóżka leżał stos skór i futer na podłodze.

– A nie śpij pan przydługo – radził gospodarz, żegnając się. – Estelka pragnie panu pokazać hacjendę i kilka osobliwości przyrody, które znajdują się niedaleko stąd.

ROZDZIAŁ XX.

KARKOŁOMNA JAZDA. ŻYCIE W HACJENDZIE. OSOBLIWOŚCI ARIZONY. NIEOCZEKIWANA PROPOZYCJA.

Jeszcze nasz skaut spoczywał na zasłanym futrami łożu, kiedy do drzwi zapukano i wpadł przez nie najprzód rozhukany Oranek, a potem poważnie, z kapeluszem w dłoni, wkroczył cowboy John.

– Dzień dobry panu – rzekł łamaną polszczyzną. – Panienka kazała się spytać, czyby pan nie pojechał na objazd hacjendy. Czekają na pana w jadalni.

Druh Jeliński, ubrawszy się na prędcę, stawiał się w umówione miejsce. Panna Clark była ubrana w luźną koszulę zieloną, miała na szyi czerwoną chustkę jedwabną, na główce kapelusz popielaty, jasny z olbrzymim rondem. Spodnie, na które nadziała rodzaj nogawic skórzanych, chroniących odzież od podarcia podczas jazdy przez kolczaste krzewy i ostre trawy, zarękawki skórzane, pięknie wyszywane buciki na wysokich obcasach z cholewami ciemnobrązowego koloru, uzupełniały ten kostium, będący dokładną kopią odzieży prawdziwych cowboyów. Uwydatniał on muskularną budowę jej szczupłej postaci dziewczęcej i podnosił przyrodzony jej powab.

– Jak się panu podobam w tym ubraniu? – zagadnęła prosto z mostu, widząc wzrok gościa, spoczywający z zadowoleniem na jej osobce.

– Jest pani istnym cowboym! – odparł druh Jeliński z uśmiechem.

– I przekona się pan, że niemalowanym! – zawołała z dumą. – No, powiedz pan teraz, panie automobilisto i podróżniku dookoła świata, czy potrafisz dosiadać konia, bo ruszamy na przejażdżkę po hacjendzie.

Druh Jeliński zarumienił się. Kilka razy jeździł on konno i nieźle trzymał się na siodle, lecz obawiał się, czy złoży egzamin kawalerski wobec panny Estelli, która od małego dziecka miała do czynienia z końmi. Nie stracił jednak fantazji i odparł stanowczo:

– Wprawdzie dawno już nie zażywałem tej przyjemności, sądę jednak, że potrafię dotrzymać pani towarzystwa.

Estella uśmiechnęła się jakoś znacząco.

– W takim razie siadajmy! – zawołała.

John doprowadził naszemu podróżnikowi konia, niecierpliwie grzebiącego niepodkutyimi kopytami. Ledwie jeździec dotknął strzemienia, a już na wpół dziki rumak rzucił się jak strzała za innymi końmi. Estella skoczyła jak cyrkówka na siodło i pomknęła na czele kawal-

kady, składającej się z jej ojca, Johna i paru pastuchów. „No, teraz się pokaże, czy mam zdolności do konnej jazdy!”, pomyślał w duchu druh Jeliński, ściskając kolanami boki swego wierzchowca sadzącego w podskokach. Nasz skaut puścił mu wolno cugle i mustang niebawem dogonił swoich towarzyszy, a nawet podniecony ostrogą zrównał się z koniem Estelli.

– Dokądże to jedziemy? – zagadnął, usiłując przybrać minę pewną siebie.

– Najprzód pokażę panu nasze stado. Muszę się pochwalić naszym dorobkiem. Patrz pan! – dodała, zakreślając szeroki gest ręką. – Na tym stepie, gdzie jeszcze przed moim urodzeniem się było pusto, pasie się teraz kilkanaście tysięcy bydła rogatego i parę tysięcy koni. Gdybyśmy mieszkali gdzieś na wschodzie, moglibyśmy uważać się za ludzi bogatych, lecz tutaj... – ucięła, wzruszając pogardliwie ramionami.

Mijano coraz to nowe stado, liczące po paręset głów. Były one pod opieką cowboysów, strzegących je od napadu dzikich zwierząt, bo innej opieki nie potrzebowały. Tylko w zimie, podczas dużych chłodów, zaganiano je do wielkich ogrodzeń, zwanych corallami. Miss Estella odbierała z ojcem raporty od pastuchów.

– Wczoraj wilki stepowe napadły i zagryzły dwoje cieląt – rzekła, marszcząc gniewnie brwi. – Wobec tego postanowiliśmy nie darować żadnemu, którego spotkamy. Zobacz pan, jakie to ładne polowanie. Tylko trzeba się dobrze trzymać na siodle, bo konie, zobaczywszy zwierzyń, pędzą na łeb na szyję.

– Johnie – rzekła, zwracając się do Jana. – Masz dobre oczy, więc dawaj baczenie.

Z pół godziny kawalkada jechała galopem poprzez czerwony step. Druh Jeliński rozmawiał od czasu do czasu z miss Estellą, która nuciła sobie jakąś hiszpańską piosenkę, i zapomniał o wilkach, gdy nagle poczuł, że jego wierzchowiec zaczyna wyprawiać przeróżne manewry, mające najwyraźniej na celu wyrzucenie go z siodła. „Poczekaj no, zobaczymy czy ci to przyjdzie tak łatwo”, myślał nasz skaut, wypuszczając stopy ze strzemion, żeby w razie upadku nie być wleczonym przez wierzchowca, który widocznie wziął na kieł. I rozpoczęła się krótka, ale energiczna walka człowieka ze zwierzęciem. Mustang dawał szczupaka naprzód, stawał dęba, rzucał się gwałtownie w bok, słowem robił wszelkie wysiłki, żeby tylko pozbyć się kawalerzysty, który konwulsyjnie ściskał jego boki kolanami, starając się utrzymać w siodle. „Czy się wściekł, czy co u licha?”, myślał sobie druh Jeliński, bo nie istniała żadna, jak mu się zdawało, przyczyna tego złego humoru na wpół dzikiego rumaka.

Wreszcie człowiek spostrzegł prawdziwy powód tego buntu. Oto wszystkie konie pocwałowały za Johnem, który sadził na samym przedzie. Daleko przed nim mknął z podtulonym ogonem duży wilk stepowy. Zapowiedziane polowanie rozpoczęło się zatem, a druh Jeliński, nie zorientowawszy się, o co idzie, trzymał za krótko w cuglach swojego mustanga,

który, nie mogąc wziąć udziału w łowach, postanowił pozbyć się jeźdźca, żeby odzyskać swobodę ruchów.

– A więc to tak?! – zawołał druh Jeliński. – No, to lećże sobie.

Po tych słowach puścił cugle i rumak wyciągniętym galopem rzucił się za towarzyszami. Jeździec, poczuwszy miarowy, kołyszący się ruch zwierzęcia pod sobą, pochwycił znów strzemiona, rozparł się wygodnie na siodle i ciekawie przyglądał się polowaniu, w którym mimo woli wziął udział. Był to wyścig na śmierć i życie wilka z końmi. Na razie odległość pozostawała jednakowa, lecz po jakimś czasie zaczęła się zmniejszać, wilk bowiem, nieprzyzwyczajony do długiego galopu, powoli słabł. Po upływie jakiegoś kwadransa konie zbliżyły się do ściganego drapieżnika. Cowboje zaczęli strzelać doń z rewolweru, lecz miss Estella dała znak zabraniający.

– Musimy go dogonić i wziąć na arkan! – zawołała.

Zwierz, czując że nie ujdzie, zmieniał nagle kierunek i w ten sposób zyskiwał kilkanaście metrów. To znów, kiedy już konie doganiały go, nagle przysiadł za jakimś kamieniem i rumaki w rozpędzie mijały go – wówczas zaczynał uciekać w przeciwnym kierunku. Te wszystkie sztuczki niewiele jednak pomogły. Jeliński, który cudem jakimś trzymał się jeszcze na siodle, polecał ducha Bogu, lada chwila bowiem spodziewał się wylecieć jak z procy, kiedy jego rumak przeskakiwał jakąś nierówność gruntu, duży kamień lub inną przeszkodę, której niepodobna było wyminąć. Sam nie wiedział jak, dość, że nie zleciał aż do chwili, kiedy w powietrzu zaświszczał arkan, wyrzucony wprawną ręką miss Estelli. Rzut był trafny. Pętlica ujęła za głowę wilka, który pędem własnego ciała zacisnął ją mocno dokoła szyi i padł na wpół uduszony. Wówczas miss Estella zeskoczyła z konia, podbiegła do drapieżnika i celnym strzałem skróciła jego męki.

– A przebrzydły rabusiu, nie będziesz już porywał moich cielątek! – zawołała.

Potem, nagle odwróciwszy się, szukała wzrokiem naszego podróżnika. Kiedy spostrzegła go między swymi ludźmi, wydała okrzyk zdziwienia.

– Co, pan nie zleciał? – zagadnęła z figlarnym uśmiechem. – No, no.

– Jeszcze nie! – odparł z pewnym uczuciem dumy skaut.

– No, wcale nieźle, nieźle.

– Bo to, proszę panienki, jest Polak! – objaśnił z widoczną satysfakcją John, a wszystkie Polaki to urodzone kawalerzysty! Jak Boga kocham, prawdę mówię, proszę panienki.

Ta pochwała, acz niezasłużona, napełniła falą rozkoszy pierś naszego podróżnika. Z drugiej strony dreszcz zgrozy przenikał go na samą myśl, że mógłby spaść w oczach tej przepysznej dziewczyny, która zażywała konia z wprawą urodzonego cowboya. Nie przeżyłby

takiej hańby! Dziękował więc w duszy Bogu za szczęśliwe ocalenie. „Jestem z ciebie zadowolony, Jurku” – rzekł do siebie w duchu.

Konie były tymi łowami w stepie cokolwiek wyczerpane, jechano więc dalej stępą.

– Już opuszczamy nasze grunta – rzekła miss Estella. – Jeszcze dwie godziny jazdy, a zobaczy pan bardzo ciekawą rzecz. Podobno uczeni z daleka przyjeżdżają, żeby się napatrzeć tym dziwom. Nic panu jednak nie powiem, póki nie staniemy na miejscu. Niespodzianka!

Po upływie pewnego czasu, kiedy słońce, stojąc niemal w zenicie, bardzo zaczynało dopiekać, wjechano w jar, który coraz bardziej się pogłębiał i rozszerzał. Jego skaliste ściany były poorane bruzdami i piętrzyły się coraz wyżej nad głowami naszych jeźdźców.

– Jest to kanion! – wyjaśniła miss Estella. – Wyżłobiła go zapewne w ciągu wieków woda. Arizona liczy dużo takich kanionów. Są one i w sąsiednim Colorado. Musiał pan słyszeć o sławnym kanionie tego samego nazwiska, który ciągnie się dziesiątki mil, a miejscami głębokość jego dochodzi kilometra. Nasze nie są tak wspaniałe, lecz za to znajdziemy w nich coś osobliwego. Cierpliwości jednak, mój panie podróżniku. Jeszcze ze dwie godziny jazdy, a potem odpoczniemy sobie w chłodzie.

„Trudno”, pomyślał druh Jeliński, któremu siodło zaczynało już dokuczać. Był niezmiernie rad, kiedy w końcu kawalkada zatrzymała się.

– Teraz pieszo! – zawołała miss Estella. – Ojczy, znasz dobrze drogę, proszę więc idź naprzód. Jeden z chłopców niech pilnuje koni.

Posuwano się jakiś czas gęsiego, potem zaczęto się wspinać w górę po coraz bardziej stromych zboczach głębokiego kanionu. Była to wycieczka niezmiernie męcząca, gdyż słońce paliło, a ogrzane jego promieniami nagie skały zwiększały jeszcze żar bijący z nieba. Nasz skaut, pocąc się, dotrzymywał z trudnością kroku zwinnej miss Estelli, której zgrabne nogi z dużymi, srebrnymi ostrogami miał ciągle przed sobą. Panna zatrzymała się nareszcie pod stromą ścianą i wskazała w górę palcem.

– Widzi pan te otwory? – zagadnęła.

Druh Jeliński podniósł głowę i ujrzał w ścianie skalnej mnóstwo ciemnych okien. Do koła niektórych niedołączną ręką wymalowano jakieś znaki.

– Co to jest? – zagadnął ciekawie.

– Zaraz się pan przekona, proszę za mną! Tylko odważnie! Nic się panu złego nie stanie.

Po chwili mała osóbką zniknęła w jednym z otworów. Druh naśladował ją po chwilo-
wym wahaniu. Wejście było bardzo wąskie, a poza nim ciągnął się rodzaj niskiego korytarza, który prowadził do nieco obszernych izb, wykutych w miękkiej skale wapiennej. Z pierwszej

izdebki można było dostać się do następnej. Miss Estella świeciła latarką. Okazało się, że sztuczne jaskinie ciągnęły się jedna za drugą. W jednej z nich znajdował się rodzaj pierwotnego pieca. Inna znów, bardzo obszerna w porównaniu z innymi, służyła, według objaśnień miss Estelli, za miejsce zgromadzenia się kapłanów.

– Jesteśmy w jednym z podziemnych miast, których dość dużo znajduje się w Arizonie – objaśniała panna, zatrzymawszy się w sali świątyniowej. – Bardzo dawnymi czasy zamieszkałe były one przez amerykańskich ludzi jaskiniowych. Plemiona te już wymarły, lecz dzieła ich pozostały.

– Po cóż zadawali oni sobie tyle trudu, kiedy mogli mieszkać na powierzchni ziemi? – zapytał skaut.

– Plemiona te, będąc znać tchórzliwego usposobienia, szukały w podziemnych siedzibach schronienia przed wrogami. Jakże łatwo bronić takiego mieszkania, mającego jedno wąskie wejście, które zasłanianie płytą kamienną. Plemiona zaginione nie znały, jak się zdaje, użytku drzwi i w ogóle drzewa. Mój Boże, my także przeminiemy z biegiem wieków i zostaną po nas tylko ruiny! – dodała z westchnieniem panienka.

Kiedy opuszczono pierwsze mieszkanie jaskiniowych Indian, mister Clark pokazał jeszcze inne. Okazało się, że ściana wąwozu zawierała niezliczone jaskinie sztuczne. Uczni, którzy niejednokrotnie zwiedzali te ciekawe zabytki przedhistoryczne, przekonali się, że w jednym takim miasteczku zamieszkiwało do paru tysięcy Indian. Najwięcej takich siedzib znajduje się w kanionach De Chelly i Del Muerto, na pograniczu Nowego Meksyku i Arizony. Ten, który pokazała naszemu skautowi miss Estella, nie jest bynajmniej najciekawszym, lecz na wycieczkę do wyżej wspomnianych trzeba by poświęcić duże czasu, a nasz skaut spieszył się, żeby jak najprędzej dotrzeć do Kalifornii. Powróciwszy z kanionu, druh Jeliński poznał nieodłączne od jazdy konnej przykrości, zwłaszcza dla nieprzywykłego do siodła: odparzył sobie skórę, przez kilka dni czuł ból w mięśniach nóg i w żaden sposób nie mógł zbliżyć kolana do kolana, toteż wstrzymywał się od jazdy konnej, narażając się na złośliwe przycinki panny. Za to mister Clark starał się pocieszać gościa, urządzając na jego cześć popis cowboyów w rzucaniu lassem i w konnej jeździe. Nasz podróżnik musiał podziwiać niezrównaną zręczność tych ludzi, od dzieciństwa zażywających konia, lecz co go jeszcze bardziej wprawiło w podziw, to udział miss Estelli w tych zawodach. Okazało się, że ta szczupła, młodziutka panienka niemal w zupełności dorównywała starym cowboyom w ich sztukach z mustangiem i arkanem. Nie ustępowała im także w celności strzałów rewolwerowych. Druh Jeliński z zapalem winszował jej tej zręczności i zaskarbił sobie pochwałami wdzięczność pięknej amazonki.

Dni szybko mijały na różnorodnych rozrywkach sportowych. Zbliżał się termin, który sobie wyznaczył nasz skaut do wyjazdu. Mister Clark nie chciał jednak w żaden sposób puścić swego gościa. Nic dziwnego, w tych odludnych stronach rzadko kto się zjawiał, ojciec i córka tygodniami musieli się zadawać towarzystwem cowboyów i indiańskich¹³¹ dziewcząt, które pełniły obowiązki żeńskiej służby. W ciągu tygodnia, który upływał już od wzięcia naszego skauta w niewolę przez ładną miss Estellę, młodzi ludzie robili wspólne wycieczki – to konno, to autem. Miss Clark robiła coraz silniejsze wrażenie na swoim gościu. Mimo pozornej surowości była ona czytana i to poważnie, miała wrodzoną inteligencję i charakter wyrobiony, głównie jednak pociągła swoim temperamentem, odziedziczonym po matce, żywotnością, swobodą obejścia i jakimś dzikim wdziękiem oswojonej pantery. Wszystko jednak się kończy. Nasz skaut oświadczył po ośmiu dniach, że nazajutrz musi odjechać. To postanowienie sprawiło w zły humor miss Estellę, mister Clark także zasępił się.

– Zanim pan nas opuści, muszą z panem pomówić w pewnej ważnej sprawie – rzekł. – Chodź pan do mojego pokoju, napijemy się kalifornijskiego wina i pogawędzimy trochę.

Podróżnik, zaciekawiony nieco, uczynił zadość życzeniu hodowcy. Rozmowa z nim przybrała atoli kierunek zgoła nieoczekiwany. Master Clark żalił się, że musi żyć w pustyni i zaniedbywać córkę, której piękność i inteligencja pozwoliłyby zająć wybitne stanowisko w świecie. Nie może sprzedać swojej hacjendy, gdyż ta daje mu duże zyski. Martwi go los Estelli, która ma już dziewiętnaście lat. Powinna wyjść za mąż i wyprowadzić się do Kalifornii albo na wschód. Ogląda się dla niej za kimś odpowiednim, lecz zbyt rzadko nadarza się tu sposobność zetknięcia z ludźmi. Druh Jeliński jest jednym z takich rzadkich gości w hacjendzie. Nie jest bynajmniej dla mister Clarka tajemnicą, że młody Polak wywarł korzystne wrażenie na miss Estelli. Gdyby tylko pozostał nieco dłużej, to panna pokochałaby go może. Po co włączyć się po świecie bez praktycznego celu? Czyż nie lepiej osiedlić się tutaj, gdzie można pędzić życie swobodne i dostatnie na łonie przyrody między życzliwymi ludźmi? Niech młody podróżnik porzuci swoją wędrówkę, która nic mu nie da, niech się oświadczy za parę tygodni pięknej Estelli. Ma duże szanse! Ze strony ojca nie będzie żadnych przeszkód.

Druh Jeliński osłupiał, słuchając tych szczerych wynurzeń człowieka, nie przywykłego do udawania, lecz idącego prostą drogą do celu. Z początku sądził, że z niego żartują, lecz nie! Mister Clark brał sprawę na serio. Druh Jeliński musiał w głębi serca przyznać, że znajdował się pod urokiem pięknej miss Estelli. Kto wie, czy szczęście nie idzie mu na spotkanie. Odrzucić je, czy też przyjąć błogosławionego gościa? Młody człowiek nie powiedział tak ani

¹³¹ W pierwszym wydaniu w odniesieniu do Indian autor używa formy przymiotnika „indyjski”.

też nie odmówił. Zażądał doby do namysłu, nie tając, że panna Estella także mu się bardzo podoba. Nazajutrz mister Clark zapytał go o decyzję. Nasz druh już się rozmyślił: przyszedł do wniosku, że honor nie pozwala mu przerwać tak chlubnie rozpoczętej podróży. Co by powiedzieli jego rodacy na wieść, że dał się złapać w ponętne sidła? Zapewne posądziliby go, że wolał majątek niż obowiązek i potępiliby go za to! Więc nie! Niech piękna miss Estella żyje nadal wśród cowboyów, dosiada dzikiego rumaka, rzuca lassem! Jest jej tu dobrze, czuje się zapewne szczęśliwą. A może byłoby inaczej, gdyby zawiózł ją do dalekiej ubogiej Polski? Trzeba odrzucić pokusę! Druh Jeliński przytoczył mnóstwo poważnych argumentów na poparcie swojego postanowienia. Zdawało mu się, że mister Clark zrozumiał je, lecz miss Estella widocznie uczuła się do żywego dotknięta.

– Nie chce pan z nami zostać na dłużej? – zapytała, mierząc podróżnika pogardliwym spojrzeniem. – Pilno panu do Kalifornii? A co by pan powiedział na to, gdybym i ja się tam udała? Od dawna pewna wielka wytwórnia filmowa angażuje mnie na występy, gdyż kręcą jakiś obraz, do którego potrzebni są im cowboje i taka jak ja dziewczyna, dzika dziewczyna! – dodała, zanosząc się od śmiechu. – Obiecałam, że przy okazji wstąpię do Hollywood. Ojciec wie o tym i zgodził się, jutro więc z moimi cowboyami ruszam w drogę. Będę w Los Angeles za kilkanaście dni. Mam nadzieję, że zobaczymy się tam. Zostanę sławną artystką filmową! Proszę mnie nie lekceważyć zatem!

Na razie druh Jeliński wziął to za żart, lecz miss Estella niezwłocznie zaczęła szykować się do podróży. Wybrała sześciu najlepszych cowboyów, między nimi Jana, kazała zabrać namioty i żywność, luźne konie, przybory używane przez pastuchów w pustyni i cała ta kawalkada wyruszyła z hacjendy równocześnie z druhem Jelińskim. Zaproponował on miss Estelli, żeby zajęła przy nim miejsce w aucie, lecz panna odrzuciła wzgardliwie tę propozycję. Nasz podróżnik puścił się więc samotnie w drogę do Kalifornii. Za nim, w pewnej odległości, posuwała się mała karawana miss Estelli, marzącej o laurach gwiazdy filmowej¹³².

¹³² Co ciekawe, autentyczna postać – polska aktorka Stanisława Zwolińska (1898-1982) – występowała w Hollywood pod pseudonimem identycznym jak imię i nazwisko bohaterki powieści – Estelle Clark.

ROZDZIAŁ XXI.

W SŁONECZNEJ KALIFORNII. STOLICA FILMU.

Opuściwszy gościnną hacjendę mister Clarka, nasz podróżnik, chcąc odrobić stracony czas, przyspieszał jak mógł jazdę, lecz droga była niezmiernie ciężka. Rzadko można było napotkać jakąś osadę. Pustynia, niemal zupełnie pozbawiona wody, ciągnęła się na setki kilometrów. Upał wzmagał się do tego stopnia, że druh Jeliński musiał przerywać podróż około dziesiątej przed południem, inaczej bowiem silnik nagrzewał się i mógł ulec uszkodzeniu. W tych pustkowiach nasz podróżnik czuł się dziwnie osamotniony. Gdyby nie Oranek, który swymi figlami rozpraszał chmury z czoła swego pana, to przeprawę przez Arizonę należałoby zaliczyć do najcięższych etapów z całej podróży naokoło świata.

Chwilami druh Jeliński popadał w zwątpienie, zdawało mu się bowiem, że nigdy nie zdoła przebyć tych niezmiernych, skalistych przestrzeni dzielących go od Kalifornii. W takich momentach upadku ducha zdejmował krzyżyk otrzymany z rąk konającej matki, przyciskał go do spalonych ust i zasyłał ku niebu kilka żarliwych słów modlitwy. Jakaś dziwna otucha i energia wstępowała wtedy do jego serca. Jakieś mocne przeświadczenie, że zdoła mimo wszystko dokonać swego dzieła umacniało się w całej jego istocie. A gdyby tak zatrzymać się na dni kilka i czekać aż kawalkada panny Estelli, ciągnąca śladem auta, nie dogoni go? Tego rodzaju myśli opanowywały naszego skauta, zwłaszcza podczas nocy.

Zatrzymywał się wieczorem gdzieś wśród kaktusów, agaw lub jakichś innych krzewów, niedokładnie zresztą zakrywających auto, owijał się w koce i, nie zapaliwszy nawet ogniska, drzemał, budząc się za najmniejszym szelestem. Potem dopiero, już po powrocie do Ojczyzny, zdał sobie nasz skaut sprawę z tego jak ryzykownym był ten rodzaj podróżowania. Samotność wśród olbrzymich, pustynnych obszarów Arizony, gdzie nietrudno było spotkać się z dzikim zwierzem lub stokroć niebezpieczniejszym odeń złym człowiekiem, może wywodzić z równowagi psychicznej nawet odważnego człowieka. Nasz podróżnik musiał więc przyzywać na pomoc całą swą energię, żeby nie dać się ogarnąć czającemu się wszędzie strachowi. Oranek był nieocenionym towarzyszem podczas takich ciemnych, samotnych, długich nocy. Podróżnik ufał w jego czujność i wierzył, że w razie jakiego niebezpieczeństwa piesek w porę go ostrzeże.

Dziwna zaiste jest natura ludzka. Z początku te noclegi w głuszy i samotności były rodzajem tortury, po jakimś czasie atoli nasz podróżnik przywykać zaczął do swojego położenia. Z bronią gotową do strzału na kolanach zasypiał przed brzaskiem, kołysany do snu

placzem żalosnym kojotów i różnorodnymi odgłosami pustyni, których nawet nie potrafił określić, lecz które składały się na ponury, pełen tajemnic koncert. Nieraz dopiero stojące już wysoko słońce budziło naszego podróżnika. Wtedy zrywał się na nogi, mył się w maleńkiej miedniczce dla zaoszczędzenia zapasu wody i gotował skromne śniadanie z zapasów otrzymanych jeszcze w hacjendzie. Główną rolę grało tutaj suszone lub wędzone mięso i konserwy wydobywane z puszek. Zamiast chleba służyły biskwity¹³³, za napój zwykle kawa ze skondensowanym mlekiem.

Podróżnik trzymał się zawsze tej zasady, żeby jeść dopiero wówczas, kiedy przychodzi apetyt, a jechać, kiedy droga i pogoda dopisują. Pokazało się wkrótce, że ten pobyt na świeżym powietrzu na łonie dziewiczej przyrody, z dala od ludzi, doznawane trudy i wrażenia nie tylko że nie nadwyrężają zdrowia, ale jeszcze je hartują. Skaut wyglądał czerstwo, nabrał ciała, a duch jego był pełen żądy czynu i energii. Kiedy już opuszczał niegościnną Arizone był podobnym do urodzonego w niej Indianina, dla którego nie istnieją żadne niewygody ani niebezpieczeństwa. Droga stawała się coraz lepsza w miarę tego, jak auto zbliżało się do Kalifornii. Kiedy nasz podróżnik znalazł się w granicach tego stanu zamieniła się na doskonale utrzymaną, gładką szosę, na której już od czasu do czasu można było napotkać samochody. Korzystając z tego, druh Jeliński mknął z szybkością strzały, ażeby jak najprędzej dotrzeć do Los Angeles. Pustynne obszary Arizony zmieniły się jak w latarni magicznej na tonące w zieleni wiosennej zbocza gór, których wierzchołki, gdzieś na horyzoncie, błyszczały srebrnymi kołpakami wiecznego śniegu.

Jest to słynne pasmo Sierry Nevady, osłaniające Kalifornię od północno-wschodnich zimnych wiatrów i dające jej tak łagodny klimat. W dolinach pełno rozległych plantacji, gdzie kwitły dziesiątki tysięcy drzew brzoskwiniowych, morelowych i śliwkowych. Kalifornia jest słynna ze swych sadów, które dostarczają słodkich owoców nie tylko Stanom, ale i starej Europie. Podróż poprzez te pachnące wszystkimi powabami wiosny obszary trwała dni parę. Pierwszym większym miastem, w którym zatrzymał się nasz podróżnik, było Los Angeles. Dotarłszy tutaj, druh Jeliński mógł sobie powiedzieć, że udało mu się przemierzyć szczęśliwie w poprzek północnoamerykański ląd, od jednego oceanu do drugiego. Jeżeli chodziło o przestrzeń przebytą to dokonał trzech czwartych swej podróży naokoło świata. Los Angeles leży nieopodal Oceanu Spokojnego i sławnego Hollywood, gdzie znajdują się największe wytwórnie filmowe świata, w których nakręca się corocznie kilkaset obrazów, obiegających świat cały.

¹³³ Biskwity (ang. biscuit) – suchary.

Dojechawszy do Los Angeles, skaut Jeliński zatrzymał się przed Domem Polskim, o którym już dawniej słyszał. Jest to dość okazały, murowany dom narożny, gdzie mieszczą się siedziby rozmaitych towarzystw, nielicznej zresztą kolonii polskiej. Bardzo sympatyczny sekretarz domu nie mógł wprawdzie nic uczynić na razie dla naszego podróżnika, lecz obiecał zaznajomić go z panem Millerem, komisarzem Narodowego Związku Polskiego. Niezwłocznie druh Jeliński skorzystał z tej propozycji pana Sawickiego i nie żałował, gdyż pan Miller, bardzo oryginalny, wysoki o charakterystycznej twarzy człowiek, zainteresował się nim bardzo. Z początku jednak znać było w jego zachowaniu się pewną ostrożność. Nie można się jej dziwić, gdyż do Kalifornii, zwłaszcza do Hollywood, przybywa z Polski mnóstwo karierowiczów, którzy mają nadzieję zostać sławnymi gwiazdami filmowymi. Niestety, tylko nielicznym jednostkom udaje się znaleźć zajęcie w jakiejś wytwórni. Zawiedzeni, bez środków do życia, a mający wielkie potrzeby „artyści filmowi” stają się ciężarem dla kolonii polskiej, która musi nie tylko ich przez jakiś czas utrzymywać, lecz składać się dla nich na bilety powrotne do kraju. Powtarza się to dość często i Polacy w Los Angeles niechętnie witają rodaków, gdyż zawsze obawiają się wydatków, a nawet kompromitacji swej Ojczyzny

Widząc nieufność na charakterystycznej twarzy pana Millera, druh Jeliński nie spieszył się jej rozwiać. Na stawiane sobie pytania dawał proste i krótkie odpowiedzi. W miarę tego, jak ta indagacja¹³⁴ pana Millera posuwała się naprzód, na jego obliczu malować się zaczęło coraz żywsze zainteresowanie. Kiedy wyszedł przed swój sklep i spostrzegł liczny tłum zgromadzony dokoła auta, na którym powiewała flaga polska, rozpromienił się wyraźnie.

– No, musimy pana jakoś tutaj pomieścić – rzekł, podając przybyszowi po raz wtórny rękę. – A może by spróbować do państwa Grabowskich?

Pan Sawicki podniósł ramiona.

– Świeżo naciągnął ich brzydko jakiś rodak – rzekł. – Kosztowało to Grabowskiego kilkaset dolarów. Lecz spróbować można.

Państwo Grabowscy są to ludzie zamożni, od dawna osiedleni w Kalifornii, którzy własną pracą dorobili się znacznego majątku. Mają oni iście złote serca. Lubią otaczać się wybitniejszymi osobistościami, prowadzą dom otwarty zarówno dla rodaków, jak dla Amerykanów. Zawsze bawi u nich kilku przybyszów, lecz to ich nie zraża, chociaż wielokrotnie padli ofiarą rozmaitych wydrwigroszów. W dalszym ciągu nie odmawiają swej gościnności i pomocy tym wszystkim, którzy w ich mniemaniu na to zasługują. Pan Miller siadł do buicka i

¹³⁴ Indagacja – wypytywanie się, śledztwo.

pojechał razem z naszym podróżnikiem do siedziby państwa Grabowskich, ładnej willi położonej w okolicach Los Angeles. Zastano tam także dyrektora Domu Polskiego, pana Romanowicza, uprzedzonego telefonicznie o przybyciu naszego podróżnika. Na spotkanie gości wyszła słusznego wzrostu rasowa blondynka. Na jej pięknej twarzy malowała się wyjątkowa słodycz i dobroć. Była to sama pani Grabowska, młodziutka matka paroletniego chłopczyka. Powitawszy gości z całą uprzejmością, poprosiła ich do salonu, uprzedzając, że mąż jej zaraz nadejdzie. Istotnie zjawił się on parę minut potem. Jako mężczyzna był on uzupełnieniem swej małżonki, rywalizując z nią zaletami towarzyskimi. Niezwłocznie ulokował swego gościa we własnym pokoju, obdarował go kilkoma pięknymi krawatami i oświadczył, że nie wypuści go od siebie, dopóki ten pozostanie w Los Angeles.

Nasz skaut był wprost oczarowany tym przyjęciem. Z pustyni arizońskiej losy przeniosły go od razu wśród anielskich ludzi, do kulturalnego otoczenia. Zamiast na brudnych kocach spał na stosie czyściutkich poduszek, pod jedwabną kołdrą. Mógł co dzień kąpać się w luksusowej łazience, siedzieć na drogich meblach i, co może najważniejsze, korzystać z idealnej kuchni pani Grabowskiej, która prowadziła dom wzorowo. Na wydawanych przez państwa Grabowskich obiadach zjawiała się śmietanka miejscowego towarzystwa, między innymi śpiewak-artysta pan Gilewicz, artystka filmowa pani Stanisława Zwolińska, Raquello – Polak, pomimo z włoska brzmiącego nazwiska, no i liczni Amerykanie, zwabieni nie tyle wyborową kuchnią, ile zaletami towarzyskimi gospodarzy. Dom ten stanowił niejako centrum, koło którego obracało się życie Polonii tamtejszej. Wieczorami można tam było posłyszeć dobrą muzykę, śpiew, wysłuchać uczonego referatu, poprowadzić zajmującą rozmowę, słowem spędzić mile i pożytecznie kilka godzin. Druh Jeliński był więc uszczęśliwiony, że trafił tak dobrze. Zaprzyjaźniona ze sobą trójka państwa Grabowskich, pana Millera i Romanowicza zajęła się naszym podróżnikiem serdecznie. Zrobiono propagandę w miejscowej prasie, przedstawiono podróżnika majorowi miasta i innym wybitnym osobistościom, wprowadzono go do automobilklubu, słowem oddano gościowi niezliczone usługi.

Pan Gilewicz, który czytał liczne sprawozdania z podróży druha Jelińskiego w gazetach amerykańskich, odezwał się doń pewnego razu. „Jesteś pan rzadkim Polakiem, który nie zrobił w Ameryce wstydu swej Ojczyźnie. Widzę, że można się do Ciebie bez obawy zbliżyć. Jeżeli chcesz, zrobimy razem wycieczkę autem. Ja mam swoje, więc każdy pojedzie osobno, mając prawo zabrać towarzysza”. Druh Jeliński chętnie przyjął tę propozycję. W parę dni później pojechano na objazd misji, które pozakładano na pograniczu Meksyku w okolicach Los Angeles dla nawracania i opiekowania się dość licznymi jeszcze w tamtych stronach plemionami indiańskimi. Rząd wyznaczył im pewne, szczupłe zresztą, terytoria, na których ci

pierwotni władcy Ameryki prowadzą dziś godny pożałowania żywot. Ludzie ci, żyjący od wieków na swobodzie i utrzymujący się głównie z polowania na zwierzynę, dziś prawie doszczętnie wytępioną, muszą pracować, co jest sprzeczne z ich całą naturą. Mężczyźni plotą makaty, robią pudełka z dykty, naczynia gliniane, ozdabiane malowidłami. Kobiety oddają się koszykarstwu i innym lżejszym rzemiosłom. Misjonarze uczą dzieci indiańskie w szkółkach i starają się Indian podnieść kulturalnie, lecz ich usiłowania rozbijają się o wrodzone lenistwo i obojętność synów natury. Misjonarze gościnnie przyjmowali przybyszów, oprowadzali ich po pięknych ogrodach, pokazywali siedziby indiańskie. Pan Gilewicz, znający miejscowe stosunki, urządził pewnego razu wycieczkę do pobliskiej rezerwacji. Na obszarze kilku tysięcy akrów mieszkają szczątki liczego dawniej plemienia. Zamiast jednak bujać na mustangach po preriach, nieszczęśnicy ci siedzą w nędznej wiosce, złożonej z murowanych domków, które rozsypują się przeważnie w gruzy. Wojownicy, którzy od dawna już musieli zawiesić kroki wojenne, dziś są jakby żywymi mumiami, które służą tylko do zaspakajania ciekawości turystów. Ameryka należy już do białych. Czerwoni są tam zaledwie tolerowani. Rząd wydziela im dość skąpo zresztą niezbędnych artykułów żywności, przeważnie w naturze. Ci, co czytali powieści, w których bohaterami byli różni Promienie Pałacy, Antylopy, Kamienne Serca, z przykrością przyglądają się szczątkom walecznych plemion. Jeszcze 50 lat temu uganiali się czerwoni za bizonami w preriach, lecz bizony dziś są zupełnie wytępione, a prerie poszły pod pług. Indianie pozbawieni naturalnego źródła utrzymania wymierają, srodze koszeni przez choroby, zawleczone tutaj przez przybyszów.

Druh Jeliński zdobył sobie przyjaźń wodza i jego syna nazwiskiem „Dziki Koń”, dzięki przywiezionym podarkom, zwłaszcza kilku funtom tytoniu, bez którego Indianie nie potrafili się obywać. Wódz za pośrednictwem swego syna rozesłał do podwładnych rozkaz, żeby stawili się na podwórku domu swego naczelnika. Niebawem zaczęli się oni zjeżdżać na lichych koniach, nie osiodłanych, nawet nie mających wędzideł. Wojownicy byli przybrani tak jak dawniej, kiedy mieli wkroczyć na ścieżkę wojenną. Głowy ich były ozdobione piórami, twarze potatuowane i pomalowane. Puściwszy konie na pastwisko, zaczęli wykonywać swój taniec wojenny, rzucając w górę tomahawki¹³⁵ i łapiąc je bardzo zręcznie. Na zakończenie turyści wypalili z wozem fajkę na znak przyjaźni, przy czym „Dziki Koń” w dowód uprzejmości zdjął z głowy swoją ozdobę z piór i włożył ją na głowy gości.

Druh Jeliński, pragnąc mieć zdjęcie do swej kolekcji, proponował wodzowi wspólną fotografię, na co ten chętnie się zgodził. Na załączonej ilustracji widzimy naszego podróżnika

¹³⁵ Tomahawk – rodzaj broni indiańskiej o długim drzewcu zakończonym niewielką siekierą. Słowo jest zapożyczeniem z języka algonkin, używanego przez Indian mieszkających na terenie Kanady.

w otoczeniu wojowników indiańskich i naczelników, którzy ściskali mu dłoń na pożegnanie. Nie należy jednak dowierzać Indianom. Kiedy mają oni do czynienia z uzbrojonymi i mającymi się na baczności białymi, zachowanie ich jest bez zarzutu. Źle by jednak wyszedł ten, który by sam jeden, z gołymi rękami, zapuścił się w głąb rezerwacji indiańskiej. Synowie pustyni nie omieszkaliby go obrabować doszczętnie, a nawet zamordować, gdyż na dnie ich duszy tli się niewygasła nienawiść do zaborców, którzy z wolnych i licznych szczepów uczynili żebraków, jakby z łaski tolerowanych na najgorszych gruntach. W razie buntu rząd Unii niemiłosiernie karze ogniem i mieczem nieszczęśliwych Indian lub wchodzi z nimi w układy, których rzadko dotrzymuje. Wydelegowani zaś urzędnicy okradają biedaków przy każdej okazji. Niedaleką jest chwila, kiedy ostatni Indianin wyzionie ducha. Jeszcze tylko na południu i w Meksyku czerwoni są dość liczni i grają wybitniejszą rolę. Rasa anglosaska nie mieści się z czerwoną, uważając ją za niższą od siebie. Hiszpanie zaś przeciwnie, choć również pogardzają czerwonymi to nie są w stosunku do nich tacy bezwzględni. Najlepszy dowód, że w Ameryce Południowej Indian jest jeszcze stosunkowo bardzo dużo.

Wycieczka do rezerwacji indyjskich, na granicy Meksyku, odbyła się bez żadnej złej przygody. Pan Gilewicz, mknąc na swoim wspaniałym pacardzie sam jeden, wskazywał drogę. Za nim gonił buick druha Jelińskiego. W ten sposób w ciągu kilku dni zrobiono po najlepszych drogach świata kilkaset kilometrów bez większego zmęczenia. Wyprawa tak dalece przypadła do gustu naszym automobilistom, że na propozycję pana Gilewicza postanowione urządzić jeszcze jedną, mianowicie po drodze do San Francisco odwiedzić sławną z piękności dolinę Yosemite, która obecnie tworzy jeden z narodowych parków w Stanach. Pani Grabowska, wybiegłszy do hallu na przywitanie podróżnych, uśmiechnęła się z tajemniczą miną do pana Jelińskiego.

- Czekają na pana ktoś, kogo pan się zupełnie, ale to zupełnie nie spodziewa.
- Co? Może jaka amazonka? – zagadnął druh Jeliński, mając na myśli pannę Estellę.
- Zaraz pan zobaczy!

Wzięła za rękę naszego skauta i poprowadziła go do bawialni. Stała tam wysmukła postać niewieścia, odwrócona tyłem do drzwi. Na odgłos kroków obejrzała się i druh Jeliński ku wielkiemu swemu zdziwieniu poznał pannę Izę. Spotkanie to było zaiste czymś zgoła nieoczekiwanym. Pan Jeliński stał jak wryty, nie mogąc na razie dojść do słowa. Panna Iza była znać w żałobie, gdyż miała na sobie ciemną sukienkę i czarną aksamitkę, którą związała bujne pukle swoich złotych włosów. Podała po prostu rękę podróżnikowi, nie okazując żadnego wzruszenia.

– Czekam na pana od dwóch dni – rzekła cichym głosem. – W Domu Polskim dowiedziałam się o pańskim adresie. Jak pan widzi z mojej toalety, znajduję się w żałobie. Moja ciotka umarła przed paroma tygodniami. Chciałam poszukać zapomnienia po tym wypadku, tak dla mnie przykrym. Najlepszym środkiem jest po temu podróż. Oto ma pan wyjaśnienie, dlaczego zjawiłam się w Kalifornii. Spodziewam się, że pokaże mi pan jej osobliwości zanim opuści pan Amerykę. Druh Jeliński był zadowolony i zakłopotany równocześnie pojawieniem się panny Izy. Czyżby znowu pragnęła jechać z nim razem? Zdawało mu się, że powinna była już zaniechać tego nierozważnego projektu. Tak czy owak przyrzekł, że zapozna swoją rodaczkę z pięknosciami Kalifornii. Studentka, wesoła i zrównowazona, mogła być doskonałym towarzyszem na wycieczkach. Zaraz nazajutrz miano wyruszyć na przejażdżkę do San Gabriel. Okolice Los Angeles obfitują w malownicze miejscowości, panna Iza mogła więc co dzień widzieć coś nowego i ładnego. Jedna tylko myśl trapiła skauta. Co będzie, kiedy nadjedzie oczekiwana z dnia na dzień miss Estella? Pan Gilewicz, któremu zwierzył się ze swoich kłopotów, zbagatelizował całą tę sprawą.

– Nie lękaj się! Panna Estella nie przybędzie do Los Angeles! Zobaczysz się z nią w Hollywood. Przez polskich artystów filmowych dowiem się, kiedy twoja cowbojka nadjedzie. Jestem ciekaw ją poznać. Jest to w każdym razie typ niepospolity. Obejrzyj przy okazji wytwornie filmowe, na co nie szkodzi czasu. Jeżeli znalazłbyś się w jakiej nieprzyjemnej sytuacji to licz na mnie.

Zawarte przymierze z artystą uspokoiło cokolwiek naszego skauta. Nazajutrz pan Jeliński zajechał przed hotel, w którym zamieszkała panna Iza, ażeby ją zabrać na pierwszą wycieczkę do San Gabriel. Zamiast w karecie panna Iza usiadła przy kierowcy, ażeby móc się z nim dzielić doznawanymi wrażeniami. Okolice Los Angeles są jakby jednym ogrodem, w którym są porozrzucane liczne wille bogaczy amerykańskich, lubiących spędzać zimę i wczesną wiosnę w słonecznej Kalifornii. Szerokie aleje wysadzone palmami biegną wzdłuż sadów i plantacji, wspinają się na zbocza pagórków. Miejscami spośród zieleni błyska szafirowa tafla wód Pacyfiku. Jest to jedna z najpiękniejszych okolic w całych Stanach. Tonie ona w ciepłych promieniach słońca i w powodzi kwiecia. Najdalsze tło tych czarodziejskich krajobrazów tworzyły na podobieństwo teatralnych dekoracji przyprószone śniegiem szczyty dalekiej Sierry.

– Podoba się pani tutaj, panno Izo? – zagadnął nasz automobilista.

Zamiast odpowiedzi studentka uściśnęła towarzysza za ramię.

– Gdyby nie to, że urodziłem się w Polsce i jestem do niej gorąco przywiązany, z rozkoszą uwiliłbym sobie gniazdko w tej czarownej krainie – rzekł.

– Przecież nie potrzebowałby pan porzucać na zawsze rodzinnego kraju! – odparła panna Iza, zamyślając się. – Lecz kilka lat spędzonych tutaj pozostawiłoby na zawsze miłe wspomnienia. Gdyby pan tylko chciał...

– To co? – zagadnął druh Jeliński, śmiejąc się.

– Mówmy poważnie, panie Jeliński. Jestem obecnie sama jedna na świecie. Rodzice moi nie żyją, a ostatnia z rodziny, moja ciotka, przed paroma tygodniami także zamknęła oczy, robiąc mnie swoją spadkobierczynią. Zostałam niezależna materialnie, mogę jako pełnoletnia rozporządzać moją osobą. I moją ręką – dodała cicho. – Zostańmy tutaj! Zamieszkalibyśmy w jednym z takich uroczych domków nad brzegiem morza, wśród ogrodów i kwiatów i byłibyśmy szczęśliwi. Przynajmniej ja! Chcesz Jurku? Jedno słowo twoje wystarczy. Obojeśmy sierotami, powinniśmy wspierać się wzajemnie i iść w życie ręką w rękę.

Nasz skaut zatrzymał nagle maszynę i spojrzał prosto w oczy pannie Izie. Odpowiedziała mu na to nieme pytanie promiennym uśmiechem. Objął ją i złożył na jej czystym czole poważny pocałunek.

– Dziękuję ci, Izo! Te słowa są dla mnie nieocenionym skarbem. Wyznaję, że te same myśli nieraz kiełkowały i w mojej głowie. Musiałem staczać z nimi uporczywe walki. Jeżeli nie pisałem do ciebie tak często, jakbym może pragnął, to dlatego, że postanowiłem na razie zapomnieć o tobie.

– Więc nic do mnie nie czujesz? – zagadnęła panna z wyrzutem.

– Tak nie jest! Lecz wiedz, że stanowisz na mojej drodze niby niebezpieczną skałę, o którą mogą się rozbić moje najpiękniejsze zamiary. Jeżeli ulegnę pokusie i spełnię twoje życzenia, to nie dokończę mojej podróży i splamię honor harcerski. Ty zaś ze swej strony powinnaś dokończyć studia. Pamiętaj, że świat należy tylko do silnych. Musimy dowieść, że mamy prawo się do nich zaliczać. Idźmy więc do czasu swoimi drogami. Kiedy spełnimy swoje zadanie, wówczas dopiero będziemy mogli pomyśleć o spełnieniu naszych marzeń.

– Masz Jurku słuszność, czuję to doskonale! Przyznam jednak, że nosiłam się z zamiarem towarzyszenia ci do Kalifornii w twojej podróży. Skoro jednak nie zgadzasz się na to, rozstaniemy się. Za rok czy za dwa jednak wrócimy tutaj. Kupię ot taki ładny domek, otoczony drzewami pomarańczowymi i palmami, i zamieszkamy w nim na długie lata...

Upłynęło kilka dni, które druh Jeliński zalicza do najprzyjemniejszych w swoim życiu. Zwiedzano najgodniejsze uwagi miejscowości w okolicach Los Angeles, pławiono się w słońcu, w kwiatkach i w zieleni parków, w balsamicznym powietrzu, jadano w podmiejskich restauracjach, słowem była to jedna sielanka. Niestety, wszystko ma swój koniec. Pan Gilewicz przypomniał o Hollywood. Postanowiono udać się tym razem z panną Izą, gdyż artysta

nic nie wspomniał o przyjeździe Estelli. Był bardzo piękny dzień słoneczny. Wyjechano trzema autami: w pierwszym siedziały dwie gwiazdy filmowe polskie, w drugim zajął miejsce u kierownicy druh Jeliński, za nim panna Iza i pani Grabowska, w trzecim dyrektorzy Domu Polskiego z panem Gilewiczem u kierownicy. Z Los Angeles do stolicy filmu jest kilkanaście minut drogi niezmiernie malowniczej. Samo Hollywood jest to dość duże miasto poświęcone w zupełności produkcji filmowej. Już na samym wstępie przybysz spostrzega na chodnikach różne egzotyczne i historyczne postaci. Obok Rzymianina w todze, legionisty w zbroi, kroczy Murzyn w jaskrawym kostiumie, dalej średniowieczni rycerze i damy, słowem mieszanina typów różnych epok, stanów i narodów. Są to artyści i statyści, spieszący do wytwórni dla odegrania wyznaczonej sobie roli. Nikt się temu nie dziwi. Miasto liczy kilkanaście wielkich wytwórni, w których spoczywają dziesiątki milionów dolarów kapitału zakładowego. Nieraz nakręcenie jednego obrazu pochłania zawrotne sumy. Nic więc dziwnego, że do Hollywood jak ćmy do świecy zlatują z całego świata kandydaci na artystów filmowych, a nawet prawdziwi artyści z wyrobioną już marką. Jedna bowiem Ameryka może płacić sute honoraria. Jednakże jak mówi ewangelia: jest dużo powołanych, lecz mało wybranych. Szczęśliwców, pobierających po kilka, a nawet kilkanaście tysięcy dolarów miesięcznie, jest zaledwie paru. Olbrzymia większość musi się kontentować wynagrodzeniami, które wobec drożyzny amerykańskiej stanowią nikłe uposażenia. Najgorszy jest los zawiedzionych, którzy za ostatnie pieniądze przybyli do stolicy filmu z Europy w nadziei, że zrobią tam karierę. Niebawem popadają oni w okrutną nędzę. Kolonia polska ma duże kłopotu z tymi wykolejeńcami i musi zbierać często składki, ażeby im umożliwić powrót do Ojczyzny. Pomimo to marnuje się wielu ludzi, zwłaszcza młodych, przystojnych dziewcząt, które nierozważnie lub lekkomyślnie przybyły tutaj bez środków. Takie kobiety stają się pastwą różnych ciemnych aferzystów i nieraz w upokorzeniu i upodleniu kończą swoją karierę gdzieś w spelunkach Argentyny. Powinno to być ostrzeżeniem dla młodych i zbyt energicznie poszukujących kariery filmowej Polek.

Zatrzymano się w wytwórni Metro-Goldwyn-Meyer¹³⁶, gdzie dyrektorowie byli już uprzedzeni o wizycie. Główny dyrektor, pan Rany Tapf, obejrzawszy księgę pamiątkową i fotografie podróżnika, rzekł do swego sekretarza: „Niech pan napisze do naszej gazety, że zjawił się Polak automobilista, który dokonał już czegoś poważnego, a jednak nie żąda od nas posady. Taki wyjątkowy fakt zasługuje na zaznaczenie”. Scenę oglądania auta naszego po-

¹³⁶ Metro-Goldwyn-Meyer – amerykańska wytwórnia filmowa, założona w 1924 r. przez urodzonego w Warszawie Samuela Goldwyna oraz Marcusa Loewa i Louisa Mayera. Charakterystycznym logo, które pojawia się przed każdym filmem produkcji MGM, jest ujęcie głowy ryczącego lwa otoczonego przez złote taśmy filmowe.

dróżnika wielokrotnie sfilmowano, po czym dyrektor zaprosił gości do zwiedzenia atelier, w którym równocześnie nakręcano kilka oddzielnych obrazów. Atelier jest to duża przestrzeń, na której znacznym nieraz kosztem wznosi się różne budynki, służące za dekoracje. Widzimy np. jakiś zaułek londyński, obok niego budynek rzymski, dalej świątynię starożytną, operę paryską, to znów jakieś podziemia. Za środki pomocnicze służy niemal wszystko, co wyszło z rąk ludzkich: koleje, samoloty, samochody, najrozmaitsze zwierzęta, między którymi nie brak nawet lwów i tygrysów; słowem jest to olbrzymi aparat, który wprowadzają w ruch całe rzesze techników, reżyserów, statystów itd.

Właśnie nasze towarzystwo zbliżało się do grupy budynków, przedstawiających jakąś spelunką nowojorską, gdy rozległ się gwizdek i potężny głos zawołał: „Bandyci i złodzieje do mnie!”. Był to znakomity artysta filmowy, Lon Chaney, który był zajęty reżyserowaniem sceny napadu na siebie samego. Na sygnał spoza murów, zrobionych z tektury i gipsu, podłaziło kilkanaście postaci tego rodzaju, że nikt nie chciałby z nimi naprawdę się spotkać po nocy.

– Zupełnie nie umiecie napadać – łajał ich artysta – Ot, tak powinniście się na mnie rzucić!

Pokazywał statystom, jak winni się zachować, robiąc im wyrzuty, że już przez nich popsuto dużo filmu na próżno. Nie na darmo nazywają Lona Chaneya człowiekiem o stu twarzach – umie on bowiem przybierać każdą fizjognomię. Ujrzawszy gości, zawołał śmiejąc się:

– Mam z natury taką gębę, że nie potrzebuję się charakteryzować na bandytę!

Po zawarciu pierwszej znajomości artysta wpisał się do albumu i dał się zdjąć. Wałęsając się po atelier, druś Jeliński zauważył ze zdziwieniem grupę wspaniałych cowboyów, których reżyser przygotowywał do filmowania. Zdawało mu się, że poznaje między nimi jednego z ludzi miss Estelli. Chciał się spytać Gilewicza, czy panna już przybyła do Hollywood, lecz nigdzie go nie mógł znaleźć. Tymczasem w jego oczach rozpoczęła się scena potrzebna widocznie do jakiegoś obrazu. Kilku cowboyów wskoczyło na konie i rozpoczęło z arkanami pościg za jakimś człowiekiem, który rozpaczliwie uciekał. Nagle grupa zmieniła kierunek i druś Jeliński w uciekającej postaci poznał miss Estellę. Była ona zaiste niezrównana w swej roli. Sadziła na koniu oklep, przeskakując różne przeszkody i unikając ze zdumiewającą zręcznością ciskanych za nią arkanów. Od czasu do czasu opuszczała się pod sam brzuch swego wierzchowca i zasłonięta jego ciałem strzelała z wielkiego rewolweru do ścigających ją cowboyów. Chociaż kule nie wylatywały z lufy, to jednak jeden z prześladowców spadł i leżał, udając rannego lub zabitego. Ta scena trwała kilka minut, w końcu koń Estelli, powalo-

ny rzutem arkana, przewrócił się, a miss Clark runęła na ziemię, lecz w okamgnieniu zerwała się na nogi i stanęła oko w oko z druhem Jelińskim.

– Więc to pani! – zawołał podróżnik.

– Bawimy tutaj od paru dni, a pan nic o tym nie wiedział? Pan Gilewicz obiecał pana zawiadomić.

Winowajca zbliżał się uśmiechnięty, w towarzystwie panny Izy.

– No i cóż? Widział pan miss Estellę w kapitalnej roli? – zagadnął z miną niewiniątka.

– Przepyszna jest, nieprawdaż?

– Jak to, państwo się znacie? – zagadnęła zdziwiona panna Iza, która była świadkiem powitania się Amerykanki z druhem Jelińskim.

Niebawem cała intryga pana Gilewicza wyszła na jaw. Pragnąc uchronić naszego skauta od możliwych powikłań, zapewnił Estellę, że nie przybył on jeszcze do Los Angeles. Podobno panna Clark bardzo się tą wiadomością zaniepokoiła, w przypuszczeniu, że śmiałego podróżnika spotkała jaka zła przygoda w pustyniach Arizony. Amazonka była jednak stropiona niespodziewanym pojawieniem się panny Izy. Subtelnym instynktem kobiecym wiedzona, przypuszczała, że między dwojgiem młodych ludzi płonie znicz miłości i patrzyła na pannę Izę jak na swoją rywalką. Zaraz po tym spotkaniu w Hollywood przeniosła się ona ze swymi chłopcami do Los Angeles, rezygnując z dalszych występów, stanęła w najdroższym hotelu i zaczęła prowadzić życie bogatej i światowej damy. Druh Jeliński widywał ją w teatrze, w kinach, na dancingach, strojną w najświeższe i najkosztowniejsze toalety, lub mknącą w ślicznej limuzynie w towarzystwie jakiegoś milionera. Najczęściej jednak nasz podróżnik spotykał piękną pannę z Gilewiczem. Młody artysta najwidoczniej zawrócił sobie głowę śliczną amazonką. Czy i miss Estella odpłacała mu się zainteresowaniem, tego nie można było przeniknąć. Raczej zdawać się mogło, że te wszystkie stroje, publiczne występy i klejnoty, błyszczące na jej szyi i zdobiące artystyczne rączki, miały jedynie na celu obudzenie zazdrości w sercu tego, który wybrał inną. Druh Jeliński był jakby między dwoma palącymi ogniami i musiał przyzwać na pomoc całą swoją dyplomację, żeby nie popełnić jakiegoś nieaktu. Powiodło mu się to znakomicie dzięki dzielnej dywersji pana Gilewicza, który nie odstępował na krok pięknej miss Clark. Z drugiej strony wrodzona duma panny nie pozwalała jej wystąpić wyraźnie w obronie swych interesów sercowych. Niebawem druh Jeliński miał wyjechać i wszystko to powinno się skończyć.

Pewnego wieczora przed domem państwa Grabowskich zatrzymała się limuzyna miss Estelli, z której wysiedli oboje z Gilewiczem. Piękna amazonka przybywała pożegnać się.

– Nie wiem, czy zobaczymy się kiedykolwiek – rzekła, podając dłoń druhowi. – W każdym razie życzę panu szczęścia przy boku tej, którą pan prawdziwie pokochał! Zapraszam pana Gilewicza do nas. Sądzę, że nie będzie tego żałował – dodała ze znaczącym uśmiechem.

Nasz podróżnik udał, że nie rozumie tej groźby. Podziękował miss Estelli za gościnność i tak niedoszła para rozstała się zapewne na zawsze.

ROZDZIAŁ XXII.

W CUDNEJ DOLINIE. ZDOBYCIE NAGRODY TURYSTYCZNEJ. ODZNACZENIE. ROMANTYCZNA PRZYSIĘGA. ROZSTANIE Z PRZYJACIÓŁMI.

Pobyt w rozkosznym Los Angeles trwał już od paru tygodni, należało więc pomyśleć o dalszej podróży. Trudno było jednak naszemu skautowi wyrwać się z grona miłych ludzi, z którymi zawiązał stosunki przyjacielskie. Pani Grabowska przygotowywała zapasy na drogę, pan Gilewicz swój samochód, na którym postanowił odprowadzić druha Jelińskiego aż do doliny Yosemite, która jest jedną z największych osobliwości Kalifornii. Termin wyjazdu nadszedł prędzej niż by sobie tego życzył nasz podróżnik. Państwo Grabowscy, dyrektorzy Domu Polskiego i nieliczni artyści Polacy żegnali skauta przyjaźnie, namawiając go, żeby po ukończeniu podróży wrócił jeszcze do Kalifornii. Najwięcej jednak kosztowało naszego podróżnika rozstanie się z panną Izą. Wśród zapewnień o niezmiennym wzajemnym przywiązaniu pożegnano się czule, obiecując sobie wzajemnie pisać jak najczęściej.

Panna Iza wyjechała zanim jeszcze druh Jeliński opuścił Los Angeles. Panna Estella, urażona w swej dumie, jeszcze wcześniej w towarzystwie swoich cowbojów udała się do domu ojcowskiego, tak iż w chwili wyruszenia w dalszą podróż druh Jeliński miał przy sobie tylko pana Gilewicza, który, jak się niebawem okazało, był wybournym kompanem. Wyruszone rankiem, ażeby jeszcze tego samego dnia dotrzeć poprzez górzysty teren do doliny Yosemite, którą od Los Angeles dzieli przestrzeń paruset kilometrów. Głęboka ta dolina, wyrżnięta przez wody potoków w granitowych skałach, jest jednym z najbardziej malowniczych zakątków świata. Pełno w niej wodospadów, z których największy ma 800 metrów wysokości¹³⁷, a z 10 metrów szerokości. Huk jego daje się słyszeć na kilka kilometrów dookoła, a od ciężaru wód drży ziemia jak w febrze. Tam rosną sławne z wieku, wysokości i średnicy sosny kalifornijskie, zwane wellingtonami. Najstarsze pamiętają czasy stworzenia świata, według obliczeń biblijnych, mają bowiem do 8000 lat¹³⁸. Przez trzon jednej z nich przeprowadzono drogę, którą swobodnie może przejechać wóz parokonny. Na samym wstępie do doliny znajduje się naturalna brama w skałach.

Trudno nam tutaj dla braku miejsca opisywać szczegółowo piękno i osobliwości doliny Yosemite, której nazwa pochodzi od słowa indiańskiego, oznaczającego niedźwiedzia szar-

¹³⁷ Całkowita długość największego wodospadu w dolinie Yosemite to 739 metrów (najdłuższa pojedyncza struga: 436 m).

¹³⁸ Wartość przesadzona. Mamutowiec olbrzymi (sekwoja), o którym mowa, osiąga maksymalnie wiek 2000-3500 lat.

rego, dawniej bardzo pospolitego w tych okolicach. Potomkowie straszego grizli¹³⁹ obecnie podobnie jak sami czerwonoskórzy są na wpół oswojeni i często można się z nimi spotkać w dolinie, lecz spotkanie to nie grozi żadnym niebezpieczeństwem. Misio staje sobie na drodze, którą mkną auta z turystami i, kołysząc się na nogach, zagradza swoim potężnym cielskiem przejazd. Są to niedźwiedzie żebracy. Z dzikich krwiożerczych bestii, które staczały krwawe boje z Indianami, szare niedźwiedzie zamieniły się w łagodne stworzenia, czekające, aż turyści raczą im wyrzucić z auta biszkopt, kawałek czekolady, mięsa lub jakiś inny smaczny kąsek. Obdarowane odchodzą z pomrukiem zadowolenia i pozwalają przejechać turystom bez przeszkody. Tak to pod wpływem natłoku turystów nawet niedźwiedzie podupadły moralnie i z wolnych drapieżników zamieniły się w natrętnych żebraków, którzy w razie odmowy stają się niebezpieczni.

Dolina Yosemite jest odwiedzana przez tłumy turystów z całych Stanów. Nad strumieniami mnóstwo porozbijanych namiotów, w hotelach przepełnienie. Zarząd parku narodowego Yosemite urządza dla gości różnego rodzaju rozrywki, np. nocą każe zrzucać z największych gór w przepaść całe stosy płonących drzew, co stanowi czarowny widok. Właśnie kiedy druh Jeliński przybył tam z panem Gilewiczem odbywały się wyścigi cowboyów, trafiono także na konkurs automobili. Maszyna, która przybyła z najodleglejszych okolic świata, miała otrzymać nagrodę w postaci bezpłatnego utrzymania jego pasażerów przez pięć dni w jednym z najpiękniejszych hoteli. Pan Gilewicz, dowiedziawszy się o tym, natychmiast zgłosił do konkursu maszynę druha Jelińskiego. Ma się rozumieć, że buick z powiewającą polską i amerykańską flagą jednogłośnie wśród oklasków zebranej publiczności otrzymał nagrodę. Był to triumf nie tylko przyjemny, lecz także bardzo korzystny, gdyż druh Jeliński i jego przyjaciel w ciągu 5 dni mieli przed sobą wszystko do dyspozycji bezpłatnie. Jeździli więc konno, wspinali się na malownicze wierzchołki skał, no i nie płacili nic za doskonałe utrzymanie w najładniejszym hotelu. Odtąd w księgach parku narodowego figuruje nazwisko druha Jelińskiego między innymi nagrodzonymi automobilistami i na pewno nie ma on tam żadnego poważniejszego współzawodnika.

Pobyt w cudnej dolinie zaznaczył się głęboko w pamięci naszego skauta. Z żalem więc opuszczał on ten zakątek, w którym przyroda nagromadziła tyle skarbów piękna. Gilewicz, którego humor nie odstępował nigdy, musiał wracać do Los Angeles, druh Jeliński skierował się do San Francisco, które miało być ostatnim punktem jego wędrówki poprzez Ziemię Wolności. Szosy w Kalifornii, odwiedzanej corocznie przez setki tysięcy turystów, są najlep-

¹³⁹ Niedźwiedź grizzly (grizli, niedźwiedź szary) – podgatunek niedźwiedzia brunatnego, zamieszkujący zachodnią część Ameryki Północnej oraz Góry Skaliste.

sze bodaj na całym świecie. Jedzie się jak po stole bilardowym bez kurzu. Na każdym kroku automobilista korzysta z wszelkiej pomocy, słowem jest to istny raj dla sportowców. W ciągu jednego dnia przemknął buick przestrzeń dzielącą Yosemite od stolicy stanu Kalifornii. Teraz dopiero dowiedział się, co to jest dobra droga na dobrej maszynie przebywana.

San Francisco leży na pagórkach, panujących nad morzem, i posiada wspaniały port. Po okropnym trzęsieniu ziemi i pożarze w roku 1906 nie ma już żadnego śladu. Energia amerykańska święci triumf nad potęgami niszczycielskiej przyrody. W Los Angeles nasz podróżnik otrzymał wskazówkę, żeby udać się do państwa Pick, którzy, mimo angielskiego nazwiska, są rodowitymi Polakami i odgrywają w San Francisco taką samą rolę między tamtejszą Polonią, jak państwo Grabowscy w Los Angeles. Nie są wprawdzie równie majętni jak tamci, lecz serca mają dla rodaków równie szeroko otwarte. Zaprosili oni do swego domu podróżnika, ofiarując mu gościnność, której nigdy nie zapomni. Polonia w San Francisco uczęszczała tłumnie na odczyty i między nią a naszym podróżnikiem zawiązały się bardzo przyjacielskie stosunki.

Między licznymi rodakami, jakich poznał w mieście nasz skaut, znajdował się młody, utalentowany malarz, Tadeusz Kolanowski, który, chociaż urodzony już w Ameryce, jest jednak zagorzałym patriotą, dzięki swojej matce, która budziła w nim i miłość do starego kraju. W jego towarzystwie pan Jeliński odbywał wycieczki autem w okolice miasta, przyłączając się do miłych i sympatycznych rodaków, którzy co niedziela porzucają mury miejskie, żeby zaczerpnąć wrażeń i świeżego powietrza. Na jednej z takich wycieczek odwiedzono oryginalny zakład, w którym pewien lekarz amerykański oddawał się hodowli jadowitych grzechotników. W dołach o gładkich ścianach podróżni ujrzeli mnóstwo tych niebezpiecznych gadów, które mają na końcach ogona rodzaj grzechotek, wydających suchy dźwięk przy każdym ruchu ich właściciela. Grzechotniki są hodowane dla celów naukowych. Jad wyciskany z nich służy do wyrabiania surowicy, zabezpieczającej od fatalnych skutków ukąszenia. Druh Jeliński na pamiątkę otrzymał od hodowcy parę grzechotek, które przywiózł ze sobą do Warszawy.

Pan Kolanowski podczas jednej z wycieczek oddał się swej sztuce, lecz w braku blejtramów¹⁴⁰ zaczął pokrywać ściany namiotu druha Jelińskiego swymi kompozycjami. Namalował na nich liczne sceny, np. spadającego z konia cowboya, rodzinę indiańską, grzechotniki, czaszki trupie i mnóstwo innych rysunków, zaopatrzonych w podpisy w guście: „Stać!”, „Nie wolno palić!” i „Nie zatrzymywać się!”. Były one niezbędne, gdyż namiot, ozdobiony

¹⁴⁰ Blejtram (krosno malarskie) – drewniana rama, do której przytwierdza się płótno malarskie.

licznymi malowidłami, niepozbawionymi humoru i artyzmu, ściągał tłumy ciekawych, którzy pękali ze śmiechu. Niemało się to przyczyniło do spopularyzowania podróży naokoło świata w Kalifornii. Kończył się już miesiąc od chwili, kiedy nasz podróżnik zjawił się w pięknej Kalifornii. Wszystko go tutaj przyciągało, zarówno urocza przyroda, łagodny klimat, jak i mieszkańcy. Polonia, choć niezbyt tu liczna, przyciągała rodaka z rozrzewniającą serdecznością. Państwo Grabowscy w Los Angeles, państwo Pick w San Francisco, są to oazy z przeczystymi źródłami przyjaźni na rozległej pustyni.

Pan Jeliński słyszał niejednokrotnie narzekanie na Polaków amerykańskich ze strony przyjezdnych rodaków. Według niego atoli wina tego chłodu, a nawet wręcz nieprzyjaznego zachowania się tamtejszych emigrantów względem przybyszów, spada na tych ostatnich. Polak amerykański jest patriotą, głęboko przywiązany do religii katolickiej, przeważnie narodowo myślącym, jeżeli idzie o kierunek polityczny i każdy musi się z tym liczyć w swoich występach publicznych. Poza tym przyjeżdżają do Ameryki przeważnie ludzie szukający kariery, obojętni na ich losy a nawet wynoszący się ponad rodaków amerykańskich, którzy, należy to pamiętać, bez środków, bez znajomości języka i obyczaju, umieli przecie własną pracą i energią wywalczyć sobie niezależność. Druh Jeliński zachowywał się jak prawdziwy demokrat, unikając wszelkiego wyróżniania się i dlatego zapewne zdołał pozyskać powszechną sympatię. Niemało do zyskania popularności przyczynił się fakt, że nasz skaut nie szukał żadnej korzyści materialnej, lecz służył celom propagandy. Kiedy więc nadeszła chwila odjazdu, miał już w Kalifornii liczne rzesze przyjaciół.

Major miasta San Francisco, pan Allen Ralph, przyjąwszy naszego podróżnika wraz z przedstawicielami Polonii tamtejszej, wpisał do albumu szereg serdecznych życzeń pod adresem skautów i narodu polskiego. W ogóle druh Jeliński napotkał się w Stanach z licznymi dowodami sympatii dla swojej ojczyzny ze strony najwybitniejszych Amerykanów. Automobilklub Pacyfik ofiarował mu dwa emblematy, jeden dla zawieszenia go u auta, drugi na pamiątkę, że buick toczył się po nieporównanych szosach kalifornijskich nad brzegami Oceanu Spokojnego. Dzięki uprzejmości pana Warkiewicza, obywatela Burlingame, nasz podróżnik odbył wycieczkę do głównego obozu instruktorów skautowskich. Przy tej okazji odbyła się wielka ceremonia. Kiedy zapadła noc i zapłonęły ogniska, zgromadzeni skauci amerykańscy urządzili przed swym gościem defiladę. Potem młodzież udała się na spoczynek, a starszyzna, posiadająca najwyższe odznaczenie, pozostała w towarzystwie naszego skauta, ażeby przy ognisku o północy, przy jaśni księżycowej, odebrać od niego uroczystą przysięgę na braterstwo międzynarodowego skautyzmu. Jak się w szczegółach odbyła ta uroczystość przypominająca dawne ceremonie wolnomularskie, o tym druh Jeliński obowiązany jest milczeć. Po

przysiędze wszyscy zaczęli się całować na znak uczuć braterskich i dowódca obozu instruktorskiego przypiął na piersi druha Jelińskiego najwyższe odznaczenie – Orła Stanów Zjednoczonych. To główna Komenda Skautów Amerykańskich, która przez cały czas pobytu naszego skauta w Ameryce zbierała o nim informacje od swoich drużyn, uznała za stosowne w chwili opuszczenia przez niego ziemi amerykańskiej obdarzyć go tą nagrodą za ośmiomiesięczną, skuteczną propagandę idei skautowskich.

Pan Chronowski, prezes stowarzyszenia Polaków w Kalifornii, na prośbę podróżnika czynił zabiegi celem wynalezienia dlań okrętu dla przeprawy przez olbrzymi Ocean Spokojny do Japonii. Nie była to bynajmniej łatwa sprawa. Amerykańskie linie żądały za przejazd na statku pasażerskim okazałej sumy 600 dolarów. Druh Jeliński, chociaż posiadał zarobione odczytami pieniądze, to jednak musiał liczyć się z tym, że ma jeszcze pół kuli ziemskiej opłynąć. Postanowił więc szukać statku towarowego, możliwie największego, bo wiedział z doświadczenia, że przeprawa na nim wypadnie znacznie taniej. Nareszcie znaleziono okazję. Prezes Chronowski zrobił z japońską linią okrętową Nippon Y.K. układ, że w zamian za przywieszenie na aucie tabliczki z nazwą towarzystwa nasz podróżnik otrzyma 50 procent zniżki. Tak więc zamiast 600 dolarów dwieście z czymś starczyło na przeprawę do Azji.

Zbliżała się smutna chwila rozstania z cudną Kalifornią i dobrymi przyjaciółmi. Państwo Pick urządzili pożegnalną wieczerzę dla swego młodego gościa, w której wzięło udział sporo zaproszonych. Obsypano odjeżdżającego podarunkami i pamiątkami. Nazajutrz wczesnym rankiem auto było już załadowane na okręt „Taiyo Maru”¹⁴¹. Kiedy nasz podróżnik zajechał na wybrzeże portowe, zastał tam liczne grono rodaków przybyłych dla pożegnania go. Każdy oprócz ciepłych słów przyniósł paczkę z żywnością, owocami, cukierki, bukiet kwiatów lub inny jaki podarek na drogę dla odjeżdżającego. Była tego taka obfitość, że druh Jeliński nie mała potem kłopotu z tego nadmiaru. Pani Pick, która niezmiernie przywiązała się do Oranka, namawiała jego właściciela, żeby go pozostawił w Kalifornii, lecz druh Jeliński nie chciał się rozstać ze swym małym wychowankiem i przyjacielem.

Zagrzmiała okrutnym głosem syrena okrętowa – znak, że statek miał zaraz odbić od brzegu. Zebrani rodacy rzucali na pokład serpentyny, kwiaty. Kiedy wielki kadłub „Taiyo Maru” odłączył się od bulwaru, serpentyny jak ostatnie nici wiążące naszego podróżnika z ziemią kalifornijską i z rodakami zaczęły się rwać jedna po drugiej. Ostatnia pękła ta, którą trzymał Tadeusz Kolanowski. Panie, zebrane na bulwarze, powiewały chusteczkami. Niejedna z nich roniła łzy. Druh Jeliński, widząc tak serdeczne objawy życzliwości, nie mógł

¹⁴¹ Taiyo Maru – japoński statek transportowy (długość: 170 m, masa: 14,5 tys. ton), oddany do użytku w 1911 r. W roku 1942 storpedowany i zatopiony przez amerykański statek podwodny „USS Grenadier”.

powstrzymać ogarniającego go wzruszenia. Kiedy już nikt nie mógł tego zauważyć, zaczął łkać i spieszenie zszedł pod pokład, ażeby uściskać jedyne przyjaciela, małego Oranka.

I znowu uprzytomnił sobie swe opuszczenie i sieroctwo, o którym w miłym otoczeniu rodaków amerykańskich na jakiś czas zapomniał.

ROZDZIAŁ XXIII. PRZEZ PACYFIK. NA WYSPACH HAWAJSKICH.

Statek japoński, na którym Jeliński odbywał podróż poprzez największy z oceanów, w zasadzie był przeznaczony do przewozu towarów, a tylko nieznaczną część swej pojemności oddawał na usługi podróżnych. Było na nim kilkanaście kabin drugiej klasy, a zaledwie parę lepiej urządzonych dla bogatszych pasażerów. Jechali nim ci, którym nie zależało bardzo na czasie. Okręt miał 10 tysięcy ton wyporności i zabrał ładunek dla Wysp Hawajskich, stamtąd zaś przywoził cukier do Japonii. Podróżowało na nim dużo nauczycieli, misjonarzy amerykańskich, poza tym sporo Japończyków i Chińczyków. Zaraz po opuszczeniu portu San Francisco ukazały się rafy i na nich wielkie stada fok, które tam wychowywały swoje młode.

U samego wyjścia, zwanego „Złotą Bramą” (Golden Gate), tkwił na rafach szczątek jakiegoś żaglowca przełamanego na dwoje. Widok ten nieszczególnie nastroił druha Jelińskiego, który po raz pierwszy w życiu miał odbyć tak wielką podróż morską. Spomiędzy dość licznych pasażerów „Taiyo Maru” wyróżniała się misjonarka i lekarz zarazem, starsza już kobieta, która jechała do Szanghaju. Bardzo inteligentna i wykształcona, polubiła znać towarzystwo skauta, o którym już naczytała się w gazetach amerykańskich i prowadziła z nim często rozmowy. Ostrzegała go przed dłuższym zatrzymywaniem się w tym portowym mieście, gdzie panują ciągle różne zaraźliwe choroby, np. dżuma, cholera i wiele innych, a także wielkie rozluźnienie obyczajów. Rady te w następstwie przydały się, gdyż nasz podróżnik, unikając wszelkich nieostrożności, zdołał zdrowo powrócić do kraju.

Pogoda sprzyjała podróży. Po trzech dniach ukazały się roje ryb latających, które zwykle zwiastują bliskość lądu, i liczne ptactwo morskie. Niebawem ujrzano szczyty gór, wieńczących archipelag Hawajski. Druhowi Jelińskiemu zdawało się, że jest to jeszcze kraina zaludniona na wpół dzikimi ludźmi, bo przecie sto pięćdziesiąt lat zaledwie upłynęło od czasów, kiedy na wyspach poniósł śmierć z rąk krajowców sławny żeglarz Cook¹⁴². Okazało się, że stolica wysp, gdzie czczono tak stosunkowo niedawno boginię Pełę i składano jej żywe ofiary w ludziach, jest dziś dużym, cywilizowanym miastem. Jeszcze okręt znajdował się dość daleko od portu, kiedy ukazały się liczne łódeczki, a w nich setki Hawajczyków, zarówno mężczyzn jak kobiet. Cały ten tłum z pilotem wprowadzającym okręt do portu na czele

¹⁴² James Cook (1728-1779) – angielski żeglarz, organizator trzech wypraw dookoła świata, podczas których odkryto m.in. Nową Kaledonię, archipelag Fidżi, wyspy w Polinezji (nazwane jego imieniem). Jako pierwszy spenetrował okolice Australii i Nowej Zelandii. Zginął z rąk Hawajczyków w trakcie walk, wywołanych skradzeniem przez tubylców łodzi okrętowej.

sprowadzała tutaj chęć zysku. Na większych łodziach leżały stosy orzechów kokosowych, bananów i innych owoców, tak świeżych i pachnących, że aż ślinka szła do ust na ich widok. Pasażerowie chętnie kupowali całymi koszami wonne banany i pomarańcze, które z łódek wędrowały po linach na pokład statku.

Równie liczni byli popisowi pływacy, czekający na to, żeby im kto z pokładu rzucił pieniądz w morze. W jednej chwili skakali do wody nawet z najwyższego pomostu „Taiyo Maru” i ze zdumiewającą zręcznością wylawiali monetę, zanim ta zatoneła. Sława hawajskich pływaków jest głośną w całym świecie. Lubią oni igraszki wodne. Puszczają się na morze na deskach zaostrzonych z obu końców i pozwalają na nich unosić się wzburzonym falom. Nie-raz można widzieć Hawajczyka jak na grzbiecie olbrzymiego bałwana płynie z szybkością strzały ku plaży i tam ląduje, przebywszy kilkaset i więcej metrów. Kiedy wreszcie pilot miejscowy wprowadzi okręt do portu, podróżny dostrzega wysoką wieżę ratuszową, a na niej powitanie w hawajskim języku: „Aloha”¹⁴³. Dzięki znajomości ze wspomnianą misjonarką druh Jeliński ułożył sobie doskonały plan zwiedzenia interesującego archipelagu.

Skoro tylko spuszczone na ląd buicka natychmiast rozpoczęła się wycieczka, która trwała dwa i pół dnia. Na wyspach znajdują się czynne wulkany. Podróżni naprzód pojechali obejrzeć strumienie lawy, wyciekające z krateru wysoko położonego. Są to jakby olbrzymie rzeki ogniste, formujące ogniospady, które miejscami rozlewają się w jeziora. Tworzy to wspaniały, przejmujący grozą widok. Władze miejscowe nie dopuszczają atoli podróżnych nad sam brzeg law, gdyż grozi to wielkim niebezpieczeństwem. Z dala i tak można się temu zjawisku natury napatrzeć. W pewnych punktach lawa dociera do oceanu, a woda obrócona w parę tworzy olbrzymie obłoki. Wulkan Kīlauea¹⁴⁴ jest prawie ciągle w okresach czynności. Jego krater, mający kilka mil obwodu, jest wypełniony kipiącą lawą, która szuka ujścia niby górskie jezioro.

Wyspy Hawajskie, tylokrotnie opisywane przez podróżników, mają klimat łagodny i podzwrotnikową, bardzo bujną roślinność. Amerykanie, opanowawszy wyspami przed kilkunastu laty, dzięki swym dolarom rozrzutnie wydawanym zamienili ten barbarzyński kraj na kwitnącą kolonię. Ludność, nawrócona na chrześcijaństwo, jest w trzech czwartych ucywilizowana. Wyspy pokryte są plantacjami trzciny cukrowej i ananasów, które się tam bajecznie udają i są w puszkach rozsyłane po całym świecie. Hodują też różne inne rośliny przemysłowe.

¹⁴³ Aloha – wyraz w języku hawajskim używany jako powitanie (aloha – cześć, aloha kakahiaka – dzień dobry, aloha ahiahi – dobry wieczór). Słowo oznacza także: miłość, uczucie, pokój, afekt, litość.

¹⁴⁴ Wulkan Kīlauea – czynny wulkan leżący na wyspie Hawai'i, zajmujący 13,7% jej powierzchni. Wysokość wulkanu to 1247 m.n.p.m., średnica zaś wynosi blisko 3,2 km, co czyni go największym wśród czynnych wulkanów świata. Według tradycyjnych wierzeń hawajskich wulkan jest siedzibą bogini Pele.

we, ze zbożowych przeważnie ryż. Miasto Honolulu posiada wszystkie urządzenia europejskie, nie wyłączając tramwajów elektrycznych. Wszędzie pobudowano wspaniałe szosy, którymi turysta może dotrzeć niemal wszędzie i zachwycać się zarówno morzem, obfitującym w plaże, jak widokami górskimi we wnętrzu wyspy.

Ludność miejscowa zajmuje się przeważnie pracą na plantacjach, ale chętniej oddaje się tradycyjnemu rybołówstwu, gdyż jest od niepamiętnych czasów związana z morzem. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, doskonale pływają i nieraz zapuszczają się na kilka mil od brzegu na pełne morze. Ryby łapią na wędki, w sieci lub też zaganiają je na płytkie rafy i otoczone zewsząd przebijają dziurkami¹⁴⁵. Druh Jeliński, pragnąc użyć kąpieli w falującym silnie morzu, udał się na plażę i był świadkiem jak Hawajczycy pochwycili sporego żółwia morskiego. W okamgnieniu wycięli mięso, a skorupę sprzedali mu za dolara.

Na wyspie znajduje się przedstawicielstwo General Motors Company, do którego druh Jeliński miał list polecający z Detroit. Zajechano tam we trójkę. Dyrektorowie, dowiedziawszy się z kim mają do czynienia, byli w siódmym niebie. Starali się jak mogli uprzyjemnić podróżnikom pobyt na wyspach. Zaprowadzili ich do miejscowego akwarium, jednego z największych w świecie, gdzie można podziwiać okazy barwnych jak papugi ryb podzwrotnikowych i innych stworzeń morskich. Potem urządzono dla nich pokaz tańców krajowych „hula-hula”¹⁴⁶, w których wzięły udział najpiękniejsze tancerki hawajskie. Słowem robili wszystko, co tylko było można, aby ich goście wynieśli jak najprzyjemniejsze wspomnienia z archipelagu. Fakt, że druh Jeliński przebył na buicku w poprzek Stany i zapewne dokończy na nim swojej podróży naokoło świata zaimponował panom dyrektorem. Posunęli oni swoją uprzejmość tak daleko, że zajęli się załadowaniem auta z powrotem na okręt i obdarowali gościa różnymi krajowymi osobliwościami: wyrobami ze skorupki kokosowego orzecha, wieńcami, którymi Hawajki stroją głowy, spódniczkami plecionymi z trawy (narodowy kostium). W to wszystko kazali się zaraz postroić przybyszom, którzy wyglądali jak urodzeni Hawajczycy. Miły pobyt na Wyspach Hawajskich musiał się jednak skończyć.

„Taiyo Maru” podniósł kotwicę, udając się w paratygodniową podróż do Krainy Wschodzącego Słońca. Tę długą przeprawę przez ocean starali się Japończycy urozmaicić różnymi rozrywkami i widowiskami. Chłopcy okrętowi i mali posługacze przebierali się za gejsze, tańczyli, śpiewali, naśladując ruchy kobiece, co im się nieźle udawało. Marynarze, między którymi znajdowali się ludzie atletycznej budowy, urządzali walki na sposób japoń-

¹⁴⁵ Dziurka – odmiana włóczni długości ok. 70-90 cm, używana do polowań lub walki wręcz, popularna w Indiach, Persji, Turcji, na Kaukazie, wyspach Polinezji i w Afryce Północnej.

¹⁴⁶ Hula – tradycyjny taniec hawajski, wykonywany w rytm melodii zwanej „mele” przez kobiety odziane w tradycyjne stroje (kolorowe suknie, nakrycia głowy z kwiatów).

ski. Dwaj zapaśnicy chwyтали się za pasy i starali się jeden drugiego przewrócić. Często, jeżeli obaj byli mniej więcej jednakowej siły, walka ta trwała nieco dłużej. Z napięcia i gry mięśni można było jednak ocenić wysiłki obu przeciwników, które znawcy nagradzali okrzykami uznania. Odbływały się także pojedynki na olbrzymie szable, które dawniej nosili samurajowie, czyli rycerze japońscy. Wywoływacz, klaszcząc w deszczułki, wysławiał zalety przeciwników i sypał dowcipami, z których się wszyscy śmiali do rozpuku. Europejczycy, którzy nie znali japońskiego języka, byli tutaj jak na niemieckim kazaniu. Te widowiska dały im atoli przedsmak obyczajów kraju, do którego się zbliżali.

Pewnego dnia spotkała naszego druha miła niespodzianka. Siedział sobie na tylnym pokładzie z Orankiem na kolanach, kiedy przed nim stanął mały steward japoński i wręczył mu jakiś zapieczętowany papier. Była to, jak się okazało, iskrowa depesza z życzeniami szczęśliwej podróży, wysłana przez znaną panią Pick z San Francisco. Był to ostatni znak życia, jaki dali o sobie przyjaciele kalifornijscy. Przedostatnim była pocztówka panny Izy, skreślona w drodze do Toledo, która szczęśliwym trafem doszła do swego przeznaczenia i wskrzesiła żywe wspomnienia naszego skauta o tej, która ją wysłała. Żegluga na japońskim okręcie jest równie przyjemna jak na angielskim lub amerykańskim. Synowie Nipponu niezmiennie dbają o to, żeby przybywający do nich turyści wynieśli jak najlepsze wspomnienia. Wszędzie panuje wzorowa czystość. Kuchnia japońska dla Japończyków, a europejska dla białych. Radiostacja okrętowa przyjmuje depesze z lądów i wydaje z tego materiału dziennik okrętowy, skąd pasażerowie dowiadują się, co się dzieje w szerokim świecie.

Kiedy „Taiyo Maru” znajdował się o dzień drogi od Japonii, zapytano podróżnych, czyby nie chcieli przez jedną dobę skosztować kuchni narodowej. Wszyscy chętnie się na to zgodzili, lecz niejeden żałował tego później, kiedy podano mu rozmaite przysmaki japońskie i ryż. A to wszystko musiał spożywać pałeczkami zamiast noża i widelca. Wniosło to jednak pewną różnorodność do dość monotonnego życia na pokładzie. Jeszcze z San Francisco poselstwo polskie zostało uwiadomione o przybyciu wyprawy. Pan konsul dr Banasiński¹⁴⁷ oczekiwał w Yokohamie na przybycie druha Jelińskiego. Jeszcze większą energię wykazywał przedstawiciel skautów japońskich, który razem z pilotem zjawił się na pokładzie „Taiyo Maru”, dopytując się o druha Jelińskiego. Kiedy okręt wchodził do portu, już się tam zgromadziło liczne grono skautów japońskich, którzy powitali z zapalem swego polskiego druha.

¹⁴⁷ Eugeniusz Banasiński (1886-1964) – polski dyplomata, autor książek i artykułów o ekonomii krajów Azji Wschodniej (Japonii, Korei, Mongolii); kierownik wydziału konsularnego przy poselstwie RP w Tokio (1925-1931), konsul generalny RP w Indiach (1933-1944).

ROZDZIAŁ XXIV.

WŚRÓD JAPOŃCZYKÓW. WYCIECZKI DO GÓRY FUDZI-JAMA I DO MIASTA ŚWIĄTYŃ. SKAUCI JAPOŃSCY.

Pierwszym wrażeniem, jakiego doznał druż Jeliński w Japonii, była imponująca solidarność i wzajemne zaufanie Japończyków. Na jedno słowo przywódcy skautów japońskich, którzy przyjmowali na swojej ziemi podróżnika, władze celne wpuściły bez żadnych trudności nowe auto, zwolnili od kwarantanny Oranka, który by inaczej musiał przepędzić z tydzień wśród niehigienicznego otoczenia, tak iż w pół godziny zaledwie po zarzuceniu kotwicy nasz podróżnik w towarzystwie pana konsula doktora Banasińskiego opuszczał Yokohamę – miasto portowe, będące jakby bramą do Tokio. Było ono niedawno nawiedzone okropnym trzęsieniem ziemi¹⁴⁸, które zburzyło wiele budynków, lecz już zdołano doprowadzić wszystko do poprzedniego stanu. Nauczeni smutnym doświadczeniem architekci japońscy stawiają nowe domy na podłożu żelazno-betonowym i tego materiału wyłącznie używają przy konstrukcji samych budynków. Ludność prywatna, która mieszka w maleńkich domkach o szkieletie drewnianym, a ścianach papierowych i rozsuwanych, nie ucierpiała tak silnie. Siedziby jej głównie obawiają się pożaru, który przy każdej tego rodzaju katastrofie niszczy całe dzielnice.

Droga, prowadząca z Yokohamy do stolicy państwa – Tokio, jest najlepsza w całej Japonii, gdyż zbudowano ją na sposób amerykański z cementu. Prowadzi ona pomiędzy sąsiadującymi ze sobą małymi domkami drewnianym i zaledwie kończy się Yokohama, a już zaczynają się przedmieścia Tokio. Stolica jest olbrzymim, parę milionów głów liczącym zbiorowiskiem drewnianych domów, pomiędzy którymi z rzadka tylko wznosi się jakaś świątynia lub gmach murowany. Poselstwo polskie mieści się w niewielkim, drewnianym domu, stojącym w ogrodzie. Pana posła Okęckiego nie było w stolicy, wyjechał na wywczasy nad morze. Dr Banasiński zapoznał przybysza z *attaché* wojskowym polskim przy rządzie japońskim, panem pułkownikiem Jędrzejewskim. Ludzie ci lepiej może niż wielu innych na ich stanowisku się znajdujących pojmowali doniosłość propagandy w Japonii. Pozwolili oni chodzić wszędzie druhowi Jelińskiemu w towarzystwie skautów japońskich, ażeby utrwalić braterskie stosunki z polskim skautingiem tej i w Japonii dobrze rozwijającej się organizacji. Jeżeli jednak miały miejsce jakieś urzędowe wystąpienia, wówczas pan konsul albo pan *attaché* brali

¹⁴⁸ Trzęsienie ziemi o sile 8,3 w skali Richtera, które nawiedziło Japonię 1 września 1923 r., zniszczyło 2/3 Tokio i niemal całą Jokohamę. Śmierć poniosło 143 000 ludzi.

druha Jelińskiego pod swoją skuteczną opiekę. Jedną z ważniejszych wizyt było przedstawienie się naszego skauta baronowi Szimpejgoto, prezydentowi skautów Japonii, byłemu ministrowi. Chcąc podkreślić swoje stanowisko, a zarazem przez uprzejmość dla mile widzianego gościa z dalekiej Polski, baron przywdział kostium skautowski, pomimo swoich lat sześćdziesięciu.

Przyjście to miało miejsce w willi prywatnej barona, położonej w środku miasta. Jak dalece skuteczna była, jeżeli chodzi o propagandę, ta wizyta, fakty mówią same za siebie. Wielkie dzienniki stołeczne, bijące po parę milionów egzemplarzy, wobec których nawet amerykańskie New York Herald, Suny i angielskie Timesy wyglądają jak karły, zamieściły zdjęcia naszego podróżnika, witającego się z nestorem skautów japońskich. Co więcej fotografia ta, powiększona i wydrukowana na oddzielnych arkuszach z napisami objaśniającymi treść, zwyczajem miejscowym rozeszła się po całym kraju, tak iż potem druha Jelińskiego podróżującego w towarzystwie pana Jędrzejewicza w najmarniejszej dziurze poznawano i robiono mu małeńkie owacyjki.

W Japonii sława sportu polskiego znacznie wzrosła. Powtarzano sobie z ust do ust nazwiska dzielnego Orlińskiego¹⁴⁹, który na samolocie dotarł z Warszawy do Tokio i naszego skauta, który dokonał podróży sam jeden samochodem naokoło świata. Pan konsul Banasiński z wielką delikatnością zaproponował druhowi Jelińskiemu gościnność u siebie w Tokio. Nie potrzebujemy chyba mówić, że nasz podróżnik chętnie skorzystał z tej oferty, która mu pozwoliła zrobić pewną oszczędność. Znalazł się od razu jakby na innej planecie: wszystko, co widział, tak dalece różniło się od wyglądu innych krajów, że ogarniało go zakłopotanie i zdziwienie. Miasto japońskie przedstawia się zupełnie odmiennie niż europejskie lub amerykańskie. Cudzoziemiec świeżo przybyły może bez trudności wejrzeć w prywatne życie Japończyków dzięki temu, że przez cały niemal dzień ściany papierowe w ich domkach miniaturowych są porozsuwane. Rano widzi się mieszkańców leżących jeszcze na swoich matkach wprost na podłodze, czystej zresztą jak u nas stół w sali. Kobiety krzątają się przy kuchenkach węglowych, przygotowując śniadanie. Wchodzi się do domu w skarpetkach, pozostawiając trepy lub buty w sieni, żeby nie nanieść do wnętrza błota i pyłu. Japonki, wykąpowszy się nieraz wprost na ulicy, gdyż u nich nagości nikt się nie wstydzi, siedzą przed luster-

¹⁴⁹ Bolesław Orliński (1899-1992) – polski pilot wojskowy, pułkownik. Wsławił się wieloetapowym przelotem na trasie Warszawa – Tokio – Warszawa w 1926 r., dokonanym na bombowcu Breguet 19 A2 wraz z mechanikiem Leonem Kubiakiem. Za to osiągnięcie został odznaczony japońskim cesarskim Orderem Wschodzącego Słońca VI klasy oraz Złotym Medalem Cesarskiego Towarzystwa Lotniczego. W czasie II wojny światowej dowodził w Anglii 305 Dywizjonem Bombowym.

kiem i szminkują się, czernią brwi, bo niestety wszystkie, nawet bardzo młode panienki, są tam niemiłosiernie umalowane. Taki to już u nich zwyczaj.

Japończycy śpią w szlafrokach pod kołdrami, a głowy trzymają na koziołkach¹⁵⁰, głównie dlatego, że kobiety są tam bardzo misternie uczesane i nie chcą sobie popsuć fryzury, która kosztuje sporo czasu i pieniędzy. Na dolny szlafroczek kładą drugi, w zimie ciepły, a na to dopiero wierzchnią odzież, rodzaj obszernej szaty z szerokimi rękawami, zwaną kimono. Na kimono Japonka owija się kilkakrotnie szerokim, ciężkim pasem, robiąc na plecach olbrzymią kokardę. Pasy te, zwane obi, są jedwabne, misternie haftowane srebrem, a nawet złotem i nieraz przedstawiają wartość paru tysięcy złotych i więcej. Mężczyźni też noszą obi, lecz wąskie i nie tak ładne. Na nogi kładą trepy na deseczkach. Jest to bardzo pierwotny i niewygodny rodzaj obuwia. Japonki, idąc ulicą, zawsze pochylają się ku przodowi, co im odbiera dużo przyrodzonego wdzięku.

Kimono kobiecie mało się różni krojem od męskiego – ma tylko obszerniejsze rękawy, które zastępują kieszenie. Elegantka nosi w nich puder, perfumy, wachlarz, fajeczkę i różne drobiazgi. Nos ocierają w bibułki, które rzucają precz. Odzież kobieca, zwłaszcza zaś młodych osób, jest jasnowzorzysta, tak iż na ulicy Japonki wydają się podobne do jaskrawych motyli lub laleczek, przeznaczonych dla dzieci do zabawy. Dzieciaki są ubrane w kostiumy narodowe, które zamieniają na mundurki, skoro zaczynają chodzić do szkół, zwłaszcza wyższych. Trzeba tu nadmienić, że dzieci w Japonii są bardzo grzeczne, choć nikt na nie nie krzyczy i nie bije ich. Poważają one swoich rodziców i nawzajem doznają od nich dobrego obejścia. Japończyk rzadko gniewa się na żonę, dzieci lub domowników. Na targu i w sklepie zarówno nabywca jak i kupiec są uniżenie dla siebie grzeczni. Nigdzie nie usłyszysz grubego słowa. Znajomi składają sobie wzajemnie niskie ukłony i w obawie obrażenia przyjaciela nie rozstają się zaraz, lecz młodszy czeka, aż starszy go pożegna. Dla Europejczyka, zwłaszcza Polaka, gdzie stara cnota – grzeczność – mocno niestety podupadła, jest to bardzo miły widok.

Japończyk wcześniej udaje się do pracy. Mają oni fabryki jak i my, a oprócz tego oddają się artystycznym rzemiosłom: wyrabiają prześliczne hafty na jedwabiu, rzeźby, naczynia, pudełka i inne przedmioty, które są zadziwiająco piękne i kosztują wiele trudu. Co do żywności, jadają mało mięsa, przeważnie ryby, jaja, jarzyny, a zamiast chleba ryż gotowany. Podają potrawy na niski, lakierowany stoliczek na maleńkich talerzykach lakowych. Jest dużo potraw, lecz każda w małej ilości. Zamiast noży i widelców używają pałeczek tak jak Chińczy-

¹⁵⁰ Kozioł – stojak, podpora.

cy. Uderza u Japończyka zamiłowanie do kwiatów. Przy każdym domu jest maleńki ogródek z karłowatymi drzewkami, sadzawką i mostkiem. Wszędzie rosną kwiaty. Każdy gatunek ma swoje święto i tak np. na wiosnę Japończyk święci uroczystość rozkwitu wiśni, potem innych kwiatów. Najulubieńsze są chryzantemy, glicynie i lotosy.

Ulice w Tokio są przeważnie bardzo wąskie. Chodzi się po nich pieszo lub jeździ rikszami zaprzężonymi w człowieka, który biega nie gorzej od dobrego konia. Nad sklepami wisi mnóstwo barwnych szyldów, wieczorem zaś płoną liczne latarki papierowe. Nasz druh pierwsze dni poświęcił na spacer po dzielnicach japońskich, pragnąc poznać życie tego narodu i obyczaje, które go bardzo interesowały. Odleglejsze wycieczki robił w swoim aucie, docierając wszędzie, gdzie tylko istniały jakie takie drogi. Największe wrażenie uczyniła na nim Kamakura i Fudzi-Jama. Pewnego wczesnego poranka wyruszono buickiem, w którego wnętrzu zajęli miejsca pani konsulowa Banasińska z mężem, znająca dobrze język japoński, i pan pułkownik Jędrzejewski. Droga prowadziła w licznych zakrętach, wąskimi nieraz ścieżkami wzdłuż bagnistych pól ryżowych, otwartymi przestrzeniami przez liczne, przeludnione wioski.

Mieszkańcy przyjaźnie traktują cudzoziemców. Dzieciaki, ubrane tak jak dorośli, biegają żwawo, przy czym małe dziewczynki dźwigają na plecach swoje maleńkie siostrzyczki, co im nie przeszkadza brać udziału w zabawach. Nieraz, jak widzimy na załączonej fotografii, tacy japońscy bębniarze z flagami w dłoniach zastępowały drogę samochodowi i, śmiejąc się, ustępowali dopiero po wielokrotnym trąbieniu. Wszędzie znać radość życia, bo Japończyk nigdy się nie skarży, jeżeli mu co dolega. Stara się zawsze być uśmiechniętym, a troski życia znosi z filozoficznym spokojem. Zwłaszcza Japonki pod tym względem mogłyby służyć za wzór dla naszych Polek. Na maleńkich poletkach, ogrodzonych wałami z kamieni lub ziemi, Japończyk z trudem uprawia ryż i jarzyny, którymi się żywi. Podróżni na każdym kroku dostrzegali kobiety japońskie przy pracy. Pierwszą stacją była miejscowość Kamakura, gdzie pan pułkownik Jędrzejewski posiada ładną willę w stylu japońskim urządzoną i prowadzoną. Spędza on w tym miłym zakątku lato, uciekając od skwarów z Tokio. Podczas pobytu gości przyjechali do pana Jędrzejewskiego wyżsi oficerowie sztabu generalnego, którzy z wielkim zainteresowaniem oglądali auto druha Jelińskiego. Jeden z nich był w swoim czasie *attaché* wojskowym w Polsce, znał dobrze Warszawę, zaś jego żona mówiła wcale biegle po polsku. Tak więc z jednej strony pani pułkownikowa japońska mówiła po polsku, a piękna pani konsulowa Banasińska wysławiała się doskonale po japońsku. Rzadka zaiste kombinacja!

Pewnej nocy księżycowej pan pułkownik Jędrzejewski zaprowadził druha Jelińskiego do olbrzymiego posągu Buddy. Jest to brązowa postać mierząca kilkanaście metrów wysoko-

ści. Twórca religii siedzi z podwiniętymi nogami w głębokim zamyśleniu. U stóp posagu dokonano pamiątkowego zdjęcia, które zdobi kartki niniejszej książki.

Miejscowość Kamakura jest położona nad samym morzem i odgrywa rolę modnego i uczęszczanego letniska, gdzie prócz świeżego powietrza można zażywać kąpieli morskiej na plaży, ciągnącej się na długość paru kilometrów. Latem jest tam bardzo ludno i wesoło, toteż nasz skaut z pewnym żalem opuszczał Kamakurę, lecz pocieszał się, że jedzie zwiedzić niezmiernie ciekawą górę wulkaniczną Fudzi-Jamę, która stanowi tak charakterystyczny szczyt, że na każdym prawie obrazie japońskim figuruje jako główny motyw. Japończycy, nie wiadomo dobrze z jakich względów, uważają Fudzi-Jamę za świętą górę i tłumnie na nią urządzają pielgrzymki. Od Kamakury do stóp tego wulkanu, obecnie wygasłego, droga prowadzi malowniczymi wzgórzami, lasami, to znów poprzez rozległe plantacje ryżu. Podróżni mijają liczne miasteczka i wioski. Wszędzie rzuca się w oczy przeludnienie. Japonia potrzebuje koniecznie nowych ziem, na które mogłaby wysłać nadmiar swoich synów.

W wielu wioskach, nawet pomniejszych, nasz skaut ze zdziwieniem dostrzegł na wystawach sklepowych swoją fotografię z baronem Szimpejgato. Poznawszy go wznoszono na jego cześć okrzyki: „banzai!”¹⁵¹. Nasi podróżni, jadąc do Świętej Góry, daremnie jej wypatrywali wśród obłoków, między którymi zazdrośnie się ukrywała. Spotykano coraz częściej grupy pielgrzymów, zdążających na szczyt. Po drodze zatrzymują się oni na jednej z trzech stacji i tam, kupiwszy laskę albo wachlarz, otrzymują na pamiątkę pielgrzymki pieczęć. Służy ona także za dowód, że pielgrzym odwiedził Fudzi-Jamę. U podnóża góry, w malowniczym położeniu, leży pięć jezior w kotlinach z wystygłej lawy, która przed wielu wiekami wylała się z zimnego dziś krateru. Znajduje się tutaj wiele małych hotelików w stylu japońskim zbudowanych, gdzie nocują pielgrzymki i turyści.

Wykapawszy się, podróżni udali się do swoich pokojów, których okna wychodziły na górę. Cierpliwie oczekiwano, aż olbrzym sięgający głową aż w strefę wiecznego śniegu raczy się ukazać spośród płaszcza chmur, w które się otulił od rana. Już stracono nadzieję, kiedy nagle pani konsulowa wezwała wszystkich do okna. Na krótką chwilę przedstawił się oczom naszych podróżnych stożkowaty, srebrzysty czub Fudzi-Jamy. Zaledwie jednak zdołano mu się cokolwiek przyjrzeć, majestatycznie znów pogrążył się w morzu obłoków i znikną na długo. Nawet nazajutrz nie był widzialny. Dopiero kiedy druh Jeliński znajdował się na kilkudziesiąt kilometrów odeń w drodze powrotnej, łaskawie pokazał znowu swoje oblicze, jakby na pożegnanie. Choć dzieliła auto od niego znaczna odległość to jednak, skutkiem wielkiej

¹⁵¹ Banzai! – japoński okrzyk wyrażający radość, uznanie, pozdrowienie („niech żyje!”, „hurra!”), wiwatowanie na cześć kogoś lub z powodu osiągnięcia czegoś. Dosłowne znaczenie słowa to „10 tysięcy lat”.

przezroczystości powietrza w Japonii, widać było na wulkanie wszystkie szczegóły. W ogóle dzięki temu nasyconemu wilgocią powietrzu wszystkie przedmioty wydają się tam znacznie bliższe niż w rzeczywistości.

Dłuższą pamiętną wycieczkę zrobił druż Jeliński w towarzystwie skautów japońskich do sławnego miasta świątyń Nikko¹⁵². Jak już wspomniałem, delegat skautów japońskich przyjmował na ziemi japońskiej naszego podróżnika w chwili lądowania z „Taiyo Maru”. Stosunek raz zawarty pogłębiał się w miarę tego jak druż Jeliński przedłużał swój pobyt w Japonii. Akurat w owej porze odbywały się campingi, czyli życie obozowe skautów. Na propozycję instruktorów postanowiono zwiedzić obozy, a po drodze obejrzeć cudowne miasto świątyń, które jest jedną z największych osobliwości Japonii. Druż Jeliński zabrał do swojego auta dwóch instruktorów i ruszono we trójkę z Tokio do jednego z najbliższych położonych obozowisk. Jeszcze auto znajdowało się o kilkanaście kilometrów od obozu, a już dawała się odczuwać obecność młodych skautów. Poprzebierani za robotników, pomocników rolnych lub rzemieślników snuli się po drogach, którymi mieli jechać instruktorzy w aucie pod flagą polską i skrycie, jak na manewrach wojskowych, telefonowali z zawiadomieniem, gdzie w danym momencie znajdowało się auto. Druż Jeliński nie domyśliłby się tej wszechobecności młodych skautów gdyby nie to, że niektórzy spośród nich zbyt żywo okazywali swoje zadowolenie na widok instruktorów, wobec których mogli się popisać.

Dzięki tym wywiadowcom w obozie zawczasu wiadano o godzinie przybycia auta. Poczyniono tam przygotowanie na przyjęcie gościa. Niebawem ukazała się brama triumfalna, zrobiona z zieleni. Kiedy auto ją mijало, na błotnik wskoczył maleńki skaucik japoński i w swoim języku zdał krótki raport instruktorom, którzy ze swej strony poprosili druż Jelińskiego, żeby zwolnił biegu. Nagle rozległy się trąbki. Skoro dźwięki ich doleciały do campingu, poruszyło się tam jak w ulu. Skauci utworzyli szpaler i wyszykowali się przed długą linią rozbitych namiotów. Każdy zastęp, kiedy go mijало auto, witał je pochyleniem flagi. Samochód zatrzymał się przed dużym namiotem, specjalnie przygotowanym dla gościa. Były tu powitykane drzewcami w ziemię flagi różnych narodów świata, a między nimi mile uderzyła wzrok naszego podróżnika biało-amarantowa flaga polska. Po lekkim posiłku pod płóciennym daszkiem, ochraniającym biesiadników skutecznie od słońca, rozpoczęły się popisy drużyn. Należy przyznać, że japońscy skauci, choć nieliczni, są jednak bardzo dobrze wyćwiczeni, bardzo zręczni, doskonale umieją pływać i są wykształceni w systemie samoobrony, zwa-

¹⁵² Nikkō – miasto w Japonii, w prefekturze Tochigi, na wyspie Honsiu. Znane ze względu na liczne zabytki, z których najcenniejszym jest kompleks świątyń japońskich związanych z religią shintō o nazwie Nikkō Tōshō-gū. Zabytek składa się z 55 budowli, zajmujących obszar 80 tys. m². Kompleks znalazł się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.

nym „dziu-džit-siu”¹⁵³. Zabawne jest patrzeć jak dwóch malców chwyta się za barki i naśladuje atletów albo też jeden udaje napastnika, drugi zaś broni się systemem wyżej wspomnianym, który polega głównie na wyzyskaniu słabych stron ciała ludzkiego w ruchu lub w spoczynku się znajdującego. Znając dobrze chwytty tego rodzaju, słabszy może powalić lub uczynić niezdolnym do walki znacznie od siebie silniejszego. Na dany gwizdkiem sygnał cały szereg młodych skaucików wskakiwał z brzegu do morza i pływał, nurkując. Ćwiczenia fizyczne były zakończone śpiewami chóralnymi. Wieczorem udekorowano cały obóz mnóstwem latarek kolorowych. Iluminacja ta bardzo pięknie wyglądała w ciemnościach nocnych, nadając obozowisku jakieś romantyczne piękno.

Długo w noc nasz skaut był oblegany przez swoich młodszych kolegów, którzy znosili mu swoje sztambuchy¹⁵⁴ z prośbą, żeby się do nich wpisał na pamiątkę tej wizyty. Pan Jeliński miał do nich przemowę (którą zaraz instruktor tłumaczył na japoński język) o Polsce, o celu swej podróży, o braterstwie narodów, a zwłaszcza japońskiego i polskiego. Dzień ten skończył się więc bardzo przyjemnie. Dopiero o północy w obozie zapanowała cisza i nasz podróżnik mógł nieco odpocząć po męczącym obchodzie.

Nazajutrz w towarzystwie tych samych instruktorów udano się do świętego miasta Nikko, odległego o kilkadziesiąt kilometrów. Nikko jest to obszerny, święty gaj, zarosły pięknymi kryptomeriami¹⁵⁵, przez które powycinano długie aleje. Wśród starych drzew rozrzucone są malowniczo mniejsze i większe świątynie, w których Japończycy starali się zakłać wszystkie swoje skarby sztuki, a zwłaszcza architektury i rzeźby. Trudno jest choć pobieżnie opisać ten uroczy zakątek. Podróżny na każdym kroku musi podziwiać oryginalną sztukę japońską. Zwłaszcza rzeźby drewniane i kamienne zasługują na podziw. Przed wejściem do świątyni stoją niewielkie budki, a w nich posągi bogów. Niektóre wzbudzają grozę widza swoim potwornym wyglądem. Stoją oni niby to na straży świątyń i dzidami czy mieczami starają się odpędzać od świętego miasta złe duchy.

Cudzoziemiec za przykładem Japończyków musi dokonać ablucji zanim wejdzie do wnętrza którejś ze świątyń. Nagromadzono w nich mnóstwo ciekawych posągów i ornamentacji, suto złożonych i polakierowanych na różne kolony. Japończycy, jak wiadomo, celują w

¹⁵³ Jujutsu lub jujitsu – tradycyjna japońska sztuka walki wręcz znana już w VIII wieku, której ideą jest wykorzystanie działań przeciwnika przeciwko niemu samemu, zgodnie z zasadami: „ustąp, aby zwyciężyć” oraz „minimum wysiłku, maksimum skuteczności”.

¹⁵⁴ Sztambuch (niem. das Stammbuch) – niewielki pamiętnik, rodzaj osobistego albumu, popularny szczególnie w XIX wieku w okresie romantyzmu. Do sztambucha właściciel wpisywał sentencje, wiersze, cytaty, mógł także prosić o pamiątkowe wpisy przyjaciół lub napotkanych znanych osób.

¹⁵⁵ Kryptomeria japońska (szydlca japońska) – gatunek drzew iglastych, osiagający zazwyczaj 50 m wysokości. Ceniony jako roślina ozdobna i surowiec do produkcji drewna bezżywnicznego. Wyróżnia się dwie odmiany kryptomerii: jedna występuje w Japonii, druga w Chinach.

przygotowaniu różnych laków¹⁵⁶. Są one tak trwałe, że pokryte nimi posągi i rzeźby architektoniczne przechowują się nienaruszone przez długie wieki.

Przybywający do Nikko pobożni zachowują się niezmiernie poważnie, chodzą cicho, mówią szeptem. Wytwarza to nastrój głęboki i uroczysty, który chwilami przechodzi w jakiś lęk mistyczny. W ciszy rozlegają się metaliczne dźwięki: to wierny, wchodząc do świątyni, uderza w wiszący we drzwiach dzwon, potem nabywa modlitwę napisaną na kartce papieru i staje przed posągiem bóstwa, któremu pragnie zanieść swoją prośbę lub oddać hołd. Dla zwrócenia uwagi boga na siebie klaszcze w dłonie. Papierową zaś modlitwę żuje w ustach, a następnie wypłuka tak, ażeby przylepiła się do posągu. Co kraj to obyczaj!

W świątyniach poświęconych Buddzie znajduje się dużo różnych bóstw, lecz urzędowa religia to szintoizm¹⁵⁷, polegający głównie na czci przodków. W tych świątyniach znajduje się jeden tylko ołtarz, a na nim zwierciadło. Żadnych posągów. Chociaż Japończycy są poganami, to jednak w gruncie rzeczy stoją oni obyczajowo i kulturalnie znacznie wyżej aniżeli wiele narodów europejskich, mianujących się chrześcijańskimi. Są oni na swój sposób bardzo moralni, kochają ojczyznę, są gotowi do najwyższych dla niej ofiar, kochają i poważają starszych, a zwłaszcza rodziców, słowem możemy pod wieloma względami brać z nich przykład.

Nikko jest zawsze pełne pobożnych, którzy zjeżdżają się z całej Japonii, żeby obejrzeć sławne świątynie i oddać cześć znajdującym się tam bóstwom. W pobliżu świątyni znajdują się liczne kramy, gdzie Japończycy sprzedają ciekawe wyroby miejscowe, które pielgrzymi chętnie nabywają na pamiątkę. Druh Jeliński kupił kilka talerzyków i pudełeczek lakowych, statuetki Buddy, święte bramy w miniaturze, modele pagód¹⁵⁸ i wiele innych drobiazgów, które tam nie są zbyt drogie. Zabawiwszy w świętym mieście przez dwa dni, pożegnał się z instruktorami japońskimi, którzy prosili go, żeby wpisał się im do księgi pamiątkowej, po czym sam jeden wrócił na swym aucie do Tokio.

¹⁵⁶ Laki – dawna nazwa barwników i farb stosowanych w różnych przemyśle.

¹⁵⁷ Shintō (shintoizm, sintoizm) – jedna z głównych, obok buddyzmu i konfucjanizmu, tradycji religijnych w Japonii. W odróżnieniu od dwóch pozostałych jest religią rdzennie japońską. Opiera się na miejscowej mitologii, charakteryzuje się politeizmem oraz brakiem świętych ksiąg i organizacji.

¹⁵⁸ Pagoda – rodzaj świątyni, służącej do przechowywania relikwii, spotykany w Japonii, Chinach, Korei i Nepalu. Pagoda jest wielokondygnacyjną wieżą (w Japonii zazwyczaj trzy lub pięć kondygnacji).

ROZDZIAŁ XXV.

WĘDRÓWKI PO JAPONII. PRZYGODA PODCZAS TRZĘSIENIA ZIEMI. KIOTO. JEDYNY POLAK. WILLA INABATA I HONOROWY KONSUL POLSKI. GEJSZE. OSAKA. PRZYKRE ROZSTANIE.

Nie chcąc zbyt długo siedzieć w Japonii, druh Jeliński za pośrednictwem pana konsula Banasińskiego starał się o zniżkę na okręt, który miał go przewieźć do Chin i dalej na Cejlon¹⁵⁹. Dzięki panu konsulowi sprawę tę załatwiono pomyślnie, jednak okręt „Kashima Maru”¹⁶⁰, na którym nasz podróżnik miał odpłynąć, stał nie w Yokohamie, lecz w Kobe, położonym bardziej na południe. Pierwotnie druh Jeliński miał zamiar przejechać wzdłuż Syberii poprzez Rosję europejską. Zanim jednak powziął ostateczną decyzję, udał się po informacje do poselstwa Rzeczypospolitej Rad w Tokio. Powiedziano mu tam, że jako automobilista może liczyć na to, że otrzyma żądane wizy, natomiast poselstwo nie daje żadnej rękojmi, że podróżnik cało i zdrowo dojedzie do Warszawy przez bolszewickie państwo. Rzecz prosta, że wobec tego druh Jeliński, mając jeszcze nieco gotówki zdobytej z odczytów w Ameryce, wolał nie ryzykować, a za to zwiedzić tak interesujące kraje jak Chiny czy Cejlon i dokonać długiej podróży poprzez Ocean Indyjski.

Przed samym wyjazdem z Tokio powrócił tam nieobecny dotąd pan Okęcki, poseł Rzeczypospolitej, z którym już nasz skaut spotkał się w Belgradzie. Pan Okęcki był tym razem znacznie uprzejmiejszy dla druha Jelińskiego, widział bowiem przed sobą człowieka, który poprzez Europę, Afrykę i Amerykę dotarł aż na Daleki Wschód. Musiał wobec tego traktować go poważnie. W Belgradzie zaś wątpił znać, czy to przedsięwzięcie się uda. Wpisał on teraz do albumu druha Jelińskiego następujące słowa: „Przyjemnie mi było odnowić w Tokio znajomość zawartą w Belgradzie z wytrwałym i dzielnym polskim podróżnikiem”. Pan poseł wiedząc, jak trudno jest poprzez kręte drogi dostać się z Tokio do Kobe, powierzył naszego druha opiece pana konsula, który znał język japoński. Dr Banasiński nie miał jeszcze okazji zwiedzić tej połaci Japonii, więc bardzo chętnie zgodził się towarzyszyć druhowi Jelińskiemu. Przed samym wyjazdem nasz skaut poświęcił sporo gotówki na zakup różnych przedmiotów pamiątkowych – zabierał, prócz bagatelek kupionych w Nikko, jeszcze moc japońskich parasolek, trepek drewnianych itp. Od konsula otrzymał w darze kimono męskie, a

¹⁵⁹ Cejlon (Sri Lanka) – druga co do wielkości wyspa leżąca na Oceanie Indyjskim, na południowy wschód od wybrzeży Indii.

¹⁶⁰ Kashima Maru – japoński statek transportowy (masa: 9,9 tys. ton), oddany do użytku w 1913 roku. W roku 1943 storpedowany i zatopiony przez amerykański statek podwodny „USS Bonefish”.

od pani konsulowej dwie śliczne filiżanki ze spodkami ze starej porcelany, inkrustowane srebrem.

Pan pułkownik Jędrzejewski, który szczerze interesował się celami wyprawy, przy rozstaniu z druhem Jelińskim rzekł do niego, wręczając mu ładne lakowe pudełko: „Przez tak krótki stosunkowo czas zwiedził pan dużo w Japonii i prowadził pan skuteczną propagandę, która starczy tutaj na parę lat. Do widzenia więc! Niebawem zobaczymy się w Polsce, lecz ja wracam do kraju przez Syberię koleją”. Pożegnawszy się ze wszystkimi, nasz druh wziął pod pachę chorego Oranka i ruszono w kierunku południowym poprzez wyspę Hondo¹⁶¹ do Kobe. Dość długo nasz podróżnik zastanawiał się, czyby nie uczynić zadość namowom pani konsulowej, która radziła żeby zostawić w Tokio Oranka. Pies miał pomiędzy palcami kleszcze, które mu bardzo dokuczały. Wizyty u weterynarza niewiele pomagały, bo uparte pasożyty raz usunięte znowu po jakimś czasie napastowały pieska. Stracił on na humorze i okulał, jednakże druh Jeliński nie mógł jakoś rozstać się ze swoim ulubieńcem.

Jeżeli droga z Yokohamy do Tokio jest niezła, to nie można z tego wnioskować, że w Japonii istnieją szosy zdatne do ruchu samochodowego. Nawet Polak, który nie ma u siebie dobrych szos, tutaj czuje się rzuconym wśród nieskończonego labiryntu wąskich ścieżek, kręcących się między błotnistymi polami ryżowymi. Lada nieuwaga, a można wpaść w bagienko, z którego nie łatwo by się przyszło wydostać. W dodatku Japończycy nie lubią ustępować z drogi. Na sygnały dawane syreną wcale nie zwracają uwagi. Trzeba zwalniać biegu i dopiero w ostatniej chwili syn Nipponu uważa za stosowne nieco się usunąć na bok i przepuścić auto. Jeżeli w dodatku spotka się naprzeciw wózek ręczny, bo Japończycy prawie zupełnie nie używają zwierząt pociagowych, to sytuacja automobilisty staje się jeszcze rozpaczliwszą.

Wioski są liczne i szczelnie zabudowane papierowo-drewnianymi domkami. Ludność, na ogół uboga, uprawia maleńkie poletka. W Japonii nie masz takiego rolnictwa jak u nas, lecz przeważnie panuje tam uprawa ogrodowa. Gdziekolwiek znajdzie się mały szmatek ziemi otaczają go wałami kamiennymi i w ten sposób, na stokach, powstają tarasowato położone maleńkie pólka, gdzie rośnie herbata, ryż, słodkie kartofle, jarzyny i inne rośliny pokarmowe.

Z powodu złych dróg sport turystyczny w Japonii słabo się rozwija. Pan konsul wobec trudności podróży oświadczył, że nigdy już nie odważy się na wycieczkę autem w głąb kraju. Na domiar złego, skutkiem wylewów i trzęsienia ziemi, które w Japonii jest zjawiskiem niemal codziennym, mosty rzucone poprzez strumienie, zwłaszcza w górach, są często rujnowane. Zdarzyło się podczas tej podróży, że natrafiono na taki zerwany siłami podziemnymi

¹⁶¹ Hondo – dawna nazwa wyspy Honsiu, największej wyspy Japonii. Honsiu jest siódmą co do wielkości wyspą na świecie.

most. Pan konsul *nolens volens*¹⁶² wraz z druhem Jelińskim i chłopami japońskimi układali belki, inaczej bowiem auto musiałoby wrócić do Tokio. Geologowie utrzymują, że w Japonii skorupa ziemską ciągle drży. Kiedy wstrząśnienia stają się bardzo silne, wówczas następuje katastrofa. Ludność przerażona opuszcza domostwa. Wtedy ulice miasteczek i wiosek nagle są przepełnione zestraszonym tłumem, który szuka bezpiecznego schronienia pod otwartym niebem. Gorzej, jeżeli wioska jest położona nad samym morzem, które skutkiem drgania dna wzburza się nagle. Olbrzymia fala nadbiega z otwartego morza do brzegu i zalewa gwałtownie, sięgając nieraz parę kilometrów w głąb lądu. Wówczas katastrofa porywa mnóstwo istnień ludzkich.

W drodze do Kioto musiano zatrzymać się na chwilę i wówczas pan konsul zauważył, że stojące przy szopie słupy telegraficzne chwieją się wyraźnie. Był to niezaprzeczony dowód, że ziemia drga. Lada chwila można było się natknąć na jakąś rozpadlinę lub inną przeszkodę. Jechano tedy bardzo ostrożnie i nie pożałowano tego, kiedy bowiem auto z trudnością wjeżdżało pod górę na pewnym stromym odcinku, szosa nagle zniknęła pod olbrzymią lawiną ziemi, oderwanej od zbocza góry. Prócz ziemi zwały się na trakt mnóstwo wielkich głazów, które mogłyby zgruchotać auto, gdyby to cokolwiek wcześniej znalazło się na miejscu wypadku. Zbadawszy dokładnie sytuację, przekonano się, że w żaden sposób nie da się wyminąć tej przeszkody. Auto musiało zjechać z drogi na wąskie ścieżki, wijące się między polami ryżowymi. Była to ryzykowna jazda, gdyż zboczenie na kilkanaście centymetrów choćby groziło wpadnięciem w grząski grunt. Co kilkaset metrów pan konsul musiał schodzić, ażeby zbadać czy auto zdoła się przemknąć po wąskiej dróżce, toteż na przebycie okólnej drogi zużyto cały dzień zamiast paru godzin.

Wiraże mają tak ostre skrety, że auto nie jest w stanie ich pokonać. Trzeba się cofać i dokonywać różnych manewrów, bardzo żmudnych i niezupełnie bezpiecznych, gdyż nieraz wypada cofać tuż nad przepaścią, a dawszy zbyt wiele gazu łatwo nakreć karku. Nie można się więc dziwić panu konsułowi, że ten nieraz wolał wyjść z auta niż narażać się na najgorsze ewentualności. W ogóle druh Jeliński na zasadzie własnego doświadczenia odradza kolegom automobilistom podróżować po drogach japońskich, zwłaszcza wewnątrz kraju.

Po wielu męczarniach dojechano wreszcie do Kioto. Nasz skaut zaczął się dopytywać o tamtejszą kolonię polską. Doznał jednak zawodu, gdyż składała się ona z jednego jedyne Polaka, artysty muzyka pana Rudnickiego¹⁶³. Powitał on podróżnika w imieniu całej Polonii

¹⁶² *Nolens volens* (łac.) – chcąc nie chcąc.

¹⁶³ Edmund Rudnicki (1892-1957) – polski pianista i dyrygent. W latach 1914-1922 organizował chóry i zespoły muzyczne w Rosji (Czelabińsk, Omsk, Irkuck). Od 1922 roku w Japonii (Kioto, Tokio); grywał jako aktor w

japońskiej, która, jak się zdaje, liczy zaledwie kilkanaście osób rozrzuconych po całym kraju. W Kioto zrobiono niezłą propagandę, gdyż za wstawiennictwem pana Rudnickiego udało się zorganizować jeżeli nie odczyt, to przynajmniej w dużym kinie pokaz przezroczy zebranych w podróży. Z tego źródła wpłynęło do kasy wyprawy około 30 jenów, które zużyto na nabywanie pamiątek z Japonii. Kupiec, u którego nabyto te bagatelki, dostawca naszego poselstwa w Tokio, chcąc dać dowód sympatii dla Polaków, zaprosił pana Rudnickiego i druha Jelińskiego na ucztę do herbaciarni. Są to zakłady, w których Japończycy przyjmują zwykle swoich gości. Kobiety japońskie na ogół są mało wykształcone i przeważnie przesiadują w domu, zajmując się dziećmi i gospodarstwem. Nie mają one ogłady towarzyskiej. Japończyk korzysta więc z towarzystwa „gejsz”. Są to młode i przystojne dziewczęta, które kończą specjalne szkoły, gdzie uczą się dobrego ułożenia, muzyki, tańca, literatury, prowadzenia dowcipnej i inteligentnej rozmowy. Robią z nich damy światowe. Wynajmuje się je na godziny i to za dość wysokie honoraria. Biorą one udział w uczcie, zabawiając gości, słowem zastępują panią domu.

Japończycy zgromadzają się wieczorami w herbaciarniach i tam, pijąc sake (czyli wódkę ryżową) lub herbatę, prowadzą rozmowy i dysputy na poważniejsze tematy. W herbaciarni można dostać słodkich ciasteczek, na kolację trzeba jednak udać się do restauracji. W herbaciarni, położonej wśród ogrodu, spędzono kilka godzin bardzo przyjemnie. Gejsze deklamowały, tańczyły, lecz całkiem inaczej niż w Europie, poruszając tylko górną część ciała. Grały na instrumentach, przypominających długie cytry¹⁶⁴, i bawiły gości rozmową. Pan Rudnicki, doskonale znający język japoński, tłumaczył druhowi Jelińskiemu dowcipy gejsz. Na zakończenie tej zabawy gejsze na ofiarowanym naszemu podróżnikowi wachlarzu położyły swoje podpisy z sentencjami japońskimi.

Nazajutrz nasi rodacy otrzymali zaproszenie do honorowego konsula polskiego, bardzo bogatego Japończyka, który w Kioto posiada wspaniałą willę z ogrodami, oranżeriami i stawami. W tym uroczystym zakątku pan Inabata przyjmuje gości. W ogródkach znajdują się sztuczne grotty, pawiloniki, herbaciarnie, brązowe posągi lwów i wiele innych rzeczy godnych uwagi. Willa jest pięknie położona wśród wzgórz. Pan Inabata dorobił się wielkiej fortuny dzięki temu, że przestudiował w Europie tajniki barwienia jedwabiu i założył farbiarnie w rodzinnym kraju.

japońskich filmach. Podczas olimpiady w Los Angeles w 1932 roku był tłumaczem polskiej ekipy olimpijskiej. Od 1939 roku dyrektor Polskiego Radia; twórca pierwszej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia.

¹⁶⁴ Cytra – muzyczny instrument strunowy. Pudło w kształcie trapezu; od 12 do 50 strun.

Z Kioto do Osaki prowadzą już niezłe drogi. Osaka jest dużym handlowym i przemysłowym miastem. Istnieje tam kilka wielkich dzienników, bijących po kilkaset tysięcy egzemplarzy. Japończycy nie używają dotąd liter fonetycznych, lecz mają chińskie pismo obrazkowe, dlatego też Europejczyk nie może ich czytać, a tym bardziej rozumieć. Z porady pana konsula druh Jeliński odwiedził kilka redakcji, gdzie redaktorowie przychylnie z nim gawędzili o podróży i na pamiątkę wpisali do albumu pędzelkiem i tuszem dużymi literami sentencje z podpisami własnoręcznymi. Zajmują one całe strony w albumie i dla swej oryginalności stanowią jego żywa ozdobę.

Prócz redakcji dzienników, które następnego dnia umieściły artykuły o skaucie polskim, objeżdżającym kulę ziemską autem, druh Jeliński odwiedził z kolei przedstawicielstwo firmy Vacuum Oil Company i Goodyeara. Uprzejmość ta wyszła mu na dobre, gdyż pan dyrektor Vacuum Oil Company, chcąc wyświadczyć przysługę naszemu podróżnikowi, zajął się załadowaniem auta jego na okręt, znajdujący się w pobliskim porcie Kobe. Droga do Kobe jest wycementowana. Druh Jeliński w parę godzin po opuszczeniu Osaki znalazł się w porcie, gdzie miał pożegnać się z panem konsulem i z Japonią. Niestety do tego rozstania przybyło niespodziewanie inne, bardzo przykre dla naszego podróżnika. Wspomniałem już, że jego ulubiony Oranek, który wiernie pełnił przy nim służbę stróża, dostał kleszczy i zapewne skutkiem ciągłego lizania łapek zachorował na rodzaj nosacizny¹⁶⁵. Nie chciano go wpuścić na statek. Nie pomogły zapewnienia naszego druha, że Oranek przejechał z nim pół kuli ziemskiej. Kapitan był nieubłagany, gdyż lękał się, żeby choroba nie przeniosła się na ludzi. Z wielkim żalem druh Jeliński musiał się więc rozstać ze swoim towarzyszem i przyjacielem, który osłodził mu niejedną chwilę samotności i ostrzegł przed niejednym niebezpieczeństwem. Pan konsul, który wziął żywy udział w tym zmartwieniu podróżnika, oświadczył, że zabierze ze sobą Oranka do poselstwa i tam postara się doprowadzić go do zdrowia. Zrobił nawet nadzieję, że go przywiezie do Warszawy przez Syberię, gdyż wybierał się do kraju. To cokolwiek pocieszyło naszego skauta, ale jeszcze jedna okoliczność przyczyniła się do rozpodżenia jego czoła. W sam dzień odjazdu pan konsul otrzymał z poselstwa listy. Między nimi jeden był adresowany do podróżnika naokoło świata samochodem, Jerzego Jelińskiego. Na razie pan Jeliński myślał, że to z Warszawy ktoś z bliskich doń pisze, toteż było to dlań niespodzianką, gdy pod kilkoma wierszami pisma odczytał podpis panny Izy W. Donosiła ona, że zdała pomyślnie egzaminy na wydziale filozoficznym w Toledo i że za parę miesięcy

¹⁶⁵ Nosacizna (łac. Malleus) – przewlekła zaraźliwa choroba zwierząt nieparzystokopytnych, kotowatych i mięsożernych. Objawia się obrzękami, owrzodzeniem błony śluzowej nosa i ropnymi wyciekami z nozdrzy. Choroba jest zaraźliwa dla człowieka.

spodziewa się wrócić do Ojczyzny. W końcu wyraziła nadzieję, że ujrzy we Lwowie naszego podróżnika po dokonaniu przez niego rajdu dookoła świata.

Stanąwszy na pokładzie japońskiego okrętu „Kashima Maru”, nasz skaut zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że już nie oddala się od Ojczyzny, lecz coraz bardziej się do niej przybliża. Droga jego poprzez Ocean Indyjski prowadziła teraz na Chiny, Hongkong, Singapur i Cejlon do Morza Czerwonego, a stamtąd przez Kanał Sueski na Morze Śródziemne do Marsylii. Nasz skaut opuszczał państwo Mikada¹⁶⁶ z żalem. Spomiędzy wszystkich zwiedzanych dotąd przezeń krajów Nippon był jakby pięknym snem, który pozostawia po sobie niezatarte wspomnienia. Wszystko jest tam tak dalece oryginalne, że podróżny czuje się ciągle zdziwionym. Synowie Japonii żywią dla dalekiej Polski uczucia przyjazne, druh Jeliński zaś ze swej strony, poznawszy ten naród, nabrał dlań wielkiego szacunku.

¹⁶⁶ Mikado – tytuł cesarza Japonii.

ROZDZIAŁ XXVI.

Z JAPONII PRZEZ HONGKONG DO SINGAPURU. NIEBEZPIECZNA MENAŻERIA. OKROPNA BURZA POD RÓWNIKIEM.

„Kashima Maru” był to wielki parowiec japoński o 12 tysiącach ton pojemności, który kursował pomiędzy Japonią a Marsylią. Nasz podróżnik dlatego obierał sobie statki tej narodowości, że mu na nich, dzięki panu konsulowi, przyznawano pewne zniżki. Podobnie jak „Taiyo Maru” nie był to pasażerski pakebot, lecz mieszany osobowo-towarowy. Tylko na takich można taniej podróżować, jeżeli komu nie idzie o pośpiech. Żegnając się z krainą Mikada, podróżnik chciał jak najwięcej porobić zdjęć dla swojej kolekcji, lecz władze japońskie, obawiając się szpiegostwa, które, jak każdemu wiadomo, kwitło przed wojną światową na całej kuli ziemskiej, zabroniły fotografować w portach i we wszystkich miejscowościach, gdzie znajdują się drogi, mosty i temu podobne obiekty. Druh Jeliński więc, przekraczając ten surowy zakaz, narażał się na wielkie nieprzyjemności, ewentualnie na aresztowanie i odesłanie innym statkiem do Europy. A Kraina Wschodzącego Słońca jest bardzo malownicza i interesuje fotografa.

Przesunąwszy się pomiędzy wyspą Shikoku¹⁶⁷ a Hondo, cieśniną obfitującą w drobne wysepki, z których wiele nastroczało tematu dla ciekawych zdjęć, dotarto do Nagasaki, znacznego portu na skraju południowym Japonii. Stąd, przeciąwszy w poprzek Morze Wschodniochińskie, zawinięto do wielkiego portu chińskiego – Szanghaju. Druh Jeliński miał pierwotnie zamiar podróżować po Chinach autem, lecz ostrzeżono go, że w tym kraju szaleje zawierucha wojny domowej¹⁶⁸ i tego rodzaju przedsięwzięcie musiałoby się źle skończyć. W wielkim porcie u ujścia olbrzymiej rzeki Jang-Tse-Kiang¹⁶⁹, który przy oceanie ma szerokość cieśniny morskiej, zarzucono kotwicę na parę dni. Korzystając z tego krótkiego czasu, nasz skaut zrobił z pewnym Meksykaninem, towarzyszem podróży, wycieczkę do miasta. Najprzód łódką dostano się na brzeg, potem wynajęto riksę, czyli dorożkę ciągnioną przez kuli-

¹⁶⁷ Sikoku (jap. Shikoku) – najmniejsza i najslabiej zaludniona z czterech głównych wysp Japonii. Nazwa dosłownie oznacza „cztery prowincje”.

¹⁶⁸ Chińska wojna domowa – wojna domowa między chińskimi komunistami a narodowcami z partii „Kuomintang”. Trwała od kwietnia 1927 r. do maja 1950 r. Zakończyła się zwycięstwem komunistów i powstaniem Chińskiej Republiki Ludowej.

¹⁶⁹ Jangcy (Jangtsekang, Yangzi Jiang, Chang Jiang) – rzeka w Chinach, najdłuższa w Azji i trzecia po Amazonce i Nilu pod względem długości na Ziemi (6300 km długości). Najważniejsza pod względem gospodarczym rzeka w Chinach. Na obszarze jej dorzecza mieszka ok. 40% ludności Chin i zbiera się 75% ogólnokrajowych zbiorów ryżu.

sa¹⁷⁰, w zamiarze poznania tego wielkiego grodu, w którym ścierały się interesy wielu potęg europejskich. Na wstępie Szanghaj robi wrażenie europejskiego miasta, lecz dość odjechać na kilkaset metrów w głąb, ażeby ujrzeć się nagle wśród otoczenia na wskroś azjatyckiego. Co najnieprzyjemniej uderza przybysza to niesłychane brudy, panujące wszędzie. Na środku ulic piętrzą się kupy śmiecia, na których gniją trupy psów, kotów, szczurów i inne szczątki. Wszystko to zionie przebrzydłą wonią i budzi wstręt w Europejczyku. Chińczycy widocznie nie mają najmniejszego pojęcia o higienie. Dzieci na wpół nagie bawią się tuż przy śmietnikach, obojętnie patrząc na zdychające zwierzęta i na parszywe psy okryte strupami, a nawet je głaszczą. Wszędzie można spotkać chorych na trąd lub zeszpeconych przez różne zaraźliwe choroby skórne. Wspomniana misjonarka amerykańska nic nie przesadziła w opisie chińskich stosunków. Pamiętając jej przestrogi, nasz podróżnik trzymał się jak najdalej od Chińczyków, nie miał nawet odwagi coś od nich kupić na straganach.

Cholera, tyfus, trąd, choroby skórne są stałymi gośćmi w tym kraju, nie tylko na wsiach, lecz i w największych miastach. Roje much i innych owadów przez nikogo nie tępionych roznoszą wszędzie zarazki. Poza tym ludność jest niezmiernie biedna. Mieszka w nędznych chatach, obywając się bez wszystkich dobrodziejstw cywilizacji. Jeżeli mają daleko do rzeki, to czerpią wodę z pierwszego lepszego rynsztoka na użytek domowy.

Od czasu do czasu mijano wstrętnych żebraków, sztucznie okaleczonych dla pobudzenia litości przechodnia, i skazańców, którzy cierpią kary za popełnione występki. Należy tu zaznaczyć, że sprawiedliwość chińska jest szybka i okrutna. Sędzia nie bawi się sadzaniem do więzienia, lecz natychmiast wymierza karę. Zwykle skazany otrzymuje chłostę kijami bambusowymi, najczęściej w pięty. W cięższych przypadkach kładą mu szyję w otwór ciężkiej deski, którą musi dźwigać tygodniami, lub sadzają do klatki nabitej gwoździami, wystawiając na publiczne pośmiewisko. Bywają i cięższe kary np. obcięcie ręki.

Kiedy riksza znalazła się w głębi miasta, spostrzeżono wielkie zbiegowisko, w którym utrzymywali porządek policjanci indyjscy, była to bowiem rezerwacja angielska. Zaciekawieni nasi podróżni kazali kulisowi biec za tłumem, który koniec końców wyległ na miasto. Okazało się, że prowadzono na stracenie jakichś bandytów. Najczęściej ścinają takim przestępcom głowy mieczem, lecz Anglicy wolą ich wieszać. Nie widziano jednak z bliska tej przykrej sceny ze względu na liczny tłum. Po jakimś czasie na sterczące ponad głowami zebranych szubienice wyciągnięto trzy ciała i pozostawiono je tam dla strachu, nie zapomniawszy umieścić pod nieboszczykami tablic objaśniających za co odpokutowali.

¹⁷⁰ Kulis – określenie tragarza w południowej i wschodniej Azji; rikszarz. Także ktoś wykonujący najgorzej płatne prace.

W ogóle wrażenia doznane w Chinach nie należały do najprzyjemniejszych w podróży. Brudy odstręczały od wzięcia jakiegoś posiłku, wolano więc cierpieć głód niż wejść do jakiejś gospody. Zwiedzano jednak świątynie chińskie, między którymi kilka jest godnych uwagi. Mają one wysokie wieże, ozdobione wieloma podniesionymi na skrajach daszkami. Ciekawe są też mosty kamienne na kanałach. Po upływie dwóch dni nasi podróżni mieli już dosyć Chin i, porzuciwszy dzielnice krajowców, wrócili do rezerwacji angielskiej, gdzie przynajmniej było czysto i gdzie bez wstrętu mogło się zjeść obiad w restauracji.

Na rzece stało kilkanaście okrętów wojennych różnych państw, które miały za zadanie strzec dzielnic europejskich i amerykańskich od zdemoralizowanych żołnierzy chińskich. W Szanghaju, który jest wolnym portem, można dostać przeróżnych towarów, które tam są tańsze niż gdzie indziej, gdyż nie płacą cła. Meksykanin, dowiedziawszy się, że w tej porze roku na Południowochińskim Morzu często zdarzają się tajfuny, zakupił kilka flaszek koniaku, którym miał zamiar się leczyć w razie napadu choroby morskiej. Przydało mu się to niebawem. Druh Jeliński zaś, który nie dbał o alkohol, nabył na pamiątkę kilka rzeźb z drzewa, wyobrażających bożki, smoki i inne potwory. Podobne przedmioty są bardzo pracowicie wykonane ręcznie, a mimo to dość tanie. Chińczyk pracuje za byle co, gdyż w kraju tym panuje niesłychane przeludnienie. Każdy jest kontent, jeżeli zarobi na trochę ryżu, żeby nie umrzeć z głodu. W ogóle dla Europejczyka stosunki panujące w Państwie Środka są niezrozumiałe. Lud ten, który posiadał już wysoką cywilizację w czasach, kiedy pod Paryżem pasły się żubry i niedźwiedzie, nie szedł równo naprzód, lecz skostniał niejako w swoim rozwoju. Dopiero w ostatnich czasach, zmuszony przez inwazję europejską, zaczął przyjmować nowe zdobycze cywilizacji, acz niechętnie.

W porównaniu do Japończyka Chińczyk jest brudny i wyziewa jakąś specyficzną woń rasową, przykrą dla naszego powonienia. Z radością opuszczał podróżnik ten kraj, gdzie tyle rzeczy nieprzyjemnie go raziło i brud od niego nieodłączny. Z Szanghaju, objętego płomieniami wojny domowej, popłynięto na południe. Minięto cieśninę dzielącą wyspę Formozę¹⁷¹ od lądu i wydostano się na burzliwe Morze Południowochińskie.

Hongkong, miasto portowe, położone na małej wysepce naprzeciwko ujścia rzeki Si-kiang, jest to bardzo ważny punkt strategiczny i stacja węglowa, a także uczęszczany port handlowy, gdzie można wszystko sprzedać i wszystko kupić. Istnieją tam wielkie banki i domy handlowe, wspaniałe wille urzędników angielskich i wzbogaconych Chińczyków, a obok

¹⁷¹ Formoza – historyczna nazwa wyspy Tajwan.

tego straszna nędza kulisów, którzy za marne wynagrodzenie spełniają najcięższą pracę, a nocami śpią na ulicach lub na trawach i w łódkach na rzece.

Anglicy pozajmowali na całym świecie najprzydatniejsze dla żeglugi punkty. Do takich należy nie tylko Hongkong, lecz głównie Singapur, położony na samym południowym krańcu Półwyspu Malakka¹⁷². Po drugiej stronie cieśniny leży wielka wyspa holenderska Sumatra. Tędy muszą przepływać wszystkie statki, udające się z Europy na Daleki Wschód. Anglicy, chcąc zachować panowanie nad morzami, budują tutaj jedną z najpotężniejszych baz dla swojej marynarki wojennej i handlowej. Sprowadzili oni z Europy olbrzymi dok pływający, w którym można reperować największe pancerniki.

„Kashima Maru” zarzucił kotwicę w tym porcie dla nabrania węgla i świeżej wody do picia. Korzystając z kilkunastu godzin wolnego czasu, druż Jeliński z towarzyszami podróży wybrał się na ląd. Singapur trzymają mocno Anglicy. Wszędzie porządki europejskie i karność. Port wypełniony jest dżonkami¹⁷³ chińskimi i łodziami malajskimi, nie mówiąc o wielkich okrętach. Jedną z osobliwości Singapuru jest rozległy park miejski, gdzie żyją setki na wpół oswojonych małp różnych gatunków. Pocieszne te stworzenia nie lękają się ludzi i chętnie biorą z rąk podawane im owoce. Nieopodal od miasta zwiedzono bardzo interesujący zakład pewnego Hindusa, który zajmował się dostarczaniem dzikich zwierząt do ogrodów zoologicznych Europy. Pomiędzy domkami, zamieszkanymi przez Malajczyków, znajdowało się ogrodzenie bambusowe, wewnątrz którego stało kilkanaście bardzo pierwotnie zrobionych z desek i prętów drewnianych klatek. W każdej siedział jakiś interesujący okaz. Kiedy nasi turyści zbliżyli się do jednej z nich, rozległ się wściekły ryk tygrysa bengalskiego, schwytanego przed paru zaledwie dniami. Bestia, morzona głodem dla pomiarkowania jej wrodzonej dzikości, wyglądała okropnie. Zdawało się, że jednym uderzeniem potężnej łapy zwierzę pogruchoce ciasną klatkę, w której ledwie się mieściło jego muskularne cielsko, i rzuci się na ludzi, toteż niedługo bawili oni przed królem dżungli. Kiedy tygrys, czymś podrażniony, zaczął się rzucać w klatkę, instynktownie cofali się wstecz. Meksykanin nagle stracił grunt pod nogami i zniknął z krzykiem w głębokim dole. Druż Jeliński, nachyliwszy się nad jamą, z przerażeniem spostrzegł na jej dnie kilka dużych krokodyli. Meksykanin wrzeszczał wniebogłosy ze strachu, lecz daremnie starał się wydostać z pułapki. Podano mu zbawczą dłoń, którą uchwycił w samą porę, gdyż jeden z potworów już rozdziawiał paszczę, pełną długich i ostrych zębów. Meksykaninowi spadł z głowy kask korkowy, który bestia w jednej chwili

¹⁷² Półwysep Malakka – inna nazwa Półwyspu Malajskiego, zajmującego południową część Półwyspu Indochińskiego, między Morzem Andamańskim a Morzem Południowochińskim.

¹⁷³ Dżonka – szeroki drewniany statek, zazwyczaj trójmasztowy i wyposażony w wiosła, charakterystyczny dla wybrzeży całej Azji Wschodniej.

zgruchotała między potężnymi szczękami. Kiedy cudownie ocalony z paszczy krokodylej Meksykanin robił wyrzuty właścicielowi składu, że nie ogroził jamy, ten z zimną krwią zauważył, że go na to nie stać i kazał gościowi cieszyć się jeszcze, że nie wpadł do sąsiedniego dołu, gdzie znajdują się jadowite węże. Jakiś okularnik¹⁷⁴ nie namyślałby się zapewne tak długo jak krokodyl, lecz od razu rzuciłby się na intruza i ukąsił go jadowitym zębem.

Należało przeto w dalszym ciągu zachować ostrożność. Hindus dla udobruchania swoich gości proponował im nabycie ładnych małpeczek po dwa dolary sztuka, lecz nie znalazł na towar nabywcy. Opuszczając skład zoologiczny, podróżni dziwili się, jakim cudem dotąd nie pożarły Hindusa dzikie bestie, zamknięte w tak wąskich klatkach. Z tego widać, jak niebezpiecznym rzemiosłem jest dostarczanie okazów do menażerii. Trzeba nie tylko schwytać w pułapkę bestię, lecz dostarczyć ją w klatce do zakładu, dokąd przybywają agenci trudniący się dostawą zwierząt do Europy. Koszt przewozu statkiem jest niemały, toteż cena ładnego tygrysa bengalskiego, który w Singapurze wynosi 200 dolarów, w Europie dosięga paru tysięcy.

Tego samego dnia pojechano wynajętym autem do pobliskich plantacji kauczukowych drzew. Do niedawna zbierano cenną gumę z drzew dziko rosnących w puszczy, jednak wobec wzrostu zapotrzebowania na ten artykuł naturalna produkcja nie wystarczała. Rzucono się tedy do plantowania drzewka kauczukowego, które w pięć lat po zasadzeniu zaczyna już dawać gumę. Nacina się nożem korę, z której do małego naczynia ścieka sok mleczny, zastygający niebawem na twardą masę kauczuku. Oczyszcza go się, walcuje w płaskie arkusze i wysyła do Europy. Plantacje na Sumatrze, Jawie, Malacce i Cejlonie są tak rozległe, że produkowany tam kauczuk pokrywa olbrzymie zapotrzebowanie.

Na Malacce pełno jest ślicznych palm, które dosięgają imponującej wysokości. Jednym z najpiękniejszych gatunków jest tzw. drzewo podróżnych, którego olbrzymie liście tworzą jakby wachlarz. Obcego przybysza uderza fakt, że jako siły pociągowej w Indiach używają przeważnie gatunku oswojonego wołu, zwanego zebu. Ma on rogi sterczące presto i mięsisty garb między przednimi łopatkami. Zebu ciągnie arby dwukołowe, podobne do włoskich.

Spędziwszy cały dzień w mieście i jego okolicach, na zakończenie zwiedzono piękną pagodę indyjską i o zmroku wrócono na statek, który zabrał już zapas paliwa i o świcie miał podnieść kotwicę. Kończono władnie ładowanie węgla. Przykro patrzeć na ludzi, którzy spełniają tę nad wyraz ciężką pracę. Pod promieniami zwrotnikowego słońca półnaczy kulisi two-

¹⁷⁴ Kobra indyjska (okularnik indyjski) – gatunek jadowitego węża, występujący we wschodniej Azji. Osiąga 2 m długości. Na kapturze szyjnym posiada charakterystyczny wzór przypominający okulary. U człowieka większość przypadków ukąszeń bez podania surowicy kończy się śmiercią.

rzą łańcuch, podając jeden drugiemu kosz napełniony węglem. Ten sposób okazał się szybszym niż noszenie, lecz kulisi wyglądają jak diabły, skazane na wieczne męki w piekle. Są czarni od pyłu węglowego, a pot ścieka im strumieniami po ciele. Za tę wprost katorżniczą pracę biorą tak marną zapłatę, że ledwie starczy na życie.

Zatrzymawszy się jeszcze na parę godzin w Penangu¹⁷⁵, okręt wypłynął na pełny Ocean Indyjski, poza Nikobarami¹⁷⁶. Zdawało się, że przeprawa na wyspę Cejlon odbędzie się bez żadnej przygody. Podróżni, niczego się nie spodziewając, przyglądali się z pokładu licznemu stadu igrających delfinów, które wyskakiwały jeden za drugim, tworząc jakby most łukowy nad wodą. Ta ruchliwość zwierząt morskich wydała się nieco podejrzana. Powietrze stawało się coraz duszniejszym, tak iż trudno było oddychać. Nagle rozległ się dzwonek, który zwykle wzywał pasażerów na wieczerzę, lecz o tej porze nigdy w niego nie uderzano. Na sygnał ten wybiegli na pokład majtkowie i zaczęli spieszenie związać płócienną daszki, chroniące pokład od palących promieni słońca, potem obchodzili kolejno łódki ratunkowe i sprawdzali starannie, czy wszystko jest w porządku. Te czynności mocno zaniepokoiły podróżnych. Widocznie spodziewano się burzy. Wszyscy zgromadzili się w jadalni drugiej klasy, ażeby dowiedzieć się czegoś konkretnego. Nikt jednak nic nie wiedział, a oficerowie, nie chcąc siać paniki, milczeli uparcie.

Upłynął jednak dzień i burza nie wybuchła. Kapitan otrzymał depesze iskrowe z lądu, które ostrzegały go przed zbliżającym się tajfunem. Chcąc zejść mu z drogi, zmienił kierunek, płynąc prosto na równik. Kiedy zapadła noc, kołysanie stawało się coraz silniejsze. Bałwany, z początku niewielkie, rosły szybko tak dalece, że niektóre przelewały się już przez pokład. Pozamykano więc hermetycznie wszystkie drzwi pokładowe i luki, ażeby woda nie wdarła się do wnętrza okrętu. Wszyscy pasażerowie dostali silnej choroby morskiej i leżeli w kajutach lub też, nie mogąc ze strachu usnąć, gromadzili się po korytarzach i w jadalni. Wielu niosło ze sobą pasy ratunkowe z korka, chcąc je mieć pod ręką w razie katastrofy. Wicher stawał się tak potężny, że nikt nie mógł utrzymać się na nogach na pokładzie. Tylko kapitan i kilku marynarzy pozostało na wierzchu. Parowiec całą siłą swych potężnych maszyn starał się płynąć pod wiatr, lecz mimo kilkunastu tysięcy koni parowych stał prawie na miejscu lub też posuwał się wstecznie. Skutkiem tego kapitan nie mógł zejść z drogi tajfunowi i zbliżał się coraz bardziej do jego centrum, gdzie wprowadzie wiatr nie wieje, lecz za to bałwany wykonują piekielne harce: łamią się, wpadają jedno na drugie, słowem w środku burzy wirowej ocean mie-

¹⁷⁵ Penang – wyspa u zachodnich wybrzeży Półwyspu Malajskiego. Była pierwszym punktem osadnictwa brytyjskiego na Malajach.

¹⁷⁶ Nikobary – archipelag na Oceanie Indyjskim (między Zatoką Bengalską i Morzem Andamańskim), złożony z 22 wysp. Należy do Indii.

sza się z chmurami. Góry wodne piętrzą się tak wysoko, że opadając grożą zmiążdżeniem najsilniejszemu okrętowi. Błady strach opanował wszystkich podróżnych, nawet majtków. Radiotelegrafista na polecenie kapitana przesyłał sygnał wzywający pomocy: S.O.S., czyli „Saves Our Souls” (ratujcie nasze dusze). Nikt do rana nie zmrużył oka. O wschodzie słońca, patrząc przez szpary okiennic okrywających okna kajutowe, można było dostrzec istne góry wodne. „Kashima Maru” raz wybiegła na sam szczyt wielopiętrowego bałwanu, ażeby za chwilę pograć się w przepaść. Druh Jeliński sądził już, że skończy swą podróż na dnie Oceanu Indyjskiego. Inni pasażerowie też zdawali sobie sprawę z grozy sytuacji, gdyż dokoła rozlegały się przekleństwa, modlitwy, zawrośnięcie kobiet i płacz dzieci.

Wewnątrz statku panował nieporządek, jaki trudno sobie wyobrazić. Wszystkie przedmioty pod wpływem kołysania się poprzecznego i podłużnego rzucało od ściany do ściany, o ile nie były na stałe przymocowane do podłogi. Żaden człowiek nie mógł utrzymać się na nogach. Siedziano na kejach lub wprost leżano na podłodze. Druh Jeliński wałęsał się wszędzie, bo nie mógł wytrzymać w swojej kajucie. Kiedy na chwilę do niej zajrzał, przekonał się, że jego towarzysz podróży, Meksykanin, wśród kilku wypróżnionych butelek spał jak zabity.

– Wstawaj pan, toniemy! – krzyknął mu do ucha, lecz nic nie mogło doprowadzić go do przytomności. Druh Jeliński, powodując się litością, założył na nieprzytomnego pas ratunkowy i pozostawił go w tym błogosławionym stanie nieświadomości. Właśnie był zajęty tą czynnością, gdy zahuczało coś okropnie pod pokładem. Zdawało się, że pękł kocioł i że okręt niebawem zacznie tonąć. Pomęczeni, chorzy, w pół nieprzytomni pasażerowie pozrywali się na równe nogi i oszaleli ze strachu. Dobijali się rozpaczliwie do zamkniętych drzwi, żeby się wydostać na pokład. Na szczęście dla nich pozostały one zamknięte, każdy bowiem, kto by się zjawił na pokładzie, w jednej chwili zostałby porwany w morze przez fale, które przeskaکیwały z szumem złowrogim przez najwyższe pomosty. Wśród ogólnego lamentu ukazał się bosman, czyli starszy marynarz i starał się uspokoić przerażonych podróżnych, oznajmiwszy, że nie pękł żaden kocioł, lecz główny wał, przenoszący siłę z maszyn parowych na śrubę, urwał się. Skutkiem tego tłoki w cylindrach parowych zaczęły się wściekle miotać i to było przyczyną owego strasznego zgiełku pod pokładem. Musiano zatrzymać jedną z maszyn, druga zaś obracała pozostałe dwie boczne śruby. Okręt nie posiadał więc już tej siły do rozporządzenia co przedtem i nie mógł opierać się szalonemu wichrowi. Tylko dzięki oświadczeniu kapitana „Kashima Maru”, który był na wysokości trudnego zadania, okręt ocalał. Morze powolutku, lecz wyraźnie zaczęło się uspakajać. Niebezpieczeństwo jednak nie minęło zaraz. Ocean szalał jeszcze przez cały dzień, dopiero pod drugą noc kołysania zmniejszyły się na tyle, że pasażerowie mogli już nieco odetchnąć po przeżytych wrażeniach. Okazało się, że

statek, uciekając na południe przed tajfunem, minął równik. Burza porobiła na nim niezliczone szkody, Maszty były połamane, nawet większa część łodzi ratunkowych znikła bez śladu, porwana przez rozhukano fale. Gdyby więc okręt zaczął tonąć, to nie byłoby mowy o wyratowaniu wszystkich pasażerów i załogi. Zresztą na tak wzburzonym morzu żadna łódź nie zdołałaby się utrzymać.

Burza morska, jak każda zresztą tragedia, miewa i swoje komiczne strony. Meksykanin, obudziwszy się na chwilę ze swego głębokiego snu, spostrzegł pas ratunkowy, którym go zaopatrzył towarzysz podróży. To go tak przeraziło, że natychmiast sięgnął po nową butelkę koniaku, gdyż, jak sam potem powiedział, wolał umierać nieprzytomnie niż dręczyć się widmem okropnej śmierci. Ta nowa porcja pograżyła go znowu w rodzaj letargu, z którego obudził się dopiero wówczas, kiedy tajfun przeszedł i słońce zaświeciło na niebie. Biedaczysko przyznał się, że nic a nic nie pamięta i gotów byłby przysiąc gdyby nie ów pas ratunkowy, że nie było żadnej burzy. Okazało się więc, że metoda meksykańska nie jest pozbawiona praktyczności. Przed bolesną operacją dobrze uciec się do środków znieczulających.

Wobec wielkiego niebezpieczeństwa karność upada, każdy zaczyna myśleć tylko o sobie. Biedny steward okrętowy, podczas pogody bardzo zresztą dobry człowiek, skoro tylko wybuchnął tajfun od razu przestał pełnić swoje obowiązki. Był głuchy na głosy pasażerów, którzy błagali go o jakiś trunek. Zamknął bufet, pozbierał gdzie tylko się dało koła ratunkowe, zainkasował wszelkie należności, pieniądze schował do skórzanego worka i tak siedział, czekając aż statek zacznie tonąć. Mając ze sześć kół ratunkowych, był według swego mniemania bezpiecznym. A szło mu nie tylko o ocalenie życia, lecz i kasy. Na wszelkie upomnienia ze strony oficerów był całkiem nieczuły, zachowując ponure milczenie. Nieborak bardzo się potem wstydził swego zachowania. Kiedy minęło niebezpieczeństwo, nie umiał ludziom w oczy spojrzeć. Tak to strach przed śmiercią robi z pocciwych nawet ludzi przebrzydłych egoistów.

Kiedy okrutny tajfun minął, okręt znajdował się daleko na południe od swej drogi normalnej. Trzeba było zatem płynąć do Cejlonu o dwóch tylko mniejszych śrubach. Skutkiem tego podróż się przedłużyła o parę dni. Podróżni byli jednak szczęśliwi, że ciężka przygoda skończyła się tak stosunkowo dobrze. Kapitan „Kashima Maru” zdobył sobie powszechne uznanie.

ROZDZIAŁ XXVII.

OSOBLIWOŚCI CEJLONU. DZIKIE SŁONIE. POLOWANIE NA WIELKIEGO WĘŻA. CO SIĘ W NIM ZNAJDOWAŁO. ZŁODZIEJASZKI Z PORT SAID.

„Kashima Maru”, jak się okazało, musiał zatrzymać się w Kolombo przynajmniej przez tydzień dla naprawy wału. Nasz podróżnik pierwotnie zamierzał dotrzeć do Kalkuty i stamtąd pojechać w poprzek Indii do Bombaju, kiedy się jednak obliczył dobrze ze swoimi środkami doszedł do przekonania, że w tak długą podróż wśród obcych, bez żadnego poparcia, nie mógł się puścić, gdyż to groziło mu fiaskiem przy samym końcu wyprawy. Nie chcąc narażać się na tak smutną ewentualność, zdecydował się skorzystać z tygodnia czasu i zwiedzić dobrze piękną i interesującą wyspę. Kazał więc wyładować swojego buicka i w towarzystwie Meksykanina, który zgodził się wziąć udział w kosztach podróży lądowej, wyruszył w głąb wyspy. Do tej wycieczki przyłączył się syn pewnego bogatego Anglika, skaut, który przyjechał ze swoim własnym autem z Europy w odwiedziny do ojca.

Dzięki wielkiej ilości kauczuku plantowanego na wyspie użyto tego materiału dla wzmocnienia szos. Są one wprawdzie nieco za miękkie, lecz za to nie ma na nich wcale kurzu! W wilgotnej i ciepłej atmosferze kauczukowa powłoka, zastępująca smołę używaną w Europie i Ameryce, dość dobrze się trzyma. Dróg takich jest na Cejlonie dużo, tak iż turysta może z nich korzystać nawet oddalając się dość znacznie od wybrzeża. Wnętrze tej obszernej wyspy jest dotąd niezupełnie zbadane i mieszkają tam szczątki plemion czarnej rasy, które w odległych epokach przed najściem Indów¹⁷⁷ stanowiły rdzeń zaludnienia. Obecnie mieszkańcy Cejlonu są mieszaniną ras hinduskiej, czyli białej, z dawną czarną i malajską. Siedziby ich są przeważnie zbudowane na palach nad brzegami rzek i morza. Dochodzi się do nich albo po kładce albo też dopływa się łódkami. Takie nadwodne domostwa zabezpieczają od dzikich zwierząt, których tam jeszcze nie brak, i od najścia żarłocznych mrówek – termitów. Ludność znajduje się na dość niskim poziomie kulturalnym. W miejscach bardziej odwiedzanych Cejlończycy ubierają się w rodzaj chusty, obwiązanej dokoła bioder, w głębi zaś wyspy zadawalają się przepaską dla uczynienia zadość przyzwoitości.

Co najbardziej zwraca uwagę podróżnika, to wielka obfitość słoni na wyspie. Wewnątrz jej znajdują się puszcze, w których do dziś dnia żyją stada zupełnie dzikich słoni lub też na wpół dzikich, znajdujących się pod dozorem. Mnóstwo tych zwierząt jest trzymanyh

¹⁷⁷ Indowie – dawna nazwa mieszkańców Indii.

w niewoli i używanych nie tylko do ciężkiej pracy, lecz także pod wierzch. Dźwigają one na grzbiecie rodzaj płaskiego kosza, w którym może zająć miejsce kilku ludzi naraz. Nieraz nasi automobiliści spotykali całą karawanę słoni, wracających po dziennej pracy do domu. Ich kornacy¹⁷⁸, otrzymawszy skromne zresztą napiwki, urządzili walkę tych zwierząt. Rozzłoszczone słonie biją się wzajemnie trąbami i uderzają całym swoim ogromnym cielskiem, usiłując obalić przeciwnika i podeptać leżącego na ziemi. Kornacy przeważnie obcinają im kły, ażeby nie mogły sobie w walce uczynić większej szkody. Dają one materiał na cenne wyroby z kości słoniowej, które chętnie nabywają turyści. Ciekawy jest widok kąpiącego się w rzece stada słoni. Pomimo pozornej niezdarności, zwierzęta te są szybkie w ruchach i pływają doskonale. Niejedną godzinę podróźni spędzili, przyglądając się jak słonie pracują przy przenoszeniu ciężkich belek drzewa. Z każdego ich ruchu można wnioskować, że olbrzymy te są obdarzone wrodzoną inteligencją.

W jednej z wiosek położonej nad wodą podróźni dowiedzieli się, że olbrzymi wąż boa, który obrał sobie siedzibę w pobliskim lesie, dopuszcza się zuchwałych napadów na zwierzynę, a nawet jest niebezpieczny dla ludzi. Postanowiono więc urządzić nań walną wyprawę, w której miała wziąć udział nawet sprowadzona w tym celu policja. Podróżni chętnie przyłączyli się do grona myśliwych. Na zwiady udało się kilkunastu krajowców, którzy niebawem wrócili zziębnięci z wieścią, że boa leży na polance leśnej między palmami i wygrzewa się na słońcu, czekając zapewne, aż jaka zdobycz mu się nawinie. Myśliwi z bronią gotową do strzału poszli we wskazanym kierunku. Spodziewano się, że wąż ucieknie na drzewo, skoro usłyszy kroki zbliżających się ludzi. Zdziwiono się więc niemało, kiedy olbrzym zaledwie raczył się poruszyć. Widocznie był obficie najedzony i dlatego niezdolny ani do obrony, ani do skutecznej ucieczki.

Obstąpiono potwora, ażeby mu się przyjrzeć z bezpiecznej odległości. Grubość jego pozwalała się domyślać, że połknął jakąś większą zwierzynę. Parę celnych strzałów zgruchotało łeb potwora. Wiedzeni ciekawością myśliwi kazali krajowcom rozpruć brzuch wężowi. Najprzód ukazała się głowa i szyja kozy, potem cały jej korpus niezmiernie wydłużony. Kości były pogruchotane w drobne kawałki, jak gdyby przeszły przez jakąś maszynę w walcowni. Dowodziło to jak niesłychaną siłę posiada wąż w swych muskularnych splotach, w których dusi swoją zdobycz. Na pierwszej fotografii widać całego węża, a na następnej wypatroszonego oraz wyjętą z jego żołądka kozę. W parę dni potem urządzono w puszczy inne polowanie, tym razem daleko niebezpieczniejsze. Skaut angielski, który był doskonałym strzelcem,

¹⁷⁸ Kornak (sansk. karinājaka – „prowadzący słonia”, fr. cornac) – opiekun słonia.

wytropił w pewnym bagnie, znajdującym się w puszczy, parę bawołów. Jest to bardzo szybki, odważny i silny zwierzę, który bez wahania atakuje napotkanego myśliwego swoimi ostrymi rogami. Biada temu, kto strzelając doń chybi lub, co gorsza, zrani tylko zwierzyne. Zanim zdoła powtórnie użyć broni już pada przebity rogami i stratowany racicami. Wielu myśliwych padło już ofiarą bawołów indyjskich. Anglik był jednak szczęśliwym. Jego strzał od razu powalił zwierza, którego krajowcy triumfalnie zanieśli na drogach do wioski. Mięso dało doskonałą pieczeń, rogi zaś otrzymał druh Jeliński, który zabrał je ze sobą do Europy na pamiątkę.

Wycieczka trwała już kilka dni, dzięki autom zapuszczono się daleko od wybrzeża morskiego. Wnętrze Cejlonu zajmują dziś olbrzymie plantacje drzewek kauczukowych, które stanowią główne bogactwo wyspy. Prócz tego rosną tam niezliczone palmy kokosowe, dostarczające doskonałych orzechów, i ananasy, spożywane bądź na surowo, bądź też zamieniane na konserwy. Obfitość i wspaniałość roślinności w tym kraju budzi zachwyt w przybysz, który nawet widział już Indie. Zwłaszcza należy tam podziwiać palmy, których wysokość, bujność liści i różnorodność gatunków przewyższają wszelką wyobraźnię. Podczas tej podróży najczęściej nocowano w autach, rzadziej w chatkach krajowców, które pod względem czystości nie wzbudzały należytego zaufania. Żywiono się przeważnie owocami, które są tam tanie i doskonałe. Resztę czerpano z zapasu konserw.

Nasz skaut najbardziej cierpiał w Indiach od palących promieni słonecznych, od których nawet kask korkowy dostatecznie nie zabezpiecza. Europejczyk ciągle tam pływa we własnym pocie i nie może się nadziwić krajowcom, którzy z gołymi głowami chodzą po słońcu. Zamiast kasku mają na głowie zwinięte w gruby węzeł gęste z natury włosy. I to im wystarcza. Ich ciemnoczekoladowej barwy skóra stanowi najlepszą ochronę od fiołkowych promieni¹⁷⁹, które są główną przyczyną udaru słonecznego. Samo gorąco nigdy nie pociąga za sobą złych następstw.

Podróż po Cejlonie trwała dłużej niż pozwalał czas poświęcony na naprawę okrętu. Anglik wprawdzie nie wiele sobie z tego robił, że ktoś może się spóźnić, druh Jeliński jednak spieszyć się musiał na gwałt, żeby „Kashima Maru” nie odpłynął i nie zostawił go, jak to się mówi, na piasku. Dlatego też przerwano nagle wycieczkę i pod pełnym gazem zdążano do Kolombo. Była to, jak się okazało, ostatnia chwila, gdyż w dwie godziny zaledwie po powrocie okręt podniósł już kotwicę. Pan Smith, uwiadomiony telefonicznie, razem z synem zjawił się na pokładzie „Kashima Maru”, ażeby wręczyć naszemu podróżnikowi na pamiątkę odby-

¹⁷⁹ Mowa o promieniowaniu ultrafioletowym.

tej wycieczki dużego wypchanego żółwia szylkretowego¹⁸⁰, który stanowi obecnie ozdobę jego zbiorów. Przy pożegnaniu zrobiono kilka zdjęć pamiątkowych. Wreszcie ryknęła, jak jaki apokaliptyczny potwór, syrena okrętowa – znak, że nadeszła chwila rozstania. Przy wyjściu z portu między wysepkami, których tam jest kilka, snuło się mnóstwo maleńkich wążutkich łódeczek, w których siedzieli krajowcy z krótkimi wiosłami. Ludzie ci wypływają zawsze na spotkanie okrętów, zawijających do Kolombo, ażeby podróżnym dać widowisko iście zdumiewającej zręczności. Najpospolitszą ich sztuczką jest wyławianie rzuconego do morza pieniądza. Potrafią oni wyskoczyć ze swej łupiny, dogonić pod wodą monetę i, trzymając ją w białych zębach, w jednej chwili wracają na dawne miejsce. Biorąc pod uwagę niesłychaną wąskość i wywrotność czółenka, jest to dowód wielkiej wprawy. Ażeby zwrócić na siebie uwagę pasażerów okrętu zaczynają oni rzucać sobie wzajemnie niewielkie piłki, które odbijają wiosłem, zupełnie jak tenisista rakiętą. Piłka lata w powietrzu na odległość kilkunastu metrów od jednej łódki do drugiej i ani razu nie wpadnie do wody. Czasami, dla żartu, Malajczyk nieco się odchyli i niepostrzeżenie chwytą piłkę pod pachę. Robi to zaś tak zgrabnie, że patrzącym zdaje się jakoby ta utonęła, lecz po chwili kuglarz wydobywa ją i znowu podbija wiosłem. Gra ta, którą mogą z czystym sercem podziwiać nawet najlepsi mistrzowie rakiety, trwa nieraz kilka minut.

„Kashima Maru”, który w doku naprawił swój złamany wał, płynął teraz szybko, kierując się w stronę Morza Czerwonego. Ocean o tej porze roku, tj. we wrześniu, jest zwykle dość spokojny. Podróżni nie cierpieli na skutek kołysania i mogli do woli przebywać na pokładzie, żeby oddychać świeżym powietrzem morskim. Mieli więc sposobność obserwować ocean i jego życie. W pobliżu Cejlonu, jak w ogóle na Oceanie Indyjskim, nie brak okrutnych rekinów, które towarzyszą przez jakiś czas okrętowi, dopóki się nie zmęczą. Pewnego dnia ukazało się kilka tych potworów, których każdy żeglarz nienawidzi z całego serca. Kucharz wyrzucił skrzyneczkę od biskwitów. Rekiny rzuciły się jeden przez drugiego, żeby pochwycić tę mniemaną zdobycz, lecz zawiodły się srodze. Niebawem udało się im lepiej, gdyż z kuchni wyrzucono popsute mięso. Bestie uraczyły się nim, przy sposobności podróżni mogli przyrzec się do woli ich strasznym zębom, nieraz osadzonym podwójnymi i potrójnymi szeregami w potężnych szczękach. Były to najokropniejsze ludojady tygrysy¹⁸¹, które są w stanie jed-

¹⁸⁰ Żółw szylkretowy – gatunek gada z rodziny żółwi morskich. Występuje na tropikalnych rafach wszystkich oceanów. Z pancerza otrzymuje się szylkret – przejrzystą, żółtawą masę wykorzystywaną w rzemiośle artystycznym. Masowe zabijanie żółwi dla szylkretu i mięsa, które jest bardzo cennie w Azji Południowo-Wschodniej, sprawiły, że gatunek ten jest obecnie krytycznie zagrożony wyginięciem.

¹⁸¹ Rekin tygrysi (żarłacz tygrysi) – gatunek rekina, występujący w oceanach strefy tropikalnej i subtropikalnej. Osiąga 6 m długości i masę 700-1000 kg. Drugi (po żarłacz białym) pod względem liczby odnotowanych ataków na ludzi.

nym zamknięciem szczęk przeciąć na pół człowieka. Krajowcy boją się ich śmiertelnie i za nic w świecie nie skoczą nawet po złotą gwineę¹⁸², jeżeli w pobliżu włóczy się jeden z takich rekinów.

Przeglądanie się różnym twórcom morskim stanowiło jedną z nielicznych rozrywek na pokładzie „Kashima Maru”, który po kilku dniach wpłynął przez wąską Cieśninę Babelmandabską¹⁸³ na Morze Czerwone. Była to najprzykrzejsza część podróży ze względu na dokuczliwe upały, które latem panują w tamtych okolicach. Suche, gorące wiatry wieją od Sahary i od Pustyni Arabskiej. Jest to jakby wielki naturalny piec. Niepodobieństwo tam sypiać w kajutach zamkniętych. Wszyscy pasażerowie szukają ochłody nocą na pokładzie, a i tam mało kto zmruży oko. W dzień trzeba przed okrutnymi promieniami słońca szukać schronienia pod płóciennym dachem, leżąc w hamakach. Każdy powiew wiatorku witano z rozkoszą. Na szczęście przeprawa przez Morze Czerwone nie trwa dłużej nad kilka dni, inaczej nikt by jej nie wytrzymał. U wejścia do sławnego Kanału Sueskiego okręt zatrzymać się musi w Porcie Suez, gdzie mu dają pilota i badają jego zanurzenie się, gdyż opłatę za przejazd pobiera się w stosunku do tonażu. Nie jest ona bynajmniej niska. Duży statek płaci kilka tysięcy dolarów. Jest to jednak duża oszczędność, gdyż inaczej trzeba by opłynąć całą Afrykę i spalić moc węgla, nie mówiąc już o stracie czasu.

Na kanale mogą się wyminąć tylko dwa okręty, przy czym towarowy zawsze ma pierwszeństwo. Jeden ze statków zatrzymuje się przycumowany do brzegu i dopiero wówczas tamten go mija. Żegluga odbywa się w bardzo wolnym tempie, gdyż w kanale ciągle pracują dragi¹⁸⁴ nad pogłębianiem dna, zasypywanego przez piaski pustynne. Gdyby nie to, kanał stałby się niebawem niezdolny do użytku. Po prawej, wschodniej stronie widać pustynię, bez śladu jakiegokolwiek kultury; same wydmy piaszczyste. Od strony zachodniej zaś, egipskiej, podróżny dostrzega dobrą szosę, plantacje palmowe i linie kolei żelaznej. Co kilka kilometrów stoi domek dozorczy. Jest to żegluga bardzo monotonna, toteż podróżni z radością powitali Port Said, który jest wejściem do kanału od strony Europy i nie cieszy się dobrą opinią wśród podróżnych. Otrzymawszy urlop od kapitana na kilka godzin, pasażerowie udali się na ląd i tam w jednej chwili ujrzeni się otoczeni przez zgraję różnych wydrwigroszów, między którymi można dostrzec przedstawicieli wszystkich ras i narodowości.

¹⁸² Gwinea – pierwsza maszynowo bita złota moneta angielska (od 1663 r.), równa 21 szylingom. Nazwa wywodzi się od Wybrzeża Gwinejskiego w Afryce, skąd pochodziło złoto do produkcji monet.

¹⁸³ Bab al-Mandab – cieśnina między Afryką a Półwyspem Arabskim, łącząca Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim. Ważny punkt żeglugowy na trasie Europa-Daleki Wschód, zwłaszcza od czasu otwarcia Kanału Sueskiego. Długość cieśniny: ok. 50 km, szerokość w najwęższym miejscu: ok. 26 km.

¹⁸⁴ Draga – urządzenie do pogłębiania i oczyszczania koryta rzeki.

Ludzie ci żyją z tego, że znudzony podróżny szuka jakiejś rozrywki. Biorą go więc w swoje obroty różni kuglarze, którym nie można odmówić biegłości w tym fachu. Jeden sięga za bluzkę jakiejś przerażonej natręctwem pasażerki i, ku jej zdumieniu, wyciąga stamtąd gołębia, kurczaka lub parę piskląt. Drugi podrzuca talią kart, tak że karty, spadając, tworzą wieżyczkę. Trzeci z desperacją podchodzi do jakiegoś bogatego Anglika i oświadcza, że jeżeli nie dostanie pół dolara, to musi sobie odkrajać w jego obecności palec. I w samej rzeczy zaczyna nożem wodzić po skórze. Krew cieknie strumieniem. Przerażony Anglik daje monetę, lecz wnet się przekonywa, że skóra była nietknięta, a krew sztuczna.

W Port Said każdy sposób wyciągnięcia grosza z kieszeni naiwnego pasażera okrętowego uchodzi za godziwy, np. para angielska uskarżała się, że podczas spaceru okradziono ją z pieniędzy. Spotkano paru chłopaków, którzy ofiarowali na sprzedaż jakieś bagatelki. Wśród rywalizacji chłopaki pokłócili się niby i wszczęli zacieklą bójkę. Dobroduszny pasażer usiłował czupurnych malców rozłączyć, na co oni tylko czekali. Skorzystali z zetknięcia z nim i wyciągnęli mu z kieszeni portfel. Dlatego też Port Said ma opinię najbardziej złodziejskiego miasta na kuli ziemskiej. Każdy tam płaci frycowe.

Na kanale pewne urozmaicenie stanowią niezliczone mewy, które towarzyszą okrętowi w nadziei, że ktoś rzuci im do wody jakiś smaczny kąsek. Odprowadzają one jeszcze przez czas jakiś okręt, zapuszczający się na Morze Śródziemne. Kiedy w parę dni później, wieczorem, ukazała się oświetlona mnóstwem lamp elektrycznych Messyna, stojący na pokładzie nasz podróżnik odetchnął pełną piersią. Mógł bowiem sobie powiedzieć, że dokonał już podróży naokoło świata – wracał przecież od wschodu do punktu, z którego przed dwoma z górą laty wyruszał na zachód, przez Sycylię. Ogarnęło go uczucie głębokiej wdzięczności dla Stwórcy, który przez długi szereg dalekich krajów przeprowadził go cało i zdrowo. Wśród ciszy nocy włoskiej pobiegła ku wysokiemu niebu z ust naszego podróżnika gorąca modlitwa dziękczynna.

ROZDZIAŁ XXVIII.

WYLĄDOWANIE W EUROPIE. U PREZYDENTA FRANCJI. U KRÓLA PODRÓŻNIKA. POWRÓT DO OJCZYZNY. AUDIENCJA U PREZYDENTA MOŚCICKIEGO.

Nareszcie po dwóch latach i czterech miesiącach skaut Jeliński postawił nogę na ziemi starego świata, skąd rozpoczął swoją trudną misję opasania flagą polską kuli ziemskiej. Fakty mają zawsze najsilniejszą wymowę, toteż prasa marsylska prześcigała się wzajemnie w pochwałach na cześć Polaka, który mimo kolosalnych przeszkód zdołał dopiąć swego celu. Pan konsul polski w tym mieście południowym był bardzo zadowolony, że propaganda tak się powiodła. Publiczność francuska oblegała auto, które przebyło kolosalne przestrzenie i przez kilka dni o niczym innym nie mówiono, tylko o druhu Jelińskim. Nasz podróżnik, stęskniony za Ojczyzną, chciałby lotem ptaka znaleźć się w Warszawie, lecz konsul nie pozwolił mu zaraz uczynić zadość tym uczuciom patriotycznym. Zażądał on od naszego podróżnika, żeby ten i w drodze powrotnej pracował na polu propagandy, skierował go więc najprzód do Paryża, potem zaś do Brukseli.

W stolicy świata, którą przecie niełatwo czymś rozentuzjasmować, fakt powrotu młodego chłopca z samotnej podróży dookoła świata samochodem wzbudził szerokie echo. Zastępcę ambasadora Polski, pan Ignacy Skrzyński, wyjednał podróżnikowi audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, Gastona Doumergue'a, w Pałacu Elizejskim¹⁸⁵. Pan prezydent, niewielki, zawsze uśmiechnięty człowiek, bardzo dobrze przyjął przedstawionego sobie podróżnika polskiego. Zadawał mu cały szereg pytań co do dróg francuskich, zagadnął, czy bawiąc w Afryce odwiedził Legię Cudzoziemską i jakie wrażenia wyniósł z kolonii francuskich. Otrzymaawszy odpowiedzi pełne uznania dla pracy francuskiej, wpisał się chętnie do albumu pamiątkowego, którego kartki chlubiły się pokaźną liczbą autografów znakomitych ludzi i władców kilkunastu krajów.

Zadowolony z pracy dokonanej na rzecz propagandy w sprzymierzonej Francji druh Jeliński, poświęciwszy kilka dni na zwiedzenie Paryża, wyjechał na północ w zamiarze zetknięcia się z rodakami, którzy pracują w okręgu węglowym i na roli. Głównym miejscem jego działalności było Lille, skąd odbywał wycieczki do miejscowości zaludnionych przez Polaków, celem wygłoszenia bezinteresownych odczytów na rzecz kulturalnych instytucji polskich. Jednakże na tym nie skończyła się praca propagandowa. Druh Jeliński postanowił

¹⁸⁵ Pałac Elizejski – oficjalna siedziba prezydenta Francji oraz miejsce posiedzeń Rady Ministrów.

jeszcze zawadzić o Belgię i ujrzyć bohaterskiego króla Alberta. Dzięki naszemu poselstwu bez trudności otrzymał audiencję u tego powszechnie kochanego monarchy. W przeciwieństwie do prezydenta Francji król Belgów jest człowiekiem wysokiego wzrostu, wysmukłym i powierzchowności niezmiernie ujmującej. Zaraz po przedstawieniu, raczył on poprosić pana *chargé d'affaires*¹⁸⁶ polskiego i naszego podróżnika, żeby usiedli i wdał się z nimi w pogawędkę, która trwała kilkanaście minut. Monarcha, który sam jest wysoko cenionym sportowcem i podróżnikiem, zadawał dużo pytań druhowi Jelińskiemu, między innymi pragnął się dowiedzieć, jak mu w jego rajdzie służyło zdrowie, czy nie zapadł na malarię albo febrę i jakimi środkami zabezpieczał się od choroby. Widać było, że monarcha nie traktuje ludzi z wysoka, lecz jest przeniknięty prawdziwym duchem demokratyzmu.

Nie dość na tym. Tego samego jeszcze dnia, kiedy nasz podróżnik jechał swym buickiem po bulwarach, niespodziewanie zatrzymało się mijające go olbrzymie auto, z którego wysiadł sam król Albert, nie czekając na adiutanta. Widząc to, druh Jeliński zatrzymał się także i obaj z panem *chargé d'affaires* wyszli na spotkanie monarchy, który, jak się okazało, zapragnął jeszcze obejrzeć odznaki różnych klubów na samochodzie podróżnika. Król wyraził swoje żywe zadowolenie, ujrawszy między licznymi emblematami odznakę automobilklubu belgijskiego, który w przeddzień audiencji przyznał ją druhowi Jelińskiemu. Tłum publiczności był świadkiem tych oględzin i kiedy monarcha wsiadł na powrót do swej limuzyny, urządzono mu żywą manifestację patriotyczną. Ma się rozumieć, że o tym fakcie pisały miejscowe dzienniki, dzięki czemu znów ziarno propagandowe wpadło do zasobnej już miarki druha Jelińskiego.

Zanim nasz podróżnik opuścił przeludniony, dyszący tysiącami kominów fabrycznych kraj, zatrzymał się jeszcze w paru punktach, gdzie miał możliwość zetknięcia się z rodakami. W Leodium¹⁸⁷ odwiedził koło studentów tamtejszej politechniki, którzy z niesłychanym zapałem witali wracającego z dalekiej podróży i wpisali mu do księgi następujące zdanie: „Brak słów uznania i podziwu”. Niebawem auto przekroczyło granicę niemiecką. Kraj ten nie nęcił niczym naszego podróżnika. Zaraz na wstępie spotkała go niezasłużona przykrość. Pewna poczytna gazeta napisała, że druh Jeliński dopiero wybiera się w swój rajd. Kiedy poinformował redakcję o prawdziwym stanie rzeczy, pismo to umieściło z przekąsem sprostowanie, że spośród wielu Polaków, którzy chcieli uczynić coś niezwykłego, jeden tylko zdołał dopiąć

¹⁸⁶ *Chargé d'affaires* (z fr. „odpowiedzialny za sprawy”) – urzędnik dyplomatyczny niższego stopnia.

¹⁸⁷ Leodium – łacińska nazwa belgijskiego miasta Liège, leżącego we wschodniej części kraju przy granicy z Holandią i Niemcami.

celu. Trzeba jednak bezstronnie zaznaczyć, że inne pisma niemieckie podkreśliły duże zasługi podróżnika na polu sportowym, gdyż propagandowe nic ich zresztą nie mogły obchodzić.

Mknąc w szybkim tempie ku granicom Polski, podróżnik w Essen zatrzymał się na parę godzin, ażeby odwiedzić konsula polskiego, który zaprosił go na obiad. Podczas gdy obaj siedzieli w restauracji, z auta stojącego na ulicy jakiś zaciekle nacjonalista czy monarchista zerwał chorągiew republikańską niemiecką, pozostawiając jednak flagę polską nietkniętą. Prócz tego jedyne nieprzyjemnego incydentu nasz podróżnik bez żadnej przygody przemierzył rozległy kraj niemiecki. W Berlinie po raz ostatni w ciągu swej długiej podróży zetknął się z emigracją polską, która trwa mimo tysiącznych trudności na obcym gruncie, pracuje i kocha Ojczyznę. Z wielkim zainteresowaniem Polacy berlińscy wysłuchali sprawozdania podróżnika, którego czyn spopularyzował imię Polski w najdalszych krajach świata. Druh Jeliński, wygłosiwszy parę odczytów dla harcerstwa polskiego, które, choć nieliczne, trzyma się solidarnie, pospieszył ku granicom. W sercu jego, w miarę tego jak zbliżał się do kresów zachodnich Rzeczypospolitej, coraz żywiej odzywała się tłumiona na dnie serca tęsknota. Nie spodziewanie, mknąc szosą między łaskami brzoźowymi i wioskami przydrożnymi, nasz skaut ujrzał zamknięty szlaban, na którym w świetle słonecznym błyszczały barwy narodowe. Zdziwiony zagadnął stojącego strażnika niemieckiego, czy daleko jeszcze do granicy Polski. Niemiec niedbale wskazał na czerwoną barierę:

– *Hier!* – odparł lakonicznie.

A więc Polska!

Podróżnik z bijącym sercem opuścił ręce z kierownicy, jakby obezwładniony tym ogromem uczuć, jakie go nagle ogarnęły. Spoglądał na barierę graniczną jak na jaką świętość, której lękał się dotknąć. Bariera podniosła się wolno. Buick przejechał pod nią. Jakiś głos polski zawołał:

– To Jeliński wraca ze swojej podróży naokoło świata! Prosimy! – dodał. – Dla pana granica Rzeczypospolitej Polskiej jest otwarta.

Nasz skaut nie był w stanie nic odpowiedzieć na to przyjacielskie powitanie pierwszego napotkanego rodaka. Milcząc, wyskoczył z auta, ukląkł na wilgotnej ziemi polskiej, ucałował ją jak dawno niewidzianą, ukochaną matkę i wzniósł dziękczynne spojrzenie ku Niebu, które pozwoliło mu łaskawie dożyć tej pięknej chwili. Za ledwie druh Jeliński oddalił się od granicy, gdy ujrzał kilka samochodów, dążących na jego spotkanie. Byli to, jak się okazało, członkowie Automobilklubu Wielkopolskiego oraz przedstawiciele dzienników poznańskich. Pragnęli oni pierwsi powitać rodaka, wracającego z dalekiej i długiej podróży. Na wyścigi tłoczono się do druha, ściskając z zapałem jego dłonie. Kiedy się dowiedziano, że flaga Klubu

Wielkopolskiego doręczona przed wyjazdem wraca nieuszkodzona z rajdu naokoło świata, wybuchnął żywiołowy entuzjazm poznańskich automobilistów. Nie wierzyli oni, jak sami przyznali, żeby przedsięwzięcie to uwieńczył tak pomyślny wynik, toteż okrzykom na cześć podróżnika nie było końca.

Przyjęcie serdeczne ze strony Wielkopolan było początkiem całego szeregu powitań rodaków. W Bydgoszczy, w Toruniu, w Łodzi podróżnik napotykał całe zastępy przychylnych, którzy witali go gorącymi sercami. Czuł on z dumą, że ci ludzie, którzy wyciągają doń rękę z bratnim uściskiem, są dumni z niego. To przeświadczenie, że istotnie dokonał czegoś, za co rodacy mogą mu być wdzięczni, było dla naszego podróżnika najwyższą nagrodą. Jak druh Jeliński wkraczał do stolicy Rzeczypospolitej, o tym już nasi czytelnicy wiedzą z pierwszego rozdziału niniejszej książki. Pilno mu było po powrocie stanąć przed obliczem najwyższego dostojnika w Polsce. Czekał jednak dość długo na tę chwilę. Wreszcie życzeniu jego stało się zadość. W towarzystwie przedstawicieli harcerstwa polskiego, druha Grzymały-Grzymałowskiego i druha Sopočki, wjechał on uroczyście w swoim samochodzie na dziedziniec zamkowy. Pan Prezydent przyjął młodego podróżnika z przyjaznym uśmiechem na ustach. Pamiętał on doskonale chwilę, kiedy wyprawa, wówczas składająca się z czterech młodzieńców, przedstawiła mu się przed samym wyjazdem.

– Czytaliśmy tutaj dużo o pańskiej podróży – rzekł. – Zawział się pan na to, żeby dotrzymać danego słowa i nie zawieść pokładanego w panu przez społeczeństwo zaufania.

Z ciekawością Pan Prezydent oglądał podpisy dostojników cudzoziemskich. Z równym zainteresowaniem oglądał liczne fotografie, które mu druh Jeliński przedstawił. Pytał łaskawie o różne szczegóły wyprawy z ojcowską troskliwością. W końcu raczył skreślić w księdze pamiątkowej, której pierwsza kartę zdobił jego własny podpis, następujące słowa: „Z przyjemnością konstatuje szczęśliwy powrót do ojczystego kraju”.

– Ciekawi jesteśmy, jak się przedstawia zdobyta przez pana kolekcja emblematów klubowych! – rzekł w końcu Pan Prezydent.

Zszedłszy na dziedziniec zamkowy, w otoczeniu swoich adiutantów, szanowny profesor zatrzymał przez dłuższą chwilę wzrok na masce samochodu, gdzie błyszczało 29 emblematów klubowych, pochodzących z krajów Europy, Afryki i Dalekiego Wschodu. Na jego obliczu malowało się zadowolenie. Uścisnął serdecznie parę razy dłoń naszego skauta, życząc mu pomyślnych rezultatów na rzecz propagandy w następnych podróżach. Przyjęcie u Pana Prezydenta, które następnie opisały wszystkie dzienniki (nawet amerykańskie), było chlubnym zakończeniem tego przedsięwzięcia, które wbrew pesymistom doczekało się urzeczywistnienia w warunkach bardzo trudnych, świadczących dobrze o energii i przedsiębiorczości

naszego skauta. Ażeby czytelnik wyrobił sobie dokładniejsze pojęcie o wyczynie druha Jelińskiego pod względem propagandowym i sportowym, nie od rzeczy będzie przytoczyć tutaj kilka cyfrowych danych.

Podróż, licząc od chwili wyjazdu z Warszawy do powrotu, trwała dwa lata i cztery miesiące. Przestrzeń przebyta w samochodach wyniosła, nie wliczając w to podróży morskich, 78.000 kilometrów, co potwierdza dwadzieścia dziewięć automobilklubów, których nasz podróżnik jest członkiem. O podróżniku umieściło dłuższe i krótsze artykuły z górami dwa tysiące gazet całego świata, pisząc zarazem pochlebnie o Polsce, co stanowi niezaprzeczoną zasługę druha Jelińskiego. Podczas swojego rajdu nasz skaut odwiedził prawie wszystkie napotkane placówki dyplomatyczne i konsularne polskie, zetknął się z licznymi organizacjami polskimi na obczyźnie, wygłosił z górami 150 odczytów, których wysłuchało kilkadziesiąt tysięcy Polaków, rozrzuconych po wszystkich krajach. Niezależnie od tego, druh Jeliński odwiedził wielu pojedynczo rozsianych na obczyźnie rodaków, niosąc im wieści z dalekiej Ojczyzny. Nasz podróżnik miał okazję być przedstawionym wielu najwyższym dostojnikom, a także zaznajomić się z wielu wybitnymi artystami, uczonymi, działaczami społecznymi i politykami.

To wszystko upoważnia nas do wyrażenia bardzo pochlebnego sądu o podróży druha Jelińskiego, który rozniósł nie tylko szeroko po świecie imię Polski, lecz także zaimponował międzynarodowym sportowcom, którzy powszechnie przyznają, że jego podróż naokoło świata samochodem stanowi niepospolity wyczyn stawiający wysoko w oczach cudzoziemców sport polski. Jako były wojskowy druh Jeliński dobrze zapamiętał słowa marszałka Piłsudskiego wypowiedziane do wyjeżdżających w Sulejówku: „Gdy opaszecie flagą polską kulą ziemską, zameldujcie się u mnie. W przeciwnym razie nie pokazujcie mi się na oczy”. Druh Jeliński sądził więc, że ma prawo stanąć śmiało przed obliczem marszałka i rzec: „Melduję posłusznie Panu Marszałkowi, że przejechawszy cztery kontynenty świata, opasałem flagą polską kulę ziemską”.

Jednakże nie ma róży bez kolców. Na spotkanie podróżnika przyjechał brat jego Stefana, który mu przyniósł smutną i wzruszającą wiadomość: okręt, na którym panna Iza wyjechała z Nowego Jorku do Warszawy, zginął bez wieści w okresie wielkich burz na Atlantyku.

- Rozdział 1.** W którym zaznajamiamy się z bohaterami podróży. – 3 –
- Rozdział 2.** Jak powstał projekt podróży samochodem naokoło świata. – 11 –
- Rozdział 3.** Jak się rozpoczęła podróż naokoło świata. – 15 –
- Rozdział 4.** Ostatnie dni między swoimi. – 19 –
- Rozdział 5.** Przez Czechosłowację. – 25 –
- Rozdział 6.** Przez Austrię na Węgry. Niebezpieczna przeprawa. – 32 –
- Rozdział 7.** Wrażenia w Jugosławii. Ziszczona przepowiednia. Romantyczny wieczór na granicy włoskiej. – 39 –
- Rozdział 8.** Triest. Tajemnicza drużyna. W podziemiach klasztoru. W Rzymie. Audyencje u Ojca Świętego i u Mussoliniego. – 44 –
- Rozdział 9.** Przez Neapol do Sycylii. Rozbiegany samochód. – 53 –
- Rozdział 10.** Przez Tunis do Oranu. Kłopoty celne. Wszędzie Polacy. – 60 –
- Rozdział 11.** W Algierii. Bu Saada. Niebezpieczna przeprawa przez pustynię do Biskry. – 66 –
- Rozdział 12.** Biskra. Życie na oazie. Fakirzy. Skorpiony. Uroczystość zapylania palm daktylowych. Małpi Wąwóz. – 76 –
- Rozdział 13.** Oran. Gościnność arabska. Żywy podarunek. Fez. Casablanca. Na okręt. – 82 –
- Rozdział 14.** „Sinsinnawa”. Zagadkowi Arabowie. Wszędzie Polacy. Przeprawa przez Atlantyk. Oranek otrzymuje mamkę. – 91 –
- Rozdział 15.** Miasto olbrzym. Rozpaczliwa perspektywa. Zbawczy pomysł. – 97 –
- Rozdział 16.** Jak się podróżuje autem w Ameryce. Stolica stanów. Audyencja w białym domu. – 103 –
- Rozdział 17.** Kolegium Związku Narodowego. Toledo. Niespodziewane spotkanie. Detroit. Kłopoty automobilisty. Pod szczęśliwą gwiazdą. – 108 –
- Rozdział 18.** Polscy skauci w Buffalo. Wodospady Niagary. Buick w niebezpieczeństwie. Pobyt w Chicago. – 115 –
- Rozdział 19.** Ostatnie osiedla polskie. Denver. Colorado. Ryzykowna przeprawa. W pustyniach Nowego Meksyku. Słodka niewola. – 123 –
- Rozdział 20.** Karkołomna jazda. Życie w hacjendzie. Osobliwości Arizony. Nieoczekiwana propozycja. – 131 –
- Rozdział 21.** W słonecznej Kalifornii. Stolica filmu. – 138 –
- Rozdział 22.** W cudnej dolinie. Zdobycie nagrody turystycznej. Odznaczenie. Romantyczna przysięga. Rozstanie z przyjaciółmi. – 150 –
- Rozdział 23.** Przez Pacyfik. Na Wyspach Hawajskich. – 156 –
- Rozdział 24.** Wśród Japończyków. Wycieczki do góry Fudzi-Jama i do miasta świątyń. Skauci japońscy. – 160 –
- Rozdział 25.** Wędrówki po Japonii. Przygoda podczas trzęsienia ziemi. Kioto. Jedyńy Polak. Willa Inabata i honorowy konsul polski. Gejsze. Osaka. Przykre rozstanie. – 168 –
- Rozdział 26.** Z Japonii przez Hongkong do Singapuru. Niebezpieczna menażeria. Okropna burza pod równikiem. – 174 –
- Rozdział 27.** Osobliwości Cejlonu. Dzikie słonie. Polowanie na wielkiego węża. Co się w nim znajdowało. Złodziejaski z Port Said. – 182 –
- Rozdział 28.** Wylądowanie w Europie. U prezydenta Francji. U króla podróżnika. Powrót do ojczyzny. Audyencja u prezydenta Mościckiego. – 188 –